

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nowa Serya.

TOM II.

ROK PISMA JEDYNASTY.

Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Okaz.

Wydawca: Stanisław Justian.

Biblioteka Jagiellońska



1001849061



122
J, or

m(1870), 2

SPIS RZECZY

w tomie II. z roku 1870 zawartych

I. Żywoty świętych, legendy, podania o cudownych miejscach w Polsce i rozmaite historie święte.

Gwiazdka * na początku oznacza, że dodany jest tam obrazek.

	Nr.	Strona
Ksiądz Wojciech Męciniński, przez Zenona Pszczółkę	1	— 3
Kilka słów o księdzu Piotrowiczu i prześladowaniu za wiarą braci naszych Polaków na Litwie	1	-- 7
Święty Stanisław Kostka	2	— 25
Tomasz Zamojski, pobożny pan polski, przez księdza Wojciecha z Zaleszan	3	— 33
Obronca Matki Najświętszej, przez ks. Sadoka Barączą	5	— 77
Medalik Matki Boskiej, przez Stanisława Nowińskiego	8	— 122
Żelazne okowy (legenda), przez Józefa z Bochni	9	— 138
Piotr Ostrowski, braciszek w zakonie OO. Bernardynów w Warsza- wie, przez Józefa z Bochni	10	— 151
* Klasztor OO. Bernardynów w Skępem	10	— 156
* Rycerze św. Jana	14	— 214
Kościół św. Floryana na Kleparzu w Krakowie, przez Józefa z Bochni	15	— 236

II. Powiastki, gawędy i opowiadania z historii polskiej i inne.

* Myszka wieża	1	— 9
Okrutny książę moskiewski (zdarzenie prawdziwe)	1	— 10
Król Kazimierz Wielki i Jagiełło	2	— 17
Córka (powiastka)	2	— 21
Mateuszek	3	— 39
* Sukienice	3	— 40
Chleb ma rogi I. przez Jana Kantego Gregorowicza	3	— 41
" " " II. "	4	— 51
" " " III. "	6	— 81
" " " IV. "	7	— 97
Król Kazimierz Wielki	4	— 57
" " " " (ciąg dalszy)	5	-- 70
" " " " (dokończenie)	8	— 113
Zniesiesienie	4	— 59
Wychowanek wioski I. przez Stacha ze Lwowa	5	— 65
" " " " II. III. "	6	— 90
" " " " IV. "	7	— 106

	Nr.	Strona
Prusaki, przez Piotra Zbrożka	5	— 72
** Mosty wiszące w Ameryce	7	— 103
Jan III w Jaworowie	7	— 111
* Zamki w Polsce	8	— 120
Żebracy, przez Jana Kantego Gregorowicza	9	— 129
„ (ciąg dalszy) „ „	10	— 145
„ (dokończenie) „ „	11	— 161
* Naczelnik pokolenia Osagów	11	— 168
List Piotra Zębatego z Karłowarów	11	— 169
Marcin Wrona, przez Szczęsnego z Żółkwi	12	— 177
Lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces, p. Szczęsnego z Żółkwi	13	— 193
„ „ „ „ „ „ „ „ „ „ „ (dokończ.)	14	— 209
* Dobry uczynek	13	— 201
Najnowsza książeczka, wydawnictwa A. Młockiego	13	— 204
Na bandosie	15	— 225
Sieroty	16	— 241
„ (dokończenie)	17	— 257
* Adam Mieczysławski	16	— 246
Urlopnik, obrazek z życia ludu wiejskiego, p. Michała Solakiewicza	16	— 251
„ „ „ „ „ „ „ „ „ „ „	17	— 267
„ „ „ „ „ „ „ „ „ „ „	18	— 282
* Pisanie Józefa Kowalika z Czewpina	17	— 263
Jan Ryś, przez Józefa z Bochni	18	— 277
* Król Władysław Łokietek		

III. Wiersze.

Pożar wioski, przez Franciszka Gumowskiego	1	— 2
Ojczyzna, przez Władysława Bełzę	1	— 3
* Śmierć Żyszki	2	— 22
Pątnicy	4	— 54
Żniwo	5	— 68
Bez pracy nie będzie kołaczy	5	— 69
Rolnik	6	— 86
Obraz prawego rolnika, przez Józefa z Bochni	7	— 102
Nad kołyską, przez Franka z nad Lipy	7	— 102
Rut, (powieść biblijna)	8	— 119
Gdzie moja ojczyzna? przez Józefa z Bochni	9	— 135
Rolnik, przez Władysława Bełzę	9	— 135
Bartosz i Jan, przez Macieja Szarka	9	— 141
Łokietek, przez Władysława Bełzę	10	— 151
Dziadek, „ „ „	10	— 151
Mądrak, przez B. Komorowskiego	11	— 167
Bezdzietni I, przez Szewczenkę (tłum. Sowiński)	12	— 184
„ II „ „ „ „ „ „	13	— 200
Sierota	14	— 213
Złoty kubek, przez Teofila Lenartowicza	15	— 235
Krakowiak Zosi	16	— 245
Przednowek skończony, przez Wincentego Pola	18	— 276

IV. Piękne przykłady.

Pisanie Józefa z Bochni	8	—	117
Pisanie Karola Głowackiego z Woli Rusinowskiej	17	—	261
Pisanie Józefa z Bochni z parafii w Biskupicach	18	—	274

V. Rady, przestrogi gospodarskie i rozmaite wiadomości pouczające.

Mieszkanie	2	—	28
Żelazo	4	—	61
Nowy sposób nauczania czytania	4	—	63
* Nowe okręty wojenne	6	—	87
Płody przyrody, przez Stacha ze Lwowa	8	—	126
” ” ” ” ” ” ” ” ” ” ” ”	9	—	142
* Szynszyla	9	—	136
Przepisy dotyczące się zdrowia, przez Józefa z Bochni	11	—	171
Przepisy na wygubienie wołków w szpichrzach	11	—	173
* Starożytny monety	12	—	184
Gospodarstwo w trzy pola, a w sześć pól, p. Albina Rayskiego	12	—	186
Uprawa koniczyzny, przez Albina Rayskiego	14	—	219
* Kotor	15	—	233

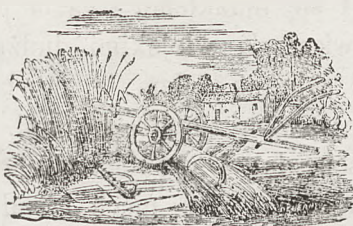
VI. Rozmaitości.

Malarz wędrowny	1	—	12	Złodziej	6	—	96
Sławny lekarz	1	—	13	Stefan Batory	9	—	144
Sztuki w Pacanowie	1	—	15	Bieganowski Mikołaj	9	—	144
Wyrok śmierci	1	—	15	Pismo dla ludu	10	—	160
Nauczyciel osła	1	—	16	Piękny przykład	10	—	160
Jak się kupują buty bez pieniędzy	2	—	31	Rozmaitości historyczne	11	—	174
Wilk	3	—	46	Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje	12	—	190
Śledź	3	—	46	Niespodziewany procent	12	—	192
Figura	3	—	46	Obchodzenie się z końmi	13	—	192
Przekonanie	3	—	47	Wojtek, Icek i spółka	13	—	207
Przeznaczenie	3	—	47	Nowa książka	13	—	207
Wypadki nieszczęścia	3	—	48	Księgosusz	13	—	208
Nowa książka	4	—	63	Zorza północna	14	—	221
Pijak	4	—	63	Rozmaitości historyczne	14	—	223
Rolnik	4	—	64	Wiktor hr. Komorowski	15	—	240
Organista	4	—	64	Zbiór pamiątek polskich	16	—	254
Żołnierz	4	—	64	Żyd przy rekrutacji	16	—	255
Jak się nazywał pierwszy człowiek	5	—	78	Zbrodnia się nie ukryje	16	—	255
Kruk	5	—	78	Chciwość Moskali	17	—	271
Koń	5	—	79	Sen sprawiedliwego	17	—	271
Któs	5	—	79	Kiszki grochowe	17	—	271
Przebiegłość cygańska	6	—	95	Uczciwy znalazca	18	—	287
Nieszczęśliwy wypadek	6	—	95	Omyłka	18	—	287
				Poczta gołębia	18	—	287

VII. Złote ziarna

Nr. II.—42, Nr. V.—80, Nr. VI.—96, Nr. VII.—112, Nr. 144, Nr. XI.—176,
Nr. XII.—192, Nr. XIII.—208, Nr. XIV.—224, Nr. XVI.—256, Nr. XVII.—272,
Nr. XVIII.—288.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Od Wydawcy.

Z 14 numerem naszego Dzwonka zmieniła się redakcja, o czem czytelnicy się przekonali z podpisu nowego wydawcy i redaktora na dole na czwartej kartce. Należy się teraz odemnie szczerze słowo powitania z rozpoczynającą się drugą połową rocznika bieżącego. Dzwonek, który dziś podjąłem się wydawać, był mi nauczycielem w młodszych latach moich, gdy jeszcze chodził do szkół, a dziś kiedy ze szkół wyszedłem, doświadczywszy na sobie jak to ciekawa i nauczająca gazeta i niejedną chwilę uprzyjemni i nie jednego nauczy, staram się nie zmieniać nic w składzie naszego pisemka. Ci uczeni i serdeczni pisarze, którzy dotychczas pisywali do Dzwonka przyrzekli mi i nadal nadsyłać swoje prace, aby je na pożytek dobrych ludzi drukować w naszym piśmie.

Jak już widzieliście moi czytelnicy z wydanych numerów za mojej redakcyi, są współpracownikami Dzwonka wszyscy dawniejsi wasi starzy znajomi. Oni was znają od lat wielu i wiedzą, czego wy chcecie, co czytać lubicie, ja to wiem także, bom wzrósł między wami i nieraz z sąsiadami moimi długie godziny przegawędziłem o naszej doli, o ludzkiej pracy, o sprawach gromadzkich, o roli i ochudobie, znam dobrze wieś naszą

i naszą świętą ziemię, bom po niej w szersz i wzdłuż piechotą schodził, a napatrzył się ludzkiemu weselu po żniwie i ludzkiej biedzie na przednowku. Z wiejskimi ludźmi siadywałem za stołem i chlebem i solą tą żyłem, a powiadają, że ten jest dobry przyjaciel, ko z tobą zje beczkę soli.

Przez dwadzieścia lat Dzwonek wychodził i z wami się zrósł jak stary znajomy, więc niech i nadal będzie waszym przyjacielem, a wy moi czytelnicy starajcie się go rozszerzać aby czem raz więcej było zamawiających przedpłacicieli, aby się to nasze pismo powiększało na pożytek dobrym ludziom, i na chwałę Bożą.

Pożar wioski.

Ziemia i cała dokoła przyroda,
Spała już dawno, biegiem swym zmęczona.
Wtem — na wsi, z chaty, ogniste ramiona
Światła trysnęły nagle, niby woda
Z krwawej fontanny i czerwono smugi.
Zarumieniły łuną niebios szlaki.
Psy wycę poczęły na trwozę, a ptaki
Z gniazd się zerwały i w takt jeden długi
Bijąc skrzydłami, uciekały z strachem.
Płomień wywijał się jak wąż nad dachem,
Nareszcie buchnął słupem z każdej strony.
Lud wstał przelekły, a głos zrozpaczony
Jakiś brzmiał — dreszczem przejmując do kości:
„Gdzie moje dziecko! ratujcie, litości!“
Nikt nie chciał walczyć z wzburzonym żywiołem,
Który ogarnął domem aż do szczytu.
Każdy stał milcząc.

Z podniesionem czołem,
Jakby posłaniec boski z nad błękitu,
Gdzieś odedworu, zdaje się z ogrodu,
Niby bohater Trojańskiego grodu,
Zjawił się młodzian.....
Młodzieniec spojrział. Blask palił mu lica
Szlachetnem mężstwem. Zadrżał, a po chwili,
Jak dumny orzeł rozpostarłszy loty,

Jak wódz na czele szturmującej roty,
Wpadł w środek domu. Wszyscy się modlili
Za nim, truchlejąc, bo ogień dokoła
Rozrywał w sztuki ściany i wiązania.

..... Wśród krzyku,
Niby grom szybko rzucił się w płomienie.
Lud oddech wstrzymał. Bojaźń i zdumienie
Śmiertelnym dreszczem przeszywały dusze.
Každy spoglądał w uroczystej skrusze,
I oczekiwał zbawcy.

Pędem strzały
Wybiegł nareszcie młodzian ogorzały
Z ognia jak z piekła, unosząc na rękę
Dziecko leż pełne i tkliwego jęku.
Ledwie je matce oddał, gdy niebawem
Dom się zawalił, wśród strasznego zgrzytu,
Jakby nań ciężar puścił kto z błękitu,
Lub jakby szatan przy świetle jaskrawem
Tysiąca iskier, zatrząsł posadami
Zczerniałych głów.

Franciszek Gumowski.



Ojczyzna.

Ojczyzną naszą, to bracia twoi,
Twoi ojcowie i twoje matki!
Dawni rycerze w skrzydlatej zbroi,
Dumne pałace i kmiece chatki!
Ojczyzną naszą — to łany twoje,
To groby przodków skryte żałobą!
Rodzine gaje, łąki i zdroje,
I te niebiosą, co lśnią nad tobą!
Ojczyzną twoją chłopię Sarmackie:*
To pieśń wolności i lzy tułackie!

*) Sarmackie, tyle co polskie.

Wł. Bełza.



Ksiądz Wojciech Męciński.

Wielebny Ksiądz Piotr Skarga, najslawniejszy kaznodzieja i pisarz XVI. stulecia, w dziele swoim pod tytułem: „Żywoty Świętych Pańskich“ umieścił także żywot ks. Wojciecha Męcińskiego, który lubo przez kościół za świętego nie uznany, niemniej zasługuje na cześć i uwielbienie, szczególnie ze strony rodaków. Sądząc zapewne słusznie, że poznajamianie się ze szczegółami żywotów bądź to świętych patronów, bądź mężów w inny sposób chlubą dla narodu będących, przynosi wam mili czytelnicy Dzwonka nie mały pożytek i zadowolenie, daję tutaj krótki obraz życia ks. Wojciecha Męcińskiego, o którym nigdy jeszcze nie słyszeliście. Opowiadanie moje osnułem na obszernym żywocie tegoż księdza Wojciecha, skreślonym piórem ks. Skargi.

Urodzony roku pańskiego 1601. z rodziców bogobojnych i świetnego pochodzenia, ojca Wojciecha i matki Szczęsnej z Głogowskich, oddany został do szkół lubelskich.

Przykładając się pilnie do nauk, wolne chwile poświęcał modlitwom, które go niesłychaną słodyczą i radością napawały.

Tegoż czasu z czytania i słuchania rozmaitych opowieści o męczennikach w Japonii, kraju leżącym w Azyi, nabrał wielkiej chęci do przelania krwi za Chrystusa, a oraz i do wstąpienia do zakonu księży Jezuitów. Skoro tę chęć przywdziania sukni zakonnej objawił matce swojej, która podówczas wdową była, nietylko że nie otrzymał pozwolenia, lecz owszem ściągnął na siebie zapalczywy gniew łagodnej skąd inąd rodzicielki. Wojciech ucieszony w duszy, iż cierpi dla Chrystusa, stał się powolny rozkazom matki. Ukończywszy szkoły w Lublinie, udał się na wyższe nauki do akademii krakowskiej, która zawdzięcza swój początek królowi Kazimierzowi Wielkiemu, uposażenie zaś i dalszy rozwój Jagielle i cnotliwej małżonce jego Jadwidze. Tu wkrótce przyszedł do możności spełnienia zamiarów swoich, gdyż śmierć zawsze mu drogiej matki, obdarzyła go zupełną wolnością. Zaczem przystojny, odpowiedni świetności pochodzenia pogrzeb matce sprawił,

i udał się do Rzymu, gdzie do zakonu przyjęty, próbę zakonną (nowicyat) z wielkiem wszystkimi zbudowaniem odbył.

Roku 1623 do Polski wrócił i w Kaliszu filozofii słuchał. Pod ten czas zmarł mu młodszy brat Stanisław, robiąc jedynym spadkobiercą ogromnego majątku naszego Wojciecha, który zakonowi wszystko zapisując, wypowiedział pamiętne słowa: „Jużem dał panu Bogu wszystko co miałem, nic nie zostaje, tylko abym mu krew moją ofiarował.“ Później powtórnie do Rzymu wysłany, uczył się teologii, to jest tego wszystkiego, co kapłan umieć powinien, którą dokończył w Luzytanii, gdzie też na księdza wyświęconym został. Dostąpiwszy godności kapłańskiej, odprawił pierwszą mszę świętą (prymicye) w dzień ofiarowania N. Panny, poczem udał się do Lizbony, miasta nadmorskiego, by snadniej na mię do Indyi się przeprawić. I w chwili, kiedy już prawie był u kresu swych życzeń, doznaje zawodu. Przed samym bowiem odjazdem do Indyi, otrzymał ks. Wojciech list od przełożonego zakonu z Polski, który mu nakazywał zaniechać dalszej podróży, i powracać jak najspieszniej do ojczyzny.

Przyczynę do tego odwołania dały dziwne żądania powinowatych Wojciecha, co do ojcowizny, którą prawnie zapisał zgromadzeniu krakowskich Jezuitów. Za łaską Boga udało się szczęśliwie Wojciechowi pokonać wszystkie przeciwności, i już w roku 1631 widzimy go na powrót w drodze do Lizbony, skąd okrętem puścił się do Indyj wraz z wielu ojcami.

W tej morskiej podróży dawał liczne dowody swoich cnót i poświęcenia, szczególnie kiedy służył chorym na zaraźliwą malignę, z której około dwieście osób umarło. Po drodze zatrzymał się w Goi, dy oddać należną cześć szczątkom ciała św. Franciszka Ksawerego, tamże spoczywającym. Puściwszy się z Goi wprost do upragnionej Japonii, napadniętym został w drodze przez srogich pogan, którzy obdarli go ze wszystkiego i na dobitek przez sześć miesięcy trzodę paść kazali.

Uwolniony, po kilkudniowej żegludze przybył nareszcie do Japonji. Zaledwo doknął stopami (swemi) nowej i nieznaney

sobie ziemi, już widzimy go pojmanego przez straż, czuwającą, by żaden chrześcianin do kraju dostać się nie mógł. Po wybadaniu kim był i skąd przychodził, odstawionym został do starosty przedniejszego miasta Nangazachu. Srogi tyran kazał Wojciecha wtrącić do ciemnego i smrodliwego więzienia, skąd co drugi dzień wyprowadzany w następujący sposób był męczony: przywiązywano go na wznak do drabiny, z przekrzywioną na tył głową, aby była sposobną do wlewania wody, którą go kaci przez lejki tak długo poili, dopóki nie spostrzegli, że już oddychać nie może, potem wkładali męczone ciało między dwie tarcice, które chłopci najsilniejsi ściskając jedna do drugiej, napowrót wodę wysączali.

Taką mękę ksiądz Wojciech sto i pięć razy wytrzymał.

W końcu otrzymawszy wyrok śmierci, powieszony głową na dół na dniu 23. marca 1643 roku, licząc lat 42 (czterdzieści i dwa.) Lecz nie tu koniec okrucieństwom pogańskim, pastwili się bowiem jeszcze i po śmierci w rozmaity sposób nad ciałem Wojciecha, a w końcu spalili je, zatapiając pozostałe popioły w głębokościach morskich, nie mogąc jednakże zatrzeć pamięci świętego męża, która przed Bogiem i ludźmi wiekuje i wiekować będzie.

Tak dokonał żywota ziemskiego rodak nasz, by i na krańcach świata wiedziano o synowskiem przywiązaniu Polaków do Chrystusa i jego kościoła.

Naród zaś mający cały szereg patronów i męczenników podobnych Wojciechowi, którzy nieustannie znoszą modły do stóp tronu Najwyższego, skoro tylko szczerze i sumiennie będzie pracował, śmiało może potuszyć o lepszej przyszłości swojej ojczyzny, pocieszając się chwilowo słowami wieszczki narodowego:

Palną Chrystus obdarzył narody zbawione
Nam Polakom cierniową przekazał koronę:
Pańska to jest korona i nośmy ją radzi,
Krew pod nią zlana, nowe zbawienie sprowadzi.

Zenon Rawicz Pszczółka.

Kilka słów o księdzu Piotrowiczu i prześladowaniu za wiarę braci naszych Polaków na Litwie.

Opowiedzieliśmy wam niedawno historię o księdzu Piotrowiczu i prześladowaniu naszych braci na Litwie i nawracaniu na szyzmę. Teraz także nieco dowiedzie się, jak to Moskale nasgnębia, ale tylko bardzo krótko — boć wszystkiego, co oni tam codzien dokazują, nikt by spisać nie potrafił.

Na miejsce wywiezionego ks. Piotrowicza, mianowany został dziekanem i proboszczem przy kościele ś. Rafała ks. Kulesza, który spełnia wszelkie podłości. Obecnie postanowili splugawić czyn pobożny i odważny ks. Piotrowicza, i rozkazali duchownym podpisywać pismo, że ks. Piotrowicz był łotrem, pijakiem, rozpustnikiem. Żyliński, ów główny prześladowca naszej wiary, obstawał za tem, że Piotrowicz powinien być śmiercią karany. Lubo ks. Piotrowicz sam na śmierć był przygotowany i przed onem mężnem wystąpieniem swoim wszystkiej chudoby swojej się zbył, zachowując przy sobie tylko 25 rubli „dla kata,“ poprzestano jednak na wywiezieniu go do Archangielska.

Kulesza rozwozi swój adres czyli akt fałszywego świadectwa do wszystkich kapłanów, żądając podpisu; lecz większa część, zwłaszcza młodszych, chociaż zgnębieni i spowiewierani przez zapamiętałe brnącego w swych nieprawościach naczelnika, który do nich inaczej się nie odzywa, jak po moskiewsku, zowiąc ich najobelżywszemi słowami, oparli się wszelkim groźbom Syberyi, zdarcia sukni duchownej, a nawet i śmierci, i odmówili podpisu, odpowiadając jednozgodnie: „z pomocą Bożą gotowiśmy naśladować ks. Piotrowicza, ale charakteru naszego kapłańskiego nie spodlimy fałszywym świadectwem.“

Parafianie ś. Rafała, po większej części lud rzemieślniczy i prosty, ale pobożny, a do tego zelektryzowany ostatniem kazaniem i czynem ks. Piotrowicza, ze strachem spogląda na dzisiejszego swego proboszcza Kuleszę, ale i z rodzajem gotowości odporu w razie naruszenia przezeń przepisów wiary świętej. Było tego już parę przykładów: Jednej parze przybyłej do ślubu Kulesza nie inaczej chciał ślub udzielić, jak po

moskiewsku, w skutek czego ona para wyszła z kościoła i wyrzekła się ślubu. Innym razem ubodzy jacyś ludzie przynieśli dziecko do chrztu i znowu proboszcz wystąpił z tem samem żądaniem spełnienia obrządku po moskiewsku; dopiero gdy rodzice chrzestni okazali gotowość odejścia z nicochrzestnem dzieckiem, Kulesza zatrzymał ich z oświadczeniem, że po raz ostatni udzieli taki chrzest, jaki oni chcą, ale nie inaczej jak za rubla, na co biedni zgodzić się musieli, choć może ta opłata przewyższała ich możność. Powiadają, że na nabożeństwa lud się zbiera z kamieniami w kieszeni, aby w razie wystąpienia z moskiewskiem kazaniem mówcę niemi poczęstować. Bóg wie, co ztego będzie i na czem się to wszystko skończy.

Postrach ks. Żylińskiego ogromny w całym mieście. Wszędy ma swoją policję, liczną a czynną i głośno się z tem chwali przed wszystkimi, że ktoby o nim śmiał co powiedzieć, całe życie tego pożałuje, bo władzę ma nieograniczoną i potrafi jej użyć.

Łatwo się domyślić, że nigdy już mszy ś. nie odprawia, nie tyle może dla sumienia, ile raczej dla tego, że nie śmie się na ulicy pokazać. Lęka się wszystkich, trzeba przejść do jego pokojów przez czterech żandarmów, w rozmaitych ubraniach, a każdy zapytuje „za czem“ — podobnie, kiedy kogo przyjmuje, asystują mu i otaczają go żandarmi. Na ulicy miejska straż pilnuje domu jego, nie pozwalając przechodzącym nawet w okna spojrzeć.

Podczas karnawawału jacyś dwaj trefnisie w maskach, przebrani za djabłów, przybyli do Żylińskiego jakoby po jego duszę. Naturalnie wypędzono ich, choć wówczas jeszcze tak gęstej straży nie było koło niego. Ale nazajutrz pojechał ze skargą na nich do Potapowa, który mu odpowiedział: „Od ludzi strzegę Pana, bo muszę, ale na złe duchy nie mam sposobów; sam sobie z niemi radź.“

Niedawno znowu zamknięto kościół w Turgielach w Oszańskim. Rozpacz i jęk wielki parafian; chcą pójść ze skargą do cesarza; biedni! nie wiedzą, że napróżno!...



Myszka wieża.

Kiedy król Popiel umierał, zwołał swoich braci i powierzył im w opiekę swego syna, prosząc ażeby gdy dorośnie, tron mu oddali.

Stryjowie uczynili go całej ziemi zwierzchnikiem i pod imieniem Popiela II. panować zaczął.

Jednego dnia przybyło do zamku kruświckiego dwóch młodych podróżnych, nadzwyczaj urodziwych. Prosilili oni o gościnność, ale księżę Popiel nie tylko ich nie przyjął, lecz kazał psami wyszczuć za bramy zamku; wtedy udali się do chaty Piasta kmiecia i kołodzieja w Kruświcy. Ten ich przyjął gościnnie i uraczył hojnie. Młodzieńcy owi cudownym sposobem rozmnożyli miód i mięsiwo tak obficie, że Piast nie tylko uraczył księcia Popiela i cały dwór jego, ale nawet mnóstwo mieszkańców z okolicy.

Popiel II był złym, gnuśnym i rozpustnym. Za radą żony Niemki, udał chorobę i zaprosił swoich stryjów do zamku kruświckiego, potruł ich i kazał powrzucać do Gopła. Utrzymywał potem przed ludem, iż bogowie pokarali ich nagłą śmiercią za to, że go niby zamordować chcieli.

Z trupów potopionych stryjów wylęgło się mnóstwo myszy, które ściagały Popiela aż do wieży zbudowanej na wyspie jeziora Gopła i tam go pożarły. Wieża ta odtąd nazywała się „Myszka wieża.“

Okrutny książę moskiewski

(Zdarzenie prawdziwe.)

Bliźnim jest każdy człowiek, a brata bliźniego
Bóg nam tak kazał kochać, jak siebie samego.

Było to w roku 1842, w miesiącu lipcu. — Słońce dobiegało południa dopiekając nieznośnie mieszkańcom miasta Petersburga, stolicy cara moskiewskiego. Mimo tego po ulicach pełno ruchu i gwaru — Najbardziej tłumno po stronie domów olbrzymich, gdzie padał gruby cień murów.

Od strony Newy, rzeki opływającej miasto, biegł spieszenie jakiś człowiek, okryty odartym płaszczem wieśniaka, a przy nim pies. Sprószona odzież i skwarem słonecznym spieczone usta, dawały w nim poznać podróżnego. Nie podziwiając wspałości miejskich, dążył wprost do pałacyku księcia (kniazia, jak Moskale nazywają) Gagarina, stojącego na końcu ulicy, którą szedł.

Skoro przyszedł do wrót pałacu, rzekł do odźwiernego: „Jestem poddanym ks Gagarina i przychodzę tutaj z ważną wiadomością.” — Niebawem zaprowadzono go do izby książęcej. — Książę leżąc na wygodnej kanapie, zwyczajem próżniaczych panów moskiewskich, przemyślał zapewne nad nowymi przyjemnościami i zabawami. — Ujrzawszy wchodzącego włóścianina, krótko zapytał: czego chce.

Przybyły upadł na kolana i mówił z pokorą:

„Kniaziu! (książę) jestem wasz poddany i przychodzę tutaj żebrać waszego miłosierdzia. Od dawna strzegłem zwierzyny po waszych borach najuczciwiej; zmuszony głodem zabitem zająca. — Srogi dozorca, lubo wiedział o przyczynie mego sprzeniewierzenia, zabrał mi za karę najmilsze z moich dzieci i zamknął w ciemnej piwnicy. — A skoro wszystkie prośby i błagania nie zdołały poruszyć kamiennego serca dozorca, przychodzę do ciebie panie boso i o głódzie, sześćdziesiąt wiorst przebiegając, z nadzieją, iż powiesz: twoje dziecko będzie ci oddane.”

Księżciu słowa biednego ojca zdały się być zbyt śmiałymi. Wrzasnął więc gniewnie:

— „Psi synu! twój postępek zasłużył na karę. Paszół sobie.“ — Wieśniaka nie przeraziły te obelżywe słowa, a podniósłszy się z ziemi wyrzekł: „przyjdę jutro.”

Drugiego dnia schodzącemu ze schodów Gagaranowi, zaszedł drogę wczorajszy wieśniak, lecz na rozkaz księcia odtrąciła go służba w tak okrutny sposób, iż z zarumienionem krwią obliczem padł na twarde kamienie ulicy.

Następnego dnia udało się skrzywdzonemu ojcu przedrzeć powtórnie do izby księżęcej. — Księżę spojrzął ku niemu i mrowie go przeszło — tyle w jego oczach, bladych policzkach i posiniąłych ustach dzikiej rozpaczki i boleści. — Tym razem nie upadł na kolana, lecz stojąc odważnie wyrzekł donośnym głosem: „ostatni raz przychodzę” — i zacisnął usta, czekając odpowiedzi. — Zuchwałość poddanego wprowadziła w zapalczywość księcia, który sychnął jak gradem obelżywymi wyrazami — dowodził słuszności postępku leśnego dozorca... — ale w tej chwili utkwiała mu kula w piersi. — Zrozpaczony ojciec dopuścił się zabójstwa, za które ci tylko nie cisną na niego kamieniem potępienia, którym są znane uczucia sere ojcowskich.

Natychmiast pochwycony, skazany został na sześć tysięcy różg.

— W kilka dni na obszernym placu ustawiono żołnierzy w równej linii; zgromadzili się tam także i panowie moskiewcy, by napaść wzrok swój okrutnym widokiem — i lud biedny, by go ujrzeć, i choć spojrzeniem litośnem ulżyć boleści nieszczęśliwemu.

Wtem przywieziono skazanego.

Kiedy wózek stanął wśród żołdactwa, mimo bicia darł się ku niemu zmęczony i schudzony pies, zwierzę które słusznie za godło wdzięczności i przywiązania uważanem bywa. Wpadł na wózek, żałośnie wył i przyczepił się do stóp pana swego, jakby przeczuwał męki, które go czekają.

Wieśniak nasz usilnie przycisnął zwierzę do łona swego, całując i ściskając tego jedynego przyjaciela, który mu się nie lękał okazać miłości i wierności.

Widząc to, nie jeden z przytomnych szczerze zapłakał. Lecz czułość psa, sprowadzająca rumieniec wstydu na lica

oprawców, nie uszła bezkarnie, — porwano go od pana i roztrzaskano głowę kolbami.

Więzień widząc to porwał się i skoczył z wózka.

Pochwycono go jednak i rozpoczęto godną dzikich ludzi egzekucyę.

Obnażonemu do połowy, kazano przebiegać szeregi żołnierzy wśród najokropniejszych razów. — Ciało odlatywało kawałkami, upadał, odchodził od siebie, aż na koniec zdawał się być zupełnie umarłym. — Wrzucono go tedy na wózek i do szpitalu zawieziono. Tu leczono go starannie i troskliwie. — Ale zadrży w każdym serce, skoro opowiemy, że na to tylko, aby wyrok na nim najakuratniej spełniono.

Po przyprowadzeniu biedaka do zdrowia, odbyto powtórnie ochydną oprawę, lecz wyroku nie spełniono, bo po pierwszych dwóch tysiącach pałek skazany męczeńską śmiercią skonał.

Otóż Gagarin, dzikiego serca ksiązę moskiewski, stał się powodem swojej i bliźniego śmierci.

A to jedynie z przyczyny, iż nie pamiętał, że każdy człowiek starszy czy młodszy, kobieta czy mężczyzna, jednej lub niejednej z nami wiary, biedny czy bogaty, jest dzieckiem wspólnego nam Boga, a przeto naszym bratem i bliźnim, którego Chrystus Pan kazał kochać mówiąc; „kochaj bliźniego jak siebie samego.”

Z. R. P.

Rozmaitości.

* Malarz wędrowny. Do jednego pana, który będąc słaby na nogi rzadko gdzie wyjeżdżał, a nie mając ani żony ani dzieci bardzo się w domu nudził, przyszedł raz malarz wędrowny i dalejże rozpowiadać duby smalone o swojej sztuce. Pan uwierzył wszystkiemu, przyjął go gościnnie, karmił i poił. Na drugi dzień powiada pan do malarza, iż chciałby aby mu jaki piękny obraz wymalował.

— Bardzo chętnie, odpowie malarz, tylko stawiam warunek, aby nikt zgoła nie przychodził nigdy do tego pokoju, w którym malować będę, póki obraz nie zostanie skończony.

Pan przystał na to, dał malarzowi pieniędzy na farby i płótno, i wyznaczył mu pokój, w którym miał malować. Odtąd zaczęły się dla malarza szczęśliwe chwile, jakich może nigdy w życiu nie zaznał. Spiżarnia i piwnica były na jego rozkazy. Czego

tylko zapragnął, wszystko mu przy-
noszono, jadł więc i pił za czterech.
Pan sprawił mu nowe suknie, nowe
buty, i ile mógł starał się uprzyje-
mnić mu pobyt w swoim domu.
Z końcem lata jednak widząc, że ma-
lowanie jakoś bardzo długo się prze-
ciąga, zaczął się codzień dopytywać,
kiedy obraz będzie skończony. Ma-
larz odkładał z dnia na dzień, a pan
czekał. Wreszcie gdy malarz wypił
już wszystko wino z piwnicy, pozja-
dał wszystkie kury, gęsi i indyki,
przebrała się miarka cierpliwości
starego pana, i pomimo umowy
wszedł raz do pokoju malarza. Ten
z początku bardzo się zmięszał, ale
wnet odzyskał przytomność. Pan
szuka obrazu, lecz znajduje tylko
plótno rozpięte, a na niem ani śladu
malowidła, ani jednej nawet kreski.

— Ty hultaju, ty oszuście! — za-
krzyczy pan; — cóżeś wymalował
przez całe lato?

— Przejście Izraelitów przez mo-
rze Czerwone, — odpowiedział naj-
spokojniej malarz.

— Gdzież Izraelici?

— Już przeszli.

— Gdzież Egipcyanie, którzy ich
ścigali?

— Potopili się w morzu.

— A gdzież morze?

— Rozstąpiło się, aby Izraelici
mogli przejść.

Pan nie mogąc już dłużej znieść
tej bezczelności oszusta, dalejże z la-
ską na malarza. Ale pan był stary
i chory na nogi, a malarz młody
i krzepki. Łatwo więc zgadnąć, że
nim pan mógł odbić na skórze ma-
larza swoje wino i indyki, oszust
skoczywszy do nóg po rozum, czmych-

nął do ogrodu, a ztąd dostał się
łatwo na gościniec i poszedł szukać
innych lubowników malarstwa.

Sławny lekarz, który w jed-
nym dniu wszystkich chorych
w szpitalu uzdrowił. Jakiś
z waszecia, przyszedł do jednego
szpitalu i udając, że jest lekarzem,
kazał się wprowadzać po salach,
w których chorzy leżeli. Potem
poszedł do przełożonego nad szpitalem
i tak mu powiedział:

— Mój panie, widziałem wasz
szpital i wszystkich chorych i prze-
konałem się, że macie bardzo złych
lekarzy. Jeżeli mi dacie trzysta
złotych, to wszystkich waszych chorych
w jednym dniu uzdrowię. Trzysta
złotych wprawdzie piękna sumka,
piechotą nie chodzi, ale policzcie
sobie, czy was to nie więcej kosztuje
kilku lekarzy opłacać i tylu chorych
kilka tygodni a może i miesięcy
utrzymywać i żywić.

Przełożony nad szpitalem namy-
ślił się i rzekł:

— Jeżeli doprawdy dokażesz swojej
sztuki, dam ci trzysta złotych.

— Słowo?

— Słowo

Ułożywszy się tak z przełożonym,
poszedł teraz obcy do szpitalu i rzekł
chorym:

— Zapowiadam wam, że was
wszystkich dziś jeszcze wyleczę
i wszyscy pójdziecie zdrowi do domu,
z wyjątkiem jednego z pomiędzy
was, z którego zrobię lekarstwo, aby
drugich wyleczyć.

Chorzy byli bardzo ciekawi co to
będzie za lekarstwo.

— Oto, rzekł hultaj, jednego
z was, który jest najbardziej chory,

spalę żywcem na popiół i ten popiół dam wam wypić.

To powiedziawszy, wyszedł i zamknął drzwi za sobą. Ale zaledwie się oddalił, chorzy zaczęli jego słowa rozważać i każdy chciał drugiego przekonać, że nie jest bardziej chory od niego. Nawet jedna stara baba, która od tygodnia ani się ruszać nie mogła, wyskoczyła z łóżka i dowodziła, że nie jest bardziej chorą jak inni.

Dziwny ów lekarz kazał tymczasem ułożyć na dziedzińcu stos drzew, tak aby go chorzy widzieli, a podpaliwszy go, poszedł do przełożonego i rzekł:

— Chorzy są już zdrowi, chodź i przekonaj się, ale weź z sobą od razu pieniądze, bo ja ani chwili nie mogę się tu zatrzymać.

Przełożony wziął pieniądze i poszedł z nim do chorych, a lekarz wchodząc do sali zawołał:

— Wszystko gotowe! kto zdrow może iść do domu, a kto chory, niech zostanie.

Na te słowa chorzy, którzy już byli zupełnie do drogi gotowi, dalejże w nogi, jeden drugiemu przez głowę. Wmgnieniu oka cała sala była próżna. Przełożony nad szpitalem otworzył gębę z podziwienia, a widząc, że lekarz słowa dotrzymał, wypłacił mu sumę umowioną.

Wziąwszy pieniądze, lekarz udał się zaraz do miasta. Kupił sobie konia i pojechał w świat. Gdy we dwa dni potem wszyscy chorzy wrócili do szpitalu, szukano go w całym mieście, ale nadaremnie.

* Jeden hultaj nie mając grosza w kieszeni, przyszedł do karczmy, siadł za stołem obok innych gości

kazał sobie podać kielbasy, chleba, wódki, zjadał smacznie i popijał. Po jakimś czasie każdy z gości zapłacił za siebie i wszyscy zabierali się do odejścia. Teraz przyszła kolej na hultaja. Gdy karczmarz zbliżył się do niego, hultaj nie tracąc miny, rzekł:

— Kielbasa była doskonała, chleb wyśmienity, wódka co się zowie, ale mój gospodarzu, pieniędzy odemnie nie dostaniecie, bo nie mam ani grosza. Lecz kwita byka za indyka, zaspiewam wam kilka ładnych piosneczek, które się wam pewnie spodobają.

— Ej łotrze, powie gospodarz, długo będziesz spiewał zanim się mi która z twoich piosneczek spodoba.

— Ale jeżeli się wam która spodoba, podchwyci hultaj, przyjmiecie ją zamiast pieniędzy?

-- Zgoda, od powie karczmarz, postanowiwszy sobie w duchu ganić każdą piosenkę, choćby była najpiękniejszą.

Hultaj wezwał wszystkich obecných, aby byli świadkami zakładu i zaczął śpiewać jedną piosenkę po drugiej. Ale karczmarz za każdą mówił, że mu się nie podoba.

— Oj doprawdy trudno wam trafić do smaku, rzecze hultaj. Ale umiem jeszcze jedną piosenkę, może ta wam się spodoba.

Lecz i ta się nie podobała.

— Żle ze mną! powie znów hultaj. Wyjął z kieszeni woreczek skórzany, przekrzywił głowę żałośnie, westchnął i sięgając palcami do woreczka, zanucił smutnym głosem: „Nie pomogły

piosnki — karczmarz rozgniewany, —
otwórz że się otwórz, mój worku
skórzany.

— Tak, to mi się podoba, zawoła
karczmarz i wyciągnął rękę po pie-
niądze.

— Podoba się wam powie hultaj?—
zamykając woreczek wygrałem więc
zakład i płacić nie potrzebuje.

Karczmarz zaczął się spierać, ale
musiał ustąpić, bo świadkowie przy-
znali słuszość hultajowi.

Sztuki w Pacanowie. Do
Pacanowa, gdzie kozy kuja, przyszedł
raz żydek wędrowny, a zobaczywszy
przed karczmą kilkanastu chłopaków,
tak do nich zagadał:

— Moi wać panowie, ja umiem
pokazywać bardzo śliczne sztuki,
umiem chodzić po sznurze jak kot.
Auf majne munes, wy tego ani nie
widzieli, ani nigdzie nie zobaczycie.

— Hej — powie jeden parobek —
pokaże nam te sztuki.

— Ny, jabym pokazawał, ale to
kosztuje geld. Dajcie każdy po dwa
grajcary, to pokaże. Umiem jeszcze
inne sztuki, to wam potem za darmo
będę pokazywać.

Zbiegło się jeszcze nieco ludzi,
wszyscy byli bardzo ciekawi, i każdy
dał chętnie dwa grajcarry, a kto nie
miał, ten od drugiego pożyczyl,
byle sztuki zobaczyć. Przynieśli potem
długi gruby sznur.

Żydek wziął sznur, przywiązał go
za końce do dwóch drzew i rzekł:

— Ny, zdejmijcie teraz każdy po
jednym bucie i podawajcie mi tutaj.
Ajwaj! to będą sztuki!

Uczynili czego żydek żądał, a on
wyjął z kieszeni grubą nić i wszystkie
buty na nią za uszy ponawdziewał.

Potem rzeczywiście stanął na sznurze
do drzew przywiązanym i rzekł:

— Wszystkie pieniądze, któreście
mi dali, daruję temu, który najprzód
znajdzie swój but,

To mówiąc puścił nić i zesypał
buty na kupe.

Chłopacy rzucili się na buty, każdy
chciał być pierwszym, aby dostać pie-
niądze — powstało zamieszanie. Szu-
kając swego buta, każdy chwycił
cudzy, wtem sięsiad mu go wyrывa,
lecz i jego odpychają. Przyszło
wreszcie do pięt i i razów i nim
każdy odzyskał swój but, nie mało
już było sińców. Nareszcie uciszyło
się, szukają żydka, lecz jego ani śladu
już nigdzie nie było.

Wyrok śmierci. Było to za
dawnych czasów, kiedy miasta miały
prawo miecza, to jest kiedy każda
rada miejska mogła złożyć na
śmierć skazać. W małej jednej
mieście złapano złodzieja i za to,
że pani burmistrzowej ukradł kure
z garnka, skazano go na szubienicę.
Gdy wyrok wydano, złodziej odezwał
się do panów radnych?

— Mości panowie! Chociaż nadto
surowy na mnie wydaliście wyrok,
nie będę was błagał o życie, niech
się dzieje wasza wola; ale chciałbym
was prosić o jedną rzecz, która ani
szeląga nie kosztuje. Czyż mi umrzeć
mającemu odmówicie.

— Jeżeli nie o życie chcesz pro-
sić, lecz o coś innego i to takiego,
co ani szeląga nie kosztuje, powiedz
czego żadasz a stanie się zadość
twemu życzeniu, — powie burmistrz.

— Przysiagacie mi to?

— Jeżeli doprawdy nie będzie potrzeba wydać ani szeląga na to, o co chcesz prosić, to przysięgam.

— Otóż ja proszę, rzecz złodziej, aby pan burmistrz oderznął mego trupa z szubienicy, abymnie na plecach zaniósł do domu i aby ze mną trzy dni i trzy nocy jadał przy jednym stole i sypiał w jednym łóżku.

Ciarki przeszły po burmistrzu, obejrzał się na panów radnych, ale ci powiedzieli:

— Musisz dotrzymać, boś przysiął. Dobrze ci tak! Nie trzeba być skorym do przysięgi.

Złodzieja odprowadzono do więzienia i wszyscy się rozeszli.

Mija dzień jeden, drugi, trzeci, piąty dziesiąty, złodziej widząc, że pan burmistrz jakoś się nie spieszy z wykonaniem wyroku, kazał się zaprowadzić do niego i rzekł:

— Panie burmistrzu, mnie się już przykrzy w więzieniu, albo mię wieszajcie, albo — jeżeli wam trudno przysięgi dotrzymać — dajcie mi parę złotych, abym się mógł gdzieś indziej kazać powiesić, a wtedy będziecie wolni od przysięgi.

Oczywiście burmistrz wołał dać parę złotych niż trupa nosić, z nim jadać i sypiać. Puścił go też zaraz.

Nauczyciel który nawet osła czytać nauczył. Jeden nauczyciel chełpił się, że nawet osła nauczy czytać. Chwycił go dziedziec za słowo i rzekł:

— Dobrze, jeżeli mego osła nauczysz czytać, dam ci dwieście złr.

— Zgoda, odrzekł nauczyciel, ale sto złotych z góry dostanę.

Pan przystał, a nauczyciel zabrał osła do szkoły. Umieściwszy go w stajni, wziął książkę, nakładł pomiędzy kartki siana i położył przed osłem. Osieł był głodny, więc chcąc jeść musiał kartki językiem przewracać.

Wówczas nauczyciel pobiegł do dworu i powiada panu, że już dokazał swojej sztuki. Pan przychodzi do stajni, a ujrawszy co osieł robi, uśmieiał się do rozpuku.

— Ależ on nie czyta, on tylko siano wybiera — rzecze pan po chwili.

— I owszem, on czyta — twierdził uporczywie nauczyciel.

— Skoro czyta — rzecze pan — niechże więc powie co przeczytał.

— Ba, ba, ba, zachciał pan! — odpowie śmiało nauczyciel; przecież się nie podjąłem nauczyć osła mówić, tylko czytać.

Do dzisiejszego numeru załączamy „Katalog Dziełek Ludowych“ jakich nabyć można w księgarni Sayfarta i Czajkowskiego; bardzo one przydatne dla Bibliotek ludowych i Czytelni.

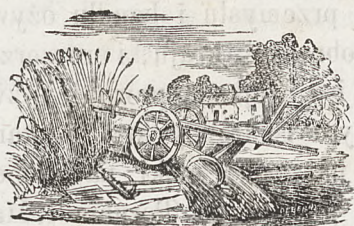
Również przesyłamy Szanownym prenumeratorom Spis rzeczy, zawartych w tomie I. z roku 1870. — Upraszamy równocześnie o odnowienie prenumeraty, aby uregulować nakład wydawnictwa.

Redakcja Dzwonka przeniosła się z Wałowej ulicy.

Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602 $\frac{1}{4}$ - Pałac Dzieduszyckich.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w a.

DZWOŃKI

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Kazimierz wielki i Jagiełło.

Dzielny król Łokietek, skołatany trudami wojennemi, znękaný starością, zakończył życie w Krakowie w pierwszych dniach marca 1333 r., w r. 73 swego życia. Zwłoki bohatera tego złożono w katedrze na Wawelu, i odtąd to Kraków stał się kolebką i grobem królów, którzy się tu koronowali i grzebali. Zgromadzone w Krakowie rycerstwo polskie okrzyknęło jedno-głośnie syna jego Kazimierza III królem Polski, i niebawem węgiersey posłowie przybyli na jego przywitanie, a 24 kwietnia 1333 odbyła się uroczysta koronacya jego i litewskiej małżonki Aldony. Młody król liczył pod ten czas zaledwie 23 lat, był słusznego wzrostu, pięknych, pociągłych rysów twarzy. Długie, kędzierzawe włosy i poważna broda podnosiły urok postaci królewskiej. Kazimierz miał charakter łagodny, a serce miękkie i czułe, choć już wcześniej w wyprawach ojcowskich dał kilka-krotnie dowody niepospolitego męstwa; mówił prędko i głośno. Troskliwy przedewszystkiem o kraj i dobro ludu, zaraz po ukończeniu uroczystości koronacyjnych, zajął się wraz z doradcą i pomocnikiem swoim Jaśkiem z Melsztyna sprawami państwa. Dwojaka droga pracy otwierała się przed nowym królem dla dobra powierzonego sobie ludu: albo wstąpić w ślady ojcowskie i orężem dochodzić krzywd wyrządzonych

Polsce przez wrogów, albo zabezpieczeniem pokoju, podniesieniem dobrobytu, przemysłu i handlu ożywić narodowe siły, wzmocnić środki obronne kraju, i rozszerzyć oświatę, aby później tem śmielej i z większą pewnością zwycięstwa wystąpić do walki. Łagodny i roztropny król postanowił ostatnią iść drogą, nie chcąc narażać Polski na niepewne losy wojny. Dlatego też wysłał posłów do Torunia i Malborga, aby przedłużyć zawarte przez ojca z Krzyżakami zawieszenie broni. Krzyżacy, zakon niemiecki, sprowadzeni przez księcia mazowieckiego do Polski dla nawracania pogańskich podtenczas Litwinów i Prusaków, czarną odplacili się Polsce niewdzięcznością. Uposażeni hojnie przez królów polskich ziemią i bogactwami, wzrosli w dumę i zarozumiałość, zapomnieli o swoim posłannictwie nawracania pogan i bronienia granic polskich od napadów nieprzyjacielskich, i przeciwnie zamiast pomagać, chcieli zawojować Polskę i zniszczyć. Przy każdej też sposobności korzystali z nieszczęść naszych. Wpadali do Polski, palili wioski i miasta, rabowali kościoły, znieważali i mordowali starców, kobiety i dzieci, a nawet i kapłanów uprowadzali tysiące ludu i zamieniali go u siebie w niewolników. Nie szło im o obronę wiary, ale o pieniądze i panowanie.

Ojciec nieboszczyk Łokietek zaklinał przy śmierci Kazimierza, aby się pomścił na niewdzięcznikach Krzyżakach, boć to oni niepomi na przykazania boskie, niszczyli srodze ziemię polską, zabierali kraje, ludzi zmuszali do niewoli i zawsze i wszędzie dokuczali jak najbardziej Polakom. I teraz potomkowie ich Prusacy obłudni, wykupują ziemię od naszego biednego ludu, jak robactwo mnożą się na naszej ziemi, a naszych poczciwych braci, co to z nami i jednakowo mówią i jednakową wiarę mają, albo do Ameryki wyganiają, albo zmuszają do służby za parobków i do najgorszej zaprzęgają robocizny. Tak to Niemcy umieją się odwdzięczać nam, którzyśmy ich z łaski do siebie przyjęli.

Aleć Kazimierz nasz król widział jasno, że nie poradzi tak wielkiej sile, kiedy kraj cały dokoła zniszczony. Więc też rad nie rad zgodził się z Krzyżakami Brandeburczykami

i Czechami roku pańskiego 1336. Ugoda ta zawarta była w Wyszohradzie nad Dunajem. Kazimierz ustąpił z musu Krzyżakom Pomorze, wypłacił prócz tego jeszcze znaczne sumy pieniężne, aby tylko raz mieć w domu spokój, zająć się dolą swych ukochanych wieśniaków, pobudować miasta, zaludnić pustki, zrobić cały kraj bogatym a potem, potem dopiero pomścić się za straszne krzywdy na wrogach. Z Wyszohradu pojechał Kazimierz z królem czeskim Janem do Pragi, przebywał tam dziewięć dni, — a przyjmowano go tam uroczyście i z wielką wspaniałością. Po dziewięciu dniach powrócił do Krakowa, zwiastując pokój. Nie wszyscy przecież radowali się z tego pokoju, boć im żal było Pomorza, które Kazimierz Krzyżakom odstąpił. A Pomorze toć to nasza była ziemia, naszą krwią, okupione i nawrócone z pogaństwa na wiarę Chrystussa. Zaledwie kilku przyjaciół królewskich pojmoowało, że Polska osłabiona i zniszczona wojnami! musi mieć przez czas niejaki pokój.

Król Kazimierz potrzebował do tak ważnej ugody potwierdzenia narodu — a tu wszyscy prawie byli przeciwni temu. Upewniał więc Krzyżaków, którzy na niego czem raz więcej nalegali, że ugody nie złamie — a tymczasem wysłał posłów do Rzymu do papieża i chciał od ojca świętego potwierdzenie to uzyskać. Ale i ojciec święty znał chciwość drapieżną Krzyżaków i nie chciał zezwolić na to, aby Polacy odstąpili Pomorze, które sami własną krwią na wiarę Chrystussa nawrócili.

Powtórnie wysłał Kazimierz poselstwo do Rzymu w osobie biskupa krakowskiego Jana Grota. Kardynałowie sami uznali, że zakon jest winnym. Ojciec święty wysłał osobną komisję do Polski, aby ta sprawę na miejscu rozszadziła.

Przybyli posłowie papiescy w 1339 do Polski. Krzyżacy wykrętami przewlekali sprawę, a nawet nie chcieli uznać sądów ojca świętego — a przecież to byli zakonnicy, którzy powinni stolicy apostolskiej we wszystkim słuchać. Posłowie papiescy wezwali czterdziestu i kilku świadków, samych najzacniejszych i najpobożniejszych ludzi, przesłuchali ich pod przysięgą, a nawet i sam Kazimierz król przysiągł i wydali wyrok następujący: „Ponieważ Krzyżacy w czasie przeszłych wojen wiele miast koronnych (polskich) spalili i za poradą

szatana wiele domów bożych poniszczyli, rzuca się więc na nich ekskomunika (klątwa) i wkłada obowiązek zwrócenia zaborów i odbudowania zburzonych świątyń pańskich. A że ciż zakonnicy według złożonych w sądzie zeznań i świadectw zaprzysiężonych, zabrali i przywłaszczyli sobie wiele ziem i krajów należących do korony polskiej i oderwali je gwałtownie od królestwa polskiego, przez tyle lat bezprawnie z nich użytkowali, tudzież wielką liczbę zamków, miast i włości koronnych zniszczyli, włościan w niewolę zagnali; przeto skazuje ich sąd stolicy apostolskiej na wrócenie zupełne ziemi chełmińskiej, dobrzyńskiej, michałowskiej, brzeskiej, wrocławskiej i Pomorza, oraz oddanie królowi sumy 194 tysięcy grzywien srebra jako wynagrodzenie za szkody i 1600 grzywien w czasie procesu wydanych. Uznają się też Krzyżacy za gwałtowników i nieprawnych posiadaczy tego wszystkiego, co wydarli Polsce i sobie przywłaszczyli.“

Taki był wyrok sędziów wysłanych od stolicy apostolskiej. Ale drapieżne Krzyżactwo, gorsze od niewiernych pogan, nawet i samego papieża nie chciało usłuchać. Wielki mistrz, t.j. dowódzca tej zgrai, jeszcze raz odwołał się do papieża, aby dłużej zatrzymać ziemię nieprawnie wydartą, a Kazimierz nie miał na tyle wojska, izby wystarczyło na pobicie Krzyżaków. Musiał zatem wykonanie wyroku na później zostawić.

Trapił się bardzo Kazimierz, że z żony swej Anny Gedyminowej nie miał żadnego potomka. W duchu widział już zamieszanie, jakieby musiało powstać po jego śmierci. Dbały przedewszystkiem o dobro swego kraju, miłujący ojczyznę i powierzony sobie lud, za życia już obmyślił następcę tronu w osobie Ludwika, króla węgierskiego. Ale na to trzeba było pozwolenia narodu. Zapytał więc panów duchownych i świeckich, czy się zgodzą na Ludwika. Niechcieli z początku przystać, ale na ostatku większość zgodziła się na to. W miesiąc po tej uchwale umarła żona Kazimierzowa Litewka Anna Gedyminówna. — Kazimierz odprawił suty pogrzeb, — i wkrótce potem udał się do Wyszochradu na Węgry, gdzie też przyjechał i Ludwik węgierski. Panowie polscy przysięgli na wierność Ludwikowi, a on za to obowiązał się: Wszystkie kraje

od Polski oderwane, a mianowicie Pomorze własnym kosztem odzyskać, i do korony polskiej przyłączyć, 2) Urzędy w Polsce samymi rodowitymi Polakami obsadzać, 3) wszystkie prawa i wolności nadane Polakom od poprzednich królów zachować, 4) do następstwa na tron polski po śmierci Ludwika będą mieli prawo tylko synowie a nie córki. — Upewnił w ten sposób pokój dla swego ukochanego narodu Kazimierz na wypadek swojej śmierci, i wesół wrócił do Krakowa. — Co się więcej działo za panowania tego króla opowiemy w następujących numerach.

C. d. n.



Córka.

Miał włościanin córkę bardzo ładną i mądrą; była mu nietylko pociechą jedyną w smutku i utrapieniu, ale i cała gromada często u niej rady zasięgała. Raz przyszło coś do głowy panu dziedzicowi, zwołał gromadę i powiada: „Aby mi z tego kamienia, co stoi przed dworem skórę ściągnąć!“ Gromada w niemem osłupieniu nie mówiąc, spoglądała tylko na pana, czy panu broń Boże nie przewróciło się w głowie. Ale pan nie żartując, jeszcze raz zawołał: Jutro rano, aby mi była skóra z tego kamienia, bo inaczej straszne baty, a teraz fora ze dwora. Pokłoniła się gromada i radzi co tu z tem robić? Jakoś nie szła im mowa w skład, brakło wszystkim konceptu, nareszcie postanowili zapytać się swojej znachorki, która już nieraz zdrową radę podała. Powiadają jej, że pan kazał im zdjąć skórę z kamienia. — Powiedźciez panu, odpowiedziała im żeby on swoim scyzorykiem zaczął, to wy dalej już sami ściągniecie.

.Podobała się rada dziewicy. Idą tedy rano do dworu, a pan wyszedłszy zawołał: „a co jest skóra?“ Zaraz będzie odpowiada kłaniając się gromada, niech no Pan nasz miłościwy swoją delikatną ręką i scyzorykiem tylko zacznie, to my dobedziemy nożów naszych i sami już dalej ściągniemy skórę z kamienia.

Oho! a gdzie wy takiego rozumu nabyli, kto to was tak nauczył, zapytał pan zdziwiony.

Gromada wskazała na włościanina, którego córka tak im doradziła.

Jeżeli twoja córka taka mądra, niechże jutro do mnie przyjdzie i nie przyjdzie, ubrana i nie ubrana, niech mi przyniesie prezent i nieprezent, a jeżeli tego niedokaże, to ty baty dostaniesz, a córka różgami weźmie, ja was nauczę mieć więcej rozumu od pana waszego.

Idzie chłop do domu bardzo smutny. Córka pyta co wam takiego ojcze? Z ciężką biedą wygadał się ojciec o co rzecz idzie. To bagatela, uspokojcie się ojcze, ja się dobrze sprawię.

Nazajutrz prowadzi ojciec córkę, która siedząc na kozie, niby jechała i niejechała, wzięła na siebie siatkę, była więc ubrana i nieubrana, a z rąk wypuściła wróbla, przyniesła prezent i nieprezont.

Podobała się panu nadobna poddanka, ożenił się z nią i był ojcem swych poddanych.

Śmierć Zyszki.

Z Czech wyruszyli bracia, panowie

Na Rakuszana *) w Morawę.

Na bój ich wiodą wielcy wodzowie,

Jan Zyszka dzierży buławę.

Jan Zyszka ślepy; niemieckie strzały

Oczu wyzarły mu dwoje.

Lecz widzi duchem jakby w dzień biały

Gdy przyjdzie z Niemcem zwiesić boje.

I straszne wrogów gromi ramieniem;

Szeroko grzmi o tem sława.

Piers mu goreje wielkim płomieniem;

Ten płomień światło mu dawa.

A tym pomieniem szlachetna, święta

Miłość ojczyzny, cześć Boga.

Wieki hetmana Czech zapamięta,

I nie zapomni kark wroga.

*) Rakusy, Austria niemiecka — Rakuszanie, Austriacy.

Do Przybysławia przyszli wieczorem
Rozgrzani bojem i drogą;
W krąg zatoczyli wozy taborem
I warzą strawę ubogą.

I o zwycięztwach gwarzą weseli,
O klęsce Niemców i zgrozie
Jutro, gdy pierwszy promień wystrzeli
Będą w Albrechta obozie.

Lecz cyt! wieść głucha gromady mięsza,
Mięszają tłum rozhowory.
Pod namiot wodza ciśnie się rzesza :
„Nasz hetman! Zyszka Jan chory!“

Zaniemógł Zyszka po boju srodze,
Na twardem posłaniu leży.
Do koła niego strapieni wodze,
I orszak smutnej młodzieży.

Ale nie złaman hetman na duszy,
Choć wie, że przyszła godzina;
Z twardego łoża jak lew się ruszy
I wodzów taką napomina :

„Czesi, Morawcy, Polacy, *) mili,
Serdeczny, druży narodzie!
W ostatniej bracia, proszę was chwili,
Miłujcie wy się we zgodzie.

„Noście otwarte serca przed Bogiem,
Czyste jak wasze powietrze.
A kto z was kiedy bratał się z wrogiem,
Niech we krwi hańbę tę zetrze.

„Nieszczędźcie trudu, rąk ani oręża!
Tchórz tylko spokój wybiera.
Kto ród giermański **) w boju zwycięża,
Szatanom głowę ten ściera.

*) W wojnie przeciw cesarzowi Zygmunтови, jego zięciowi Albrechtowi i Niemcom wspierało Husytów 5000 Polaków pod wodzą księcia Zygmunta Korybuta.

**) Giermański tyle co niemiecki.



„Oni tu wnieśli hańbę, niewolę,
Jak śmierć szatani do raju;
Kłamstwami bożą zasieli rolę,
Cześć ojców wyparli z kraju —

„Toż w bojn z nimi nie odetchniecie,
Nie opuścicie ramienia!
A nienawidzić ród ten będziecie
W setne aż pokolenia! —

„Gdy skonam, ciało moje ciśnijcie,
Niech sępom na żer posłuży,
Skórą z mych barków bęben pokryjcie,
Niech bębniąc Niemcom zgon wróży!“

Tak rzekł i skonał, i zwiesił głowę
Na pierś ostygłą bez tchnienia.
Ale hetmana słowa gromowe
Z pokoleń grzmiały w pokolenia.

I zawsze rolnik w nocy majowej
Gdy zanocuje na bloni,
Słyszy w powietrzu bęben Zyszkowy,
Bijący na gwałt: „do broni!“

Święty Stanisław Kostka.

(Kasztelanie Zakroczymski)

Święty Stanisław Kostka pochodził z rodziny przezacnej, tak jak i wielu innych świętych naszych patronów. Ojciec jego zwał się Jan Kostka, był kasztelanem Zakroczymskim, co wtedy więcej znaczyło niż dzisiaj być starostą lub nawet namiestnikiem (gubernatorem.) Matka jego nazywała się z domu Kryską i pochodziła także z rodziny wysokiej sławy. Urodził się w Kostkowie, starodawnej ojcowiznie przodków swoich roku pańskiego tysiąc pięćset pięćdziesiątego (1550.)

Skoro doszedł nasz święty do lat piętnastu (15) wysłał go ojciec w raz z starszym bratem Pawłem do Wiednia do szkoły. Brat starszy inne miał od niego obyczaje i młodość marnował na próżniactwie i rozpuście.

Stanisław nie tylko złym przykładem nie dał się zwieść z drogi prawej, ale nawet groźne słowa i boleśne razy od brata ani na chwilę w dobrem go nie zachwiały. Musiał znosić różne nieszczęścia z taką pokorą i tak mężnie, jak tego Pan Bóg od ludzi żąda, a jak je rzadko kiedy znoszą. W takich okolicznościach żyjąc, doszedł do jednej z wyższych klas łacińskich, gdzie między pierwszymi był, lubo więcej czasu nabożeństwu, niż nauce poświęcał, sprawdzając na sobie słowa Apostoła że pobożność do nauki i do wszystkiego pomaga. Następnie udał się do przełożonego zakonu Jezuitów, z prośbą o przyjęcie do zgromadzenia. Otrzymał jednak odmowną odpowiedź, gdyż nie miał wyraźnego zezwolenia rodziny. Nie pozostawało mu nic innego jak z synowską pokorą napisać do rodziców o pozwolenie. I niezawodnie byłby nasz święty nie omieszkał tak uczynić, gdyby nie stałe przekonanie, iż rodzice zajmując tak wysokie w kraju stanowisko, obmyśleli już inną, ponętniejszą dla niego przyszłość i nigdy na wstąpienie do zakonu nie zezwolą. Obarczonego troskami młodzieńca, nawiedził Bóg wielką chorobą, a to by wypróbować sługę swego, a później wybawiając z niej, okazać mu swoje nieskończone miłosierdzie. Ale Stanisław poznał zaraz, że tą słabością roszerza się pole zasług na żywot wieczny, cierpliwie przeto i pobożnie znosząc swoje utrapienia, dziękował Bogu za ten srogi dopust, modlił się,

a nigdy nie narzekał, nie bluźnił. Kiedy przyszedł do zdrowia, ponowił swoje prośby u prowincyała zakonu, księdza Laurentego Magiusza, i otrzymał powtórnie odmowną odpowiedź.

Franciszek Antonino, jezuita, poradził mu udać się do Piotra Kanizjusza, prowincyała wyższych Niemiec, dając mu nadzieję, iż tam gdzie nie był na naukach, przyjęty być może. Tej rady posłuchał Stanisław i postanowił uciec. Do czego mu też jego brat starszy Paweł dał przyczynę. Bo gdy go tak jako i pierwiej troskał i bił, rzekł mu Stanisław: „takiem ze mną obchodzeniem przywiedziesz mię do tego, iż od ciebie ucieknę, a rodzicom się o to sprawować musisz.“ A on grubo mu odpowiedział: „idź, byś chciał i na szubienicę.“ Na takie szorstkie i niegodne ust braterskich słowa, Stanisław nic nie odpowiadając, postanowił nazajutrz wyruszyć w drogę. Skoro świtem odziany w ubiór wiejskiego chłopięcia puścił się w podróż Paweł zbudziwszy się rano, uczuł jakiś smutek i postanowił gonić brata. Prózne jednakże były jego zabiegi, bo jak świadczą słowa samego Stanisława, ci co go gonili doścignęli go i nań patrzeli, ale go nie poznali, a on ich dobrze poznał. Przyszedszy za łaską Bożą do Kanizjusza, otworzył mu serce i myśli swoje. Po słowach gorących i pełnych prawdy poznał Kanizyusz moc Ducha św. w nim i dobrze mu potuszył, posyłając go tymczasem do Dylingu, by tam przy konwikcie to jest szkole, gdzie więcej razem pańskich dzieci się uczy, za cc rodzice grubo płacą, usługi sprawował. Chętnem i dokładnem wypełnianiem obowiązków zaskarbił sobie wkrótce łaskę Kanizjusza tak dalece iż ten go, wraz z dwoma innymi młodzieńcami do Rzymu posłał. Przebywszy pieszo tysiąc dwieście (1200) mil, przybył do stolicy świata katolickiego, to jest Rzymu, gdzie roku pańskiego tysiąc pięćset sześćdziesiątego siódmego (1567) do domu próbantów przyjęty, uczył się tamże. Ksiądz Warszewicki, jego nauczyciel, pierwszy napisał żywot naszego św. Stanisława. Wtym czasie ojciec Stanisława Jan Kostka, dowiedziawszy się, co z synem jego Stanisławem działo się, bardzo się zafrasował, a widząc, iż przeszkód żadnych stawić niemógł, napisał do niego list pełen łajania i pogroźek. List ten był następującemi skreślony słowami: „Lekkomyślnością

swoją domość mi zelżył, i wszystkiemu rodzajowi Kostków zmazę i sromotę uczyniłeś; jako zebraczek śmiałeś się po Niemcach i Włoskiej ziemi włóczyć. Będzieszli w tym głupstwie trwał, do Polski się nie ukazuj: wszędzie cię znajdę i miasto złotych łańcuchów, którem ci gotował, żelazne cię potkają i wrzucon będziesz tam, gdzie słońca nie ujrzysz. Stanisław odpowiedział natychmiast listem pisanym z anielską słodyczą i synowskimi przywiązaniem, i zaprzestał już więcej pisywać do rodziców. Stanisław przepędził jeszcze kilka miesięcy na tej ziemi, i dawał niezmiernie piękniejsze przykłady pobożności, pokory, miłości bliźniego i pilności w naukach.

Dziesiątego miesiąca po wejściu swoim do zakonu, w dzień Wniebowzięcia Bogarodzicy, w nocy, za patronką i matką swoją poszedł. Jakie życie, taka i śmierć; żył sprawiedliwie, usnął też w Panu cicho i spokojnie, a niewinna jego dusza uleciała do nieba.

W roku tysiąc sześćset czterdziestym ósmym (1648), za panowania króla Władysława, któregoście waleczność już pewnie podziwiali przy innej historyi, Bohdan Chmielnicki, dowódca wojsk ukraińskich, dawniej prosty żołnierz, który się dosłużył stopnia atamana, pobudził Kozaków do powstania przeciw Polsce; korzystając z odległości dworu i wojsk mogących jego zamiary zniweczyć, zebrał ogromną liczbę swych stronników, wyciął w pień pierwsze wojsko przeciw sobie wysłane, i posuwał się w prowincję ruską, podówczas do Polski należącą. Kozacy opanowali kilkanaście miast, dwa jednak to jest Zamość i Przemyśl stawily opór, lecz pierwsze nie było w stanie opierać się dłużej jak przez miesiąc, drugie zaś winno swoje ocalenie opiece świętego Stanisława. Mieszkańcy zdolni do noszenia broni, znajdowali się na wałach i mężnie bronili słabych warowni. Niewiasty starcy i dzieci płakały. Kapłan Jacek Bapiński idąc ulicą do dowódcy pewnego oddziału wojska, wyrzucąc płaczącym ich słabość i rozpacz mówiąc: Na co się wam przyda ten płacz i te krzyki? Proście raczej najświętszej Panny i świętego Stanisława Kostki, aby nam na pomoc przybyli. Wszyscy się modlą, sami nawet żydzi wzywają pomocy sługi Bożego, a obywatele tymczasem mężnie opór

stawiają na walach. Każdy oddział obrazem św. Stanisława pobłogosławiony, wołał. „Błogosławiony Stanisławie Kostko.“ Chociaż obłączeni byli jak jeden (1) do dziesięciu (10), jednak wzięli górę i odpędzili wroga.

Mieszkanie.

Prócz pokarmu i przydziewku potrzeba człowiekowi do zdrowia czystego powietrza, światła i ciepła.

Na dworze toć dzięki Bogu! czystego powietrza nie brak, światło słoneczne też aż nadto czasem w łysinę pali, a ciepło w mróz, daje odzież. Chodzi więc o to, jak tym potrzebom uczynić zadosyć w mieszkaniach.

Latem jest człowiek roboczy prawie tylko gościem w domu, dzieci siedzą także na dworze, a kobiety to w ogrodzie, to w koło domu lub u sąsiadek na plotkach pod ścianą. Tyle że na noc spać wszyscy się zgromadzą. Zimą inaczej — co nie jest u roboty w pańskim podwórzu, siedzi w domu; wieczory długie i długie nocy także ludzi w mieszkaniu trzymają. W tej porze więc zależy bardzo wiele od pomieszkania.

Żeby było czyste powietrze w izbie, potrzeba nie tylko przewietrzania czyli wpuszczenia świeżego powietrza ze dworu, lecz potrzeba jeszcze izby przestronnej, pieca i komina dobrego, żeby się nie dymiło i nie swędziło w chacie, potrzeba nadto czystości i porządku wszędzie. Gdzie się w ciasnej izbie wiele osób tłoczy, wielu w niej sypia, gdzie prócz tego człowiek nie ma gdzie podziać garści brukwi, beczki kapusty, trochy kartofli, kury, gęsi, lub prosiaka i wszystko to przed mrozem i dla braku pomieszkania w jednej swojej izbie mieszać musi, tam bywa taki zaduch, że kto nie przyzwyczajony, chwili tam nie wytrzyma.

Z tego powodu więc należy budować mieszkania obszerne, izby duże, obszerne komory, sienie i jaką taką kuchenkę zabezpieczoną od mrozu. Nadewszystko loch do kartofli i warzywa dobrze opatrzone, dla drobiu i przychowku ciepłe pomieszczenie, inaczej mróz i strach, żeby mu prosiak nie zmarł, przymusi człowieka do zanieczyszczenia nim izby.

Okna powinny być duże, dobrze się zamykać, a mieć szyby małe, które i nie tak łatwo się tłuką i nie tyle kosztują, inaczej wybitej wielkiej szyby dla znacznego kosztu ludzie nie dadzą wprawić i wolą dziurę poduszką lub łatami zatykać. Przy oknach powinny być okiennice, proste, mocne, dobrze przystawające, tak dla ciepła, jak dla bezpieczeństwa i dla wstydu i przyzwoitości, żeby ze dworu nie można przejrzeć całej izby.

W zimie ciepłe pomieszkanie wielką jest potrzebą. To wymaga drewnianej podłogi w izbie, komina z ogniskiem do gotowania tak urządzonego, żeby go zamknąć można, a przytem pieca dobrego z cegły palonej, a właściwie z kafli choć niepolewanych, z dobrymi drzwiczkami i nie dymiącego. Dachy, powały, ściany, — wszystko to naturalnie powinno być dobrze zrobione i utrzymywane.

Powie może kto: on to tam z miasta pisze, i myśli że mądry, a nie wie, jak to się ludzie na wsi z podłogami i z piecami obchodzą. Podłogę zgnoi ciąglem rozlewaniem i błotem, powyrębuje w niej dziury, drzwiczki od pieca zniszczy i zgubi, kafle potluce, a drzwi dzieciaki pokrają i poprzewiercają. Nanoszą warzywa i kartofli pod łóżka, to przez zimę podłoga pod tem zgnije, postawią beczkę kapusty, tam także gnój, dzieciaki i baby w dachu porobią dziury latem, a zimą niemi śnieg i deszcz się wali i powały przemiękną.

Wiem ja to bardzo dobrze, jak bywało i bywa, ale to nie dowodzi, że tak dobrze, i że nie potrzeba lepiej. Owszem pobudujecie lepsze mieszkania, opatrzcie je dobrze, niech was kosztują i grubo, będziecie o nie dbali. Wtedy biorąc nowotnego człowieka do chaty, oddacie mu ją świeżo wybieloną i wyporządzoną, ale oddacie mu ją pod spisem, pod odpowiedzialnością, a potem co tydzień lub co miesiąc odbywajecie rewizje po wszystkich chatach sami, z żonami i cókami waszemi, patrzcie na porządek i na czystość, zawstydzajcie nieporządnych, kaźcie, co zepsute naprawić, szyby wprawić na koszt mieszkańca, a będzie ostrożny i porządny. Ale dajcie mu tak urządzone mieszkanie, żeby miało wszystko swego miejsca dosyć, to znajdzie się z czasem porządek.

Trzeba koniecznie zrobić raz początek, a zacząć od dobrych pomieszkań, inaczej porządek i schludność w tych lochach się nie rozgości. Lud roboczy, lud prosty wiejski w całym świecie jest trudny do porządku i na najlepszą rzecz sarka, jeżeli to nowość, która po nim wymaga większej na siebie uwagi. Ale na to są rozsądniejsi i wykształceńsi, żeby ten opór przełamywali, a lud przyzwyczaja się i dobre z czasem uznaje, skoro do niego nawyknie. Nie dawne to czasy, kiedy ludzie nie chcieli jadać blaszanemi łyżkami, bo ich w usta parzą, jeszcze gdzieniegdzie nie miewają kominów, któremiby dym odchodził, tylko na środku izby palą i siedzą w dymie, jak kiełbasy w wędzarni. Sami opowiadali mi, że to dla ciepła, że to tak najzdrowiej, a przecież żaden z nas już by tam dziś nie wytrzymał, boby dym oczy mu wygryzł.

Izba bez podłogi z desek nie może być ciepła ani czysta, a zawsze wymaga trzy razy tyle opału, który teraz taki drogi. Bez ciepłej izby nie będzie zdrowia, osobliwie dzieci zdrowo i silnie nie wyrosną, ludzie wieczorami do roboty, do czytania, do rozrywki jakiej się nie wezmą, ale z kurami spać się będą kładli, przez cały dzień dzieci i starzy w łóżku za mrozów przeleżą, a wszyscy więcej potrzebują pożywienia, boć to już z doświadczenia na bydło wiadomo, że im zimniej, tem więcej zjada.

Poprawcie więc mieszkania, dawajcie przestronne, dobrze urządzone, żeby było do wszystkiego miejsce, dbajcie o porządek w chacie i przed chatą i w koło chaty nawet, a więc w podwórzu dla robotników stawiajcie wychodki, przy chatach tak samo i starajcie się urządzeniem i ciąglem dozorem o to, żeby było w chacie czyste powietrze, światła dostatek i ciepło.

Mawiamy zwykle, że roboczym prostym ludziom na wsi zdrowie tak służy i siła u nich znaczna. Nie prawda to! Między ludem dzieci mrą okropnie dla złych pomieszkań, u niego najwięcej kalectwa, życie przecięciowo najkrótsze, a siły nie mają wytrwałości w pracy. Wszystko to złe mieszkania i brak czystości i porządku sprawdzają. Toć ich z tego wyrwijmy, a zróbcie początek stawianiem dobrych chałup.

Patrzcie tylko! Chłop, dziewczyna niezamężna, to jeszcze przy zdrowiu, dla tego że na robocie bywając, mało w tych zaduchliwych mieszkaniach siedzą. Ale dzieci po zimie, to jakby z grobu wyszły. Na wiosnę febry zimne, latem febry gorączkowe, w jesieni biegunki, zimą rozmaite zapalenia, ból oczu, kołtuny, i kaszle. Mianowicie matki chorują i większa część kobiet wiejskich zamężnych nędzna, słaba, kwiekająca, do roboty nie zdalna; choć ładne i czerstwe z młodości, nadzwyczaj prędko starzeją się, i ogromnie strasznieją w starości a mrą wcześniej. To wszystko po większej części od niezdrowych mieszkań, boć kobieta ciągle w tem mieszkaniu siedzi.

Wiemy, że nasz robotnik, choć chętny do roboty, choć mu robota od ręki idzie, to wytrwałości nie ma. Dla czego to? bo do wytrwałości potrzeba sił i czerstwości ciała, a te w niezdrowym pomieszkaniu niszczej. Gdzieindziej lepiej robotnik mieszka to też i porządek i schludność polubił, i do książki i do oświaty się bierze, i zdrowszy i wytrzymalszy; choć może powolniejszy, to jednak więcej i lepiej robi.

Żeby polubić jakie miejsce, jaką wieś a z nią okolicę, i do kraju się nieoderwanie przywiązać, do tego potrzeba najprzód przywiązania do chaty, potrzeba żeby człowiekowi miło było w domu.

Uczyńcie więc najprzód mieszkanie miłym i zdrowym, a pójdzie za tem wiele: pójdzie przywiązanie do miejsca, pójdzie chęć i siła do pracy; pójdzie i dorobek i oświata między ludem, bo będzie w zdrowem ciele zdrowa dusza.

Prz. L.

Rozmaitości.

Jak się kupują buty bez pieniędzy. Jeden student, chłopski syn, chciał iść na wakacje do rodziców, ale droga była daleka a biedak nie miał butów, ani pieniędzy na buty. Cóż tu poczyć? Nie wiele myśląc, poszedł do jednego szewca, kazał sobie zrobić parę butów i po kilka kroć upomniał szewca, aby mu

je przyniósł nazajutrz o godzinie 7 zrana. Potem poszedł do drugiego szewca, znowu obstalował parę butów i kazał je sobie przynieść nazajutrz o godzinie 8 z rana.

Nazajutrz o 7mej przychodzi pierwszy szewc z butami Student przemierza i powiada:

— Jeden but dobry, ale drugi bardzo wązki, weźcie go panie majstrze, rozbijcie na kopycie i przynieście jutro o trzeciej godzinie popołudniu, to wam zapłacę.

Majster wiedząc, że przecie student z jednym butem nie ucieknie, poszedł spokojny do domu.

Bije ósma godzina, przychodzi drugi szewc z butami. Student przy mierza, i znowu to samo co tamtemu powiada.

Ten także nie przypuszczał, aby student mógł uciec z jednym butem, oddalił się więc bez troski.

Nazajutrz obaj szewcy, każdy z jednym butem, przychodzą do studenta o unówionej godzinie.

— Cóż to kumie, rzecze jeden, robiliście buty temu paniczowi?

— A jużci, ale jeden był za wązki, musiałem rozbijać. Czy i wy do niego?

— Ja mu także robiłem parę butów i patrzcież, tak samo było ze mną jak i z wami.

— To coś dziwnego. Chodźmyż do niego co prędzej.

Idą, pnkają, ale nadaremnie. Wtem przychodzi stróż kamienicy i powiada im, że student jeszcze rano poszedł w drogę.

Złote ziarna.

Nie pogardzaj ubogimi,
Gdy jesteś bogaty;
Bo nie czynią nas wielkimi,
Klejnoty i szaty.
Nie wydzieraj co cudzego,
Szanuj wszystkie stany;
Poznaj w człeku brata swego,
A będziesz kochany.

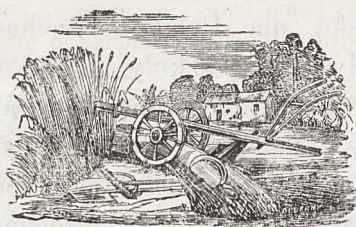
Do dzisiejszego Nr. dołączamy okładkę — i obraz Kazimierza wielkiego i Jagiełły, królów polskich, jako premję za 1sze półrocze 1870.

Redakcja Dzwonka przeniosła się z Wałowej ulicy.

Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602 $\frac{1}{4}$ - Pałac Dzieduszyckich.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tomasz Zamojski

pobożny pan polski.

Niedaleko od nas jest miasto Zamość, które fundował Jan Zamojski, bogaty pan polski i urzędnik w polskim kraju tak wielki, że był on pierwszy zaraz po samym królu. Ten Jan Zamojski miał aż 4 żony, a ostatnia jego żona była Barbara Tarnowska, bogata pani i pobożna, która zawsze na św. Barbarę w adwencie dawała obiady dla ubogich, i sama im posługiwała, a po obiedzie hojną jałmużną obdzielała. Otoż tym bogatym i pobożnym państwem dał Bóg na wielką pociechę syna jedynaka, który się urodził roku pańskiego 1594, na kilka dni przed samem Bożem narodzeniem, i któremu dano na chrzcie św. imię Tomuś, dla tego, że w tym czasie przypada świętego Tomasza apostoła. Ten Tomuś chował się przy Ojcu i matce w Zamościu, miał w domu najlepszą naukę od matki, miał dobry przykład od ojca, chodził też z drugimi do szkoły w Zamościu, którą to szkołę fundował jego ojciec z wielkiem kosztem dla nauki polskich i katolickich dzieci, a która potem nazywała się akademią Zamojską, i wydała dużo dobrych Polaków. Taka szkoła wielka i dobra w Zamościu była bardzo potrzebną i dogodną dla Polaków dla tego, że na tak wielki polski kraj była akademiam w Krako-

wie, zwana Jagiellońską, była znowu w Poznaniu, zwana Akademią poznańską dla Polaków zachodnich, w Warszawie i Wilnie były takie szkoły dla Polaków od północy, a więc wypadało koniecznie fundować także szkołę wielką dla Polaków od wschodu, i dokonał tego Jan Zamojski, hetman polski. Fundował miasto najprzód, które na jego wieczną pamiątkę nazwali Polacy Zamościem, a potem fundował tu szkołę, która od niego znowu nazwaną została Akademią Zamojską i wysypał na tę szkołę wielkie sumy, sprowadził nauczycieli, założył bibliotekę i tak przyczynił się bardzo do oświaty Polaków. Później jeszcze fundował znowu w Krzemieńcu taką szkołę pan Tadeusz Czacki dla Polaków na samym wschodzie od granic Turka. Tak więc mieli Polacy na wszystkie strony szkoły swoje, które fundowali królowie albo biskupi albo bogaci polscy panowie. Otoż młody Tomuś chodził do szkoły, którą jego ojciec Jan Zamojski fundował w swoim mieście Zamościu, ale niedługo stracił ojca, bo ledwo miał 11 lat, jak jego ojciec umarł. Stracił on ojca i został sierotą, ale Polacy wszyscy stracili takiego pana mądrego i dobrego, jak rzadko znaleźć mu równego. Po pogrzebie poszła jego matka na mieszkanie do Krzeszowa, niedaleko od Leżajska, i tu siedziała cicho, smutna, zawsze pobożna, miłosierna, nazwana od ludu polskiego matką i opiekunką ubogich i sierót; on zaś chodził dalej do szkół w Zamościu, a nad nim jako sierotą miał opiekę pan Mikołaj Zebrzydowski, bardzo hardy i nieprzystępny człowiek, który buntował się na samego króla, a majątek Tomusia sieroty marnował niezmiernie. Na biednego zawsze dużo złego, powiadają Polacy, tak też i na Tomusia sierotę przyszła znowu nowa bieda, bo w 4 lata po pogrzebie ojca musiał sprzątać z placzem pogrzeb swej matki, która umarła w Krzeszowie nad Sanem rzeką, a do jej trumny przez 3 dni przychodził lud polski, modlił się za jej duszę, płakał jak dzieci za matką i odprowadził jej ciało kilka mil aż do Zamościa, gdzie była pochowana. A syn Tomuś, co miał wtedy dopiero 15 lat, leżał krzyżem z żalu i pobożności koło trumny swej matki i szedł razem, z ludźmi jeszcze za trumną z Krzeszowa do Zamościa, a na pamiątkę swej matki dobrej sprawiał zawsze co rok w rocz-

nicę pogrzebu objad żałobny dla ubogich, gdzie razem modlił się za duszami ojca i matki, i obsługiwał przy obiedzie ubogim rozdając przytem hojne jałmużny. Jakie miał nauki i jaki przykład w domu, takie było jego życie późniejsze, a choć już ojcowie nie żyli i nie dozierali go, on młody i bardzo bogaty, nie poszedł nigdy na złe drogi, ale pozostał do śmierci dobrym Polakiem. Po pogrzebie matki chodził jeszcze 3 lata do szkoły, uczył się bo ojciec jego miał wielki rozum, i był znany z nauki i rozumu nie tylko na całą Polską, ale na cały świat, otoż i on jako syn chciał być podobnym ojcu z cnót i nauki. Mawiał on drugim:

„Majątek bez cnót i nauki, to tyle znaczy co grube i tłuste ciało, ale chore i ślepe, — i cóż komu po tem, że mu ciało urosło, jeśli jest chorowite i na oczy nie widzi dobrze — tak cóż komu po majątku, jak nie wie, na co go użyć i jak go użyć?“

I prawdę mówił, bo szczęśliwszy ten, kto się Boga boi i ma rozum i naukę, chociaż ubogi, niż ten, kto żyje bezbożnie i niczego dobrego się nie nauczył, a jest przy tem na to mówiąc bogaty? bo czy przy ubóstwie czy majątku nauka i cnoty dają zawsze szczęście prawdziwe.

Dobrze to powiedział jeden mądry człowiek:

Bez dobrej nauki i bez cnoty, nie ma błogosławieństwa ni dobrej roboty.

Wiedział to dobrze Tomuś sierota, toż gdy szkoły dobrze pokończył, ułożył sobie z pomocą bożą tak żyć, aby to życie miało jakie zasługi dla kraju polskiego, i dla ludzi. Jako bogaty żył w Warszawie na dworze króla Zygmunta III, aby się przypatrzeć, jak to król rządzi i co robi dla swego kraju? A gdy się przypatrzył wszystkiemu, ułożył sobie przejechać się w swoim kraju, zobaczyć miasta i wsie, potem zobaczyć te miasta i wsie, które mu ojciec zostawił i poznać wszystko dobre i złe na to, aby dobre utrzymać a złe pokasować, aby w jego dobrach byli Polacy dobrzy i szczęśliwi. I objechał cały swój majątek koło Zamościa, Jarosławia, Tarnowa i po za Lwów, uporządkował, co zły opiekun popsuł, a dopiero wtedy ułożył sobie pojechać w obce kraje i tam się znowu przypatrzeć, co też i drudzy ludzie robią na tym świecie bożym? Musiał on to zrobić, bo mu ojciec w testamencie to

przykazał, a dobre dziecko poszanuje zawsze wolę ojca i matki, chociaż już pomarli. Gdy miał 21 lat, pojechał do Anglików, Francuzów, a potem do Rzymu, aby widzieć Ojca św, a gdzie był, tam pozostał zawsze dobrym Polakiem. Chciał koniecznie widzieć całe nabożeństwo wielkotygodniowe w kościele, które odprawia sam Ojciec św, o toż prosił, by, mu wolno było nieść krzyż za processją, którą odprawiał Ojciec św. i pozwolił mu Ojciec św; — Paweł V. On też ubrał się w kapę i niósł krzyż z wielką pobożnością, a w końcu wyprosił sobie to, że Ojciec św. zatwierdził szkołę Zamojską i nadał jej różne przywileje, podobnie jak miały szkoły w Krakowie, Wilnie w polskim kraju.

Blisko 3 lata jeździł po obcych krajach, wrócił szczęśliwie do Warszawy i został od króla wybrany do rady królewskiej, aby razem z biskupami i panami najmądrzejszymi pomagał królowi rządzić. A tacy radni króla zwali się Senatorami, a cała ich rada razem zwała się senatem polskim. Otóż Tomuś Zamojski został w 24 roku życia swego już senatorem a to dla swej nauki i dla tego jeszcze, że był bardzo bogaty, i syn zasłużonego ojca; był on także wojewodą podolskim, to znaczy, że miał prawo brać do wojska i prowadzić wojaków zebranych na wojnę każdą z całego Podola polskiego. Został on wojewodą podolskim i senatorem polskim nie na to, aby za piecem siedział i jadł i pił dobrze, i robił majątek, ale aby się zasłużył i odrobił to wszystko, co miał po ojcu i od króla polskiego. A zabrało się wtedy na straszną wojnę ze Szwedami, Turkami i Tatarami. Szwedy mieli swego króla Gustawa Adolfa, który przepłynął morze Bałtyckie i zabierał kraje polskie od północy. Turcy z Tatarami chcieli całą Polskę od wschodu i południa zagarnąć. Z Szwedami zrobili Polacy koniec, a przeciw Turkom i Tatarom poszedł p. Żółkiewski, zasłużony starowina i fundator miasta Żółkwi, i zginął pod Cecorą; po nim nastąpił p. Chodkiewicz, ale i ten umarł z wielkich trudów na wojnie pod Chocimem, dopiero p. Stanisław Lubomirski pobił Tatarów, a Turków zmusił do odejścia z polskich krajów — i tak ustała tak straszna wojna. Na pamiątkę tej wojny uprosili sobie Polacy u Ojca św. to, że pozwolił odprawiać co rok dnia 10 go października po wszystkich kościołach

polskich nabożeństwo dziękczynne za szczęśliwe pobicie Turków pod Chocimem, co się do dziś dnia odprawia w ten dzień po kościołach naszych.

Jest temu przeszło 200 lat, jak Polacy modlą się co rok dnia 10 Paźdź i dziękują Bogu za pobicie Turków i Tatarów pod Chocimem roku 1621, bo gdyby wtedy byli Turcy wygrali, tobyśmy do dziś może pod Turkiem zostawali! Tomasz Zamojski zaś gromadził wojaków za swoje pieniądze, odpędzał Tatarów, którzy podeszli aż do jego miasta Zamościa, a co mu zbyło, posyłał na wojnę turecką. Ożenił on się z bogatą Polką Katarzyną Ostrogską i dostał na wiano za nią wielki majątek, z którego to majątku tak jego jak po żonie powstał taki obszar miast, wsi, lasów, rzek, że nazwano to wszystko Ordynacją Zamojskich, to znaczy, że cały ten majątek nie mógł być podzielony na części, ale zawsze przechodził z ojca na najstarszego syna, a inne dzieci dostawały spłat w pieniądzech. I ta ordynacja Zamojskich trwa jeszcze dziś, a lasy, zwane ordynackie, graniczą z naszą polską Galicją koło Rozwadowa, Rudnika i Leżajska, ba! nawet niektóre wsie galicyjskie koło Sieniawy należą do dziś do tego majątku, to jest, do Ordynacji Zamojskich. — Na tej wojnie tureckiej pod Chocimem był także królewicz polski Władysław, syn starszy króla Zygmunta III., a gdy wracał z Podola do Warszawy, wypadła mu droga na Tarnopol, a to miasto należało do Tomasza Zamojskiego, i w temto mieście przyjmował Tomasz Zamojski z żoną swoją, biskupami i panami tego królewicza i uraczył go po królewsku, jak przystało. A ztąd odprowadził go aż do Warszawy zdrowiuteńkiego, za co mu król bardzo dziękował.

Po tej wojnie nie miał Tomasz Zamojski zdrowia dobrego, był chorowity, ale jak go król polski wysłał po co, czy to do cesarza w Wiedniu, czy do króla Francuzów w Paryżu, czy do Szwedów czy do Turka, to mimo chorowitości swojej zawsze z ochotą pojechał i sprawił wszystko dobrze. A gdy za niemógł, to zrobił przy śmierci taki testament :

Na chwałę Boga i pożytek Polakom przeznaczam 60. tysięcy dukatów, aby wyfundować za to kościoły drewniane w tych wsiach, gdzie nie ma kościoła a potrzebny jest, potem

szpitale dla starych kalek, sierót w mieście Tarnopolu i Rownem, aby tacy biedacy mieli przytułek i zaopatrzenie na życie aż do śmierci. Na budynek szkolny murowany i paradny w mieście Zamościu, aby się w nim pomieściło najwięcej szkolarzy, i aby mieli w nim dogodne mieszkanie nauczyciele, przeznaczam 60 tysięcy, — dla ubogich szkolarzy, co nie mają z czego się uczyć, przeznaczam osobne zabudowanie z wszystkimi potrzebami, a znowu dla księży Jezuitów, aby utrzymywali szkoły przy kościołach, a gdzie potrzeba dla nich kościoła nowego, aby mieli zaco postawić przeznaczam 70 tysięcy — dla ubogich na moim pogrzebie przeznaczam 6 tysięcy. Żądam, aby mnie pochowano w grobie Ojca i matki i bez wielkiej parady!

Jak żył po bożnie, tak samo umarł, nie żył długo, bo tylko 44 lat, umarł roku 1638 w drugi dzień po 3 królach i pochowany w Zamościu. Przeżył króla Zygmunta III. i był przy koronacji starszego królewicza Władysława na króla, był i na weselu jego, gdy się żenił z Cecylią Renatą siostrą Cesarza w Wiedniu i w rok po tem weselu umarł.

Zostawił także syna jedynaka, bogatego pana polskiego, który się ożenił z francuzką Maryą Kazimirą, a która później jako wdowa została żoną Sobieskiego i królową polską.

Co ten Tomasz Zamojski porobił dobrego, to wszystko popsuli Moskale. Szkoły w Zamościu pokasowali, zapisane fundusze zabrali, bibliotekę wywieźli do Petesburga jak swoją, kościoły katolickie pozamykali, a swoje moskiewskie cerkwie wystawili, miasto Zamość przerobili na fortecę moskiewską, lasy wyrąbali i wyniszczyli, a kto z tej rodziny żyje, to go albo z ojcowizny wyścigali albo na Sybir wywieźli, i tak zdzierstwami różnemi ten majątek zubożyli, że tylko znak pozostał z niego i nazwisko.

A wy, co to czytacie, módlcie się do Boga za braćmi waszymi pod Moskałem i pamiętajcie sobie, że nigdy nie będzie dobrze między Polakami i Moskałami, dopóki krzywdą wielką nie będzie oddana.

Xiądz Wojciech z Zaleszan.

Mateuszek.

Tam gdzieś nad Uszwiącą, jużto temu dawno, był młyn o dwóch kołach, własność starego Grzeli. Rządził się Grzela dobrze, miał podostatkiem wszystkiego, gruntu dużo, łąki i kawał olszyny, ale żona, której było na imię Jagusia, była bardzo łatwowierna. Mieli jednego tylko syna Maciusia, który w 15. roku życia wpadł w ciężką chorobę, i umarł pomimo starań cyrulika z przyległego miasta, mądrych bab i olejkarzy.

Zdarzyło się pewnego razu, że pani młynarka Jagusia pozostała sama jedna w młynie i krzątała się około domowego gospodarstwa. Wtem zaszczechały psy na żebrzącego dziada, który wszedł w dom, pochwalił Pana Boga, i zaczął śpiewać: „O gospodzie uwielbiona.“ — Jagusia jako bogobojna i dobrodusznia niewiasta, ukrajała spory kawał białego chleba, nakładła masła, a dając staremu, zapytała, zkądby był? — Dziad filut, jakich dosyć bywa, odpowiada: z tamtego świata. — Łatwowierna Jagusia uwierzyła i pyta go dalej: „A nie widzieliście tam mojego Maciusia.“

— Widziałem, odpowiada oszust, lecz nie jest on bogaczem, chodź obdarty, nędzny, opalony, musi tam paść wieprze, płakał nieboraczek aż mi go żal było. — „O ja nieszczęśliwa matka!“ zawołała i poszła do komory, nawynosiła szat po nieboszczyku, nasypała mąki, kaszy, nakładła sera, masła, słoniny i chleba w worki, związała to wszystko w plachtę i wyniosła żebrakowi, aby to zaniósł dla Mateuszka i jeszcze kilka złotych wściubiła w rękę dziadowi z prośbą, aby to wszystko oddał jej kochanemu Mateuszowi, nadmieniając, żeby jak mu będzie, źle, o tem ją zawiadomił. Dziad pobrał to wszystko, i czempredziej się wyniósł, a młynarka zapłakana odprowadziła go jeszcze aż do olszyny.

W godzinę powraca Grzela, a Jagusia rzetelnie mu wszystko opowiedziała, co słyszała o Mateuszku. Grzela zląkał o łatwowierność Jagusie, wypytał się dokąd ów dziad się udał, dosiadł czempredziej konia i dalej w pogoń za dziadem. W pośpiechu wielkim zapomniał wziąć kij do ręki. Gdy dogonił dziada, zsiada z konia i prosi go, aby mu go zatrzymał, aż sobie urznie pięciak. Dziad widząc, że to nie na konia

pręt, ale doskonały dąbczak, powąchał pismo nosem, przewiesił sakwy przez konia, skoczył na niego i dalej w nogi. Grzela spostrzegł się zapóźno i widząc, że go już nie dogoni, powrócił smutny do domu. Jagusia zapytała go: „a gdzie masz konia?“ Grzela nie chciał zasmucić żony utratą konia, odpowiada, że tak jest jak mu opowiadała, i ażeby nie potrzebował Mateuszek chodzić pieszo, posłał mu i konia.

Takie są skutki łatwowierności oszustom.

Ks. J. Por



Sukiennice.

Budowla ta, godna uwagi, każdego, kto przybywa do Krakowa, zbudowana od Kazimierza Wielkiego. Za jego już czasów pełnym był gmach ten towarów i dziś jeszcze świadczy jak dbałym był król ten o dobro i bogactwo mieszkańców.

Niema w Polsce drugiej budowli, któraby długością tej wyrównała. Obejmuje ona 18 sklepów w każdej ścianie, i jest 180 łokci długa — 18 łokci szeroka i może pomieścić 7 tysięcy ludzi. W czasie obchodu ważnych uroczystości, bywają tu bale — a choć licznie zbierają się ludzie, przecież nie ma natłoku i ciżby.

W ostatnich czasach gmach ten wspaniały zniszczony czasem i niedbałością, groził prawie upadkiem. Ale grono ludzi

zaczynających i uczonych, miłujących ojczyste pamiątki, nie mogło patrzeć obojętnie, że dzieło Kazimierza upada. Ogłosili więc w całym kraju składki na odbudowanie i wkrótce będzie można wiedzieć po Kazimierzu Wielkim pamiątkę odnowioną i odbudowaną.

Chleb ma rogi.

1.

Kiedy Jan Paty jak miał się rozstać z doczesnym życiem, po przyjęciu najświętszego Sakramentu i ostatniego namaszczenia, przywołał do siebie jedyne go syna Walentego, i błogosławiwszy go, rzekł z wielkim wysileniem:

— Módl się i pracuj, a Bóg cię będzie błogosławił. Żywot swój rozpocząłem od służby, a stałem się najbogatszym we wsi gospodarzem. Co mam i czegom się dorobił, wszystko twoje..... kochaj i szanuj matkę..... wolałbym abys miał więcej nauki jak bogactwa..... ale stało się.... w życiu szukaj zawsze rady u mądrego człowieka..... od głupiego jak od zarazy.....

Te były ostatnie słowa poczciwego i rozsądnego ojca, a kiedy po pochówku zrozpaczona wdowa wróciła do domu, załamała ręce i zawołała z boleścią:

— Już ciebie nie mam najdroższy mój przyjacielu! Zostawiłeś mnie samotną, abym żyła w tęsknocie i w płaczu..... Synowi Walentemu, sporemu wyrostkowi w ośmnastu już latach, przykre to były cokolwiek słowa, zbliżył się więc ku matce i całując ją w rękę rzekł:

— Czy zapomnieliście, że ja wam jeszcze zostałem? Uspokójcie się, jak się smutek w nas troszkę przyciszy, to naradzimy się o wszystkim, aby dla was była pociecha, a dla ś. p. ojca radość.

Matka otarła łzy i obejmując w uścisku głowę dziecka odrzekła: O! ty moja jedyna pociecho! Radź sam, bo w mojem wdowieństwie już mnie i rozum opuścił.

A było nad czem radzić. Patyjak był kolonistą włókowym, i doszedł do tego z dorobku na pańszczyźnie. Miał w gospodarstwie wszystko co potrzeba, łąkę, mąkę — ryby, grzyby

bo w małej za domem sadzawce pluskały się spore karasie, a droga i granice obsadzone były wierzbami. Wszędzie było pełno i zapaśno, w stodole, w oborze, w śpichlerzu, w chlewkach, w sadzie, w komorze, a nawet powiadano, że po nieboszczyku pozostały grube pieniądze, o których wiedziała tylko sama Janowa. Za życia Jana, Walenty razem z ojcem załatwiał wszystkie prace gospodarcze, orał, młócił, jeździł do lasu lub do miasta, ale od śmierci ojca najemnicy nie wychodzili z domu i gdy obce ręce zajmowały się pracą, Waluś przechadzał się po sadzie, upatrywał dojrziałych wiśni, albo leżąc w cieniu na trawie patyczkiem kreślił po ziemi jakby w wielkiem zamyśleniu.

— To tak wszystko z desperacji po stracie ojca — mówiła sobie matka — niech się odtęskni. to chwyci się pracy. Zmartwienia to z ludźmi cudeńka nieraz dokazują. Siostra moja nieboszczka po śmierci męża to tylko słodką wódkę pić mogła, i dopiero ją zmartwienie odstępowało jak się w dzień wyspała.

Gdy jednak minął jeden tydzień i drugi i Waluś w niczem się nie zmieniwszy, od wisien przeniósł się do gruszek, zaniepokoiło to cokolwiek matkę i pomyślała sobie:

— Aby tylko ze zmartwienia nie popadł w jaką chorobę, bo nieboszczyk zawsze smutniał i milknął, kiedy mu co dolegało. Trzeba mieć oko na niego.

Poczeiwa więc matka dogadzała mu w jedzeniu, aby krzepiąc się przemagał chorobę. Rano aby mu muchy w śnie nie przeszkadzały, zasłaniała okna i krzątając się cichaczem oganiała jedynaka z uprzykrzonego owadu. Gdy zaś w dzień zobaczyła leżącego na trawie, jak przekładając się z boku na bok fajtał nogami jak w tańcu, podsuwała mu poduszkę pod głowę, żeby smutek przespał, jak to robiła nieboszczka ciotka rodzona. Walkowi wszystko to niezmiernie się podobało, jadł i spał jak tylko mógł najwięcej, czasem chwycił się pracy, ale tylko dla zabawki i wnet ją porzucał. Najemnik więc nie wychodził z domu i cały ciężar domowych kłopotów dźwigała stroskana wdowa.

I tak zeszło lato i jesień: stodoła napełniła się zbożem po sam szczyt dachu, co Walek zobaczywszy zatarł ręce z ra-

dości i rzekł: Bogu dzięki będzie co przedawać. Przyznać jednak trzeba, że w żniwa nie polenił się w pracy. Żął, wiązał snopki, zwoził je do stodoły, albo stawiał w kopki i zergał okiem na Magdusię, córkę biednej wyrobnicy, która niegdyś będąc na gospodarstwie, po śmierci męża podupadła zupełnie i żyła z wyrobku. Po zasiewie z równą pilnością zabrał się do młocki i co tydzień z furką zboża jechał na targ do pobliskiego miasta i choć poczciwie z każdego grosza wyrachował się przed matką, zawsze jednak coś do stroju przywiózł sobie nowego. To nowy pas, to świeże wstążki do koszuli, to rogatą czapkę, a raz kupił sukna na surdut, spodnie i kamizelkę, powiadając, że w bogactwie w jakim go ojciec zostawił, w chłopskiej kapocie nie wypada mu chodzić. Matce cokolwiek się to dziwnem wydało, ale się nie śmiała sprzeciwiać jedynakowi i gdy go pierwszy raz zobaczyła tak przystrojonego do kościoła, choć nie wyglądał w tem zgrabnie i swobodnie, uściskała go jednak serdecznie mówiąc z rozrzewnieniem:

— Wyglądasz teraz moje dziecko jak jaki pan wioskowy.

— Albo to nim nie jestem? odrzekł Walek z pychą. — Czyż to ojciec na to zbierał i pracował ciężko, żebym zawsze żył w chłopskim stanie i nie zaznał, co to bogactwo znaczy? Stryjowi to może się nie spodoba, będzie ganił, ale to z zazdrości. Bogactwo zawsze kole w oczy i obsiadają go zazdrośnicy jak muchy. Stryj poczciwy człowiek i umie gadać jak ksiądz na ambonie, ale nudny że aż

Nie dokończył, bo w tej chwili drzwi się odemknęły i wszedł stryj Walka. Był to wysoki i poważny włościanin, z oczów świecił mu rozum, a z twarzy przebijała taka jakaś łagodność i poczciwość, że każdego od razu chwytala za serce. Walek pomieszany odwrócił się do ściany i udał, że czegoś szuka w skrzyni: Stryj pozdrowiwszy Boskiem słowem bratową zapytał:

— A gdzie Walek?

— Jestem, a co chcecie ode mnie?

— A to ty? w takim przystrojeniu? nie poznałem cię i jeszcze prawie nie poznaję choć cię widzę.

— Ba! i cóż patrzycie na mnie jak na jakie dziwowisko?

— Na prawdę mój Walusiu, że dziwowisko z siebie zrobiłeś. Wyglądasz tak jakbyś kij połknął, sztywny, wyprostowany, że od śmiechu prawie wstrzymać się nie mogę.

Matka westchnęła smutnie, oparła głowę na rękę, a Walek nadrabiając miną, włożył ręce w kieszenie od spodni, i rzekł rezolutnie:

— Jeżeliście do nas przyszli na wyśmieszki, toście mogli tej fatygi sobie nie robić. Ja nie dzieciuch krajką opasany...

— Milcz młokosie! — przerwał z gniewem stryj — jeżeli się śmieję, to mam z czego....

Zawsze to bolą wyśmieszki mój bracie — przerwała matka, a jeżeli Walek zapragnął okazańszego przystroju, toć przecie nie za pozyczone pieniądze, i w tem nie ma grzechu.

— Zapewne że nie ma grzechu — odrzekł stryj — ale jest wielkie głupstwo, a z głupstwa nigdy nic dobrego nie wyrasta. Walek pragnie wyższego stanu, przywdział strój szlachecki i zdaje mu się, że już przestał być prostakiem. Ubierzcie konia jak człeka, włóżcie mu na głowę kapelusz, na nogi buty, w pysk fajkę zapaloną, koń jednak koniem zostanie nie przemieni się w człeka. Tak samo też prostak, choćbyście go w same sajety przyodziali, pozawieszali na nim łańcuchy złote, zegarki, pierścienie, osadzili w karecie z lokajem i furmanem wygalonowanym, zawsze będzie prostakiem i każdy się z niego naśmieję. Szlachectwa nie stanowi strój, ale rozum w głowie, a Walek wasz co umie?

— Przecież umiem pisać i czytać — odrzekł Walek z pochmurzoną miną — nie jestem więc takim prostakiem za jakiego mnie ogłaszacie.

— Pisanie i czytanie — odezwał się znowu Stryj — to jak cepy w stodole, same młócić nie będą, tylko trzeba do nich rąk, żeby je ujęły i obracały jak wypada. Czytanie tak samo korzyść przynosi wtedy, gdy się czyta, i wtedy tylko daje rozum głowie, a jeżeli się go do tego nie używa, to jak cepy porzucone w stodole, żadnego nie przynosi pożytku. Walek czytaniem zabawiać się nie lubi....

— A mnie co po książce — przerwał Walek z oburzeniem — może mnie zechcecie do szkoły posyłać?

— Zdałoby się i bardzo zdałoby się — odrzekł stryj kiwając głową. — Wyższy stan nie dlatego tak się nazywa, że okazańniej mieszka i żywot we wszystkim prowadzi okazańniejszy, ale że ma naukę i wyżej czyli lepiej patrzy na wszystko. Ty chcesz się do niego przyłączyć, nikt tego nie nagani, ale wprzód należało sięgnąć nie po strój, ale po naukę, żeby dla ciemnych być przewodnikiem i obrońcą.

— Ja tam takiego przewodztwa nie pragnący — odezwał się Walek — z łaski Bożej choć się nie uczę, chleba mi nie braknie.....

— Oj! może braknąć mój Walusiu.....

— Ej! nieboszczyk tatuś nie mieli żadnej nauki, a przyszli jednak do bogactwa, to i ja się bez nauki obejdę.

— Ale brat nieboszczyk zachowywał we wszystkim stary obyczaj. Pracował jak wół, jadł po prostu, przyodziewał się bez wymysłu, oszczędzał, na okazańność żadną grosza nie stracił, więc choć żył i umarł w prostactwie, to mu wystarczyło i jeszcze miała po sobie zostawił fortunę. Ty stary obyczaj odrzuciłeś, i pragniesz nowego, więc naukę trzeba przygarnąć, bo zginiesz

— Co mam zginać? Żem sobie sprawił inne przybranie, to nie idzie za tem, abym wszystko miał stracić.

— Stracisz, bez ochyby stracisz. Dawniej o nas myślano teraz sami o sobie musimy myśleć i zaradzać w każdej przygodzie. Rada dobra tylko z rozumnej idzie głowy, więc na gwałt uczyć się trzeba, bo mądrzy pójdą naprzód, a głupcy zostaną na zajdach. Ja także prostak, ale przynajmniej czytam co mogę, wiem co się w świecie dzieje, rozważam, zastanawiam się i widząc, jak to w obcych krajach ludzie garną się do nauki, gdy spojrzę po naszym ludowinie, to mnie aż dreszcze przechodzą, myśląc co się z nami stanie, gdy w jednej ciemnicy umysłu zostaniemy. Przez nią to popadliśmy w potrójną niewolę, i przez nią braci naszych w Poznańskim wypierają Niemcy do Ameryki.

Dzisiaj tysiące naszych rodaków rozpierzchnęło się na wszystkie strony świata; żebyśmy wszyscy nie poszli za ich przykładem z nauką, musimy się na gwałt pobratać, bo inaczej będziemy

Polakami ale bez polskiej ziemi. Panie Wszechmogący! ustrzeż nas od tego nieszczęścia.

— Ho! ho! ho! za daleko zaszłiscie odezwał się Walek— ja taki teraz dobry jak każdy...

— Ale i głupi mój Walku, jak znów nie każdy, przerwał Stryj zobaczywszy, że Walek na te słowa z gniewu aż pokraśniał, domówił mniej ostrem słowem: my teraz już nie chłopci, ale obywatele kraju, a obywatel to największa godność na świecie. Swobodny, wolny czuje, że jest człowiekiem a nie niewolnikiem, że jest częstką całego narodu, który w wielkim majestacie powinien dążyć do celu przez Boga mu wskazanego. Kto nie przykłada do tego ręki. to nie obywatel, i prędyj później pójdzie na śmiecie jak rupieć niepotrzebny na wzgardę i ogólne pośmiewisko, Przykładać rękę jest to: uczyć się pracować i być poczciwym człowiekiem. Dla tego też powiedziałem ci ostro żeś głupi, bo czy robisz tak jak powinienes? (D. c. u)

Rozmaitości.

Wilki. Mazurzy złapali wilka i rządzili, co z nim począć. Jeden mówi: pałką w łeb, taj zabić bestyję. Drugi powiada: żywcem skórę zdjąć z niego. Trzeci woła: ożenić bestyję, a do tego jesce z moją Kachną.

Śledź. Filut pewny podczas znacznego zbiegowiska ludzi zrobił zapytanie: co jest najsmaczniejszego w śledziu? Jeden mówi, że głowa. Nieprawda dawaj grosz. Drugi, że ogón. Nie zgadłeś, dawaj grosz. Mnożą się grosze, ale też i kupa ciekawych przybywa, zgadywaniom nie ma końca. Nareszcie śmielsi przystąpiwszy do niego zapytali, powiedzże nam, co jest najsmaczniejszego w śledziu? Ja sam nie wiem— odpowiedział filut.

Figura. Ojcowie Jezuici odprawiali majówkę w polu pod figurą. Mieli tam z sobą puzderko niezgor-

sze, napełnione przepysznyimi trunkami. — Ale zaledwie rozłożyli sie do wesolej biesiady. postrzegli zdaleka nadchodzących Bernardynów. Co tu robić, rada w radę, postanowili puzderko zakopać pod figurą. Jakoż wykonali to, i puścili się w przeciwną stronę ku lasowi. Nadeszli Bernardyni pod figurę i powiadają: tu byli Jezuici, spoczniymy tu także i posiadali sobie. Jeden z nich spostrzega świeżą ziemię, zaraz mu przyszło do głowy, czy też Jezuici nie zakopali tu jakiego skarbu, dalejże kopać i dobyli puzderko nie próżne, wyciedzili wszystko do ostatniej kropelki, a domyślając się, że Jezuici wrócą na to miejsce, przylepili karteczkę na puzderko z napisem: Już się owo spełniło, co pod figurą było.

Przekonanie. W Warszawie w nocy hultaje napadli pewnego obywatela, a obdarłszy go, jeszcze utopić do Wisły prowadzili. Zapytał się ich, dokąd że to mię prowadzicie? Do Wisły utopić odpowiedzieli mu. Moi łaskawi panowie, zawołał obywatel, cały dzień piłem wino, niechże nie mięszam inszego trunku, bo mi bardzo szkodzić będzie. Co też rozśmieszyło hultajów do tego stopnia, że go zdrowo puścili.

Przeznaczenie. Pewnej matce przepowiedziano, że jej syna w dwudziestym roku powieszą. Biedna matka stroskana pielęgnowała swego synaczka i zaprawiała go do bojaźni Boga i miłości bliźniego. Rósł tedy chłopiec w pobożności wielkiej i ludzie kochali go bardzo. Przyszedł nareszcie rok dwudziesty, na matkę śmiertelne były poty, gdy o fatalnej przepowiedni pomyślała. Krok w krok za nim chodziła, żeby niepopułił jakiej zbrodni w tym czasie. Młodzieniec był bardzo moralny, sam siebie też pilnował. Już był dzień ostatni roku dwudziestego wieku jego, w którym przesilić się miała przepowiednia. Właśnie położył się był młodzieniec do łóżka i spał snem sprawiedliwych. Biedna matka czuwała nad jego łóżkiem i modliła się. Przed dwunastą godziną w nocy przyszło pięciu ludzi do świetlicy, wyciągnęli młodzieńca śpiącego z łóżka, dwóch stawiało szubienicę, trzeci czytał wyrok śmierci, czwarty był ksiądz, a piąty był kat, który spełniał wyrok śmierci na młodzieńcu. Po spełnieniu wyroku zdjęli młodzieńca z szubienicy i położyli do łóżka, poczem wszystko zniknęło. Matka przerażona srogim

tem widzeniem, przypadła do swego syna, który był całkiem zdrów, spał wybornie i pozbył się strasznej przepowiedni.

Rozum. Młody pan zajechał na noc do karczmy, gdzie arenndarz ciekawy między innymi pytaniami i oto zapytał, dokąd i w jakim celu podejmuje pan podróżę. Gość przybyły jako człowiek otwarty, nie miał powodu swej wycieczki, ale wprost powiedział; jadę w świat szukać rozumu. Żyd przebiegły pomyślał sobie, kiedy ty w świecie rozumu szukasz, to ty musisz mieć pieniądze. Ale i gościowi ciekawość żydowska weale się nie podobała, także pomyślał sobie, ty widzę chcesz mię rozumu nauczyć, ale ci się nie uda. Po skromnej bardzo wieczerzy, gość rozpasawszy z siebie duży trzos z pieniędzmi rzucił na stół, sam zaś położył się na słomę zaraz koło stołu i udał śpiącego. Żyd z alkierza patrzył bardzo uważnie, gdzie był trzos położony i zgasił światło na pewne. Gość tymczasem cichuteńko ściągnął trzos ze stołu ku sobie i począł tego chrapać. Żyd sądząc, że dobrze zasnął, na palcach wysunął się z alkierza i dalejże do stołu, maca naokoło, lecz trzosa nie było. Gdy się oddalił żyd, gość pocichu znowu trzos na stół położył. Żyd krzesze ognia, rozpalil świecę i patrzy, trzos leży na swoim miejscu. Zgasił tedy świeczkę, a tymczasem gość znowu ściągnął trzos ku sobie i lepiej jeszcze chrapał. Żyd na palcach znowu lezie po trzos, maca, nie ma trzosa, wyłazi na stół, nie ma. Wraca do alkierza i znowu krzesze, a tymczasem gość znowu trzos wystawił na stół. Żyd

rozpalili świecę i patrzy że trzos leży na stole. Dmuchał na świecę i zgasił, a tymczasem gość pomknął trzosa ku sobie. Idzie żyd po raz trzeci, maca, nie ma trzosa. Domyślił się przecie, że to są figle gościa, pod nosem tylko powiedział: Rich an taty aran, di szwarc jur i spać się położyl. — Rano tedy wstał ów podróżny, przepasał trzos, jakoby nic nie zaszło, zapytał o rachunek żyda, który wyszedłszy do niego z alkierzyka tę pamiętną dał mu naukę: Ny po co pan jedzie w świat szukać rozumu? Pan go masz.

Wypadki nieszczęścia. Na kolei żelaznej z Poznania do Wrocławia wydarzył się tych dni nieszczęśliwy przypadek. Wyskoczyły z

szyn 3 wagony osobowe; dwa z nich zsunęły się z grobli kolejowej na prawo a jeden na lewo, a przewróciwszy się kilka razy zdruzgotał się, przyczem jeden podróżny niejaki Gottesberg z Leszna natychmiast życie utracił, inny obywatel Leszna tak mocno został pokaleczony, że także niebawem życie zakończył. Jeden urzędnik kolejowy także na miejscu zabity został. Pomiędzy czterema ciężko rannymi jeden ma połamaną rękę, a dwaj inni i kobieta połamane nogi. Prócz tych 13 osób lżej rannych.

Inny pociąg przejechał również wczoraj porządnie ubranego człowieka pomiędzy Rydzyną a Bojanowem, który na szyny się rzucił.

Złote ziarna,

Fukasz i odpowiadasz panu, bracie miły,
Ale wiedz, daremny gniew kiedy jest bez siły.
Kto komu grozi a sił nie ma go zwyciężyć,
Ten podobny psu bywa, co szczeka na księżyc.

Panie! jako mię nie darz zbytym bogactwem
Tak też zarówno nie karz ostatnim żebractwem,
Daj chleba według miary, a wprzód Twoją łaskę,
Przyjaźń ludzką, co nad to, wszystko mam za fraszkę.

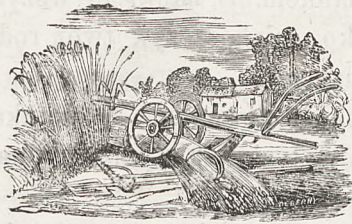
Żyjąc umieramy niechybnym sposobem,
Kolebką zaczynając, a kończący grobem.
Kto się temu dziwuje (choć to pospolita),
Niech się też także dziwi, gdy zmierzcha a świta.

Redakcja Dzwonka przeniosła się z Wałowej ulicy.

Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602 $\frac{1}{4}$ - Pałac Dzieduszyckich.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZ W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chleb ma rogi.

II.

Walek gdyby mógł byłby się pod ziemię schował, bo czuł że jeżeli czytaniu niewiele się naprzykrzał, to i pracą bardzo zabawiać się nie lubił. Nic więc na zapytanie stryja nie odrzekł, a gdy ten załatwiwszy się z interesem odszedł Walek odezwał się po chwili:

— Nie wiem z kąd stryjowi zawsze tylko w ustach czytanie i czytanie? Żeby nie wiem w jakiej gadce, oni zawsze na czytaniu skończą. Pewnikiem wszystko to wychodzi z pana Jacyny, co się z sobą przyjaźnią od młodości. Szlachcic ten książki nigdy z garści nie wypuszcza, to też wyłysiał jak kolano, a i stryjowi już dobrze przegląda. Gdyby każdy tylko książką się zaprzętał, to ktoby na chleb pracował?

— Ej! moje dziecko, odezwała się matka, Bogiem a prawdą, to można wszystko tak mądrze rozporządzić, że przez książkę nie stanie się pracy krzywda. Stryj lubi książkę a i w pracy się nie leni: ojciec nieboszczyk zawsze mówił, że nauka to największa moc na świecie..

— A tak, przerwał Walek, bo jak mnie przynaglili do książki, to pamiętaicie żem aż febry dostał.

— To nie z nauki tylko zobjedzenia niedojrzałych gruszek..

— Ale, zapewne! Gruszki miałyby taką moc, coby mi tłukły zębami jak młotem. Z nauki to wszystko, z nauki.

— Moje dziecko, nieboszczyk twój rodzic na śmiertelnem łożu wspomniał o nauce...

— A czy Boskie skaranie z tą nauką, przerwał Walek czy chcecie żebym wyłysiał jak pan Jacyna...?

— A niech Bóg broni!

— Czy chcecie żebym się przygarbił jak nasz proboszcz?

— A nie dopuść tego Matko Boża!

— Czy pragniecie żebym oslepił jak dziad pod kościołem?

— A święta moja patronko miejże nas w swojej opiece!

— Więc mnie nie namawiajcie do tego co nie zgadza się z moją naturą. Z samego tego rozmowienia jakoś ckliwo mi się zrobiło, i gdybyście mieli na dorędziu chleb i niesolone masło, tobym przetał gardło z goryczy.

— Matka poskoczyła rażno, lekarstwo postawiła na stole przydając do niego kawalek wędzonej kielbasy, i Walek pożywiwszy się niezgorzej, widząc że brzuch doszedł do swojej miary, rzekł:

— Żebyście dali mi mleka, tobym może i wygarnął jaką miseczkę.

Znalazło się i mleko, a matka patrząc jak syn zajada i zapija, rzekła sama w sobie: wyraźnie siedzi w nim jakies zatajone choróbsko, bo o tej porze nie zwykł się pożywiać. O książce już mu i słowa nie natracę.

W kościele ukłękła po kobiecej stronie. Walek wcisnął się do ławek pomiędzy poważnych gospodarzy. Zrazu modlił się z książki, szeptał, przewracał kartki, czasami zerknął okiem po dziewczuchach co niby wieniec z kwiatów otoczyły stopnie wielkiego ołtarza, aż wreszcie zaczęły mu powieki opadać, przymykać się, głowa obwisła i Waluś usnął lepiej jak na posłaniu. Kiedy kapłan wszedł na ambonę dla wygłoszenia Boskiej nauki, ocknął się, powstał z drugimi i znowu zadrzemnął. Że jednak w tem drzemaniu zatoczył się i stuknął nie żartem głową w skroń swego sąsiada, ten go odepchnął z gniewem, Walek położył się na drugą stronę i byłby tak z pewnością chwiał się niby serce w dzwonie, ale na szczęście oprzytomniał i zawołał wielkim głosem:

— A wy co robiła? Czyśta poszaleli czy co?

Wszystkie oczy zwróciły się ku Walkowi, ale ten rozmazony nie dał na to baczenia i zasiadłszy na nowo w ławce, usnął wkrótce bez najmniejszej już przeszkody. Podczas nauki kapłan mówił bardzo pięknie o obowiązkach każdego a szczególnie o obowiązkach obywateli kraju, którzy powinni wszelkich sił dokładać, aby zubożała nasza Polska mogła zakwitnąć nieznaną jej dotąd pomyślnością, do czego jedynie dojść można przy pomocy pracy i nauki.

— Wielu z pomiędzy was, mówił szanowny kapłan, stara się obowiązki te wypełniać jak najlepiej o ile to potrafi. Takim cześć i błogosławieństwo: mrówki malutkie a jednak tak wielkie wnoszą mrowiska. Więc i wasza praca usilna i pocziwe życie, choć na pozór mało znaczące, zebrane w jedną jakby wiąź we wszystkich stronach naszej Polski, zleją się do jednej skarbniicy która się zowie pomyślnością wszystkich. Ale czy wszyscy tak postępują? Oj! nie wszyscy mili bracia, i podobno większość inaczej swój żywot trawi. Kiedy się im nie schlebia, to uważają to za nieprzyjaziń, kiedy się ich gani za próżniactwo i różne zdrożności, to także nieprzychylnosc, kiedy się ich namawia do czytania i nauki, to niepotrzebne wymysły, kiedy się im słowo Boże głosi i pocziwą daje naukę to oni...

Kapłan nagle przerwał, bo jakby na dokończenie słów jego, z ławki w której siedział Walek, dało się słyszeć głośne chrapanie hrrum hrrum jakby kto tępą piłą powyszczerbiana piłował drzewo. Sąsiad szturchnął w bok Walka, ludzie spojrzeli i gdyby nie poszanowanie dla przybytku Bożego, byłiby się w głos rozśmieli; kapłan zobaczywszy że spokojność wróciła dokończył:

To oni mili bracia albo na to nie zważają albo spią w najlepsze przeszkadzając chrapaniem do uwagi drugich. I jakże w takim niedbalstwie, w takim opuszczeniu, ma nam Bóg błogosławić? Co upadnie samo się podnieść musi i jak człowiek zdrów i silny gdy leżąc na sieni wzywa pomocy aby go podniesiono, obudza dla siebie pośmiewisko a nie współczucie: tak samo i cała społeczność ugrzązłszy jak w bagnie w biedzie i ciemnocie musi własnem staraniem dźwignąć się z niedoli bo inaczej zginie ze szczętem a świat

rozśmiej się szyderczo i powie: dobrze jej tak, pocóż była głupią i próżniaczą? Tak jak każdy za siebie jest odpowiedzialny przed Bogiem, tak samo i narody pokutują za swoje grzechy. Mamy ich co niemiara wszyscy bez wyłączenia, zarówno ubodzy jak bogaci, zarówno prostacy jak i wyższego stanu, krzepmy się więc wspólnie wszyscy, oświecajmy, doradzajmy, a przedewszystkiem żyjmy z sobą w zgodzie, miłości, wedle nauki naszego Zbawiciela, a nie w nienawiści, w zazdrości i w podszczuwaniu jeden na drugiego. Gdzie pokój, praca i nauka tam Bóg przemieszkuje, gdzie inaczej się dzieje tam szatan króluje; jakie zaś na świecie ma panować królestwo czy Boże czy szatańskie, od nas samych mili bracia zależy. Z Bogiem więc złączcie się sercem i duszą, a płacz, ucisk, prześladowanie znika z naszej Polski.

Walek choć otrzeźwiony ze snu ale na naukę małe dawał baczenie, dusił tylko w sobie ziewanie, a gdy ludzie westchnęli nabożnie, westchnął i on nie wiedząc dla czego to robi. Po nabożeństwie matkę wyprawił do domu a sam poszedł do karczmy, żeby jak powiedział, naprawić żywota, bo po mleku jako mu burzało. W izbie zastał pełno ludzi: z głową zadartą jako odziany surdudem i z kołnierzykami po same uszy zawiązanymi grubą czarną chustką, przecisnął się do kraty i zawołał:

— Piwa, tylko dobrego.

— Zwyczajne troszkę przykwaśniało, odrzekła szynkarka, mam bawarskie ale tego butelka kosztuje złotówkę.

— Nie pytać o cenę tylko dawać. Jest u mnie w woreczku nie jedna złotówka, to nie braknie na zapłatę, odrzekł Walek i na dowód pokazał wydobyty z kieszeni woreczek. Po jednej stronie brzęczały w nim dziesiątki po drugiej ruble srebrne zebrane oszczędnością nieboszczyka ojca, dziś należące do rzadkości grubo opłaconej. Papierki to nasza moneta, to też wszystko u nas papierowe, nawet nasza dola.

Walek sakiewką brzęknął kilka razy, jakby chciał się pochwalić swoim państwem, i zapłaciwszy za piwo wychylił poteźną szklanicę, otarł usta, splunął i usiadł na ławce przy okratowaniu. Na przeciw niego po drugiej stronie, siedziało trzech nieznajomych mężczyzn pilne na Waleka dających baczenie. Jak tylko zobaczyli jego przechwałki pieniężne szepnęli

coś między sobą i jeden ruszył pomiędzy ludzi zaczepiając pytaniem to tego to owego. Wreszcie jeden z zaczepionych spojrział ku Walkowi i rzekł:

To Walek Patyjak z Gazdowa; ojciec poczciwy i rozumny był człowiek, ale synus ma pstro w głowie. Co stary zapracował to synus roztrwoni a szkoda, bo tam sporo po starym pozostało grosza.

Nieznajomemu na wzmiankę o pieniądzach oczy zaiskrzyły się jak iskry i powróciwszy do swoich zaczął z nimi szeptać tajemniczo.

Wreszcie jeden z nich łysawy, z chytrym uśmiechem na twarzy, przybrany dosyć wytwornie z zegarkiem w kieszeni a papierosem w ustach, rzekł powstając:

— Na mnie to zdajcie, już ja się z nim wnet sprawię.

Potem podsunął się ku Walkowi, wycisnął ogień z papierosa i rozglądając się za zapalkami rzekł do niego:

— Przepraszam pana, ale prosiłbym o użyczenie mi ognia.

— Z miłą chęcią, odrzekł Walek wyjmując z ust palący się papieros i podając go nieznajomemu.

— Bardzo dziękuję, bardzo jestem wdzięczny, odezwał się nieznajomy ściskając Walka za rękę i kiedy już miał odejść, nagle zwrócił się ku niemu z zapytaniem:

— Czy pan czasem nie wychodzi z Patyjaków?

— A jużci Patyjakiem mnie zowią ..

— Znałem Jana Patyjaka z Gazdowa, i przyjaźniłem się z nim...

— To mój rodzic, w zeszłym roku pomarli...

— Umarł! zawołał z boleścią nieznajomy, ach! mój Boże, jakież to poczciwy i rozumny był człowiek. Przyjaźniłem się z nim i nieraz kupowałem zboże do młyna jakim go miał w tych stronach. Jakże mi żal straty takiego człowieka... przy tych słowach nieznajomy sięgnął ręką do oczów i mówił dalej głosem drżącym jakby z wielkiej żałości:

— Ale umarłego nie wskrzesi, a kiedy mi Bóg pozwolił spotkać się z jego synem Walentym...

— To pan wie jak mi imię?

— Ba! albo to raz z rodzicem o jego jedynaku rozprawialiśmy?

Otóż kiedyśmy się tak niespodzianie spotkali, to pozwól panie Walenty że cię przedstawię moim przyjaciółom. Wszystko to ludzie bogaci, jeden szuka jakiego folwarku do kupna, drugi chce w mieście dystylarnę założyć, a ja szukam dzierżawy młyna wodnego albo kupna całej młynarskiej osady.

Walusiowi poznanomienie się takie wielce przypadło do smaku. To już nie prostactwo, pomyślał sobie, ale ludzie z wyższego świata. Wyprostował się więc, poprawił włosów, wyciągnął kołnierzyki i śmiało ruszył za swoim przewodnikiem. Poznanomienie bardzo prędko nastąpiło, ściśnięto sobie ręce, wycelowano usta, a młynarz zawołał:

— Pani gospodyni, daj nam tu herbaty z arakiem, cztery szklanek, przecież taką znajomość musimy uczcić jak wypada. Przy herbatce szczególnie po drugiej szklance rozmowa poszła gładko. Młynarz i jego towarzysze byli to już nie młokosi, chleb jak to mówią nie z jednego pieca jedli, byli na wozie i pod wozem, więc do rozmowy nigdy wątku nie brakowało. Smiano się, żartowano, opowiadano rozmaite zabawne zdarzenia, a Walek słuchał, rósł jak na drożdżach i kładąc ręce w kieszenie z dumą przyglądał się zebranym w karczmie. Po czwartej szklance młynarz zapłacił, zawołał z początku: basta! teraz wracajmy do miasta, ale ciebie panie Walenty, synu mego przyjaciela, muszę uczcić na swojej kwaterze jak wypada. (D. c. n.)

P a t n i c y .

„I po garści ziemi z ojczyzny zabrali“
W. P.

Różną życia skolatani dołą,
Raz pątnicy wyszli z polskiej ziemi,
Jedni z bolem, którym serca bołą,
Drudzy chcieli przed progi świętymi
Złożyć starość, grzechy; inni bielizny,
Inni ciężkie nieszczęścia ojczyzny.

Szli do Rzymu. Starzec przewodnikiem.
Białowłosa, z kresami na czole.

Był rycerzem niegdyś dziś pątnikiem,
Pomni przeszłość, w piersi zamknął ból.
Towarzyszów grono starca słuca,
Bo z ust jego płynie mądrość ducha.

Gdy im tęskno patrzą czy od wschodu
Ptak lecący wieści nie uczyni.
Tak zdążyli do wiecznego grodu, *)
Do wyniosłej Piotrowej świątyni **)
I padają krzyżem na marmury. . . .
Lampa Piotra świeci na nich z góry

A w tem słyszą: naród, sobie sławi
Pustelnika co w skale ma grootę: ***)
„Bóg zeń — mówią — ludziom błogosławi,
Grzesznym przezeń dawa moc i cnotę;
Kogo mąż ten relikwią obdarzy,
Tego szatan tknąć się nie poważy.“

Zapytali przechodniów o drogę;
Drogę oną każde dziecko znało.
Jakieś dziewczę z ulicy ubogie
Drobną ręką drogę im wskazało,
A ci rzekli: „Pójdziemy! niech mąż boży
Na strapione głowy dłoń nam złoży.“

Idą — ścieżka w skale wykowana,
W skale grota po za bluszczów cieniem.
Wyżej groty z kamienia krzyż Pana
Tkwi ozłocon zachodu promieniem,
Przez powietrze lecą ptacy — wonie,
W dali wieczne morze słońcem płonie.

A mąż boży szedł z dzbankiem wody,
Szedł ubogi jak pańscy prorocy.
Włos miał srebrny, zapadłe jagody,
W oczach blaski nieśmiertelnej mocy;
Świętych spokój płynął z jego czoła,
Gdzie skreśliła życie dłoń anioła.

*) Wieczny gród znaczy tyle co miasto Rzym, gdzie mieszka Ojciec święty.

**) Świątynia Piotrowa, to znaczy kościół, gdzie Ojciec święty, następca Apostoła Piotra nabożeństwo odprawia.

***) Grota tyle co jaskinia.

Więc stanęli pątnicy z daleka,
Ran mu własnych wskazywać nie śmieją,
Z każdej piersi drobny ból ucieka,
Wielkim bolem narodu boleją:
Dla ojczyzny złotej pragną doli! . . .
On ze dzbankiem zbliżał się powoli.

„Zkąd wy bracia?“ — spytał — „z Polskiej ziemi“
— „Z polskiej ziemi ludzie? znam jej błonia.
Czegoż chcecie?“ A starzec z białemi
Włosy rzecze: Polska we łzach tonie!
— „We łzach tonie? czegoż jej potrzeba?“
Ci odrzekli razem: „Łaski nieba!“

„Ból przeżegnaj co nam serca pali,
Skute nasze przeżegnaj ramiona.
Daj relikwię nam dla naszej stali,
Bo się kruszy w górę podniesiona.
My twym darem lud obdzielim cały,
My nim ojców dobijem się chwały.“

— „Macież z sobą garść rodzinnej ziemi?“
Maż ich boży spytał zadumany.
Białowłosy rękami drżącemi
Wnet mu bryłkę podaje z sukmany:
„Z sobą — rzecze — wzięliśmy po bryle,
By w obczyźnie mieć ją na mogile.“

Maż tę bryłkę wziął i ścisnął w dłoni,
Ścisnął, a krwi kropla na głąz scieka;
Nad krwią słychać jęk — w powietrzu dzwoni
Skarga duchów leących z daleka —
A pątnicy klękają do koła,
I gdzie spadła krew, schylają czoła.

Więc maż rzecze: „Czemuż was przestrasza
Ta krew ręką moją wyciśnięta?
Relikwiarzem cała ziemia wasza,
Krew relikwią, którą Bóg pamięta.
Idźcie z Bogiem! w miłującej dłoni
Ziemia wasza krew cudowną roni.“

A pątnicy wstają, wielbią Pana
Trzykroć: „Chwała!” rozsyłają w echa.
Błogosławią ziemi co krwią zlana,
Błogosławią krwi, bo z niej pociecha
I wytrwałość . . . A ty sprawisz Panie,
Narodowi z krwi tej zmartwychwstanie.

Król Kazimierz Wielki.

I.

Kiedy Kazimierz upewniał sobie wszelkimi siłami pokój, Krzyżacy chytrze i przebiegle chodzili około sprawy. Papież Benedykt dał się namówić od Krzyżaków do zniesienia wydanego niedawno na nich wyroku i wyznaczył trzech delegatów: polskiego, papieskiego i Krzyżackiego, aby oni osądzili sprawę. Po umowach przyszło wreszcie w lipcu r. 1343 do ostatecznego ułożenia i spisania traktatu. Na miejsce zjazdu obrano Kalisz. Dnia 8 lipca podpisany był traktat kaliski, mocą którego ustępował Kazimierz Krzyżakom ziemię chełmińską i michałowską, oraz zamki w Nieszawie, Orłowie i Murzynowie wraz z przyległościami w xięstwie kujawskiem, Pomorze zaś nadawał Zakonowi jako lenno Polski, z którego mistrz wielki miał hołd składać królowi polskiemu; Krzyżacy zaś wracali Polsce Kujawy, Dobrzyń i powiat bydgoski, obowiązując się oraz wypłacić 10,000 grzywien tytułem korzyści z Dobrznia i Kujaw. Zaprzysięgli ugodę król na koronę, a mistrz na swój krzyż zakonny i zakończył cały ten ceremonialny obrzęd wzajemnem ucałowaniem się, na znak wieczystej odtąd zgody i przyjaźni.

Wszelako pomimo wszelkich owych upewnień łatwo można było przewidzieć, że zgoda z Zakonem nie może być wieczystą. Polska nadto wiele traciła, aby się mogła wyrzec wszelkiej nadziei powetowania sobie kiedyś tych strat; Zakon też nadto był już rozpanoszonym, nadto chciwym zysków i coraz dalszej grabieży, aby pochłonawszy Pomorze nie pokusił się w przyszłości i o inne ziemie. W chwili jednakże obecnej zdawały się obie strony zaspokojone zawartą ugodą.

Na dniu 22 listopada 1348 zawarł Kazimierz ugodę z cesarzem niemieckim, zjechali się obaj monarchowie w Namyślowie i zapominając wszelkich uraz, przyrzekli sobie stałą przyjaźń. Za owe kilkunastoletnie trudy, za owe przeciw woli narodu przyjmowane zrzeczenia się, na pozór lekkomyślne, przyszło teraz królowi zbierać obfite owoce, wetować rozleglejszymi nierównie nabytkami poniesione uszczerbki, cieszyć się niepospolitem znaczeniem u sąsiadów, widzieć państwo swoje coraz potężniejsze i postawione w rzędzie pierwszych mocarstw europejskich, a w końcu w uwieńczenie wszystkich prac i dzieł swoich, ku wieczystej sławie imienia swego i nieporównanej z niczem korzyści ojczyzny, obdarzyć naród pierwszą xięgą praw i akademią krakowską.

W roku 1340 zginął od trucizny książę (książę) halicki Bolesław i nie zostawił po sobie żadnego potomstwa. Tatarzy i Litwini chcieli zagarnąć jego ziemie pod swoje panowanie. Ale Kazimierz miał najwięcej prawa do całej Rusi boć to i krewny książąt ruskich i od dawna już Ruś do Polski należała.

Równocześnie z wieścią o śmierci Bolesława pojawił się zagon tatarski u południowych granic Polski. Więc nawet dla samego zabezpieczenia własnej zagrody trzeba było podjąć jaknajspieszniej zamierzoną na Ruś wyprawę. Jakoż z wiosną roku 1340 wyruszył sam król na czele silnego wojska i wkroczył w granice czerwonoruskich ziem. Zrazu postępowały hufce krajem gęsto dosyć zaludnionym i wsiami rozległymi nasiadłym. Bliskie sąsiedztwo Polski i Litwy osłaniało bowiem zachodniopółnocne okolice Rusi, nad Sanem, Bugiem i Styrem od łupieży tatarskiej, dozwalając im zasiedlać się i zagospodarowywać swobodniej. Ale im głębiej w kraj tem straszniejsze ślady zniszczenia, tem rozleglejsze pustkowie.

Król podstąpił aż pod Lwów, zajął go i do domu powrócił a rozbijałe w nierządzie długoletnim bojarstwo to z Tatarstwem, to z Węgry w umowy wchodzić poczęło. Widział się więc Kazimierz zmuszonym w tymże samym roku drugą podjąć wyprawę, w której opanował Przemyśl, Sanok, Lubaczów, Halicz i Trębowłę i pogromiłszy w roku następnym Tatarów, którzy pod hanem Uzbekiem aż pod Lublin się zapędzili,

zdobycze swoje na Ruś ile tyle zapewnił. Poźną jesienią r. 1349 wyprawił się Kazimierz ze znacznem wojskiem poraz trzeci na Ruś Chodziło teraz przedwszystkiem o poskromienie Lubarta, który za czasów owych rządów bojarskich cały Wołyń był opanował. Nie otrzymawszy posiłków od swych braci kniaziów litewskich, nie mógł Lubart sprostać przeważnym Kazimierza siłom i ustępując z jednego grodu po drugim tylko przy Łucku się utrzymał. Niebawem był cały kraj od Sanu aż po górny bieg Styru w posiadaniu Polaków. Papież zawiadomiony o tem że król polski opanował tak rozległe ziemie iż na nich siedem biskupst i jedno arcybiskupstwo założyć będzie można (!), ale że tej zdobyczy grozi nieustanne niebezpieczeństwo od Tatarów pozwolił Kazimierzowi przez lat cztery używać na wojnę z poganami dziesięciny ze wszystkich dochodów kościelnych. Zajęty organizacją i ubezpieczeniem czerwonoruskich dzierżaw przebywał Kazimierz jeszcze w lecie roku następnego we Lwowie i dopiero jesienną porą do Krakowa powrócił. (D. c. n.)

Zniesienie.

Po nad małą rzeczką Pełtwą rozciągały się na lewo szerokie błonia zarośnięte krzakami i trawą. Miejscami błyszczała kałuża wody, miejscami wystawały niby kępy z bagna podniesione pagórki, przez niskie brzegi przelewała się rzeczka co wiosnę i tworzyła na rozległej przestrzeni jednostajne jeziora. Po prawej stronie nad Pełtwą usypany wał z ziemi, za nim gruby mur się rozciąga, miejscami opatrzony okrągłymi otworami, niby okienkami, a w środku tego muru żelazna furtka. Z za muru sterczą wieże kościołów i dachy kamienic. To miasto Lwów. Spyta kto może o mury, gdzie się podziały, że się ich teraz odszukać nie można?

— Wrogi nasze znieśli mury, gdy nam brakło swobody, gdy zabrakło króla własnego, co mieszkał w Krakowie lub w Warszawie. W Warszawie dziś moskal gospodaruje, a w Krakowie — w Krakowie w kaplicy zamkowej spoczywają koście naszych królów, a zamek królewski zajęli austriacy na koszary żołnierskie.

Historya właśnie tu opowiadana działa się za naszych lepszych czasów, kiedy Lwów był miastem obronnem, otoczonym murem, a nad narodem panował król Jan III Sobieski. Z jednej strony wały, rzeka, bagna i mury broniły Lwowa, z drugiej góra wysoka na której stał zamek murowany, z którego dziś już tylko kawałki sterczą, zaledwie ślad wskazując, gdzie dawniej silne gmachy się wznosiły.

W zamku na dole obszernym dziedzińcu okolony stajniami, gdzie sto koni rżało przy żłobie gotowych na rozkazy Sobieskiego; część zamku zajęta przez wojsko, chłopcy dzielne żwawe, a poczciwe bo to nasze dzieci. Oby widzieć tylko swoich żołnierzy! Obcy wojak przychodzi zawsze jak na rabunek, wszystko przed nich schowaj, zawsze się go człowiek obawia, a choć karmi i poi, nigdy dla niego dosyć, zawsze chce więcej. I człowieka nie poszanuje, każe sobie usługiwać. Tylko swój ze swoim zgodzić się potrafi.

Król Jan Sobieski siedzi na zamku i wypatruje przez okno. Z okien zamkowych daleko widać rozległe pola i wioski rzucone po równinie. Z tyłu za górą schowane miasto i bokami obszernej doliny, ciągną się góry, niby umyślnie sypane wały. Król patrzy po dolinie, bo właśnie otrzymał wiadomość że niezliczone wojsko Tatarów i Turków naszą ziemię najechało. Bogata nasza ziemia, wrogi ją obdarli. Turek któreśdy przejdzie rabuje wieś, zabiera bydło, morduje ludzi: a gdy już nie ma do wzięcia podpala próżne chaty i ciągnie dalej, jak moskal. Dowiedziawszy się o najściu Turka zmarszczył wysokie czoło waleczny Sobieski i posłał rozkaz do miasta, aby się natychmiast zebrało całe wojsko, a było we Lwowie wszystkiego sześć tysięcy kawaleryi i piechoty. Rozkaz królewski wykonano natychmiast: już nasze wojsko idzie pod górę zamkową.

Tymczasem na rozległych polach daleko na samym krańcu widnokreśgu, tam gdzie niebo przychyła się do ziemi zaszarało niby występująca chmura. Nie chmura to była, lecz tłumy Tatarów i Turków; prosto na Lwów pędzą, a nie pytają czy droga czy rola, lecz prosto wałą widząc przed sobą zamkową górę. Więc król Sobieski sprowadził wojsko na dolinę, na błoniach postawił konnicę, a był na prawo od zamku lasek

w wąwozie i droga przez lasek: tam król ponad drogą kazał strzelcom poza drzewami się poustawiać.

Wróg pędzi — prosto uderza na naszą konnicę. Dzielne wojaki trzymają się jak mur, a po pogańskich karkach tłuką niemiłosiernie. Mnóstwo pada Tatarstwa, ale jeszcze czem raz ich więcej przybywa, i cisną się na drogę do Lwowa przez ów lasek na prawo. Nasi strzelcy w sam środek ich wpuścili, a gdy już weszli, wtenczas ze wszystkich stron zaczęli strzelać. Nieprzyjaciele w popłochu sami się kaleczyli i tratowali, a nasi wypadłszy z za drzew dobijali i rąbali pałaszami i toporami.

Na pobojowisku zostało dziesięć tysięcy trupów Tureckich, a w owym lasku stosy się walały, tak że nawet nie można było przejść tamtędy, cała droga była zawaloną trupami!

Król Sobieski wrócił do Lwowa, a na miejscu, gdzie od naszych strzelców tylu nieprzyjaciół padło, założył wioskę, która do dzisiejszego dnia nazywa się Zniesienie.

P. Z

Ż e l a z o.

Wielkie znaczenie żelaza, jakie mu przemysł nadaje, powoduje nas do uczynienia krótkiej o niem wzmianki.

Żelazo w stanie metalowym, z wyjątkiem meteorów, które nie są płodami ziemi, lecz spadają w kształcie ognistych kulek z powietrza, a oprócz żelaza zawierają w swym składzie i inne pierwiastki nie istniejące w naturze. Własność ta żelaza, iż się z gazami lub ciałami jak: kwasoród, węgloród, siarka, fosfor i t. p. łączy, i swój pierwiastek metalowy traci, była zapewne przyczyną, że dopiero po złocie, srebrze i miedzi, poznanem i ocenionem zostało. Okoliczność tę potwierdza to, że n. p. starożytni Egipcjanie około tysiąca lat przed narodzeniem Chrystusa żyjący, posiadali kopalnie złota, nie znaleziono jednak nigdy w zasypanych zwaliskach narzędzi żelaznych.

W czasie wojny trojańskiej walczono bronią zrobioną z miedzi lub bronzu, bo żelaza jeszcze nie znano. Rzymianie tylko jedni dawno już używali żelaza —

Od dwóch tysięcy lat prawie, wyrobnictwo żelazna nie uczyniło wielkiego postępu; dopiero w tem stuleciu, przybrało ono olbrzymie rozmiary, a zwłaszcza od czasu gdy poczęto zakładać koleje żelazne.

Nie ulega wątpliwości że tak wielkie wyrobnictwo i użycie żelaza stało się podstawą dobrobytu, potęgi i niepodległości ludów.

Ruda, czyli surowiec żelaza (to jest ziemia, w której się żelazo znajduje i z niej wydobywa,) jestto połączenie żelaza z kwasorodem i węglorodem, a im takowe mniej obcych zawiera żywiołów, tem łatwiejsze onego wydobywanie.

Do wytwarzania żelaza z rudy trza też rudę w kawalki drobne roztluc. Robi się to w tak zwanych walcowniach umyślnemi do tego maszynami. Następnie trza, aby z rudy czyste żelazo wydobyć, oddzielić wszystkie żelazne części rudy, jak n. p. części ulotne, wodę, siarkę i t. p. To się dokonywa przez rozpalenie rudy. W wielkich piecach, podobnych kształtem swym do wieży, układa się warstwami rudę, kładąc na przemian raz warstwę rudy, raz węgla, aż pod wierzch pieca.

Poczem się piec rozpala z pod spodu. Przez nadzwyczajne gorąco, oddzielają się powietrzne i inne części od rudy; żelazo oczyszczone staje się płynnem jak woda i dla ciężkości swej spływa na spód pieca, a następnie w rynny na ten cel z piasku sporządzone; żużel zaś pozostaje na powierzchni stężalego żelaza.

U nas są huty żelaza, lecz te na bardzo jeszcze niskim są stopniu mimo to, że bardzo wiele żelaza na narzędzia różne, maszyny, drogi żelazne potrzebujemy. Zawsze w stosunku do potrzeby naszego kraju, zbyt mało sztab żelaznych u nas się wyrabia.

Najznakomitszą w Europie na stałym lądzie jest huta i walcownia w Wasseralfingen (w Niemczech, w prowincyi Wirtemberg). Zatrudnia ta huta codziennie 1100 robotników. Zwiedzanie tejże jest każdemu dozwolone — każdy się może własnymi przypatrzeć oczyma, jak z niepozornej bryły ziemi wydobywa się metal, który nam codzien i wszędzie potrzebny, bez któregośmy się nawet obejść nie mogli.

Nowy sposób nauczania czytania.

Każdy z nas przypomina sobie z jakim trudem mu przychodziło wyuczyć się czytania i pisania, jak to długo i mozolnie nauczyciel nad nim pracował, zanim go zupełnie wyuczył. Szczęśliwy ten jeszcze, kto się w młodości wyuczył, kogo rodzice do szkółek posyłać mogli i posyłali — ale niejedynemu nie mógł skorzystać z dobrodziejstw, jakie nam czytanie daje, raz że rodzice nie byli w stanie lub nie chcieli go dać uczyć, raz że szkółki nie było we wsi; — otóż, moi kochani czytelnicy, bez liku i w mieście i po siolach jest ludu, co wzrósł i postarzał się, nie nauczywszy się czytania! Dla tych to ludzi, dla dorosłych nie umiejących wymyślono nowy sposób, za pomocą którego w krótkim bardzo czasie, bo w jednym miesiącu, każdy kto chce tylko, i pilnie na nauczyciela baczny, wyuczy się czytania, a dalej i pisania. Wymyślił tę metodę, t. j. sposób ten, pan M. J. Konstanyłowicz, a że sam nie może wszędzie osobiście uczyć, przeto postanowił swoich zastępców po wsiach i miastach, którzy ludka nasz bezpłatnie uczą. Obecnie bawi pan Konstanyłowicz w powiecie Wadowickim, w którym już dla 86 gmin postanowił nauczycieli i tychże swojego sposobu wyuczył. Ztąd kolejno zamierza przez cały kraj nasz przejść, nie pomijając żadnej wioski, żadnego miasteczka, za którą to ofiarę i trud jego niech mu Bóg nagrodzi. Obszerniej, tudzież o dalszym rozwoju tej nauki, donosić będziemy w następnych numerach.

Rozmaitości.

Nowa książka. P. Aleksander Kisielewski, redaktor czasopisma *Opiekun polskich dzieci*, wychodzącego we Lwowie, wydał w czasie ostatnim dzieło pod tytułem: *Palestyna i jej święte pamiątki*. Książeczka ta o 4 arkuszach druku, ozdobiona jest licznymi i bardzo pięknymi obrazkami. Przeznaczona jest dla

dzieci i napisana stylem przystępnym. Polecamy ją zatem jako dziełko, na nagrody dla pilnych i grzecznych dzieci.

Pijak. Spowiadał ksiądz opoja i nauczając go, zagroził mu temi słowy: jeżeli się nie poprawisz, to w piekle gorący dziegieć pić będziesz. Wziął to sobie do serca opój i wstrzy-

mał się przez czas niejaki od trun- ków. Ale jak to zwykle natura ciągnie wilka do lasa, zaglądał i on czasem do karczmy i ślinkę tylko polykał, gdy drudzy pili i bawili się wesolo. Chciał nieraz zła- mać przyrzeczenie, ale diegieć gorący zawsze go niepokoił. Raz przecie coś go skusiło, pomyślał sobie, anu niech ja tego dziegciu cokolwiek skosztuję. Jak pomyślał, tak też zrobił, kazał sobie dać kieliszek dziegciu ciepłego, a zamru- żywszy oczy — lęknał. Splunał, skrzywił się, ale po chwili minęła odraza. „Oho nie jest to tak zły dziegieć, jak to Dobrodziej strasz yli, a zresztą człowiek się i do dziegciu przyzwyczai; dajcie no Moszku wódeczki, aby zalać robaka.“

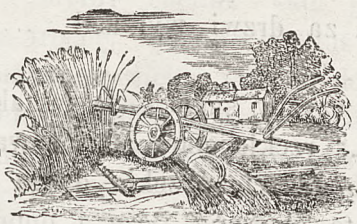
Rolnik. Gospodarz pewny ciągle wzdychał, żeby to w jego moey było spuszczać deszcze, jak by on się dobrze miał przy tem. Wysłuchał Bóg jego prośby i dał mu władzę nad deszczami. Uszczęśliwiony go- spodarz orze, sieje, spuszcza deszcz kiedy chce, nareszcie przy końcu żniwa pokazało się, że daleko mniej zebrał, niżeli drudzy gospodarze. Skarzy się Bogu że został oszukany Na to odpowiedział pan Bóg, a pro- siłeś mię o rosę? Nie! Otoż widzisz nie mieszaj się do mego gospo- darstwa.

Organista. Wartogłów jakiś uroił sobie, że on może być orga- nistą. Idzie tedy do pewnego pro- boszcza i staje za organistę. Pro- boszcz przyjął go i kazał mu mszę zagrać. Wali tedy po klawiszach

palcami ni w pięć, ni w dziewięć, organy huczają, lu, lu, lu, wo, wo. fu, fu, fu! istny zrobił się chaos. Proboszcz ledwie mógł mszę odprawić. Przy końcu sam zaspiewał: Do ciebie Panie pokornie wołamy. Lecz i tej pieśni nie zagrał organista. Po mszy powiada proboszcz: Acan zle grasz, acan możesz sobie gdzie indziej służby szukać. — Ja dobrze gram — odpowiada organista obra- żony. Jak to? wola proboszcz, nawet: Do ciebie Panie nie umiesz zagrać. Jaktó? ja grałem do ciebie Panie, ale kalikancista, zakalikował mi: Gwiazdo morza, a to jeszcze o trzy tony niżej.

Żołnierz. Przyszedł żołnierz na kwaterę i prosi o jedzenie, ale gospodyni powiada, że niema nic dla niego. Filut pyta, czy niema siekiery przynajmniej, to ją sobie zgotuje bo mu się bardzo jeść chce. Baba ciekawa, jak on siekiereę jeść będzie, daje mu siekiereę, którą on w garnek włożył i gotuje. Nareszcie pyta, czy niema jakiej zakryszki do tego; pietruszki, marchwi lub kartofli, Baba daje zakryszki. Na- reszcie prosi czy niema krup trochę. Baba daje krupy. Przy końcu pyta czy niema masła lub słoniny. Baba daje kawał słoniny. — Ugotował tedy doskonały krupnik, wysypał na miskę i zmiata. Baba patrzy, co będzie z siekiereą. Dobył noża i chce krajać siekiereę; twarda jeszcze, woźmu do tornistry, budu jeszcze raz warty, i poszedł w dalszą drogę, a baba ślipie okropnie wy- bałuszyła.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w a.

DZ W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzoba,
Kto chce syt być swego chleba.

Od redakcyi.

Dalszego ciągu powieści „Chleb ma rogi“ nie otrzymaliśmy dotąd z poczty; umieścimy go natychmiast, skoro tylko nadesłanym zostanie.

Wychowanek wioski.

„Nad syrotoju — Boh z kałytoju.“ *)

I.

Koło kościółka wiejskiego na cmentarzyku siedzi chłopczyna może ośmioletni i rzewnie płacze. Było to w Niedzielę; ludzie z nieszpuru idą i spoglądają na chłopczynę; jaki taki kiwnie głową z politowaniem, i z cicha szepnie: ot biedna dziecina, — pańska dziecina a tak w poniewierkę idzie. Kilka kobiet, co to zawsze więcej czułe oł mężczyzn, zebrało się koło chłopczyny, i nuż pytać go, i radzić i pocieszać. „A cóżto wam znowu takiego paniczynu, że tak rzewnemi łezkami płaczenie?“ . . . pyta jedna i druga.

— „Chłopczyna podniósł główkę, spoglądnał na przyjaźne spojrzenia wieśniaczek — przetarł ręką oczęta mokre, — i na pół z płaczem wyrzekł:

*) „Nad sierotą, Bóg z kaletą“ (kaleta tyle co worek z pieniędzmi) — piękne przysłowie naszych braci Rusinów.

— „Oj bieda mi ciąga — znowu stryjaszek bił, oj bił, i jeść nie dał, i za drzwi wyrzucił . . . i w świat mi iść rozkazuje.“

— „Jak to, czyżby śmiał, — ta wszakto paniczka dwór — ta i wioska . . .“ rzekła stara Marcinowa.

— „At, co gadacie, rzekła druga kobieta, — a czyż nie wiecie, że to skaranie Boże i dopust ciężki, a nie pan jaki. Czyż nie pamiętacie, niedawno wójt poszli ta ze starszymi, i prosili go i całowali po rękach, żeby na tę sierotę lepsze dał baczenie, — boć to przecie naszego kochanego dawnego pana dziecko, co to świeć Boże nad jego duszą, tam w powstaniu zginął.“

— „Ot przecież nie trzebaby dać zginąć temu pacholeciu, ozwała się znowu Marcinowa, — toż ten panisko niedobry, to go i zabić gotów, byle po nim wioskę mógł zabrać, a nie, to go zamęczy ciąglem biciem albo głodem zamorzy.“

Tak gwarzyły i litowały się pocziwe kobiety, — żal im było tego dziecięcia poniewieranego Bóg wie za co.

W tem nadszedł stary Maciej, ów wójt, co to już raz chodził prosić do dworu za chłopczyzną. — Stanął sędziwy Maciej, i srodze się zadumał. Siwy wąs targa, a duma i duma, i łza mu po ogorzaleń spływała licu.

— „Ej, niechno tam już co chce będzie, odezwał się w końcu, a Pawelkowi zginąć nie damy. A czyto ja darmo tyle dobrego od nieboszczyka otrzymywał, — przecie on nas wszystkich jak ojciec kochał, — to jego krew ma za to iść w poniewierkę . . . Nie, przez pamięć nieboszczyka, nie pozwolę na to . . .“

I tupnął nogą stary Maciej, i nasrozył się po wojacku. Bo trza nam wiedzieć, że Maciej, to wiarus stary; — on to jeszcze w 1831 r. z dziadkiem Pawelka w Polsce się bił, — a nieźle widno pierś za Ojczyznę kochaną nadstawiał, kiedy do dziś na pamiątkę sporą bliznę na czole nosi. On to kiedy powrócił, wypieścił malutkiego wówczas ojca Pawelka, to też i później on zawsze w dworze był widziany nie jak obcy, ale jak krewniak, jak najlepszy przyjaciel. I pan go dawny kochał, i pani, co także już dawno nieboszczka. A gdy w ostatniem powstaniu r. 1863 pan się za Ojczyznę drogę bić wybie-

rał, to Maciej splakał się jak dziecko przy pożegnaniu z pocziwem paniskiem. I byłby chętnie sam poszedł, tylko że starowina niedomagał trochę, lata mu się już dobrze we znaki dały. A co się napłakał po cichu, jak się dowiedział, że pan już podobno pod zieloną mogiłą leży, że gdzieś w bitwie padł za Ojczyznę. Wiadomość tę przyniósł pierwszy brat pana; czy ona prawdziwa, Bóg to raczy wiedzieć, bo tyle ludu naszego zginęło, a trudno wiedzieć czy polegli, czy też może ich Moskale w ciężką zagnał niewolę. Otóż brat pana przybył, wziął niby opiekun małego Pawelka wioskę w zarząd, i odtąd tłukł się jak szara gęś po gospodarstwie. A nie dobry to był i nie-pocziwy człowieczysko. Ani mu kto kiedy dogodził; każdego musiał skrzywdzić: i ekonomę, i robotnika... każdemu dął się we znaki. A co z małym Pawelkiem, to już najgorzej sobie postępował. Chciał go widocznie zamęczyć, aby po nim jako najbliższy krewny, wioskę zagarnąć. O! nie daj Boże nikomu zostać sierotką, bo ciężka to dola!

Dumał chwilkę jeszcze stary Maciej, nareszcie przystąpił do Pawelka, i głosem jak mógł najłagodniejszym rzekł:

— „Mój złoty paniczku, Pawełeczku kochany“ — ot, kiedy tam stryjasek taki niedobry, to złeż mu i z oczu. Chodź ze mną, posiedzisz jaki czas u mnie, a potem to i pomyślimy jakoś. Tatusz kiedy odjeżdżali wyraźnie mi nakazali czuwać nad tobą, teraz miarka się przebrała; to też chodź do mojej chaty. U nas chata nie zamożna, ale co mamy to twoje, i baba też się na mnie nie pogniewa i złego słowa ci nie piśnie.

— „Macieju, wyszeptał chłopczyna, ja z wami chętnie pójdę, — ale mi stryja strach — ja się boję stryja...“

— „Ej, nie bój się kochanie, przecie cię wyraźnie stryj napędził — a potem ja i gromada, my cię nie damy na dalsze katowanie; ja stary wprowadzie, ale choć on pan niby, ja się go przecież nie boję — złego nic nie robię przeto, to i co mi kto ma kazać?... A w najgorszym razie to cię i ukryć potrafimy, i do sądu wszyscy zaświadczyć pojedziemy o jego nieludzkości. Chodź ze mną serdeńko!“

Pawełek ujął za rękę Macieja, i podążył z nim do chaty. Chata to była porządna — z wszystkich stron widna była

zamożność. A czyściutko wszędzie aż miło. Dach nowo posyty, na nim komin murowany sterczy i koło na dachu założone, a w nim para bocianów klekocze i młodym swym dziatkom rozprawia o dobrem sercu gospodarza. Bo gdzie bocian nad chatą, tam i serca ponoś pocziwe.

Maciejowa, która już od sąsiadek o wszystkim wiedziała jak najlepiej ich przyjęła. Posadziła Pawelka za stołem w świtlicy, a że to już wieczór był, postawiła przed nim wieczerzę, którą chłopczyzna wygłodniony z ochotą i ze smakiem zjadał. Potem posłała mu świeżego sianka, dała własną poduszczynę i życzyła mu dobrych snów. Pawelek też klęknął, zmówił nabożnie paciorek, jak go ojciec nauczył, a że był strudzony, to też i zasnął niebawem słodko. (C. d. n.)

Ż n i w a.

Brzęczą sierpy wśród zagonów

Od samej jutrzeńki,

A na widok Bożych plonów

Brzmiały raźnie piosenki:

Będzie jara, będzie żyto,

Będzie dosyć chleba,

I w stodółce jak nabito,

Czegoż więcej trzeba?

Przodownica jak malina

Smiało sierpem toczy,

Przy niej chłopak gdyby trzcina

Zwraca ku niej oczy.

Poza niemi jakby wieńcem

Z wstążek i koralu,

Ciągną żeniec po za żeńcem,

Coraz dalej, dalej.

Matka ziemia się nie sroży,

Choć jej tną równiny,

Boć ten cały ludek Boży

Toć to są jej syny.

Ona swym ich karmi plonem

W każde żniwo nowe,

I ogrzewa własnym łonem,

Gdy w niej złożą głowę.

Więc też żęncy ciągną sznurem,
I z sierpem po plonach,
I z tą pieśnią, co brzmi chórem
Na naszych zagonach.

A gdy kłoska już nie stanie,
Splotą upominek,
I zawieszą go na ścianie
W szczęsnym dniu dożynek.

Bez pracy, nie będzie kołaczy.

Gdy Adam i Ewa na pracę skazani,
Z rajskiego ogrodu zostali wygnani,
Cherubiu rzekł do nich: „W świat idźcie biedacy,
Już teraz bez pracy nie będzie kołaczy.“
Więc smutnie w świat idąc mówili do siebie:
„O! w jakże nas ciężkiej Pan stawia potrzebie!
Tak dobrze nam było w roszkownym Edenie;
Mieliśmy owoców na każde zachcenie,
A teraz musimy najmniejszy plon ziemi
Zdobywać, niestety rękami własnymi!“
Lecz rady nie było, już kłamka zapadła:
Więc trzeba się było jąć rydla i radła.
Szło z razu oporem, trud zdał się im żmudny,
Boć każdy, jak wiecie, początek jest trudny.
Lecz wkrótce uczuwszy ci pierwsi kmiotkowie
Skrzepione od pracy i siły i zdrowie,
Przestali nazywać nieszczęście swe srogiem;
A gdy się im praca już stała nałogiem,
Gdy słodycz spoczynku po trudach poznali,
Powoli i szemrać na los swój przestali.
Niebawem też ziemia ich potem zroszona
Zaczęła wydawać i kłosy i grona:
Z radością patrzyli na starań swych dzieło,
I błogie uczucie ich serca przejęło,
I plon ich miał prawie tak wiele dlań miodu,
Jak słodkie owoce rajskiego ogrodu.
Więc wznieśli wzrok w niebo, i zgiąwszy kolana,
Takiemi się słowy ozwali do Pana:
„O Boże! o Stwórco łaskawy bez miary,
Jak wielkie twe dary, — tak zbawcze i kary;
Ty karząc obdarzasz, Ty chłoczując uzdrawiasz,
I w skutkach nieznacznie swą łaskę objawiasz.
My na Cię sarkali, i na nasz stan bieden,
Dziś widzimy, że praca zastąpi nam Eden.“

Król Kazimierz Wielki.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem otrząsłszy się cokolwiek od Krzyżaków, uderzyła Litwa niezwłocznie całą siłą na Ruś, aby powetować poniesione w tej stronie straty. Rozsypały się niszczące zagony litewskie po świeżo zajętych przez Polskę ziemiach wołyńskich i halickich, i po krótkim czasie przeciągu było już wiele zamków, a podobno nawet sam Lwów w rękach kniaziów Litewskich. Król Kazimierz nie miał sam dostatecznych sił do odparcia napadu litewskiego, udał się więc do Ludwika króla węgierskiego, i na podstawie dawnego przymierza i ugody żądał od niego pomocy. Ale król Ludwik, jak to zwykle bywa, chciał z tego kłopotu wuja swego skorzystać, i na przyszłość posiadanie Rusi sobie i swym następcom zapewnić. Powiadali bowiem Węgrzy, że oni dawniejsze do Rusi mają prawa niż Polska, gdyż już za dawnych bardzo czasów Ruś do nich należała. Były to prawa bardzo wątpliwe, a co do swej starodawności nie mogły się równać z polskimi, bo wówczas, kiedy to król nasz Bolesław Chrobry o złotą bramę miasta Kijowa miecz swój szczybił, kiedy dawniej jeszcze Włodzimierz Mieszkowi I. czerwonoruskie odbierał grody, wówczas jeszcze i noga węgierska na ziemi ruskiej nie była postać. A i później nieraz i przez dłuższy czas Ruś była pod panowaniem Polski. Przyciśnięty koniecznością musiał Kazimierz Wielki uznać niesłuszne żądania Ludwika i około Wielkanocy r. 1352 odpisał następującą ugodę: Odstępuje Ludwik Kazimierzowi Ruś za cenę 100.000 florenów, z tem atoli zastrzeżeniem, że gdyby po Kazimierzu Ludwik korony polskiej a z nią razem i Rusi nie odziedziczył, wolno będzie Węgrom za tę samą cenę Ruś nazad odkupić. Po tej dopiero ugodzie, która Węgrom na każdy wypadek posiadanie Rusi na przyszłość zapewniała, dał się Ludwik nakłonić, by wujowi swemu na pomoc pospieszył, i wyruszył osobiście na czele swych wojsk na Ruś, gdzie Kazimierz z swem wojskiem już od kilku miesięcy się znajdował. Wspólnymi siłami wyparli Litwinów z miasta Halicza i Włodzimierza, a kniazia litewskiego Lubarta wzięli w niewolę. Mimo to szczęście im nie sprzyjało. Książę litewski Olgierd

zawezwał ku pomocy swojej hordy tatarskie; wtedy widział się Kazimierz zmuszonym zawrzeć rozejm t. j. zgodę tymczasową. Litwini zatrzymali miasta Włodzimierz, Łuck, Chełm, Bełz, Brześć, zapewniając Kazimierzowi zato spokojne posiadanie ziemi lwowskiej i halickiej, nadto zobowiązali się dawać mu pomoc w każdym razie przeciw Tatarom.

Niejednokrotnie jeszcze później Kazimierz na Ruś się wyprawiał; niejedno jeszcze zaszło krwawe starcie, którego już to Litwa, już to Tatarzy byli powodem, ale dzierżawy polskie na Rusi nie tylko się nie zmniejszyły, i owszem wzrosły, wzbogaciły się i uporządkowały pod starannym tego mądrego króla zarządem. W roku 1366 ostatecznie się król Kazimierz z książętami litewskimi o granice ruskie ułożył.

Gdy tak z tej strony Kazimierz Polsce Ruś przywrócił, z drugiej strony za pośrednictwem króla Ludwika księstwo Płockie od holdownictwa czeskiego uwolnił. W zamian oswobodzenie Płocka i całego Mazowsza z pod wpływu czeskiego, rzekł się Kazimierz wszelkich praw do Swidnicy i Jaworza, księstw szlązkich. Tak utracił wprawdzie Kazimierz ostatnią posiadłość na Szlązku, ale za to wyswobodził Mazowsze z pod obcego wpływu, przygotowując przeto zupełne tej serdecznej ziemi z koroną zespolenie.

Tak wracały powoli dawniejsze uszczerbki i wypełniały się znowu granice królestwa. Król Kazimierz powiększył i wzmocnił Polskę, utrwalił w niej pokój przez zgody z sąsiadami i mógł teraz zupełnie swobodnie odpocząć po tylu pracach i wojennych przeprawach. Ale nie tak uczynił ten ojciec swego narodu. Oto zajął się wzbogaceniem i podniesieniem swego królestwa; wyteżył swe staranie by w tej Polsce prócz spokoju na zewnątrz, także wewnątrz oświata, zgoda, bogactwo, przemysł, wogóle wszystko co kraj podnosi i zdobi, zakwitły. Pierwszym czynem na tej drodze było ustalenie prawa, bez prawa bowiem sprawiedliwego żaden naród szczęśliwie żyć i rozwijać się nie może.

W Polsce wówczas ogromny panował zamęt w stosunkach prawnych; prawa krajowego, któreby wszystkich zarówno obowiązywało, nie było; musiał więc Kazimierz zebrać wszystkie pojedyncze przepisy, co w Polsce starodawnym zwyczajem

moc prawa otrzymały, wszystko co od pradziadów albo pisemnie albo też ustnie za prawo służyło, wszystko to musiał Kazimierz zebrać, to co niestosowne zmienić, nowe dodać, jednym słowem ogólne prawo dla Polski wydać. Tak bowiem podówczas w Polsce było: po sądach były tak zwane księgi sądowe; jeżeli trza było osądzić jaką sprawę, to szukał sędzieja, czy już przedtem, przed laty podobny gdzie wypadek się nie zdarzył i tak samo sądził. Jeżeli zaś w księgach sądowych podobnego wypadku nie było, wtedy dawano nowy wyrok, i dla użytku na przyszłość wpisywano do ksiąg sądowych. Rozumie się, że przeto nieraz niesłuszności i zdzierstwa się zdarzyły. Trza było tedy przedwszystkiem utwierdzić to prawo zwyczajowe, bo polegające na zwyczaju dawnych lat. Gdy tu atoli księgi sądowe niedostatecznymi się okazały, musiał Kazimierz takich ludzi zawezwać, którzy ze stanowiska swego jako sędziowie, osobiście prawo dawne na pamięć umieli. Takimi sędziami byli wojewodowie. Każdy z nich z rozkazu króla spisał prawo, i przysłał królowi do Krakowa, gdzie osobne grono mężów biegłych w prawie te prawa poprawiało. Po ukończeniu tej pracy zwołał król zjazd jeden w Piotrkowie dla Wielkopolski, drugi w Wiślicy dla Małopolski (w r. 1347) osobno dla obu i statuta nowe przedłożył. Panowie obradujący przyjęli statuta królewskie poczem w licznych odpisach z pieczęcią królewską te statuta wszystkim głównym urządóm i sądom rozesłano.

Prawo to nie było jeszcze zupełnie dobrem, mnóstwo było w niem jeszcze usterek i niestosowności, zawsze zbyt rażąca była różnicą między Mało a Wielkopolską, które do odmiennych praw będą przyzwyczajone. Dodawano nowę całą Polskę obowiązujące statuta, które te różnice praw zwolna zacierają.

Aż nareszcie w r. 1368 pod sam schyłek życia Kazimierza, zwołano wspólny zjazd w Wiślicy, gdzie jeden wspólny statut dla całej Polski ułożono. Była to korona ustawodawczej wielkiego króla pracy.

(D. c. n.)

Prusaki.

Pyta dzisiaj jaki taki, co za naród te Prusaki? Wistocie ciekawe to pytanie zkąd się wzięli prusaki. Może myślicie

że ja wam opowiem o tych prusakach, co często po chatach roją się między szparami drewnianych domów? nie o tych owadach chcę mówić, powiem coś o ludziach Prusakach, co mają swego króla w Berlinie i zagarnęli kawał ogromny naszej ziemi, naszej ojcowizny, z miastami Poznaniem, Toruniem, Gdańskiem, co się starają przemocą nasz naród przeprowadzić na niemiecką wiarę.

Żył sobie nad morzem bałtyckim naród dzielnych Prusów, po odwiecznych lasach stawiał drewniane domy, polował na grubą zwierzynę, a po brzegach morza trudnił się rybołówstwem, wylapywał śledzie i zbierał złocisty bursztyn. Bo bursztyn nie rośnie na drzewie, ani w górach kruszcowych, ale go wyrzuca morze, wypłukuje z swych głębin i unosi na nadbrzeżny piasek, a ludzie potem idą i zbierają i sprzedają kupcom całego świata. Naród owych Prusów silnie zbudowany i waleczny, był z naszym spokrewniony, różnił się nie wiele obyczajami i zrazu wybierał własnych książąt. Myśmy ludzie spokojni, a nasi ojcowie pilnowali także rodzinnej strzechy, ale jeżeli im kto wlaził do chaty i chciał gospodarować, wtenczas się wzięli za ręce i jak jeden mąż występowali przeciw wrogom. Nasi ojcowie szanowali cudzą miedzę i cudze granice ale Prusy jeszcze byli ciemni, a przytem czuli w sobie młodą krew, zapatrzyli się też na morze, jak ono wdziera się na ląd i nieraz wodą zalewa brzegi, więc też i oni dalej się posunęli i wdzierali się w nasze posiadłości.

Rozczytawszy się w dawnych kronikach i historyach pisanych przekonujemy się, że już król nasz Bolesław wielki i Bolesław krzywousty i inni walczyli z Prusami, a choć im narazie zawsze dali radę, to przecie tamci znów się podnosili i znowu stawali do walki.

Dawne to dzieje, bo jeszcze wtenczas nawet w Europie to jest w tej części ziemi w której i nasze ziemie leżą, nie była zaprowadzona wszędzie religia chrześcijańska. Nasi ojcowie już chrzest byli przyjęli, ale sąsiedni Prusy byli jeszcze bałwochwalcami i modlili się do kamiennych lub drewnianych bogów. Taka różnica religijna przyczyniła się bardzo do nowych nieporozumień i wojen z spokrewnionymi sąsiadami.

Najczęściej napadali Prusy Mazurów. A był na mazurach książę Konrad, który widząc, jak biedny naród jego gnębią Prusy, a on sam jest dość słaby i napastnym sąsiadom oprzeć się nie może, zaczął się oglądać po świecie z kądby dostać pomocy.

Dziś niemców jest bardzo dużo, a mnożą się tak, że nawet ich kraj niemiecki pomieścić nie może, więc rozlażą się po całym świecie i do nas zachodzą to koloniami i obsiadają pola, to pojedynczo zawędrował jaki taki i zaraz został urzędnikiem na poniewierkę narodu, albo konsylerzem. Tak to bywało. Wtenczas za życia naszych ojców, było także mnóstwo niemców, więc za ciasno im było w domu, dlatego wybrali się na Turka za morze. Długo się tam bili i mordowali z Turkiem, ale mu rady nie dali, bo on tam gdzie siedział dawniej, tam sobie i teraz spokojnie panuje. W owych to wojnach z Turkami potworzyły się różne zakony, powstał także zakon niemiecki Krzyżaków. Dopóki wojny było, dopóty Krzyżaki mieli bogate zdobycze i wygodne życie, a gdy wojny nie stało, wynieśli się z tureckich krajów i cichutko osiedli we Włoszech w mieście Wenecyi.

Mazowiecki książę Konrad oglądając się po świecie za pomocą pomyślał sobie, że możeby zawołać ten zakon Krzyżaków, bo to i osoby duchowne i noszą poświęcane pałasze, więc nam pomogą bić Prusy a może nauczą ich także wierzyć w Chrystusa. Jak sobie myślał, tak też i zrobił. Wyprawił posłów do Krzyżaków do Wenecyi. Nasi przyszli pokorni, jak zwyczajnie do osób duchownych, a tam przełożony Krzyżaków jeszcze pokorniej się skłonił i powiada:

— My Krzyżacy służymy Bogu, a jeżeli wy chcecie abyśmy wam dali pomoc przeciw poganom, to chętnie zgodzimy się. Pójdziemy bić i mordować Prusów na większą chwałę Bożą.

— Na to znowu nasi posłowie mówią: za waszą pomoc naznaczymy wam kawał ziemi, abyście mieli żyć z czego wygodnie, ale musicie nam przysiąc, że pójdziecie zawsze i wszędzie przeciw naszym nieprzyjaciołom.

— Bić nieprzyjaciół waszych będziemy, odpowie przełożony Krzyżaków, a co do wygody, my tego nie potrzebujemy,

my zakonnicy, byleśmy mieli kawał suchego chleba, świeżej wody i miejsce do oddania czci Panu Bogu, więcej nam nie potrzeba.

Ujęci tą pokorą posłowie zaprosili ich by jak najprędzej przybywali na naszą ziemię, a znajdują gościnę i czego tylko będą potrzebować.

I rzeczywiście pokorne muichy niemieckie przyszli do naszego kraju, i służyli naszym w wojnach przeciw Prusom. Lecz gdy się już zagniezdziłi, wtenczas dopiero głowę podnieśli i nie byli już tak pokornymi. Choć mieli i miasta z kościołami i ziemię dostali, aby nie tylko chleb suchy, ale wygodne mieli utrzymanie, przecie to wszystko wydało im się za mało, zaczęli zabierać po kawałku naszego kraju, ludzi jak niewolników zabierać, i kazali naszym wieśniakom ziemię sobie orać i kopać rowy i sypać wały naokoło swoich zamków. Biedny nasz naród poznał za późno, że wygrzał gadzinę na własnej piersi. A Prusy? Prusów jak ciężkim kamieniem przygniótł własnym ciężarem ten niemiecki zakon, więc powiedzieli, że już z nami się złączą i przyjmą wiarę chrześcijańską. Lecz zakon Krzyżaków, co niby za wiarę życie oddawał, powiedział, że woli, aby Prusy byli poganami, niż żeby mieli się zgodzić z nami. Nasi ojcowie już teraz do broni się porwali, lecz nie przeciw Prusom, ale przeciw Niemcom Krzyżakom.

Z początku do naszego kraju przyszła ich mała garsteczka, a później z całych Niemiec, jak z wora się sypali na nasze karki. Prusów mordowali i ziemię ich zabrali, ich wsie i miasta, a zaczęli się sami nazywać Prusakami. Dawniej mówili że dla nich chleb suchy wystarczy i woda, teraz, krwią Prusów się nakarmili, a spijali najdroższe wina. Zakonnicy pokorni nosili długie białe płaszcze z czarnymi krzyżami, i na pozór zawsze wyglądali ubogo. Biedni zakonnicy, złoto się na nich nie świeciło, ale spojrzeć do środka, do ich zamkniętych piwnic po klasztorach, tam złoto w worach stało obok beczek napelnionych najdroższem winem. Zakonnicy ubodzy, a jak daleko spojrzeć, łany zboża ciągną się i wioski zakonne, tłuste woły, a rosłe konie Krzyżaków wypasają się po obszernych łąkach.

Długie wojny z nimi nasi ojcowie toczyli; aż ich pobił nasz król Łokietek, potem jeszcze się podniesli, ale znowu król Władysław Jagiełło pobił ich niezliczone mnóstwo w wielkiej wojnie pod wsią Grunwaldem. Połowa kraju dawnych Prusów przystała do naszego króla, a drugą połowę król zostawił Krzyżakom niemcom co się już odtąd Prusakami nazywali. Pokarał ich Pan Bóg i upokorzył, a od ostatniej bitwy znowu nasze mnichy niemieckie wrócili do modlitwy i żyli spokojnie nie mieszając się w nasze sprawy, tylko każdemu królowi naszemu w Krakowie składali na wierność przysięgę.

Kraj nasz od tego czasu przez długie lata używał spokoju od strony Prusaków niemców.

Tymczasem po wielu latach zaczęło się pomiędzy chrześcianami szerzyć niedowiarstwo. I patrzcie te mnichy co niby dla wiary Chrystusowej krew przelewali, fałszywie udając gorliwość, na obrazę Pana Boga tyle ludzkiej krwi wytoczyli, te mnichy Krzyżaki pierwsi odstąpili od wiary, pozrucali czarne krzyże i suknie zakonne i pożenili się. Od tej pory nazywali się już ciągle Prusakami, i dzieci tych z konników już także Prusakami się nazywali. Zakonników tych było dużo, całe wojsko; odrazu więc wyszedłszy z klasztorów porozdzielali pomiędzy siebie dobra i zostali panami. Ale naszym królom zawsze jeszcze i potem składali przysięgę na wierność.

Widzicie jak życie naszego narodu splotło się z niemcami co się przezwali Prusakami a nasze zajęli ziemie. Lecz Pan Bóg nas jeszcze więcej ukarał, bo te Prusaki urosli w potęgę i zabrali nam najpierw ziemię Prusów a potem wymyśleli taką sztukę fałszywą, aby nas pozbawić wolności. Naradzili się z Moskałami i z Austryjakami i nasz kraj porozrywali pomiędzy siebie a Prusaki wzięli nam kraj, co się nazywa wielkiem księstwem Poznańskim.

Patrzcie jaki bież ukreślił nasz naród na siebie sprowadziwszy owych mnichów, co to jak żebraacy tułali się bez dachu po świecie, ale miarka sprawiedliwości bożej się przebierze i ukarze Bóg ciężkiego wroga za nasze wszystkie niedole.

Obrońca Matki Najświętszej.

Gościnna ziemia polska przybyszom uciśnionym z całego świata zabezpieczała niegdyś swobodne schronienie. Wielu z nich pokochawszy tę ziemię zrosło się z narodem polskim i odwzajemniło serdeczną gościnność poświęceniem mienia i życia dla dobra tej przyswojonej ojczyzny. Tatarzy nawet, owe barbarzyńskie plemię, miało szczególniejszy pociąg do tej ziemi. A tak gdy jedni zdobywczami obciążeni uchodzili w puszcze niedostępne, drudzy oczarowani powabem przyrody, nie mogąc się oderwać od tej błogosławionej krainy, osiedlali się po różnych miejscach, a najbardziej w Litwie, gdzie mieli obszerne osady, rząd i chorągwie wojskowe pod zwierzchnictwem naczelników.

Nowi osadnicy wiernie służyli Polsce, a Magnaci zadowoleni ich sprawnością radzi im zawsze byli. Miał też książę Radziwiłł Tatarzyna przy boku swoim, który lubo na lewą rękę był kaleką, jednak prawą, gdy potrzeba wymagała, dobrze zastawiał się za honor pana swego. Przytomny zawsze i niezmiernie obrotny jeździł ciągle za różnemi sprawunkami dworu. Razu pewnego wypadło mu zanocować w karczmie przez żyda utrzymywanej, którego też znając ów gospodarz być Tatarzynem, śmiało poczł szydzić z wyznania wiary katolickiej mówiąc: my jesteśmy wielkie drzewo, a chrześcijanie to liście na naszym drzewie, a gdy przyjdzie wiatr to liście pójdzie precz, na śmiecie, w błoto.

Słuchaj żydzie! powiada Tatarzyn, ty nie ruszaj mi nieczyich i świętości, wara od wyznań religijnych; uważaj, czy kiedy burza twoje drzewo wraz z korzeniem nie obali a zresztą wiedz o tem, że to wyznanie wiary, które hańbisz jest wyznaniem Pana mego.

Ny co to panu szkodzi, że ja o tych mówię, co to z przeproszeniem świńskie mięso jedzą. Woni biorą jedno drzewo, kawałek porąbią i spalą i zagrzeją się przy niem, i chleb sobie upieką i pieczeń usmarzą, a z reszty tego drzewa zrobią sobie Boga, któremu się kłaniając wołają: ratuj nas Boże! Aj waj! woni mówią, że jakaś Marjanka syna boskiego porodziła.

— Stul pysk niecnoto! zawrzał gniewem Tatarzyn, a dobywszy pałasza ciał po łbie żyda, że aż się przewrócił. Lecz gdy rana nie była śmiertelną najspokojniej udał się do przeciwległej świetlicy na spoczynek. O północy zdawało mu się, że nie śpi, że jakaś światłość ogarnęła całą świetlicę, a przy drzwiach zamkniętych ukazała się pani cudnej urody i zbliżyła się do niego mówiąc: „Pokój tobie synu! dziękuję ci, iż się ujął za mną, jedź do Trok i wstąp do kościoła, tam zastaniesz księdza mszę czytającego, ten niech przeżegna rękę twoją a zdrów będziesz.“ Poczem całe to widzenie błogie zniknęło; gruba ciemność znowu zaległa a jęki skaleczonego żyda przerywały niekiedy posępną ciszę karczemną.

Zrana przebudziwszy się Tatarzyn przypomniał sobie to miłe widzenie, a gdy go rzeczywiście droga przez Troki prowadziła, wstąpił do kościoła farnego i zastał księdza mszę odprawiającego. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy wzniosłszy oczy do góry, poznał w obrazie Matki Najświętszej tę samą twarz tej pięknej pani, która mu się we śnie objawiła. Z większą tedy ufnością przystąpił do kapłana, który przeżegnawszy rękę, zdrowie mu powrócił. Tatarzyn uszczęśliwiony dał się później ochrzcić i został dobrym katolikiem.

X. *Sadok Barącz.*

Rozmaitości.

— Jak się nazywał pierwszy człowiek? W gościnie przy garncu piwa siedziało kilku gospodarzy i gawędzili o tem i owem, pomiędzy którymi był też jeden co umiał a, b, c, pisać na piasku i opowiadał jak to czart skusił Ewę. Nareszcie zapytał obok siedzących: „A wiecie wy jak się pierwszy człowiek nazywał?“ „Dlaczego nie, odpowiedział jeden, przecie nazywał się Adam.“ — „Ale Adam to imię dane mu było na chrzcie.“ Po długiej dyspacie odpowiada uczony a, b, c, oto nazywał się Skruszyła.

A zkąd to wiecie?

Ba zkąd, dyć organista śpiewa: pierwszy rodzic skruszyła.

— Ogrodowy spotkał ogrodowczyka śpiącego w cieniu. „A ty hultaju,“ rzecze trącając go nogą, „jak śmiesz spać kiedy robota leży, nie jesteś wart, że słońce nad tobą świeci.“ Ów przecierając oczy, rzecze na to: „Toć właśnie dlatego skryłem się do cienia.“

— Pewna złodziejka weszła do sklepu w chwili, gdy kupeczyk był zatrudniony mierzeniem matery dla kogo innego. — Na boku leżało kil-

kanaście łokci aksamitu, który nieznacznie ściągnęła pod pachy i jak gdyby nie, wychodzi niepostrzeżenie na ulicę. Wtem wraca kupiec właściciel tego sklepu z nią ta, a rozumiejąc, że ona ten aksamit kupiła w jego sklepie, odzywa się do niej: „Moja gosposiu, proszę i na drugi raz.“

Czy usłuchala nie wiem.

— **K r u k.** Miała się odbyć koronacja króla nowego w pewnym mieście. Obywatele przygotowywali się na nią z różnemi podarunkami dla króla. Jeden z tych obywateli złapał kruka młodego i uczył go wymawiać: Witaj królu najlaskawszy, panuj nam przez długie lata. Lecz kruk tego nie pojmował. Nareszcie zbliżał się już dzień koronacji; a kiedy się nieszczęśliwy obywatel namęczył dosyć z upartym krukiem, zawołał: Daremna moja praca. Wszyscy znoszą podarunki dla króla, obywatel myśli sobie: poniesę i ja kruka, może tam przy natłoku licznych podarunków zważać nie będą na kruka. Niesie go tedy i gdy stanął przed królem, obojętnie przyjął to król mówiąc: mam ja już tego dosyć. Na co kruk odezwał się: daremna moja praca. No zostań się, rzekł król uradowany do kruka, który przez cały ciąg uczył był przedmiotem podziwu.

Koń. Pewien pan miał konia ładnego, w którym się bardzo rozmiłował. Często też powtarzał, że gdyby kto nauczył konia gadać dałby mu za to tysiąc dukatów. Znalazł się filut, który podjął się za rok wyuczyć konia. Pan dał mu dobry zadatek i marzył już o ósmym cudzie świata, jeżeli koń jego rozmawiać będzie. Filut kazał konia zamknąć

w stajni, dawać dobrze jeść, i codziennie, rano, w południe i wieczór odwiedzał swego ucznia. Ale pan był bardzo ciekawym, co ów nauczyciel mówi do konia. Namawia tedy koniuszego, żeby baczne oko zwracał na nauczyciela. Udało mu się dosłuchać słów ciągle powtarzanych i pospieszył zdać z tego sprawę, a stanawszy przed panem rzekł: ta jakaś komedja panie, on koniowi nic więcej do ucha nie mówi, jeno: albo, albo, albo. Obruszył się pan i kazał przywołać do siebie końskiego mistrza, którego, gdy stanął przed nim, surowo przywitał: słuchajno co ty za błazeństwo wyrabiasz z koniem? co to ma znaczyć, albo, albo, albo, które koniowi do ucha gadasz? Mistrz z największą hełmą odpowiedział: ja codziennie powtarzam koniowi, że albo koń zdechnie do roku, albo ja umrę, albo też pan umrze do roku, gdyż konia nikt jeszcze nie nauczył gadać. A żeby cię wszyscy djabli wzięli szachraju! zawołał pan na wynoszącego się mistrza.

— **Ktoś** Pewien pan miał sługę który mu często zjadał potrawy, lub wino wypijał. A gdy go zapytano, gdzie się podziała moja pieczenia? sługa odpowiadał: ktoś zjadł, kto wine wypił odpowiadał: ktoś wypił. Razu jednego dzwoniłno umarłemu, pan zapytał sługę, na co to dzwonią? Ktoś umarł, powiada sługa. Wieczny pokój, niech mu będzie, chwała Bogu, że przecie raz umarł. Zdaje się że sługa tych słów nie rozumiał, gdyż na drugi dzień smacznie zjadał zająca, którego pan na wieczór schować rozkazał. Przychodzi pan do domu i woła: dawaj zająca. Nie ma panie, ktoś zjadł.

Hultaju obmierzły! wakżeś wczoraj mówił, że ktoś umarł, to po śmierci jeszcze chodzi i zjała, he?

— Inny sługa gdy zbil szklanke, zwykł mawiać, stłukła się. Na co pan bardzo rozumnie odpowiedział: gdybym ci uszy oberwał, to powiesz same się oberwały — co?

— W pewnem mieście podczas publicznego posiedzenia sądu gdy adwokat, którego natura obda-

rzyła szpetnością i małym nosem, dla objętości sprawy ustawał niejako w czytaniu rozwlekłego aktu; tuż obok niego siedzący radca miasta z potężnym nosem, chcąc z niego zażartować, zapytał obecnych: „czy nie ma kto okularów, by pożyczył panu adwokatowi?“ Adwokat dotknięty, odpowiedział bardzo przytomnie: „Chcąc ich użyć, musiałbym pierwej pożyczyć nosa u pana.“

Złote ziarna.

Bóg nie nad głową mieszka, lecz w środku człowieka,
Więc kto w głowę zachodzi, od Boga ucieka.

Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie,
Gdzie się chylił za życia, tam po śmierci wpadnie.

Duch jest budowlą, ciało jako rusztowanie,
Musi być rozebrane, gdy budowla stanie.

O kawał ziemi ludzkie dobija się plemię,
Zostań cichym a możesz posieść całą ziemię.

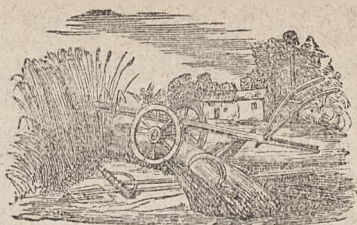
Człowiek święty jest równie jak Stwórca bogaty,
Bo Stwórca z nim podziela wszystkie swoje światy.

Bóg wznosi się tak górną tak wysoko leży
Że granic bóstwa swego sam nigdy nie zmierzy.

Szanownych prenumeratorów „Dzwonka“ przepraszamy za dotychczasowe opóźnienia, które nie były winą redakcyi. Odtąd szanowni prenumeratorowie otrzymywać będą Dzwonka jak najregularniej.

Dla uregulowania nakładu Dzwonka, upraszamy tych szan. prenumeratorów, którzy należytości za drugie półrocze jeszcze nie nadesłali, o łaskawe nadesłanie tejże, (najstosowniej przez pięciocentowe przekazy pocztowe), lub też o zawiadomienie nas, że Dzwonka nadal otrzymywać sobie życzą.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chleb ma rogi.

III.

Furmanka nowych przyjaciół Walka składała się z prostego wasagu, ale para koni w nich warta była jakie ze trzy tysiące złotych. Uprzeź prosta, parciana dziwnie odbijała od ich urody, Walek jednak nie zwrócił na to uwagi, ani nawet nie zadziwił się, że dopiero za miastem wsiedli do wasagu, że miejsce furmana zastępował młynarz, i że zaraz zjechali z gościncea puszczając się w podróż bocznymi drogami. Gdyby u Walka była trzeźwa głowa, wszystko to możeby w nim obudziło jakie podejrzenie, ale po bawarskiem piwie, herbacie z arakiem i wódce w którą się na drogę zaopatrzono, Walkowi zdawało się że cały świat jego, i że w nim nie ma poczciwszych ludzi nad jego nowych znajomych. Jechano więc z gwarem, wybranie bocznej drogi wytłomaczono obawą aby na zwirówce konie źle okute nie podbiły się, a brak furmana amatorstwem młynarza lękającego się powierzać tak piękne konie w cudze ręce.

Gawędka na chwilę nie ustawała, śpiewano, żartowano i gdy dojechano do wioski w której wodny młyn szumiał czterema kołami jakby się chciał swoim przypychem pochwalić, młynarz zatrzymawszy się przed nim rzekł:

— Wiecie co, możeby warto przypytać się, czyby tego młyna nie przedano?

— Dałbyś pokój, albo masz tyle na to pieniędzy co potrzeba? wtrącił przysły destylator którego Adasiem nazywano.

— Co braknie to mi dokończysz.

— Nie rachuj na to mój Wicusiu, bo wiesz że na założenie destylarni wiele potrzeba pieniędzy.

— To mniejsza o to odrzekł cokolwiek rozgniewany Wicus, ocierając łysinę z potu, nie dasz ty, to da poczciwy Wosio.

— A toś trafił jak kulą w płot, odrzekł Wosio, już targując folwark to pieniędzy nie mogę rozpozyczać.

— To cię przypuszczę do spółki, młyn razem kupimy a potem odprzedamy i zyskiem podzilimy się po równości. Wuj mój Zawidzki to na takim handlu krociów się dorobił, ja sam przecie już podwoilem swoje mienie a tylko przerzuciłem przez swoje ręce dwa młyny. Jeszcze ze dwie takie szpekulacje a dójdę także do krociów; zakasuję wuja i dam wszystkiemu pokój, żeby używać i być panem całą gębą. Potem zaczęli opowiadać różne podobnie szczęśliwe interesa, jak z biedaków wychodzono na bogaczów, jak włościanie stawali się dziedzicami licznych włości, jak z małych zasobów przychodzono do wielkich fortun i w końcu dodano, że gospodarze co chowają pieniądze i trzymają je jak psa na łańcuchu, to za głupi i gdyby mieli cokolwiek rozumu, toby wprędce powychodzili na panów.

Walek słuchając tego wszystkiego dziwnych doświadczał wrażeń. Wiedział że po ojcu sporo pozostało grosza, bo sięgał do niego często, i że to niezmiernie wygodnie tak bez frasunku mieć gdzie sięgnąć po pomoc. Ile go było nie wiedział, ale rozumiał dobrze, że byłoby to paradną rzeczą, zasoby ojcowskiej oszczędności podwoić i póty niemi obracać, ażby się zebrały pełne wory korcowe rubli i dukatów. Na tę myśl oczy mu się zaiskrzyły, policzki zarumieniły i serce zadygotało jak młotkiem. Zostać panem krociowym i nic nie robić tylko używać i używać, zdawało mu się takim szczęściem, że już pragnąć czego innego nie można było. Gdy więc ruszyli dalej a rozmowa cokolwiek przycichła, Walek pomyślał w ciszy:

— Jużcie co prawda, tatuś nieboszczyk chybili że pieniądze trzymali w ukryciu; gdyby ci poczciwi ludzie chcieli mnie przypuścić do spółki, tobym im nogi ucałował.

— Słuchaj Wicusiu, odezwał się Adaś wychodząc jakby z wielkiego zamyślenia: rozważywszy wszystko gotów jestem zostać twoim wspólnikiem ale tylko w takim razie jeżeli zatargowanego już folwarku nie kupię. W każdym razie zamawiam sobie pierwszeństwo przed innymi i spodziewam się że jako mój przyjaciel nie odmówisz mi tego.

— Przrzekam, odrzekł Wicus, i daję na to słowo honoru.

— To i ja sobie zamawiam pierwszeństwo odezwał się Wosio.

— I tobie przrzekam, ale pamiętajcie sekret jak największy, bo w interesie każdym zyskownym tajemnica to rzecz najważniejsza. Pan Walenty wiem że nas nie zdradzi a wspólnika już więcej żadnego nie przyjmę.

Waluś usłyszawszy tę prozbę aż pobladł i zadygotał jak w febrze. Zdawało mu się że już siedzi na pełnych worach dukatów i że mu te wory nagle wyciągnięto i wrzucono w rzekę. Drzącymi ustami wyjąkał zatem.

— Nikomu o tem nie trunę ni słowenka, ale gdybyście mnie panowie chcieli wziąć do spółki...

— Ciebie? zapytał Wicus ze zdziwieniem a z czemże? Czy może z tym woreczkiem co go masz przy sobie z kilku rublami?

— Znajdzie się ich więcej w domu, mruknął Walek.

— Może pięć albo dziesięć najwięcej, to mi suma!

— I kupka jaka miedziaków od soli zaśniedziałych dołożyli drudzy towarzysze ze śmiechem, gdzie tobie biedaku myśleć o szpekulacjach...

— Ja nie biedak! przerwał Walek zaperzony bełkocząc pijanym językiem, ja bogacz jakiego we wsi nie ma równego. Po tatusiu zostało pieniędzy jak lodu a same ruble, będzie ich może ze ćwiartka.

— Albo to prawda? Na tak wielką sumę to trzebaby skrzyni dobrze okutej.

— Prawda, prawda wrzeszczał Walek bez upamiętania, a mnie biedactwa nie zadawajcie bo ja bogacz.

— Nie chwał się na próżno, bo temu nie uwierzę, aż zobaczę.

— To pokażę wrzasnął znowu Walek, nawróćmy do domu...

— Poco napróżno się chwalić, odezwał się Wicus z szyderstwem nie wiem gdziebyś chował tak grube pieniądze? Może w beczce z kapustą?

— Mam je w komorze! wrzasnął Walek.

— A to w sadle pewno zaszyte, wtrącił Adaś, bo to chłopski obyczaj...

Dwaj drudzy towarzysze rozśmieli się na to całym gardłem, Walek pokraśniał wstydem że go o chłopski obyczaj posądzono, i tracąc wszelkie upamiętanie zawołał ze złością:

— Bajka! mam je pod beczką z owsem w ziemi zakopane, a wy mi nie zadawajcie chłopskiego obyczaju bo jak którego zamaluję, to mu...

— No, no, dajmy temu pokój, przerwał Wicus, żartem należy przebaczyć, a ja nie dam synowi mego przyjaciela dokuczać. Ot lepiej zapijmy całą sprawę, i uderzając kieliszek o flaszkę zaśpiewał:

Gorzałeczka grunt,
I tytoniu funt
I obcasy z podkówkami,
A kapelusz ze wstążkami,
Hoc! ha!

Kieliszek poszedł koleją, Walek zupełnie pijany zapomniał urazy, sciskał, całował wszystkich a na dowód że się nie gniewa i że zostaje współnikiem w interesach mających krocie przynieść w zysku, do każdego osobno wypił po kieliszku wódki potem coś zabelkotał, i wyciągnąwszy się jak długi w wasągu zasnął jak nieżywy.

Dobrym już zmrokiem mniemani przyjaciele zajechali przed dom Patyjaków w Gazdowie. Matka zobaczywszy bez duszy leżącego syna w wasągu, z rozpaczą załamała ręce.

— Nie frasujcie się odezwał się Wicus nic mu nie będzie, wyspi się i będzie zdrów jak ryba. Spotkaliśmy go idącego na drodze, a że porządnie zaganiał kaczki, więc wywiedziawszy się gdzie mieszka, żeby nie popadł w jakie nieszczęście, zabraliśmy go z sobą i tu przywieźli...

— A niech że panom Bóg wynagrodzi ich pocziwość, zawołała biedna matka, i czemu się za to wywdzięczę?

— Dobrem słowem moja matko to za wszystko starczy. Wy zaś nasz przyjazd z Walkiem zachowajcie w sekrecie, bo coby ludzie powiedzieli gdyby się dowiedzieli, że wasz syn uległ takiemu wypadkowi?

— Prawda, prawda, nie powiem nikomu ni słowenka. We wsi już spią, parobek pojechał z końmi na pastwisko a dziewczka spi w stodole to o niczem wiedzieć nie będzie.

Walka jak barana wyciągnięto z wasągu i przeniesiono do izby i kiedy matka zajęta była zdejmowaniem z niego ubrania, Adaś dopomagał jej a Wicus rozglądał się po izbie i po sieni szukając zapewne wejścia do komory.

— Gdybyście matko, odezwał się, wreszcie dali nam z kilka garncy owsa, ale nie darmo, za zapłatą, tobysmy popaśli koni i nad rankiem pojechali w swoją drogę.

— Z miłą chęcią, odrzekła Patyjakowa, dla takich pocziwych ludzi choćby krwi własnej tobym nie żałowała.

Komora nie miała zamknięcia tylko rygłem była zasunięta, a kiedy Patyjakowa garncem sypała owies z beczki do worka, Wicusowi tak się oczy zaiskrzyły, że zdało się iż rzuci się na nią, ale go powstrzymał Adaś kładąc palce na ustach. Patyjakowa za owies nie chciała przyjąć żadnej zapłaty, więc ją poczęstowano wódką a że była słodka i bardzo smakowita, za jednym kieliszkiem poszedł drugi, trzeci i czwarty, dość że w godzinę niespełna pocziwa ale nieogłędna kobieta, uczuła że się jej w głowie kręci a izba lata w około jakby w tańcu. Uśmiechając się więc, podziękowała gościom za poczęstunek i nie czekając aż wyjdą z izby, rzuciła się na łóżko nierozzebrana. Goście więc nieznanymi zostali panami całego domu, wódka zrobiła swoje, odebrała rozum a bez rozumu człowiek przestaje być człowiekiem. Ludzie niektórzy na gorzałkę strasznie są łakomi, szczególnie przy poczęstunku gdy to nic ich nie kosztuje.

Co się dalej działo w domu Patyjaków, to cisza nocy i ciemność zakryły. Kiedy parobek świtaniem wrócił z pastwiska, zastał wrota rozwarne i tylko dostrzegł ślady wozu że ktoś wjechał nim na podwórze i potem wyjechał. Gospodyni spała,

Walek chrapał i choć słońce już zaczęło wyglądać po nad pola i łąki zakrzątnięcia około domu żadnego nie było widać. Zdziwiło to wszystko parobka, zbudził więc najprzód dziewczkę, ale ta w niczem go nie umiała objaśnić. Rozbudzona Patyjakowa, błędnem okiem powiodła wkoło, chciała zapytać o swoich gości, ale się powstrzymywała przypomniawszy zalecenie, aby Walek nie podawać na obmowę złych języków. Gdy więc parobek się spytał, ktoby w nocy zajeżdżał na podwórze, odrzekła:

— A ktoby miał zajeżdżać? widziało ci się mój kochany.

— Przecież są ślady świeże, a nasz wózek nie ma takich kół szerokiach.

— Ej! bajesz nie wiedzieć co. Jedź lepiej w pole z pługiem. Parobek pokręcił głową ale nie dał się przekonać: dziewczka także pokręciła głową i równie zdumiona została. Walek o śniedannych godzinach podniósł się dopiero z łóżka z mocnym bólem głowy. Przeszukał w kieszeniach ubrania i nie znalazłszy woreczka zamyślał się chcąc sobie przypomnąć co się z nim stać mogło. Przebyte zdarzenia w ciągu upłynionego dnia przemykały mu się po głowie jak senne marzenia. Nad wieczorem wielki zrobił się we wsi popłoch. Trzech żandarmów przyjechało do wójta i spiesznie udali się do jego kancelarji.

(D. c. n.)

ROLNIK.

Cztery wołki na ugorze
Ciagną pług przez pole,
Dumkę nucąc rolnik orze;
Nie wie jaką rolę.

Gdzie toczono bój z Tatary,
Zboże mu wyrasta:
Wiek z pamięci wypadł stary
Podolskiego Piasta.

Nie wie kto mu kruszył pęta,
Kto mu niósł zniszczenie.
Sercem ledwie zapamięta
Dziada pokolenie.

Dziad coś mówił o zaborach
W dalekiej przeszłości...
Pług zaskrzypiał nagle w z-orach,
Wyrył miecz i kości.

Rolnik stanął śród rozłoga,
W sercu żal się budzi!
Westchnął, pacierz wzniósł do Boga,
Za pomarłych ludzi.

Prośba.

Błogosław Boże rolnika dłoni,
Nie dopuść nigdy nań głodu.
Gdy sieje, niech mu skowronek dzwoni;
Gdy zbiera, użycz mu chłodu.

Błogosław ludziom, którzy twą wolę
Spełniają w bratniej miłości.
Jasną im ciszą opromień dołę;
Twój anioł niech u nich gości.

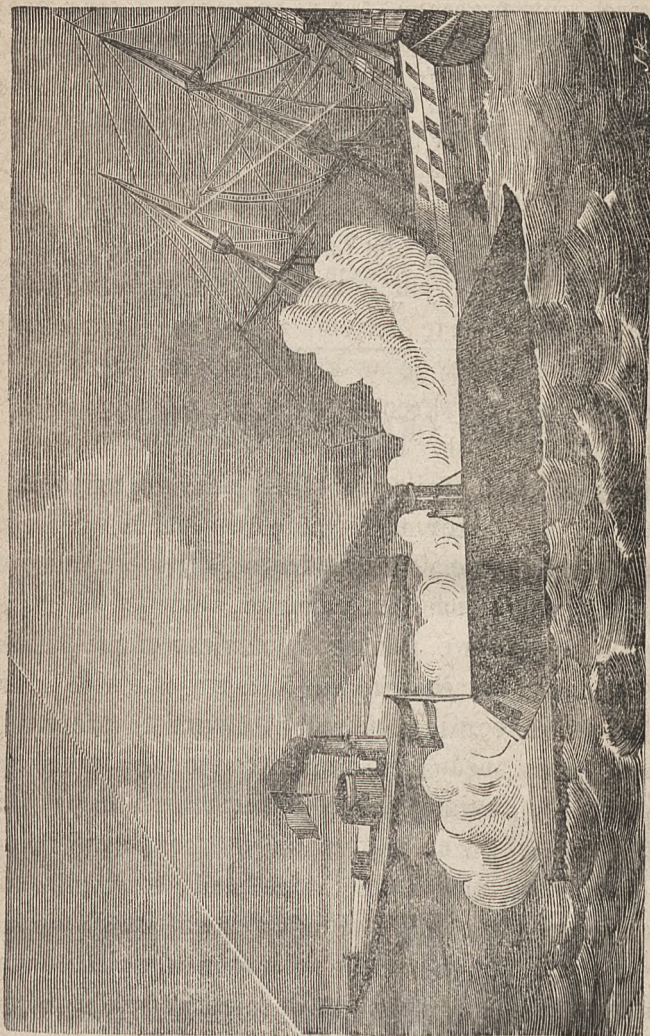
Nam budzicieli wielkich o! Panie,
Harfiarzy daj miłujących —
A kiedy naród zbudzon powstanie,
Daj wodzów w naród wierzących!

Nowe okręty wojenne.

Nieraz czytamy i słyszymy o bitwach, co to je na morzu ludzie toczą, gdzie okręty wzajemnie na siebie uderzają i bój z sobą toczą. Od dawna już podczas wojny starano się nieprzyjaciela nie tylko na lądzie pobić, ale też i na morzu szkody mu powyrządzać. Dlatego poumieszczano po okrętach wojennych armaty, po największej części wielkie; kula z takiej armaty przebija nieprzyjacielski okręt — przez powstały otwór wpada woda, a okręt, jeżeli tę wodę wyczerpać nie zdoła, musi tonąć. Dawniej jeden okręt rzucał hakami i przyciągał drugi; — wówczas załoga wpadała na okręt nieprzyjacielski i toczyła bitwę pałaszami, strzelbami, toporami, zupełnie jakby to nie na wodzie było. Ponieważ zaś takie napadnięcie za dużo wymaga zachodu, przeto od czasu wynalezienia prochu, starają się głównie o to, by okręt nieprzyjaciela rozbić lub zatopić, waląc w maszt i w ściany okrętu olbrzymimi kulami armatnimi.

A więc pomimo najbardziej zdolnych dowódców na okręcie, pomimo to, że żołnierze bardzo odważni i waleczni, lada kilka kul dobrze wymierzonych z nieprzyjacielskiego okrętu może okręt zatopić i załogę całą życia przez to pozabawić. Zaczęli więc ludzie przemyśliwać — zaczęli okręty, które

są z drzewa zbudowane, obijać blachami grubemi. Ale i to nie wiele pomagało, — gdyż wielkie kule i grube blachy przebić mogły. Aż dopiero niedawno wynaleziono nowy sposób obronienia okrętów — w ogóle nowe okręty wojenne tak zwane pancerniki i monitory. Ot na przykład podczas tej wojny teraz



Monitor.

czytaliśmy w gazetach, że Francuzi wysłali flotę, to znaczy kilkadziesiąt okrętów na morze nazwane Bałtyckiem naprzeciw Prusakom, między tymi okrętami kilka pancerników i dwa monitory. Cóż to znaczy? cóż to są pancerniki?

Pancerniki są to okręty parą poruszane, bardzo silnie zbudowane, które aby być bezpiecznymi od kul, pobite są nie

blachą, ale raczej potężną, bo na 9 i więcej cali grubą cegłą żelazną, czasem nawet podwójnie i potrójnie jak dach w karpówkę układany, tak że jedna cegła niby rybia łuska za drugą zachodzi a cały okręt jakby w pancerzu się znajduje. Do tego okręty te bardzo mało co po nad wodą wystają. Niepodobnem więc taki okręt kulą przeszyć. Monitorami znowu nazywają okręty pancerne tak zbudowane, że właściwie okrętu takiego wcale z wody nie widać, bo cały w wodzie jest zanurzony, tak że tylko dach czyli pokład kryty, miejscami z wody wygląda. W środku tego pokładu, jak to na naszym obrazku widno, wznosi się wieża żelazna, bardzo silnie zbudowana z grubych belek żelaznych i nadto grubą żelazną cegłą pokryta. W tej wieży jest armata, zwykle tylko jedna, ale bardzo wielka, wyborna i wypróbowana. Wieżę tę razem z armatą można obracać, czyli kręcić w koło tak, że w każdą stronę strzelać można, a nie potrzeba okrętu wykręcać.

Bywają także okręty tak zwane taranowe to jest rozbiacze. Są to zwykle monitory, które jeszcze przodek, czyli dziób okrętu mają bardzo mocno zbudowany, okaty i przyrzadzony w olbrzymi kołec. Takie okręty są na to przeznaczone, żeby na statki nieprzyjacielskie uderzać z wielką siłą i w największym pędzie takowe przebijać, dziurawić i przełamywać. Okręta taranowe sprawiają ogromne straty; nie wdają się one wcale w strzelanie, lecz idą wprost na okręt nieprzyjaciela, a rozpuściwszy cały pęd swój, uderzają to z boku, to z tyłu, lub w przodek nieprzyjacielskiego okrętu i takowy niweczą, gdyż to przodek, to tył mu odrywają, lub też w dwoje go rozłamują, tak że wszystko marnie w głębinach morskich ginie.

Monitory i taranowe okręty to niedawny wynalazek amerykański; okuwanie okrętów w pancerze także niedawne; wymyśleli to Francuzy. W Ameryce w wojnie przed sześciu i siedmiu laty kilka razy temi okrętami walczone i takowe wypróbowano.

Był tam mianowicie jeden taranowiec, ale tak potężny, że mu się żaden okręt oprzeć nie zdołał; wszystko rozbijał i druzgotał swym żelaznym dziubem. Ale i na niego znalazł się majster taki, że mu dał radę. Komendant nieprzyjacielskiego okrętu ludził go przez cały dzień i całusienką noc, wciąż się pokazywał i znowu uciekał ze swym okrętem. Widocznie

chciał go w pole wyprowadzić. Nad ranem znowu mu się pokazał. Taranowiec rozpuścił całą siłę i wprost pędzi na nieprzyjaciela, grożąc roztrzaskaniem. Nieprzyjacielski okręt bok nadstawia, ale w jednej chwili jak błyskawica uciekł, — taranowiec przeleciał i w szalonym pędzie sam się zdruzgotał o skałę pod wodą w drobne kawałki. Ma się rozumieć, że nieprzyjaciel umyślnie w taką go matnię wprowadził, i takie mu dobre miejsce wybrał.

Wychowanek wioski.

II.

Minęło dni kilka od ostatniego zdarzenia. Pawełek jak u Boga za piecem siedział w chacie poczciwego Macieja. Maciejowa nie wiedziała czem chłopczynie dogodzić, tak ją to radowało, że biednego Pawełka przytulić mogła. Dobre bo też to było kobiecisko; po stracie własnych dzieci, z których jeden tylko syn się wychował i był księdzem w Krakowie, wydawał jej się Pawełek jako jej własne ukochane dziecko. To też i koszulki mu z własnej poszyła bielizny, i codziennie bywa rano chłopczyka umyje, i włoski mu rozgarnie czarnuchne i gładko uczesze te bujne kędziorki, i w jasne czołko pocałuje, i popieści, i z tych czarnych ocząt leżkę zetrze, co ciągle chłopczynie się nasuwa. Tymczasem Maciej żywo się dalszym losem Pawełka zajął. Poszedł po znajomych, pogadał z tym i owym i sprosił ich wszystkich na wieczór w sobotę do swojej chaty.

W sobotę wieczór wszyscy co znaczniejsi gospodarze zeszli się w chacie Macieja. Maciej rad, że go posłuchali, i radzić o sierotce przybyli, zasadził wszystkich za długim stołem. Gdy usiedli, Maciej tak prawić zaczął:

— Oto sprosiłem was, moi sąsiedzi i przyjaciele, byśmy wspólnie co uradzili. Wszyscy wszak wiecie, jakto pana naszego nieboszczyka brat nad pozostałym sierotką się zneca. Wziąłem sierotkę do siebie, bom patrzeć nie mógł na to kątowanie tego ukochanego dziecka. Teraz moi sąsiedzi zdaje mi się że to nas wszystkich jednako obchodzić powinno, że

każden z nas przez pamięć dla nieboszczyka, dziecku jego nie powinien dać krzywdy robić. A wiecie wszyscy, nieboszczyk pan to dobry był pan: ot wam Jacku, pamiętacie gdyście pogorzeli, to i drzewa dał z lasu na odbudowę, i słomy na poszycie dał i groszem zapomógł. A wam Janie, gdy żona zaniemogła, toć doktora sprowadził, i na leki dawał, i sam przychodził, dowiadywał się, i lepszą strawę niebodze posyłał, póki nie pozdrowiała. A waszego syna Jakóbie, toż to on od wojska uwolnił; on staroście przedstawił, że wy starzy już i syna wam potrzeba dla pomocy. A na przednowku toż on nam wszystkim pomagał i groszem i zbożem. Każdemu w biedzie on był ojcem prawdziwym. Wszystkich on nas kochał, i był nam nie hardy, ale jak przyjaciel najlepszy. Toż teraz jedyna dziecina jego idzie w poniewierkę. Przytulilem biedactwo do siebie i nie dam go napowrót do dworu, ale cóż z tego, mnie nie stać na to by lepszy los dziecku zrobić. A radbym Pawełka gdzie do szkół wysłać i uczyć kazał, bo wszak to zawsze mu się należy. Syn mój w Krakowie księdzem, ale on jak biedny wikary nie wiele co pomódz by mógł. Przeto sprosiłem was, moi sąsiedzi, żebyście wspólnie co uradzili.

— Ej, co tam mamy radzić, odrzekł Walenty, co go to Burczymuchą zwali, za to że mu nic nie było na rękę, że wszystkiemu przeciwie się musiał, co mamy radzić, to pańskie dziecko, nie nasze, to niechby tam i przepadło, ta co nam do tego...

— A Boga w sercu nie macie Walenty; odparł Jacek, a cóżto pańskie, czy nasze? czy to nie wszystko jedno? Każden pan to nasz sąsiad, a więc zarówno nam, a jeżeli on dobry jest, to on więcej niż sąsiad, to on nasz ojciec. Jużci złemu panisku, jak ten teraz, to nie dałbymci sobie w kaszę wpluć, ale jak pan dobry, tobym mu i krwi z pod serca utoczył, tobym mu i serca dał połowę. A taki dobry był nieboszczyk, toż dziecko jego ratować, to nasz święty obowiązek.

— No, to bo nie gniewajcie się, wszak ja to tak źle nie sądził, odrzekł Walenty, i jabym sercem rad, ależ bo...

— Ej, co tam długo radzić, wyrzekł Jan, co to najstarszy ze wsi całej, ot złóży się, postanówmy, na wiele kogo

stać, i wyslijmy naszego Pawelka do szkół do Krakowa. Tam go umieścimy u syna Macieja, ten mu krzywdy nie zrobi, bo poczciwy z kośćcami jak ojciec nasz księżulo, u niego nasz Pawełek poduczy się, a z czasem wróci na wioskę, i napędzi tego niegodnego swego stryjaszka. A nam i uszczerbku wielkiego nie zrobi tych kilka reńskich, co to rocznie na to wydamy, Bóg nam tę naszą dobrą chęć zapamięta...

— Dobrze powiedział, niech żyje długo nasz Jan, wykrzyknęli wszyscy; a Maciej to już się rozradował z całej duszy przyskoczył do Jana, i nuż go ścisnąć i całować. I wszyscy sięgnęli do trzosa zaraz i złożyli, co każdy mógł grosza na początek.

Maciej szczęśliwy radby wszystkim nieba przychylił za ich poczciwość i złote serca. Toż kazał żonie przynieść wina, co go to miał jeszcze od dawnego pana w podarku, i raczył wszystkich kolejno.

A Jan pochwycił Pawelka, ucałował serdecznie, i krzyknął:

— Niech żyje nasz Pawełek, już nie sierotka, bo my mu wszyscy ojcem będziemy, i opiekunem całym. Niech nam się chowa, i nas kiedyś pokocha, jako my jego kochamy.

Wszyscy byli szczęśliwi bo w poczuciu dobrego uczynku swojego. A najszczęśliwszym był Maciej stary, on płakał i cieszył się, że taka zgoda u wszystkich, że takie złote serce w tym naszym polskim ludzie.

III.

Jak zgromadzeni u Macieja gospodarze postanowili, tak też i zrobili. Wysłali Pawelka na wspólny koszt do szkół do Krakowa. Maciej sam zawiózł chłopczyka i umieścił go u swego syna, wikaryusza. Tam to chłopczyzna pod dozorem i światłą radą poczciwego wikarego do szkół chodził i uczył się. Choć nieraz zapłacze jeszcze, ale dobry księżunio jak to zobaczy, to zaraz go popieści i uspokoi. A uczy też się pilnie, i choć maleńki, wciąż myśli o swych dobrodziejach, co go z niedobrej ręki stryjaszka wyrwali wciąż myśli, jak i czy im to kiedy będzie mógł odwdziżyć.

A stryjaszek aż pęka ze złości. Z początku, gdy nie wiedział jeszcze o niczem, to i kontent był, że gdzieś licho

chłopca porwało. Ale skoro mu powiedzieli, że to gromada Pawełka na swoją wzięła opiekę, to się wściekał z wielkiego gniewu. Poleciał do Macieja, nalżył, nahańbił, a tu stary Maciej najspokojniej mu odpowiada:

— Ej, co tam jegomość gada i tak się sroży; taż to nam serca posmutniały jak jegomość tak się pastwili ztem niebożątkiem; tośmy i dalej nie mogli przyzwolić na jegomości postępowanie, ta wzięliśmy Pawełka, i da Bóg to już go lepiej pokierujemy na uczciwego człowieka..

— Dam ja wam wszystkim, krzyknął panisko, ja wam tu żandarmów naszlę; i prędki z wami porządek zrobię, toż to ja sądownym opiekunem przecie, dokroć set..

— Niechno jegomość tak nie wykrzykuje, ta nie grozi tak bardzo. Już to my się nie ulękniemy za nasz dobry uczynek; pójdziemy do sądu, zaświadczymy... a chyba by sprawiedliwości nie było, żeby dalsza krzywda dziać się miała. Mnie nieboszczyk przy ludziach, co to świadczyć mogą, polecili czuwać nad synem pod swoją nieobecność. I pewnie byłbym lepiej czuwał, gdyby jegomości było licho nie nanieśło.

— Co? ty śmiesz nikczemniku w mojej przytomności huknąć obruszony do żywego stryjaszek.

-- Daj bo jegomość pokój, ja tu tak dobrze panem w mojej chacie, jak jegomość w tym pożyczanym dworze, wolno mię skarżyć, a obrażać nie wolno bo tu moja chata, i wskazał wymownie na otwarte drzwi.

Stryjaszek pobladł ze złości na widok tej energii starego Macieja, ale widział że go nie ugnie, to też zamruczał jakieś przekleństwo i wyniósł się z chaty.

A Maciej poleciał po sąsiadach, pogwarzył z tym, i owym, pisarza zawezwał i na drugi dzień z kilkoma starszymi pojechał do miasta wprost do powiatu. Tu całą rzecz wytłumaczyli i niegodziwość stryjaszka opowiedzieli. W powiecie sąd uznał to wszystko, i zamianował Macieja w imieniu gromady opiekunem Pawełka w miejsce niegodnego stryjaszka. Zarząd tylko majątku pozostał przy stryju.

A tymczasem w Krakowie Pawełek jak najpiękniej się rozwija. W szkole toż go nauczyciele wszyscy lubią za jego pilność i dobry postęp w naukach. A rówieśniki co to z nim

razem do szkoły chodzą, to już od serca go kochają. Dla wszystkich dobry, uprzejmy, aż miło. Ksiądz wikary to co miesiąc pisze do ojca swego Macieja o sprawowaniu się Pawełka. A stary Maciej zaraz zwołuje starszych i opowiada o ich wychowanku.

Po skończonym roku Pawełek dostał bardzo ładne świadectwo od swych nauczycieli, i pojechał, na pare dni odwiedzić swych opiekunów we wiosce. Toż to była radość, gdy go obaczyli, bo chłopczyzna urósł, wyładniał i jakoś weselszem już okiem na świat spogląda. Stryj dowiedział się i chciał go przemocą wyrzucić, ale włościanie dobrze czuwali i nie pozwolili nato.

I tak minęło lat kilka, nadeszła wiosna obecnego roku. Pawełek dziecka urósł w dorodnego chłopaka, aż radość była na niego popatrzeć. Lat ma piętnaście a takie to rozumne, tak miłe spogląda i przemawia, prawdziwie kochany młodzieniec.

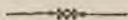
Aż tu ni ztąd ni zowąd wpada raz stryjasek do chaty Macieja, taki łagodny, taki uprzejmy, taki słodki. Maciejowi coś nie spodobała się ta nagła przemiana, coś pokręcił węża niedowierzając, pokiwał siwą głową ale siedzieć prosił i słucha. A tu stryjasek oświadcza się, że uznaje złe co robił, że już odtąd jak najlepiej będzie z Pawełkiem postępywał, byle mu go tylko oddano.

Ani słowa na to nie odrzekł Maciej, zadumał się tylko, i myślał, coby to być mogło ta tak nagła zmiana, z kąd wraz taka dobroć? Stryjasek nalega, prosi, wreszcie Maciej mówi:

— Niechby tam i co — to już opiekowaliśmy się przez siedem prawie lat Pawełkiem to i dalej zdołamy; niech on już przy nas zostanie. Panu Bogu dziękować, że jegomość uznał krzywdę, ale Pawełek to już naszym niech będzie wychowankiem, aż póki nie dorośnie.

I na tem się skończyło; — stryjasek poszedł, a Maciej gubił się w domysłach i niewiedział, i pojąć nie mógł tej nagłej zmiany w sercu stryjaska.

(Dokończenie nastąpi.)



Rozmaitości.

— Przebiegłość cygańska. Przy poborze wojskowym w pewnym mieście węgierskiem zjawili się między innymi jako popisowi: syn jakiegoś bogatego młynarza i biedny cygan. Młynarczykowi udało się podobno zjednać sobie urzędnika, cygan zaś nic mu dać nie mógł. Wszyscy powołani już losowali, pozostał jeszcze tylko protegowany młynarczyk i cygan, a brakło jeszcze jednego człowieka do kontyngensu, który miał być stawiony przez dany obwód. Coraz silniej biło serce zaniepokojonemu cyganowi; z tego zwlekania i pozostawiania go na sam koniec z bogatym młynarczykiem, powziął podejrzenie i przeczuł podstęp. Obaj mieli do losowania przystąpić. Baczny na wszystko cygan z nieufnością rzucał dokoła okiem, i zdawało mu się, że miasto jednej czarnej a drugiej białej galki, obie galki w fatalnej urnie były czarne. „Ciagnij cyganie!“ zawołał urzędnik. Cygan się przestraszył, ale opierał się rozkazowi z pozorną pokorą i unizonością: „Ach panie! przecież ja sobie jestem biedny cygan; jakżebym mógł mieć tyle zarozumiałości i zuchwalstwa, bym śmiał pierwszy galkę ciągnąć? Coby to o mnie pomyślał oto ten młody, wielmożny panicz? Nie chcę go obrazić, nie mogę ciągnąć.“ „Czy ty będziesz ciągnął przeklęty cyganie?“ „Nie, nie! niechaj mnie Bóg strzeże, żeby mi coś podobnego miało przyjść do głowy.“ Wszystkie jednak uwagi niespokojnie kręcącego się cygana były bezskuteczne. „Ciagnij cyganie bo...“ Znaczący wzrok urzędnika zwrócony na panów hajduków przypomniał cy-

ganowi, że ta ręka sprawiedliwości mogłaby zastosować doń niektóre paragrafy prawa natury, które od dawna dla cygana rosły w krzaku leśnym. Cygan zbliżył się zatem do fatalnej urny, jak najwolniej sięgnął do niej ręką, szybko wyciągnął jedną z czarnych galek i w okamgnieniu ją połknął. Świadkowie tej sceny z niewymownem zdumieniem spoglądali na biednego cygana, ze wściekłością spozierał nań urzędnik. Jedno tylko przelotne tryumfujące spojrzenie rzucił z pod oka cygan na młynarczyka. „Wyciągnąłem moją galkę, teraz niechaj tamten losuje.“ Młynarczyk przystąpił do losowania i czarną wyciągnął galkę.

— Nieszczęśliwy wypadek. Z Wrocławia piszą: Tamtego miesiąca wydarzył się na rzece Odrze nieszczęśliwy wypadek. Powracający z mustry batalion 1. szląskiego pułku grenadyerów Nr. 10. chciał się na promie przewieść przez Odrę. Wsiadły do promu 2 kompanie (400 ludzi), a do łódki płynącej obok promu wsiadło też pełno żołnierzy. Prom posuwał się przy grubym łańcuchu. Gdy się znajdował na środku rzeki, uderzyła przypadkiem obładowana łódka o prom tak silnie, że się przewróciła, a wszyscy w niej się znajdujący żołnierze w wodę wpadli. Żołnierze będący w promie chcąc ratować kolegów zbili się nagle na jedną stronę promu, przez co ten stracił równowagę, a nabrawszy wody zanurzył się i poszedł do gruntu. Żołnierze obładowani pakunkiem czepiają się jeden drugiego i łańcucha jako i belek podawanych im z rozmaitych czółen. Wyratowano wszystkich. Spieszna pomoc lekarska

z bliskiego garnizonu dwudziestu do życia przywróciła, trzech nie zdołano ocucić, a reszta ocalała.

Złodziej. Wieczorem żydowina jadąc obaczył na polu stertę siana myślał, że tam nikogo niema, chcia tedy nabrać sobie siana. Idzie więc

powoli do sterty, a gdy się już zbliżył do niej, rzekł: dobry wieczór kopicy. A z poza kopicy wyleciał chłop i pociągnął patykiem żyda po plecach mówiąc: daj ci Boże zdrowie kupcze!

Złote ziarna.

Wtenczas powiesz człowieku, żeś godzin zbawienia,
Jeśli zdołasz wnieść w piekło, i nie czuć płomienia.

Cierpi człowiek bo służy sam sobie za kata,
Sam sobie robi koło, i sam się w nie wplata.

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

Do raju drzwi otwarte, ale rzadki zdoła
Przebić się przez ogniste miecze Archaniola.

Ile się dusza wzruszy, tyle Boga wzruszy,
O ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy.

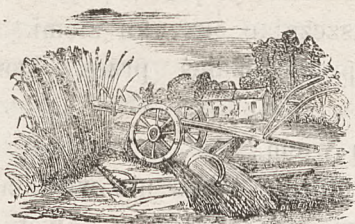
Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

Kiedy pierwszy raz wnijdę w jakie zgromadzenie,
By poznać ludzi zważam ich pierwsze spojrzenie,
Rozsądni naprzód spojrzą na mą nogę prawą,
Głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

Wszyscy walczą dla dobra, któż używać będzie?
Błogosławiony cichy, ten ziemię posiedzie.

Niebo samo nie spadnie, trzeba je osiągnąć,
I Pan Bóg sam nie stąpi, potrzeba go ściągnąć.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Od redakcyi.

W odpowiedzi na podanie nasze do wysokiego Wydziału krajowego o poparcie wydawnictwa Dzwonka, wysoki Wydział krajowy reskryptem L. 10348 z dnia 16 Sierpnia b. r. Dzwonkowi subwencyę w następujących słowach przyznać raczył:

„Wydział krajowy w uznaniu zacnych dążeń i kierunku moralnego, czasopisma „Dzwonek“ widzi się spowodowanym udzielić temu czasopismu jednorazową subwencyę w kwocie Dwiestu złr. w. a. W tym celu poleca kasie krajowej, ażeby kwotę tę Dwiestu zł. Redakcyi wypłaciła z funduszu krajowego.“

Podając czyn ten do wiadomości szan. czytelników naszych, wyrażamy nasze najgorętsze podziękowanie wysokiemu Wydziałowi, tak za uznanie dążeń naszego pisma, jak nie mniej za łaskawie nam udzieloną subwencyę, która dalsze wydawnictwo Dzwonka stanowczo zapewniła.

Chleb ma rogi.

IV.

Ludzie zobaczywszy aż trzech żandarmów razem przybyłych do wsi, niezmiernie się zdziwili i prawie wszyscy powychodzili z chałup. Lecz zadziwienie ich jeszcze się bardziej powiększyło, kiedy zobaczyli i wójta i żandarmów, wchodzących na podwórze domu Patyjakowej. Na rozkaz wójta przywołano wszystkich domowników.

— Gdzieś wczoraj dzień przepędził? zapytał wójt Walka.

— Byłem w kościele a potem w domu, odrzekł Walek z pomieszaniem spuszcżając oczy ku ziemi.

— A z kim przejeżdżałeś przez Domanice wasągiem i parą końmi?

— Czy ja tam wiem?

— Jaktó być może, żebyś nie wiedział z kim jechałeś?

— Ja już dobrze nie pamiętam nawet czy jechałem, czy szedłem piechotą.

— Niebożátko! mruknęła miłosiernie matka.

— Ślad wskazał, żeście z drogi nagle zwrócili w stronę Gazdowa. Musiałeś więc ludzi tych przyprowadzić do domu matki.

— Albo ja tam mogę to pamiętać.

— To sobie przypomnisz później. Pytam was teraz matko Patyjakowa, czy ci ludzie byli w nocy u was?

Patyjakowa głośnym zaskakała płaczem, a nie chcąc wyjawiać opilstwa syna jak równie i zapierać, zaczęła narzekać.

— Tak nas wypytujecie jak jakich złódiei, czy to my zasłużyli na taką poniewierkę, czy to nam dowiedziono kiedy jakiego złódiejstwa?

Wójt zwrócił się z zapytaniem do służących i ci opowiedzieli swoje zadziwienie z zobaczenia na podwórzu śladów obcego jakiegoś wozu, i że gospodyni starała się przekonać ich, że to są ślady ich własnego wózka, które jednak później cichaczem zacierała.

Patyjakowa ciągle płakała sama nie wiedząc co robić; Walek stał jak błędny nie umiejąc się ani tłumaczyć ani usprawiedliwić. Niejasne jego odpowiedzi jakby wykrętne, jakby tające prawdę, co było tylko wynikiem odurzenia i ztracenia pamięci, obudziły ogólne podejrzenie. Wójt więc przeprowadziwszy badanie rzekł:

— Jesteście oskarżeni o współnictwo w kradzieży pary koni o mil dwanaście ztąd dokonanej, a że z odpowiedzi waszych widać, że podejrzenie jest słuszne, więc zostajecie aresztowani aż do ukończenia całej sprawy.

Rozpacz matki nie miała granic, wyznała więc całą prawdę jak było, ale tem już nie wyratowała się bo dla czegóż, powiedział wójt, odrazu do tego się nie przyznała. Jeżeli

skłamała raz, mogła i drugi raz to zrobić, sąd więc właściwy rozstrzygnie dopiero, czy podejrzenie o współnictwo jest słuszne czy niesłuszne. Gdyby Walek był zajrzał pod beczkę z owsem w komorze stojącą, wykrywszy zabór krwawo przez ojca zapracowanego grosza, byłby najlepszy złożył dowód swojej niewinności i przekonał wszystkich, że był tylko ofiarą niegodziwych ludzi i swego głupstwa. Ale Walek nieznający jeszcze ludzi, nawet nie przypuszczał podobnego podejścia, więc zajrzenie do komory nie przyszło mu nawet do myśli. Matka zaś z pieniędzem kryła się, i gdzie go chowa nie wyjawilaby za nic w świecie. Przy odjeździe jednak obwinionych, stryj Patyjak jako zostawiony do nadzoru opuszczonego gospodarstwa, szepnął do bratowej:

— A gdzie macie pieniądze? W takim wypadku musicie mi je pokazać i przeliczyć.

Beczkę znaleziono w swoim miejscu, ale po odsunięciu pokazał się próżny dół w glinie wybrany. Pieniądze przepadły bez śladu. Biedna Patyjakowa z przerażenia o mało nie padła trupem, mimo tego razem z synem zawieziono ją do aresztu sądowego. Śledztwo trwało długo; wykryta kradzież pieniędzy wiele na ich korzyść przemawiała, ale sąd uznawszy, że mogli być razem współnikami kradzieży koni i przez współników okradzionymi, nie dozwolił ich wypuszczać z więzienia. Stryjowi poczciwemu o mało serce nie pękło z żalu, na taką poniewierkę nazwiska Patyjaków powszechnie szanowanych. Był pewny niewinności synowca i bratowej ale na to trzeba było dowodów, a tu właśnie dowody przeciw nim świadczyły. Na szczęście trzeciego dnia złapano jednego z obwinionych. Był to tak zwany Adaś, ale go uchwyciono samego bez koni i pieniędzy; na zapytanie zaś gdzieby byli współnicy, odpowiedział że nie wie, i że ci zaraz po zabraniu pieniędzy Patyjakom, zrucili go z wozu i uciekli ku granicy pruskiej. Przy naocznej konfrontacji Adaś zeznał wszystko jak najprawdziwiej, a na zapytanie sędziego, jakim sposobem poznali się z Walkiem, odrzekł:

— Z ubrania choć wspaniałego poznaliśmy prosię pana sędziego, że to prosty człowiek: z woreczka z pieniędzmi że syn bogatego ojca, a z mowy i butności, że głupi jak

baran. Od ludzi dowiedzieliśmy się co za jeden, poczęstunkiem rozwiązaaliśmy mu język, pochlebianiem przyciągnęliśmy go do siebie, gorzałką odebrali rozum, a że dla głupiego więcej nie trzeba, więc nas sam ledwo do pieniędzy nie doprowadził. Zgłupim to zawsze łatwa sprawa.

Przy tej indagacji Patyjakowa, za takie zadawanie jednukowi głupstwa, gdyby mogła byłaby mu język wyrwała, Walek zaś jakoś oprzytomniał i rzekł:

— Żem był głupi to prawda, ale acpan sto razy głupszy odemnie, bo ja z głupstwa przyszedłem do rozumu, a acpan z wielkiego niby rozumu do więzienia.

Tego samego jeszcze dnia matka z synem po tygodniowym areście, powróciła do domu. Zastali wszystko w najlepszym porządku, a nawet w lepszym jak odjechali, bo stryj Jakób był i rozumnym człowiekiem i pracowitym a przytem uczciwym jak rzadko. Kiedy stanęli w izbie i zobaczyli się znowu we własnym domu upadli najprzód z płaczem na kolana przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i pomodliwszy się z dziękczynnością rzucili się w objęcia stryja Jakóba, który z gołą głową stał przy progu i szeptał po cichu pacierze.

— Mój bracie drogi: zawołała Patyjakowa a Walek dodał, mój ojczy! i ucałował rękę statecznego człowieka.

— Moi drodzy, szepnął rozrzewniony Jakób i za cóż mi tak serdecznie dziękujecie?

— Za poczciwość waszą bracie, za rozumne wasze słowo dołożył Walek, o gdybym ja kiedy doszedł do waszego rozumu!

— To łatwo mój Walusiu. Pracuj, unikaj złych, rozumnych słuchaj i staraj się czytać dobre książki a przejdiesz jeszcze mnie w rozumie. Bez tego pokazałeś, że nawet sobą radzić nie umiesz, jakież więc byłby z ciebie doradca, gdyby cię obrano na niego w gminie albo i w sejmie dla całego kraju?

— To u was szukałbym rady, odrzekł Walek, bo do ciaracha w surducie nawet się nie zbliżę. Nauczylu mnie rozumu!

— Nie ubiór moje dziecko stanowi człowieka, ale rozum w głowie a poczciwość w sercu. Tak samo prostak może być nicponiem jak i ten co niby wiele umie. Nie od surduta więc uciekaj, ale od złości ludzkiej, i jeżeli pragniesz odmiany według swego mienia, to jej nie zaczynaj od przyodziewku,

ale od spojrzenia, co się to tam w świecie dzieje. Jak się to tam ucza, jak czytają, jak radzą o sobie i jak rozumnie we wszystkim postępują. Świat przystrojony ceni i często według niego osądza człowieka, ale to tylko głupi tak robią a rozumni omijają szatę a pilnie baczą co człowiek mówi i jak postępuje. Tak samo w siermiedze prostej można być dobrym obywatelem kraju i zasłużyć na wdzięczność ziomków jak w sajecie i złotogłowi. Na rozumnym i poczciwym nawet zgrzebne płótno przyświeca niby drogiemi kamieniami, bo mu z oczów i twarzy anielstwo przegląda, na głupim nawet miliony się nie wydadzą i zawsze głupiec głupim pozostanie.

Walek westchnął a stryj mówił dalej:

— Niestety w jakie popadłeś moje dziecko, to głównie wyszło z tego, że chleb ma rogi. Pieniądz po ojcu oszołomił cię, myślałeś że masz skarby niewyczerpane i dla tego pracę zacząłeś się brzydzić. Gdyby w głowie u ciebie nie było pstro, ale tak jak wypada, rękami nigdy w pracy nie robiłbyś folgi, tak jak to czynił ojciec twój nieboszczyk. Rozumny wie, że praca to nakaz Boski i jako taka daje pomyślność i szczęście prawdziwe; głupi zawsze garnie się do próżniactwa bo mu poważne pomyślenie nawet w głowie nie postoi. Napchać brzuch, leżeć na murawie lub na posłaniu pod pierzyną i nie robić, tylko przekładać się z boku na bok, patrzeć w sufit i gryźć słomkę w zębach to ich jedyne szczęście. Zwierz także niczego innego nie łaknie, ale dla człowieka to mało. Rozum odróżnia człowieka od zwierzaka ale ten rozum aby nie stał w miejscu i ciągle szedł naprzód, musi być ćwiczony nauką i czytaniem. Gdy tego nie robi to zdrzewnieje, stanie się pelki jak ziemiaki gdy nowe zaczną kwitnąć.

Walek zawstydzony, smutny wysłuchał tej rozumnej mowy w milczeniu. Później chwycił się pracy z wielką gorliwością, w dni powszednie chwilki nawet na próżniactwie nie zmitrężył, w dzień zaś świąteczny po nabożeństwie i wypoczynku szedł do stryja i tam wraz z drugimi parę godzin przepędzał na słuchaniu czytania i na rozmowie o tem co przeczytano. Dziś już ma żonę i dziatki, ma chleba po pas, ma i uważanie we wsi, bo w głowie ma jaśniej niż dawniej. On to najwięcej nastawał na założenie we wsi czytelnego skład-

kowej, on zawsze jest pierwszy gdy idzie o szerzenie nauki i nie szczędzi nigdy namowy i przyłożenia do tego ręki. Dla stryja poszanowanie jego nie ma granic, choć jest gospodarzem już i ojcem zawsze go całuje w rękę i powiada że to największy jego dobrodziej. Rada poczciwa i rozumna więcej znaczy jak skarby całego świata. Próźniaków tylko cierpieć nie może i jak tylko którego z siasiadów widzi opuszczającego się w pracy, świętującego w dzień powszedni i uganianego się za zabawą jak dziecko za motylem, zaraz mówi:

— Oho! już mu z chleba wyrastają rogi i zabodą go jeżeli się nie upamięta.

Jan Kanty Gregorowicz.

Obraz prawego rolnika.

Niech tam kto chce jak chce plecie
U mnie zgoda — to najlepsze;
Ona szczęście rodzi przecie,
Ona zacność ma podeprze.

Gdzie niezgoda się zakradnie,
Tam nic pewnie nie powstanie;
A co stało, to upadnie
Toż w następstwie narzekanie.

Choć mi Bóg dał większe mienie,
Przez to więcej ja nie znaczę;
Jedno mamy przeznaczenie
Jak ubodzy tak bogacze.

Wszystkich cenię więc zarówno,
A jak mówię tak też czynię;
Jedność u mnie rzeczą główną,
Byśmy żyli jak w rodzinie.

Gdy mi więcej Bóg udzielił,
Z drugim chętnie się też dzielię —
By i biedny się weselił,
I on winien mieć wesele.

Kochać kazał Bóg bliźniego
Czy on biedny lub bogaty,
I życzliwym być dla niego,
Choćby nie miał własnej chaty.

Józef z Bochni.

Nad kołyską.

Wieczór już!

Synu oczka do snu zmruż;
Niech sen złoty — marzeń roje
Opromienią skronie twoje
Niby wianek z krasnych róż —
Spij więc już.

W cichym śnie

Niech twa myśl do szczęścia lgnie,
Niech się świat rozstłoni tobie
W całej złudzeń swych ozdobie —
O ho złudzeń słodkich dnie —
Tylko w śnie.

Świata dłoń

W cierni owije twoją skroń;
Twoim myśлом zedrze puchy,
Ducha złamie na okruchy —
Snem więc, nim tam pójdziesz doń,
Szczęście goń.

Śnij więc — śnij!

Z kwiatów marzeń wieńce wij,
Włóż je na twe młode skronie,
Z nich cię rajska woń owionie,
Ty ją pierśią całą pij —
Spij już — spij!

Franek z nad Lipy.

Mosty wiszące w Ameryce.

W dawnych, dawnych czasach, kiedy to jeszcze ani nawet wsi porządnych, ani gościnców nie było, oczywiście i mostów nie znano. Gdzieś na brzegu strumienia stało wysokie drzewo, burza je obaliła, tak że wierzchołek padł na drugi brzeg strumienia i tym sposobem powstał pierwszy most na świecie. Najprzód zwierzęta, a potem ludzie, z bojaźnią, bo się chwiały pod nogami, przechodzili po nim. Z czasem oswoili się ludzie z chodzeniem po mostach, uznali ich użyteczność, potrzebę i odtąd nie czekali już aż burza przypadkiem most im na rzece wystawi, lecz sami ścinały drzewa i sami kładli je tak aby po nich można było wygodnie i bezpiecznie przechodzić. Obok jednego drzewa położono drugie, na tych dwóch w poprzek deski i tak zrobiono most szeroki, po którym i jeździć można było. Ale rzeka wezbrała i most uniosła ze sobą. Trzeba więc było myśleć o trwalszej budowie i zaczęto mosty coraz bardziej udoskonalać. Tysiące lat minęło od tego czasu. Rozum ludzki, oświata, wszystkie sztuki i rzemiosła postąpiły wysoko, dzieła rąk ludzkich zdumiewają doskonałością, ogromem, wytwornością i mosty stają dziś takie o jakich się nikomu przed wiekami nie śniło. Już nietylko drewniane, ale i kamienne i żelazne mosty budują, nietylko niezmiernie trwałe, ale i bardzo ozdobne.

U nas jest dawne przysłowie: polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo wszystko to błazeństwo. Wielką prawdę to przysłowie zawiera, bo Niemiec gdy pości, najbardziej tyje jedząc i pijąc dwa razy tyle co w inne dni: Włoch gdy się modli nóż chowa w zanadrzu i prosto z kościoła idzie rozbijać, a polskie mosty często pełne są dziur, w których konie i ludzie wykręcają nogi. Nie ma się co tam

chwalić, ale co prawda, to prawda. Nieraz gdy trzeba mizerny mostek przez kałużę postawić, to się gromada długie lata namyśla jak się wziąć do tego. Wjednej wsi wójt dwa razy topił się w kałuży, na której mostu nie było, dalejże więc nalegać na gromadę aby most postawiła. Gromada nie chciała, wybrał się więc ze skargą do powiatu, ale na odchodnym podchmielił sobie i wpadłszy w kałużę utonął. Już z jego kości ledwie proch w święconej ziemi leży, a mostku tymczasem jak nie ma tak nie ma.



Jakie w Ameryce mosty napotykać można w kraju który się zowie Peru, to dzisiejsze ryciny przedstawiają.

O tych mostach czytamy w jednej książce co następuje: Rzeki i strumienie w Peru przebywa się po większej części na mostach wiszących, które budują w szczególny sposób, za pomocą grubych lin uplecionych z wikliny, przeciągniętych od jednego brzegu do drugiego. Trzy albo cztery liny utrzymają cały most. Na tych linach układają w poprzek trzecie

przytwierdzając ją po końcach bardzo szczelnie. Niekiedy po obu stronach idzie poręcz upleciona także z liny.

Po takich to lekkich mostach które wiatr kołysze w powietrzu, przechodzą i ludzie i bydła przynosząc nieraz znaczne ciężary.



Okoliczne wsie obowiązane są czuwać nad mostem, który co dwa lub trzy lata potrzeba odnawiać. Wieśniacy znoszą na miejsce potrzebną ilość giętkiej wikliny, uplatają z niej

grube warkocze i przy pomocy rybaków przerzucają je przez rzekę.

Niepodobna mówić bez trwogi o takim moście wiszącym, a kto go przebył raz w życiu już go nigdy nie zapomni. Wydaje się on słaby jak pajęczyna i wiatr kołysze nim na wszystkie strony, że zaś jest w środku obwisły, chcąc więc iść po nim trzeba się najprzód spuszczać w dół, a potem drapać pod górę, przytem poręcze najczęściej bywają popsute, a tak jeden silniejszy podmuch wiatru, jedno nieostrożne stąpienie może podróżnego łatwo o śmierć przyprawić.

Nie myślcie jednak, że wszędzie w Ameryce takie są mosty. Ameryka ma wielkie i bogate miasta w których budowle wodne bynajmniej naszym nie ustępują, a mosty wiszące widzieć można tylko w okolicach mało jeszcze zaludnionych i prawie puszczołom się równających.

Wychowanek wioski.

IV.

Jeszcze więcej zadziwił się Maciej gdy za kilka dni syn jego nagle z Krakowa przyjechał. Zawsze o swoim przyjeździe uwiadamał ojca przez list, a teraz nagle przyjechał i zaraz ojca za sobą do komory pociągnął. Zamknąwszy drzwi, zapytał ks. wikary:

— Cóż nie wiecie nic, ojcze?

— Cóż takiego mój synu, może nieszczęście jakie?

— Niech nas Bóg obrania; właśnie że przeciwnie; nie-spodziewana nam radość jakby z nieba spada. Oto wyobraźcie sobie ojcze kochany, nasz dawny pan...

— Co?!.. co?!.. wykrzyknął Maciej...

— Żyje, dokończył ks. wikary.

— On żyje... nie nie to być nie może, a gdzieżby on był?... gdzież on jest?

— Już niedaleko nas może i za parę dni go ujrzymy. Tu wyciągnął ks. wikary z kieszeni gazetę i z niej czytał zdziwionemu i rozradowanemu ojcu że pan, którego za nieboszczyka mieli, w rzeczywistości nie zginął. Rzecz tak się

miała. Podczas bitwy kulą ugodzony padł, i ztąd powstała wieść, że zginął, którą to wieść stryj skwapliwie pochwycił i na jej podstawie wioskę zagarnąć pragnął. Tymczasem po bitwie, mniemanego nieboszczyka Moskale znaleźli mocno ranym na placu boju, zabrali go ze sobą, z ran wyleczyli, a potem w daleki Sybir, na ciężką niewolę zagnali. I słych o nim zaginał, bo to Sybir kraj ogromnie odległy, tam aż w Azji na północy, wśród lodów i wiecznej zimy. Tam długo biedował pan Zarański, ani wieści nie mógł dać o sobie, ani sam z nikim się porozumieć, a o powrocie to ani myśli było, bo chociaż to on austriacki poddany, ale u Moskala tak, jak kogo raz w Sybir zagna, a nikt się o niego nie upomni, to do śmierci będzie w niewoli.

Ale Pan Bóg dobry czuwa nad ludźmi nieszczęśliwymi i swego Anioła im zesłał opiekuńczego. Takim Aniołem opiekuńczym dla nieszczęśliwych więźniów Sybirskich jest kapłan enotliwy z Kolbuszowy, ks. Ruczka. Wszak niejednen z nas go zna, a każdy czytał, lub słyszał o nim, jak to on dowiadyuje się o tych nieszczęśliwych, z ojcowską troskliwością, i wyszukuje gdzie który w jaki kąt Sybiru zasłany, i listy od rodzim i pieniądze przesyła, i przez posłów Austriackich w Warszawie uwolnienie wyjednuje. Otóż ten zacny ks. Ruczka dowiedział się także i o naszym panu Zarańskim, i zaraz poczynił kroki by go uwolnić. Później na wiosnę tego roku gdy mu się to rzeczywiście udało i nasz pan Zarański do kraju już powracał, umieścił ks. Ruczka nazwisko jego w gazecie pomiędzy powracającymi.

— A niech mu Pan nagrodi temu księdzu pocziwemu, wyrzekł w końcu Maciej, że to on paniska mego z niewoli wyrwał; toż to radość na moje stare lata, że jeszcze kochanego pana mego ujrzę! toż to Pawełek będzie szczęśliwy, że ojca swego otrzyma.

I płakał z radości pocziwy Maciej. Długo jesze potem z synem mówili, i uradzili wspólnie, aby Pawełka, który o niczem jeszcze nie wiedział, powoli na tę radość przygotować a potem, w dzień przyjazdu ojca, do wioski sprowadzić.

A w dworze widoczny był ruch wielki, coś tam pakowano, jakby kto w podróż się wybierał. Stryjaszek niespokojny

latał po dworze, co chwila przez okno wyglądał, czy już nie przyszedł na niego sąd za złe sprawki, i zdanie rachunku.

v.

Nadszedł nareszcie dzień przyjazdu pana Zarańskiego. Uwiadomieni przez Macieja gospodarze wyszli processyą z chorągwiami naprzeciw powracającemu. Przystrojoni w odświęteczne szaty poważnie kroczyli na powitanie pana, co to z takiej niewoli, to tak jak z drugiego świata wraca.

Przed wsią stanęli wszyscy i oczekują. Maciej co chwila podbiega i patrzy po gościńcu, i wąs targa, bo niecierpliwy radby co prędzej pana zwitać.

Nareszcie wpada na spienionym koniku chłopak, którego na zwiady wysłali; wpada z okrzykiem: Już pan jedzie!

I za chwilę tuman kurzu podniósł się na gościńcu, — zadudniało, zaturkotało i ukazała się bryczka jadąca do wsi. Poczciwi włościanie uszykowali się, i gdy bryczka między nich wjeżdżała jednogłośnie krzyknęli: niech żyje nasz pan!

Maciej wyszedł z chlebem i solą starodawnym obyczajem naszym, i witał pana, i mówić chciał, ale lzy mu nie dały; rozplakał się tylko starowina jak dziecko z radości. Pan Zarański wyskoczył z bryczki, i nuż witać wszystkich, a Macieja to obcałował na wszystkie strony, i obaj długo w wspólnym uścisku stali: obaj bez mowy, bez jednego słowa, lzy tylko im płynęły z ocz, lzy radości po tak długim, boleśnem rozłączeniu.

Wreszcie wyrwał się Maciej, i rzekł:

— A oto patrz jegomość mój kochany, taż tu syn jegomości, a jegomość nie patrzy, ta starego wita.

— Syn mój! gdzie Pawełek, gdzie on...

Wtej chwili Pawełek rzucił się w objęcie ojca. Tej chwili, tego powitania opisać nie sposób; to trza samemu czuć, jak serce bije, jak pierś się rzuca, po tak długim niewidzeniu, po takiej rozłące... Gospodarze rozczuleni tem powitaniem okrążyli ich wieńcem a oni długo, długo we wzajemnym leżeli uścisku.

Nareszcie ocknął się pan Zarański i rzekł:

— No, chodźmy teraz do dworu, chodźcie moi kochani sąsiedzi to wspólnie się poradzujemy.

Na to poskrobał się w głowę stary Maciej, i chciał coś mówić, i nie śmiał, nareszcie wyrzekł:

— Możeby też Jegomość na dziś do mnie zagościli, aż tam jaki porządek zrobimy we dworze...

— Jakto, dlaczego? przecie to mój dwór.

— Ej bo widzi jegomość, ten jegomości brat, to to jakiś, z przeproszeniem inaki człowiek...

— Przecież on mojem dobrem rządzi, przecie przez ten czas tu gospodarować musiał, i Pawełka wychował...

— Już co to, to nie, odrzekł Maciej i zawachał się dalej mówić...

Na to wystąpił Pawełek i powiada:

— Oj Ojczy, ciężka to dola była ze stryjem... on bardzo mię źle traktował, że i wytrzymać nie mogłem... aż Bóg dał innego opiekuna.

— Któż się tobą zajął?...

— Oto moi opiekuni, wszyscy tu zgromadzeni, oni moimi ojcami najlepszymi, oni mię od stryja wyrwali, i do szkół dali i na mnie łożyli, ci wszyscy tu: cała wioska.

— Wielki Boże! czy być może? toście wy moimi największymi Dobrodziejami! wyście moje dziecko od zagłady chronili? wyście je uratowali?... Macieju mój, Macieju, Bóg mię powrócił, Bóg mi takiego szczęścia użyczył a w końcu takich przyjaciół dał, ha dzięki ci Boże! całe lata nieszczęścia niezem mi już teraz, kiedy takie serca znalazłem.

A gospodarze przystąpiiii do swego pana i płakali na wpół z radości, ta radość tego ojca to ich szczęście, to chwila jakby z nieba dla nich w nagrodę ich dobrego serca. Ten wzdycha, ten znów łyzy rękawem uciera, a wszyscy weseli, szczęśliwi, jakby się nowo na świat narodzili.

Wtem kolasa pędzi ze wsi, a tłumaków na niej pełno, i pakunku przeróżnego — to stryjaszek na wieść o powrocie pana Zarańskiego, ucieka ze swoim niedobrem sumieniem; on wie, że rachunek go czeka, to też czem prędzej się wynosi. Tu mu zabiegli drogę wieśniacy i krzyczą: czekaj, czekaj, przywitaj się, porachuj, zdaj sprawę...

Przestraszony stryjaszek stanąć kazał, i nuż witać, nuż przepraszać, słów znaleźć nie mógł, tak mu sumienie język

w gębie plątało. Ale pan Zarański jakoś nie zbyt gniewny wyrzekł:

— Idź, idź, jedź szczęśliwie zkąd przyjechałeś, niedobry bracie... wiem o twoich sprawkach ale dziś dzień szczęścia dla mnie, to ci przebaczam. A was moi przyjaciele i sąsiedzi kochani proszę do dworu ze sobą, chodźmy się wspólnie poweselić.

I poszli wszyscy. Pan Zarański uszczęśliwiony kazał pozostawiać stoły i świetną wyprawił ucztę. Bawili się wszyscy ochoczo. Pod koniec uczyty przemówił pan Zarański do wszystkich:

— Za wasze dobre chęci trudno wam dziękować moi ukochani bo trudno i słowa dla was wynaleść. Czyn wasz, wasze miłosierdzie nad moim Pawelkiem to więcej warto, niż proste słowa podziękowania. Sercem z wami będę się dzielił bracia moi, starać się będę osobno każdemu z was odwdziaczyć. Daj Boże, by w całej naszej ziemi takie były poczciwe ludziska, takie serca złote. Bóg wam zapłać, bo mnie nie stać na to. A tymczasem raczcie małą odemnie przyjąć pamiątkę. Oto dochód cały z sąsiedniej wioski, co także do mnie należy, przeznaczam i odkazuję na wieki na waszą własność. Połowa z tego dochodu niechaj idzie na fundusz dla tych z was, co podupadną, co pogorzeją: na zapomogi, dla wdów waszych i sierót. A druga połowa niechaj będzie przeznaczona na to, aby kilkunastu z synów waszych mogło w mieście się uczyć, tak jak mój Pawełek za wasze pieniądze. Od dziś niech tą wioską gmina zarządza: wam ją darowuję.

— Niech żyje nasz pan! krzyknęli włościanie, niech długo żyje w szczęściu wraz z paniczem naszym.

— Niech żyje pan nasz, niech żyje gromada nasza! krzyknął Walenty Burczymucha, co go to znamy z początku opowiadania i niech żyje nasz Maciej, hej, hej, Maciej nasz stary, co go to Bóg tak dobrze natchnął...

Muzyka zagrała ochoczo i wśród tańców i weselości zakończono ten dzień szczęśliwy.

Stach ze Lwowa.

Jan III. w Jaworowie.

Wkrótce po świetnej wyprawie pod Wiedeń, gdzie to Polacy z królem Janem Sobieskim tak walecznie Turków pobili i Chrześcijaństwo uratowali, król bohater z całą rodziną przybył do Lwowa, udając się potem do Jaworowa, majątności swojej, gdzie lubiał najczęściej gościć.

Po drodze do Jaworowa zajeżdżał król Sobieski na zamki panów; chętnie też odwiedzał dworki szlacheckie; gdzie zaś kościół lub klasztor napotkał, stawał dla słuchania mszy świętej, mówiąc do przytomnych: „Nie schodźcie Panu, dawcy zwycięstw, z drogi.“ i składał wota i ofiary na podziękowanie za zwycięstwo Matce Boskiej, którą za osobliwą patronkę w pacholecym jeszcze wieku był sobie obrał, i do której osobne odprawiał nabożeństwo.

Z każdą chwilą zmniejsza się wojenny orszak króla w tej podróży, bo rycerstwo spieszyło do zagród rodzinnych, i jaki taki chciał się przed swojemi pochwalić, jako żyw i dobrze zasłużony do ojczyzny powraca. Natomiast przybywała szlachta okoliczna w domu pozostała powiększając orszak królewski. Błogo, uroczyście, radośnie jak błogosławieństwo ojcowskie rozehodziła się wieść o zwycięstwie po kraju, zdawało się, że spokojne, ciche, srebrne fale Wisły z pod gór słały pieśni aż ku Warszawie i Wilnu. Cała Polska też spieszyła na powitanie zbawcy chrześcijaństwa, a wszędzie głośny to był pochód, rzewne i serdeczne przyjęcie. Z chlebem i solą witały króla gromady po gościńcach, z kościelnemi chorągwiami i z święconą wodą wychodzili księża, bito po kościołach w dzwony, a z wałów po zamkach z moździerzy na cześć królowi Sobieskiemu, którego berłem była po staremu buława hetmańska.

Tak przybył król do Jaworowa, gdzie jeszcze tegoż samego dnia była uczta wielka we dworze. Pod sam już wieczór po objedzie, przyszła gromada z Podzamcza z chlebem i weselem.

Wójt jaworowski miał śliczną przemowę do króla i ofiarował mu od swej gromady plug, bronę, wóz i sześć siwych wołów, które z całym tym przyborem na dziedzińcu już stały.

Kończąc zaś swoją oracyą, rzekł: „A żeście się miłościwy Panie! pono potracili na wojnie, otóż bez urazy Waszej daje tu Wam przezemnie gromada statek kmiecy na zapomogę, bo za statkiem Panie idzie i dostatek.“

Król przyjął chleb, narzędzia i woły od wójta, a królowa kołacz i wieniec; poczem rozpoczęto tany. W pierwszą parę poszła królowa z wójtem, a w drugą król ze starościna weseła.

— A czyjażes moja rybko? pytał król, biorąc ją do tańca.

— Kowalowa, Panie nasz! odpowiedziała hoża kobieta.

Poszli tedy wszyscy w taniec, a za nimi pańskim wzorem pany z czeladzią, a panie z kmieciami. Król Jan nabrawszy szczerej ochoty, i by swój ludek pracowity rozradować, krzyknął teraz na kapełę: „Nuż teraz rażnego,“ i wysunął się naprzód, wybijając w podkówki z krakowska. Obszedłszy taniec do koła, stanął przed kowalową i zaśpiewał:

A z kądżeś ty? — z Jaworowa!

I czyjaś to? — Kowalowa!

Kowalowa z końca,

A chodźże do tańca.

Kowalowa, Bóg daj zdrowa!

Bóg daj zdrowa, kowalowa!

i rzeźkim płasem posunął dalej na czele szczęśliwej drużyny.

Na zakończenie zabawy darował Jan Sobieski gromadzie wszelkie daniny, a wójtowi i kowalowi po sołtystwie; i pozwoliwszy ucałować swoją rękę wiernemu ludowi, rozstał się z nim jak ojciec z dziećmi.

Złote ziarna.

Pan Bóg człowieka

Pociesza w niedoli

I ulgi pozwoli,

I z pomocą czeka.

Dla dobra bliźnich nie oszczędzaj siebie,

A Bóg cię za to wynagrodzi w niebie.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZ W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Kazimierz Wielki.

(Dokończenie.)

Obok tych prac starał się Kazimierz Wielki także o podniesienie kraju pod innemi względami. I tak regulował dochody państwa, pracował nad ułatwieniem i rozszerzeniem handlu, rozpowszechniał rzemiosła, krzewił oświatę. Kopalnie soli w Wieliczce i Bochni, z których dochody skarbowi królewskiemu przyspadały, zostały lepiej urządzone, a wywóz soli za granicę, szczególnie do Węgier i do Szlązka został powiększonym i uregulowanym. Także monetę krajową ustalił, jakoteż w całej Polsce jednakie miary i wagi zaprowadził Kazimierz, przezco tylu nadużyciom i oszukaństwom zapobiegł. Z tego powodu handel krajowy mógł się rozwinąć, tem bardziej, że Kazimierz dawne gościńce handlowe otworzył i zabezpieczył. W Krakowie był główny skład towarów z całego świata, ztąd też Kraków wówczas porósł w dostatki i bogactwa, i na cały świat zasłynął. Ale nie tylko Kraków, i inne miasta również się ożywiły i podniosły; w każdym bowiem większem mieście kupcy podróżujący zatrzymać się, i na pewien czas swe składy otwierać musieli. Dobrem gospodarstwem, roztropnem wyszukiwaniem dochodów bogaciła się też i szkatuła królewska tak, że Kazimierz wkrótce jako najbogatszy w Europie

król zasłynął. Ale mądry ten król nie dusił tych skarbów w skrzyniach, i nie trwonił także na niepotrzebne zbytki: on, to co z kraju wybrał, krajowi zwracał. On ze skarbu swego zatrudniał tysiące rąk przy najrozmaitszych fabrykach, ciesielskich, murarskich — po miastach i zamkach, jak zarówno po borach i puszczech. Przez to całym gromadom dawał sposób zarobkowania: miasta upiększał pysznemi i wspaniałemi kościołami — gdzieindziej zamki budował dla ochrony od nieprzyjaciela. Z tyłu zwalisk różnych starych zamków do dziś gruzami sterczących, połowę większą wybudował Kazimierz. On to powiększył mały przedtem zamek w Krakowie, on wybudował te Sukiennice, których obrazek i opis w numerze 3cim Dzwonka mieliśmy. *) Prócz tego bardzo wiele miast Kazimierz założył, a dawniejsze murami dla obrony opasał. Na Rusi, która wówczas prawie pustynią była, także wiele bardzo zamków pobudował ku obronie od napadów tatarskich.

Tak w całej Polsce panował niewidziany dotąd ruch, tysiące ludzi na stu miejscach od razu pracowało młotem, siekierą, lub kielnią, ciosem i cegłą. Trzebiono bory odwieczne, osuszano bagna, kopano kanały, ogromnym kosztem i pracą bito drogi i stawiano mosty olbrzymie przez nieprzebyte trzęsawiska i zatopy. Po wsiach budowano spichrze, które napełniano zbożem w lata urodzaju, a otwierano dla zasilenia biednego ludu na ciężkim przednowku, lub w czasach głodu. Przejęty najgłębszą czią dla wielkiego króla gospodarza, powiadał o nim naród cały: że „zastał Polskę drewnianą, a mурowaną ją zostawił.“

Tak starając się podnieść zamożność mieszkańców, wzbogacić i ozdobić kraj, nie zapomniał król ten o oświacie, nie zapomniał o podniesieniu i rozpowszechnieniu nauk. Wówczas uczono się nie w szkołach, jak dziś, lecz przy kościołach i w klasztorach. Dlatego zakładał Kazimierz klasztory i bogato je uposażał. Gorliwie krzewił kościół katolicki, ale obok tego nigdy się nie posunął do prześladowania innych wyznań

* Obecnie te Sukiennice chyłają się ku upadkowi ze starości. Osobne Towarzystwo zajmuje się odbudowaniem i restauracją i zbiera po całym kraju składki.

i religii. I owszem zupełną wolnością obdarzył osiadłych po miastach Saracenów (to jest niewiernych). Ormian i Żydów a biskupowi Ormiańskiemu we Lwowie osiaść i stolicę biskupią założyć pozwolił.

Tak rozszerzał naukę przez kościoły i klasztory. Lecz nie dość na tem. Kto się chciał wyżej wykształcić, musiał wówczas wielkie mieć pieniądze i za granicę jechać do miast wielkich. Otóż Kazimierz założył w Krakowie szkołę wszystkich najwyższych nauk, tak zwaną akademię, która do dziś istnieje.

Na takich to zbawianych pracach upływały ostatnie lata rządów błogosławionych króla Kazimierza. Nieprzerwany prawie spokój ułatwiał królowi dokonanie wszystkich tych wielkich dzieł. Wprawdzie nieraz zanosilo się na burzę, ale król mądry zawsze umiał zaradzić i wojnę załagodzić. Polska za czasów tego rządowego dawcy praw i swobód wśród spokoju obfitowała we wszelkie dostatki i zasoby. Co więcej, później nigdy Polska nie mogła się poszczycić tak szczęśliwą równowagą między królem a narodem, tak braterską zgodą wszystkich stanów. A cała ta szczęśliwa dola całego narodu, to dzieło Kazimierza, to jego zasługa. Całego narodu, mówimy, bo rzeczywiście cały naród był szczęśliwym. Każdy kmieć, czy mieszczan, miał prawo oręż nosić i tym orężem w krwawym boju szlachectwa się dorabiać.

Jakoż i położenie kmieci dalekiem jeszcze było od tego stanu niewolniczego poniżenia, w jakie w następnych dopiero wiekach kmieć polski popadł. Uciskały wprawdzie kmieci już podówczas mnogie ciężary i pańszczyźniane prace, ale nie byli oni zdani na swawolę swych panów, zostawali pod opieką powszechnego prawa i sądów królewskich. Statut Kazimierza Wielkiego zajmuje się troskliwie stanem kmieccym, przyznaje mu własność posiadanej roli, stara się zapewnić mukorzyści z tejże i obronić go od nadużyć i wszelakich gwałtów czy to od nieprzyjaciela, czy też swawolnego pana. Za zabicie kmiecia oznaczona była opłata, podobnie jak za zabicie szlachcica. Zastrzeżono było wprawdzie, że z jednej wsi do drugiej więcej kmieci wyjść nie może jak „jeden do dziesięciu“, ale w wypadkach wyjątkowych wolno było całej wsi nawet

opuścić swego pana. Puścizny kmiece w razie bezdzietności nie wolno było panu zabierać, lecz przypadały one na bliższych krewnych. Za tę troskliwą opiekę uwiecznił król ten swoje imię w historii, gdyż otrzymał zato przydomek „króla chłopków,” i do dziś pamięć jego pod tem nazwiskiem słygnie.

To zrównanie wszystkich stanów wobec prawa, ta równość religijna, ta obrona słabszych od ucisku możnych, podniesienie ogólnego dobrobytu, stały pokój z sąsiadami, a gospodarstwo rozumne wewnątrz kraju: oto były główne zasady rządów Kazimierza.

Tymczasem gwiazda życia Kazimierza chyliła się ku zachodowi. Zbliżała się chwila, w której naród miał się nawsze przeżegnać z swym ukochanym monarchą, i z tym starożytnym rodem Piastów, który mu tak długo przewodniczył. Kazimierz zstępował do grobu nie pozostawiając po sobie męskiego potomka. Obawa, aby który z pokrewnych lecz przeniewierczych książąt mazowieckich lub szlązkich po berło królewskie nie sięgnął, spowodowała, że Kazimierz za życia jeszcze, z wolą narodu, Ludwika, króla węgierskiego następcą swoim mianował. Nie zostawił więc na niepewne tej Polski, którą z drewnianej w murowaną przemienił. Spokojnie więc mógł snem wiecznym zasnąć król ten, bo choćby nawet Ludwik nadziei w nim położonych nie ziścił, toć przecie naród zostawił, który teraz już był pełnoletnim, który o sobie już radzić zdołał.

To też upływały lata ostatnie żywota wielkiego króla kmiotków w spokoju i wesołości. Sąsiedzi wszyscy przestrzegali pokoju, a nawet zakon krzyżacki, ów najzaciętszy wróg Polski okazał się zgodniejszym, niż kiedykolwiek przedtem, lub potem. Ale Kazimierz nie dał się ludzić tym oznakom przyjaźni krzyżaków, przeciwnie wojną z nimi i ich upokorzeniem chciał zakończyć swoją pracę ustalenia Polski.

Opatrzność tymczasem inaczej zawyrokowała. Właśnie gdy plan wojny z Krzyżakami dojrzał w królewskim umyśle, przecięła go przedwczesna śmierć. O wschodzie słońca, dnia 5 Listopada 1370 r. przeniosła się wielka dusza króla Kazimierza do wieczności. Umarł on z rany, której się nabawił na polowaniu, gdy goniąc jelenia z konia spadł.

Zwłoki króla złożono na zamku Krakowskim w katedrze, i uczczono pomnikiem marmurowym. Pomnik marmurowy do dziś sterczy, ale naród cały trwalszy wielkiemu królowi wystawił pomnik; naród cały po śmierci króla szczerze zapłakał i grubą na długo okrył się żałobą. Do dziś po pięciuset latach pamięć tego króla nie zagasła. Tamtego roku znaleziono po tylu wiekach zwłoki króla tego i przy zjeździe ogromnym narodu z wielką czecią, w wspaniałym pochodzie napowrót je pogrzebiono.

Pisanie Józefa z Bochni do pana pisarza Dzwonka.

Nie wiem co takiego, ale takie dziwne są teraz czasy, że się między ludźmi bardzo mało pojawia pięknych przykładów. Nie wchodzę w przyczyny, ale powiem otwarcie, że jeździłem teraz daleko po kraju i obok innych rzeczy chciałem się koniecznie dowiedzieć o jakim pięknym przykładzie, jednakże nie uczyniłem zadosyć mojej chęci. Jak na złość, pięknych przykładów mało. Aż dopiero w jednej wiosce, której nazwy nie przytaczam, dowiedziałem się o tamecznym wójcie rzeczy pięknej. Człowiek ten pod względem sumiennosci w wypełnieniu obowiązków swoich śmiało być może pięknym przykładem dla drugich. Nie przytaczam tu i jego nazwiska, aby nie naruszyć skromności, którą się odznacza.

Wójt ten usunął różne niedogodności w gminie, pojednał kilku zaciętych proceśników i zapewnił zgodę między nimi. Po tem wszystkiem dowiedział się z przykrością, że po polach i łąkach jeszcze dosyć częste bywają szkody, a ztąd kłopoty i obraza boska. Zwołuje on tedy radę i tak się odzywa:

— Waszemu zaufaniu, kochani gospodarze, winien jestem, że zostałem wójtem. Przyjąłem obowiązki, to też rzeczą mojego sumienia, abym je wypełniał na pociechę Boga i pożytek ludzi. Chciałbym z całą serdecznością poświęcić się dla dobra naszej gminy, a was też proszę, abyście mię popierali w mem przedsięwzięciu. Dowiaduję się często, że w naszej wiosce znajduje się wielu szkodników, którzy nie umieją szanować cudzej własności. Nie wiedzą, że co cudze, to jakby święte; tego

nawet tykać nie wolno. Owóz, aby naszą wioskę koniecznie ochronić od tego złego, robię wniosek, aby odtąd złapanego szkodnika karać tygodniową kozą z całkowitym postem.

Na to odezwał się jeden radny:

— Kiedy to może będzie za wielka kara?...

W tem poderwie drugi i powie:

— To też tem łatwiej pozbędziemy się szkodników, którzy są naszą plagą. Trzy dni kozy nie wielkiego; chodzi więcej o hańbę, którą ponosić będą. Zgadzam się z wnioskiem wójta, bo w karze tej nie ma krzywdy bliźniego. Karać, ale nie okazywać nieludzkości! Kto za wnioskiem wójta, niechaj powstanie!

Powstali wszyscy, zatem wniosek jednogłośnie przyjęto.

Ogłoszono wnet w gminie uchwałę, aby każdy miał do wiadomości. Przez pewien czas nie było słyhać o szkodzie w polach i łąkach. Aż jednej nocy schwytano szkodnika i odstawiono do wójta. A że to było w nocy, zatrzymano go tymczasem w stajni. Rano wójt idzie do stajni, lecz jakimże przejął się żalem, gdy w osobie szkodnika poznaje — własnego ojca....

Zbladł jak ściana, a dwa strumienie łez spłynęły mu z oczu. Westchnął głęboko i poszedł do izby.

Niebawem zwołano radę. Po udowodnieniu świadków, że szkoda wyrządzoną została, kazano szkodnika wsadzić do kozy.

— Synu! — jęknął ojciec — miej litość nademną.

— Postanowienia łamać nie mogę — odparł wójt -- Wyrok wykonany być musi, bo taka zapadła uchwała Boleję, lecz cóż winienem nieszczęśliwy?..

Powtórzono wyrok. Polowy trzymając klucz w ręce, wskazał szkodnikowi, aby się udał do izby na kozę przeznaczoną.

— Synu! — zawołał starzec boleśnie — daruj mi winę!..

— Nie mogę, — odpowiedział — bo prawo dla wszystkich jednakowe.

Stary ojciec głośnym wybuchnął płaczem i kiedy już chciał iść, wójt, syn jego, oddał się w ręce polowego i mówi:

— Przyjmuję winę za ojca i poddaję się wyrokowi!

— Dajcie spokój! — zawołali ludzie — my wam przepuszczamy!

— Nie można! — odrzekł — bo ustawa święcie wypełnioną być powinna! Powtarzam, poddaję się wyrokowi!...

I jak powiedział, tak się stało. Ojciec stał jak wryty; długo nie mógł wymówić słowa. Syn jego ściśle odsiedział karę.

Co opisuję, wydarzyło się zeszłego roku. Jak mię zapewniano, w tym roku nie było wypadku, żeby gdzie w tamtej gminie popełniono szkodę, bo każdy wiedział, że to nie przelewki, bo wójt nie daruje.

Czyn ten ze względu na sumienne wypełnienie obowiązku, jak również poświęcenie się dla ojca, spodobał mi się bardzo i podaję go do wiadomości, bo jest rzeczywiście godnym uznania.

Daj Boże! żeby więcej było takich energicznych wójtów i poczciwych synów, ale żeby nigdy nie było podobnego wydarzenia, jak to, które opisałem, bo to rzecz bardzo smutna.

Józef z Bochni.

R U T

(Powieść biblijna).

Pada piękny łąn jęczmienia
Pod sierpami stu żniwiarzy,
Brzmią wokoło śmiechy, pienia,
Sam tu dziedzie gospodarzy.
Tych zachęci, tych pochwali,
A przymawia, by szli dalej.

Więc się skorsze wzniosły pieśni,
Na wyścigi żenicy spieszą,
Im ukończą łąn swój wcześniej,
Tem się dłużej w noc ucieszą.
Jeszcze w górze twarz jest słońca.
A już pole bliskie końca.

Za wesołem żenców kołem,
Od Betleem strony miasta,
Ze spuszczonein w ziemię czołem
Trwożnym krokiem, szła niewiasta:
Cudzoziemska na niej szata,
W oczach młode błyszczą lata.

Uronionych kłosów szuka
Cała potem już oblana,
Jeszcze każdy ją ofuka
Że bez wiedzy czyni pana;
Więc się boi nieszcześliwa,
Czy nie straci tego żniwa.

Pan ją widząc. wraz się pyta
Czy nie wiedzą co za jedna?
„Jakaś obca snąc kobieta“
Odpowiedzą — „pewnie biedna.“
Smutna siadła koło drogi,
Przy niej snopek dnia ubogi.

Pan ją woła: „Lube dziecię,
Powiedz jakie twoje losy?
Czy zarabiasz tak na życie,
Czy przez chciwość zbierasz kłosy?
Wyznaj, moje to jest pole,
Mogę zmniejszyć twą niedolę.“

„Niech nagrodzi Bóg twe słowa.“
Dobry Panie — we łzach powie) —
„Jam Noemi jest synowa,
Rodem z Moob, Rut się zowie.
Kłós zebrany z twojej ziemi,
Ma mnie żywić i Noemi.

Opuściłam dom rodzinny,
By zachować matki lata; —
Dla niej przysłam w kraj ten inny,
I na koniec szłabym świata,
Dla niej znoszę pracę, znoje,
Bo jej szczęście, szczęście moje.

Wejrzyj na nas litościwie,
Racz darować, dobry panie
Tych, zgubionych na twej niwie
Kilka kłósów uzbieranie.
Uczyn łaskę tę sierocie,
Bóg nagrodzi twojej cnotcie!“

Gdy o głodzie tak od rana
Szuka kłósów, złana potem,
Czyliż biedna, odpędzana,
Choć pomyśleć mogła o tem
Że zostanie pól tych pania?
Że ci żeńcy robią na nią?

A tak było. Pan wzruszony
Jej młodością, wiarą stała,
W Rut cnotliwej szukał żony.
Przez nią dom swój okrył chwałą:
Że z Obeda, jego syna,
Dawidowa szła rodzina.

Zamki w Polsce.

Za dawnych czasów, kiedy to często były napady nieprzyjaciół, kiedy to Tatarzy, Turki, Kozacy, Szwedzi i inni często naszą ziemię najeżdżali, stawiano dla obrony rozliczne zamki po całym kraju. Z początku stawiano zamki drewniane, niby domy obronne mocno zbudowane, otoczone silnym parkanem. Później zaczęto zamki takie stawiać z kamienia — i przemyśliwać, jakbyto bardzo obrońnymi je zrobić. Stawiano je więc najczęściej na bardzo wysokich górach, gdzie nieprzyjacielom trudno się wydrapać po tych spadzistych skałach i stromych urwiskach, szczególnie, gdy zamknięci w zamku wojownicy częstymi strzałami ich razili. Nieraz gdy nieprzyjaciel już wdarł się, gdy na mury zamku samego już się drapać począł, tu go czekały ostre miecze, topory, siekiery, którymi odparty cofać się musiał. Gdzie o górę trudno było, na równinach, tam stawiano zamek po nad rzeką bystrą, lub nad stawem, aby umyślnie naokoło wykopanym głębokim rowem wodę puścić, i nieprzyjacielowi przystęp utrudnić. Także

wałami wysokimi otaczano zamek, w ogóle wszystkie przedsiębrano środki, by zamki te jak najnieprzystępniejszymi uczynić. Sam król Kazimierz jak to nam wiadomo wiele takich zamków pobudował; późniejsi królowie i pojedynczy rycerze je stawiali, by w razie najścia nieprzyjaciela siebie i swoich obronić mogli. U nas w Polsce nie było stojącego, płatnego żołnierza; w razie wojny wszystko ruszało i biło nieprzyjaciela. Szlachcic obowiązany był iść, a włościanin, który się w bitwie odznaczył, zostawał szlachcicem. To też w razie nagłego napadu nieprzyjaciela, mężczyźni ruszali w pole bić się, a kobiety zostawały w zamku pod opieką załogi zostającej dla obrony. Najczęściej lud z okolicznych wiosek, nieraz z bydłem nawet i dobytkiem do zamków się chronił.



Później czasy się zmieniły. Ta ciągła obawa napadu nieprzyjaciół ustała; to też zamków zaniechano, boć przecie niejednemu milej w obszernym i wygodnym domu mieszkać, gdzieś w dolinie, przystępnie, bliżej ludzi, niż w ponurem zamczysku. Zamki opuszczone nieodnawiane, chyłą się ku upadkowi: niejedne zapadły się, i znikły z powierzchni ziemi, z innych sterczą zwaliska tylko i ruiny, co nam na pamięć przywodzą owe dawne, minione czasy, i tych ludzi dawnych, co to wówczas żyli, a z których przecie my pochodzimy.

Rycina nasza przedstawia jeden z zamków takich. Zamek ten zwie się Szymbark, leży o pół mili od Gorlic (w Jasielskiem). Zwie się Szymbark, z niemieckiego (Schönpark), bo część mieszkańców tamtejszych pochodzi z Niemców, którzy bardzo dawno już tam się byli osiedlili. Zbudowany w niepa-miętnych czasach, i długie też czasy przetrwał, długo się różnym napadom opierając. Aż w r. 1657 za panowania króla Jana Kazimierza podczas wielkiej wojny gdy aż trzech nieprzyjaciół. Szwedzi, Kozacy, i siedmiogrodzki książę Rakoczy ziemię naszą najechali, zamek ten uległ. Zdobył go w pochodzie swym na Kraków książę Rakoczy, i powiększej części zburzył. Później odnowiono ten zamek, lecz czas, ten groźny niszczyciel wszystkiego, napowrót go zniszczył; z pięknego zamku sterczą ruiny. Przechodzień idzie, popatrzy, i poduma nad znikomością wszystkiego.

Medalik Matki Boskiej.

Skończył się dzień boży, skończyła się praca ludzka. Strudzony robotnik wraca do domu na wieczerzę i wypoczynek. Ten i ów szepece po drodze Anioł pański, inny liczy zarobek lub radzi z sąsiadem o pracy na jutro. Gospodynie, które na zarobek nie idą, lecz w domu, pilnują chudoby, także nie siedzą z założonemi rękami. Krówki z paszy wróciły, trzeba je wydoić; trzeba się pospieszyć z wieczerzą dla mężów, dla czeladzi, dla dziatwy, i jeszcze nie jedno zrobić, nim noc zapadnie.

Wojciechowa wszystko już porobiła, w progu więc stanęła, czekając na męża. Dwoje dzieci, Kasia siódmy roczek licząca i Jaś pięcioletni, oboje bose w brudnych koszulkach tuliły się do matki i skarżyły że głodne.

— Wnet ojciec przyjdzie, będzie wieczerza, powie matka.

W tem Wojciech nadchodzi z kosą na ramieniu. Dzieci skoczyły, witają ojca.

Wojciech wszedł z żoną do izby, wyjął z kieszeni woreczek skórzany.

— Cały zarobek przynoszę, rzeczy kładąc pieniądze na belce pod powalą, anim nie skosztował wódki... Żyd szelma jeszcze nie wrócił z browaru...

— Chwała Bogu, chwała Bogu, powie Wojciechowa, choć tych parę groszy w domu zostanie.

Wojciech się uśmiechnie:

— Zostaną, zostaną ale przecie nie wszystkie. Jeszcze po wieczery skoczę do karczmy, bo cały dzień trudno wytrzymać bez kieliszka.

— Bój się Boga! krzyknie Wojciechowa, małoś jeszcze przepił w tamtym tygodniu? Dzieci gole, bose, a ty jeden dzień bez wódki wytrzymać nie możesz.

— Cicho, cicho, powie Wojciech, krzyczysz na całe gardło, a tu dzieci stoją w progu i wszystko słyszą.

— Niegodziwcze, rzecze już nieco ciszej żona, wstydzisz się dzieci, niechciałyś aby wiedziały, że mają ojca pijaka, a najmniejszej ofiary dla nich nie poniesiesz.

— No, no, już cicho, dawaj wieczrę bo i ja głodny i one pewnie od południa nie jadły.

To mówiąc wyszedł przed dom, usiadł na ławce, młodsze dziecko wziął na kolana, starsze przy sobie posadził i dalej gawędzić z niemi i pytać co robiły cały dzień, jak się bawiły, zwyczajnie ojciec który dzieci kocha a ledwie wieczór widzi je na chwilę. Dzieci zaś tulą się mu do serca, obejmują za szyję, całują po rękach. Tymczasem Wojciechowa wyniosła drugą ławkę, postawiła na niej misę mleka kwaśnego i drugą z ziemniakami; przyniosła łyżki, i zaczęła się wieczera uboga, ale smaczna. Jaś i Kasia zawijali żwawo, ziemniaki piorunem znikwały w ich gardziolkach.

— Ej Jaśku, powie ojciec z uśmiechem, ty coś sprzątasz ziemniaki jak stary: musisz ze mną iść jutro trawę kosić.

— Tatusiu, powie Jaś, wolę ziemniaki kosić bo dobre, a z trawy co mi przyjdzie?

— Ziemniaki kosić... ha! ha! ha! zaśmiała się Kasia. Oboje rodzice śmieli się także z Janka.

— A może byś poszedł mleko kosić? zapyta go ojciec żartem.

Jankowi małemu już tych żartów było zawiele i na płacz mu się zebrało.

— Wszystko ja mam kosić i trawę i ziemniaki i mleko wszystko ja... o Boże! Boże! Kasia starsza a nie nie robi.

— Ot cichobys był, poswarzy go matka, pleciesz sam nie wiesz co. I otarła mu oczy zapaską.

— Cicho, cicho, tulił go ojciec, tak będzie jak sam chcesz, bo ty jeszcze maleńki.

Janek zabrał się napowrót do łyżki, a Kasia tymczasem skryła głowę pod ławkę i śmiała się z niemądrego braciszka. Ojciec zaś i matka śmieli się z nich obojga, bo Janek widząc że nikt mu nie przeszkadza, dalejże zaczął sprzątać ziemniaki z przed Kasi.

W tem zaturkotało w oddaleniu. Wojciech zerwał się na obie nogi popatrzył ku gościńcowi i cmoknął ustami. Żona domyśliła się, że to żyd jedzie z wódką, spojrzała na męża jakby chciała coś mówić, ale się wstrzymała, dobra myśl przyszła jej do głowy. Przyszła do izby zdjęła z belki woreczek wysypała z niego pieniądze a coś innego włożyła na to miejsce i jakby nic wyszła znowu przed chatę. Nie było już ani mleka ani ziemniaków. Wojciech nalegał na dzieci aby poszły spać.

— Ha, czegóż mamy siedzieć, powie Wojciechowa. Obmyję miski, pościelę, ta i pójdziemy na spoczynek.

Nim się z tem wszystkim uporała, Wojciech chodził po izbie niespokojny i naglił do pospiechu, snąc pilno mu było. a wstydził się iść przy dzieciach do karczmy. Nareszcie wszystko gotowe; Wojciechowa uklękła z dziećmi przy łóżku i wszystko troje mówili pacierz głośno. Wojciech zdjął kapelusz i przysłuchiwał się z uszanowaniem, ale się nie modlił. W chwilę potem oboje dzieci chrapały w najlepsze. Wojciechowa spała także lub udawała że spi, on zaś zbierał się do wyjścia. Zaplął sukmanę, wdział czapkę, kij z kąta wydobył, teraz sięga na belkę po woreczek.

— A to co? rzecze sam do siebie... pieniędzy nie ma.

Otwiera i zamiast pieniędzy znajduje jakąś blaszkę. Wściekłość go napadła.

— Ta szelma co ona mi zrobiła... nauczę ja ją.

Splunął w rękę, chwycił kij, skoczył do łóżka... lecz jakaś moc dziwna wstrzymała go.

— Co ona mi takiego włożyła zamiast pieniędzy?

Skrzesał ognia, zaświecił na kominie, przygląda się bliżej

— Medalik Matki Boskiej... No patrzcie... pieniądze wzięła a medalik mi włożyła.

Zbliżył się znowu do posłania żony, lecz znowu jakby go coś odepchło; stanął i jeszcze raz spojrzął na medalik.

— Tfu... a to co takiego? To jakieś czary... Baśka, Baska, zawołał kilkakrotnie na żonę.

Wojciechowa dech w sobie zaparła i ani się ruszyła. Odstąpił od łóżka, zamysłał się.

— Co to jest? Podnoszę kij do uderzenia a spuścić go nie mogę... czy to czary, czyli też Matka Boska łaskę swoją nademną pokazuje?

Ręce mu opadły, głowa pochyliła się na piersi. Po chwili poniósł medalik do ust i z uszanowaniem pocałował. A w tem Kasia zerwie się na łóżku.

— Tatusiu wy nie spicie? I ja nie śpię. Dziś odwiązał mi się medalik, matusia schowała a ja nie mogę zasnąć bez Boga; tatusiu zbudźcie matusię niech mi da medalik bo coś się w koło mnie wije jakby złe duchy.

— Cicho dziecko, masz oto medalik przywiąż sobie i spij z Bogiem, rzekł Wojciech i pocałował ją.

Postał jeszcze chwilę nad dzieckiem a gdy zasnęło, padł na kolana i modlił się gorąco.

Nazajutrz skoro świt poszedł w pole słowa nie rzekłszy żonie, a gdy wieczór powrócił, już woreczka nie kładł na belku, lecz jej oddał. Spojrzeli na siebie przelotnie i zrozumieli się. Żona biorąc woreczek chciała mu upaść do nóg, lecz on ją wstrzymał:

— Kobieto, ja to powinienbym tobie upaść do nóg, boś ty jak anioł stróż stanęła pomiędzy mną a grzechem i uratowała mnie od upadku. Jak mi Bóg miły, pókim żyw moja noga w karczmie nie postoi.

Stanisław Krakowczyk.

Płody przyrody.

Wszystko, cokolwiek ziemia lub morze samo przez się, lub też za przyczynieniem się człowieka wydaje, jest płodem przyrody. Wszystkie płody przyrody dadzą się na trzy oddziały, lub jak je uczeni nazywają królestwa przyrody podzielić. I tak, wszystko co się o własnej woli i sile porusza i z miejsca na miejsce przenosi na ziemi, w powietrzu lub morzu, nazywa się oddziałem lub królestwem zwierząt. Wszystko, co wprawdzie rośnie, porusza się, ale bez własnej woli, co miejscem na ziemi lub w morzu związane, zowiemy królestwem roślin. Nakoniec wszystkie inne płody, które się poruszać nie mogą, żadnej woli, siły, ani czucia nie mają, zwa się królestwem kopalin. kopalin dlatego, ponieważ te płody z wnętrza ziemi wykopać lub też z ziemi lub morza wydobyć potrzeba. Zupełnie odmienne płody daje nam ziemia, zupełnie inne od morza otrzymujemy. Na lądzie są płody należące do wszystkich trzech oddziałów lub królestw. Niektóre z nich rozszerzone są wszędzie, w każdym prawie zakątku całej ziemi stałej to jest lądu spotkać się z nimi możemy. Tu należą na przykład z królestwa zwierząt: pies, wół, owca, koza, koń, kot, lis, kruk, gęś, kura, gołąb i wiele innych; z królestwa roślin: mech, paproć, zioła jagody wydające itp.; nakoniec najwięcej rodzajów z królestwa kopalin.

Inne zaś płody przyrody znajdujemy tylko w pewnych okolicach, w pewnych częściach świata, albo też w jednych stronach są bardziej powszechne, w innych rzadsze, lub wcale ich niema.

Ziemia nasza, dlatego, że jest kulą, ma kraje, które się bardzo ciepłem od siebie różnią. I tak wszystkie kraje i okolice, co na wysokiej północy, lub też na krańcach południa leżą, mają prawie bez przestanku zimę; śniegi, lody i mrozy tam wiecznie panują. Zaś między północą a południem są na kuli ziemskiej na około kraje największego gorąca i upałów, kraje w których nigdy mrozów i śniegów, nigdy zimy nie ma, tylko dwa razy do roku niesłychane deszcze i ulewy; kraje te nazywają się równikowemi, bowiem, jeźelibyśmy kulę ziemską między północą a południem równo rozdzielili, mieli-

byśmy równik, to jest równy rozdział, zrównanie. Otóż wszystkie kraje na północy lub na południu wysoko leżące, zwiemy strefą, t. j. pasmem krajów zimnych; te na środku, to jest po obu stronach tego równika, pasmem krajów gorących, inne zaś, do których i nasz kraj należy, leżą w pośrodku tamtych, i zowią się pasmem umiarkowanym. Nie masz tu ani zbytich upałów, ani też strasznych, wiecznych mrozów, kraje to dla człowieka najprzystępniejsze i dla życia jego najstosowniejsze, — dzięki Bogu że nam w takich narodzić się i żyć pozwolił.

Otóż każda z tych stref dla gorąca lub zimna różni się od innych wieloma odmiennymi płodami przyrody. I tak w krajach pasma gorącego wśród tych rażących upałów przyroda buja niesłychanie; tu napotykamy najmocniejsze i najwspanialsze, ale oraz okropnie dzikie zwierzęta, z których człowiek pożytku ma mało, a wiecznie od wielu z nich bronić się musi; tu są lwy, tygrysy, konie rzeczne, nosorożce, słonie, wielbłądy, małpy, strusie, ogromne jadowite węże, krokodyle itd. Jest korzyść z niektórych, ale korzyść tę drogo nieraz trza przypłacić. Z roślin tego pasma większe już korzyście; dostarczają one wybornych płodów, szczególnie korzennych, jak gwoździaków, gałki muskatułowej, cynamonu, pieprzu, — dostarczają skutecznych lekarstw, jak np. kamfory, aloesu, chinu, wielu żywności; jak herbaty, kawy, orzechów kokosowych, daktyłów, różnych materyałów do farbowania, wreszcie materyałów do odzienia: bawełny, którą z krzewów amerykańskich uzyskują. Z kopalin: złoto, srebro i drogie kamienie tu daleko częściej i w większej ilości napotkać można, jak w okolicach zimniejszych.

W pasmie krajów zimnych nader mało znachodzimy zwierząt i roślin. Tu mróz każde życie ścina — wieczne śniegi nie dają się swobodnie rozwijać roślinom. Zwierzęta zasypiają tu po największej części i większą część roku spędzają w odrętwieniu. Tu znajdują się reny, to jest zwierzęta podobne do naszych jeleni, które najwięcej mchem i ziołami z pod śniegu wykopanemi żyją, psy i krowy morskie, niedźwiedzie białe, lisy, i nieodstępny towarzysz człowieka pies. W ogóle zwierzęta tu niekształtne i nieładne. I człowiek tam

zamieszkały także nieszczęśliwy, — mały, bo najwięcej to półpięta stopy wysoki, niewykształcony, niepojętny. I rośliny skurczone aż do karłowatości, i mało ich bardzo, brzozy tylko, świerki i wierzby nieudatne, a pod śniegami, gdy trochę roz-tają, ukazują się zioła nieliczne i mchy.

(C. d. n.)

Rozmaitości.

— Jeden kot połknął dwa woły na podwieczorek. Gospodarz Bartek sprzedał na jarmarku w Wysoce nie dawno temu dwa woły i dostał za nie 150 tal. w pruskich papierach, które włożył w sakwę pomiędzy chleb smalcem posmarowany. Bartek zaproszył sobie na jarmarku głowę a idąc po pijanemu do domu. rzucił sakwami z jednego ramienia na drugie, tak iż smalec na papierach został. Uszedłszy pół mili drogi wstąpił do karczmy w Starem na podwieczorek. Wyjął tam kawał chleba z onych sakiew i każe sobie przynieść kwaterkę wódki. Pieniądze papierowe przesiaknione smalcem kładzie obok chleba na stół, nie złego nie przeczuwając. Kot z boku skoczył na stół i nim Bartek go spostrzegł, porwał te 150 talarów uciekł pod łóżko i zjadł smalcem stłuszczone papiery. A tak

stracił Bartek przy kieliszku 150 tal. a zgłodniałe kocisko dwa woły połko od razu.

Gdy Bartek do domu przybył, pyta go żona, gdzie ma pieniądze za woły? A on zmieszany odpowiada: Matko! kot zjadł nasze woły na podwieczorek.

— Najmąjniejszym mieszkańcem Stanów Zjednoczonych Ameryki, jest obecnie niejaki Jakób Carroll w Texas; wprawdzie nie posiada on milionów w pieniądzech, lecz jest właścicielem 500,000 morgów gruntu, 1000 koni i 10 000 bydła rogatego. — Oto gospodarz, jakich mało na świecie!

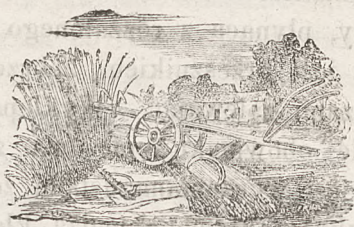
Piecz eń. Przykrzył się chłó, kucharzowi o pieczeń; kucharz dał mu kość, że jej jeść nie mógł. Oddał mu ją chłopiec na talerzu mówiąc: pokraj mi ją waćpan. Na to roześmiał się kucharz i dał mu kawał pieczeni.

Złote ziarna.

Miej serce czyste i wiarę żywą,
Znajdziesz szczęśliwość prawdziwą.

Nie szemrze Chrześcianin na Boga w złej doli,
Ni się żadnym uciskiem nie trapi do zbytku;
Lecz z pokorą Wszechmocnej poddając się woli,
W doczesnych smutkach szuka wiecznego pożytku

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Żebracy.

Któż nie zna żebractwa, co to na odpustach i jarmarkach, po drogach i przedsionkach kościelnych, wykrzywiając się i podsuwając skorupy żółtowie lub miseczki pod nogi przechodniów, wielkim żałosnym głosem proszą o jałmużnę? Po wsiach mniej się ich pojawia, ale w miastach większych roją się jak szarańcza i jak szarańcza są naprzykrzeni prawie do niezniesienia. Gdziekolwiek się obrócić lub przystanąć, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie żebrak włazi ci w oczy i wyciągając rękę, nie da ci ani odpocząć, ani rozmówić ze znajomym, ani nawet przejść spokojnie przez ulicę.

Miłosierdzie wprawdzie jest rzecz święta; litować się nad niedolą ludzką, starać się zapobiegać nędzy, pocieszać, ratować bliźnich w nieszczęściu, podoba się Bogu i jest naszym obowiązkiem. Ale ludzie źli ze wszystkiego umieją zyski ciągnąć, a więc i z litości serca ludzkiego, i zrobili z tego spekulację handlową, jakby rzemiosło, w którym nie jednemu lepiej się dzieje jak uczciwemu człowiekowi ciężko pracującemu. Winą tego nasza nieogłędność i złe pojęcie znaczenia jałmużny. Zdaje się nam, że za grosz złożony na rękę żebraka, wymówione przez niego błogosławieństwo i nabożne podziękowanie, albo wyklepany pacierz za dusze zmarłych, dla nas wyjedna łaskę

Bożą a dla nieboszczyków odpuszczenie grzechów ich żywota. Błąd to wielki moi bracia. Modlitwa miła Bogu, ale odmówiona ze skruszonej duszy, płynąca z rozżalonego serca, przy której człowiek czując że jest grzesznikiem, żebrze miłosierdzia Boskiego nieraz się łzami zalewając. Wyklepana bez myśli, aby zbyć, aby dopełnić obowiązku, nie ma żadnego znaczenia. Cóż dopiero jeżeli jest wyszeptana ustami żebraka, który pełen zdrowia i siły oszukując kłamaną nędzą, kłamie i ustami i swą powierzchownością, kłamie przed Bogiem, kłamie przed ludźmi i potem śmieje się skrycie, że mu się w kłamstwie tak dobrze wiedzie.

Powiadają także, że Bóg patrzy na dobre chęci człowieka a jeżeli ofiara jego miłosierdzia w złe padnie ręce, to dający zawsze ma zasługę, a tylko odbierający jałmużnę dopuści się winy obrażającej Boga. Tak jest rzeczywiście, ale tylko wtenczas, jeżeli człowiek mimowoli zostanie oszukany; jeżeli zaś wspiera żebraka dla tego jedynie, że rękę wyciąga, nie rozważwszy czy rzeczywiście jest nieszczęśliwym czy tylko oszustem, wtenczas ulega grzechowi nieogłędności i lenistwa, i jałmużna jego nie tylko nie przynosi mu żadnej zasługi, ale przeciwnie niemilą jest Bogu jako podtrzymująca złe i ułatwiająca ludziom zepsucie. Takiej jałmużny strzedz się należy jak ognia, a jednak bardzo często taką jedynie bywa. «Bo zkąd się po większej części biorą żebracy? Oto z próżniactwa, z lenistwa, a mała tylko liczba z prawdziwej konieczności. Jak tylko człowiek ma zdrowe ręce, choćby nóg nie miał, już może i powinien na siebie pracować, nawet i stare lata nie zawsze od tego uwalniają. Po wsiach znajdują się starcy nawet zgrzybiali, często bez rodziny, bezdziećni, a jednak nikomu nie są ciężarem. W lecie pasą bydło, strzegą pól i ogrodów od szkody, przypilnują dzieci, domowstwa, gdy gospodarze zajęci są żniwem, robią powrósła, napoją dobytek, założą mu paszę, słowem wypełniają wszelkie lżejsze prace, wyręczają, dopomagają a zawsze uczciwie i starannie, za co ich chętnie tu pożywią, tam przytulą, tu dadzą parę groszy, tam odzieją, dość że starowina nikomu nie jest ciężarem a nawet przeciwnie przynosi wszystkim z siebie pomoc i wygodę. Więc i w starości człowiek może być pożytecznym, pocóż więc ma zostawać żebrakiem?»

Nie dziwcie się, że tak długo o żebrakach się rozgadałem. Te roje żebraków z jakimi wszędzie spotkać się można, to straszna plaga, gorsza od morowego powietrza, bo to odbiera życie ludziom, ona zaś psuje dusze ludzkie. A na nieszczęście rozmnaża się w przerażający sposób, a że z próżniactwa bierze początek, więc przysparza próżniaków, których pracowici muszą, żywić, boć powietrzem i wodą żyć trudno. Przez lat trzydzieści przeszło przypatrując się tej zgrai udanych nędzarzy, widziałem takie szkaradzeństwa, słyszałem takie niegodziwości, że mi się serce krwawiło na myśl, iż w kraju polskim może się znajdować tylu złych ludzi i oszustów. To więc com wypatrzył to wam opiszę sprawiedliwie, abyście poznali jak to trzeba być rozważnym w udzielaniu jałmużny.

Pewnego dnia w Warszawie rano przynajmniej na dobrą godzinę przed rozpoczęciem zwykłego nabożeństwa, w długich przedsiódkach kościoła księży Reformatów, w wyciągniętej linii jak żołnierze stało żebraków złożonych z kobiet i mężczyzn sześćdziesięciu jeden, bo ich raz i drugi starannie przeliczyłem. O ile twarze prawdziwych biedaków, z kalectwa lub braku sił i zdrowia skazanych na nieszczęśliwe żebractwo, były miłe, pociągające, malujące poddanie się religijne, o tyle drugich obierających sobie żebractwo z próżniactwa, zrażały na pierwsze spojrzenie. Te bowiem głowy z rozczochranym włosiem, gołe u mężczyzn, u kobiet poosłaniane jakimiś na śmietniku pozbieranemi szmatami: te twarze pызate, brudne, pozarastałe, nabrzękle trunkiem i rozpustą, owe oczy z chytrem spojrzeniem biegające na wszystkie strony, te wreszcie łachmany podarte, podziurawione, tak każdego z nich robiły niemiłym, że rozpatrując się pilnie nie tylko wstręt ale nawet obrzydzenie obudzały.

Z pomiędzy wszystkich, najbardziej na siebie zwracał uwagę jeden żebrak, jeszcze zapewne niemający czterdziestu lat życia. Był to człowiek krępy, niewielkiego wzrostu, ale barczysty, z karkiem jak u woła, z włosiem rudym na głowie jak wiewiórka i tak poczochranym w różne strony, jakby od urodzenia nie widziały nawet grzebienia. Zgarbiony, skulony, ubrany tylko w jakiś letni spencereczek, podarte płócienne spodnie i tak cały powalany jakby wpadł w błotną kałużę, stał przy samych drzwiach kościelnych oparty o ścianę, a że był na bosaka, raz więc poraz

na kamiennej posadzce przestępował z nogi na nogę. Głowę trzymał zwieszoną ku ziemi, jakby się bał żeby mu w oczy nie zajrzano, a parę kosmów włosów spadających z głowy zasłaniały mu całe czoło i jedno oko zupełnie. Po drugiej stronie prawie naprzeciwko niego, stały dwie kobiety, równie łachmaniasto ubrane, brudne, niechlujne; jedna z nich trzymała dziecko płaczące bardzo osłabionym głosem, przy drugiej zaś stała mała dziewczynka, blada, nędzna, w podartem na płaty ubraniu i tuląc się jakby z osłabienia, często przymykała oczy. Obie te kobiety nie więcej jak po trzydzięci parę lat mieć mogły i gdyby je oskrobano z brudu i przyodziano inaczej, wyglądałyby wcale okaznie, zupełnie nie na żebraczki.

O parę kroków od nich stała jakaś wysoka baba jak grenadjer i tak cała zakryta, że tylko widać jej było koniec nosa i oczy czerwone jak u królika, latające na wszystkie strony z pilnem baczeniem. Dalej posuwał się szereg bab i dziadów, podobnych mniej więcej do tych których już opisaliśmy. Pomiedzy nimi stali i prawdziwie nieszczęśliwi, niewidomi, schorzali i bezsilni, ale na tych żebracy z profesji spoglądali z niechęcią jakby im chcieli powiedzieć:— won ztąd! kogo tu nie proszą tego kijem wynoszą.

Ponieważ nabożeństwo dopiero za godzinę miało się zacząć, a pora była jeszcze ranna, mało kto się pokazywał ze spieszących na modlitwę, i dla tego żebracy stojąc po trzech po czterech dosyć gwarnie z sobą rozmawiali, zamilkali jednak zaraz, jak tylko po kamiennej posadzce zaczęły się rozlegać kroki nowego przechodnia. Wówczas rozmowę zastępował głośny pacierz, głowy nachylały się z pokorą, ręce ściśnięte przed chwilą z groźbą, biegły do piersi, a oczy pałające gniewem i zapalczywością, przemykały się nabożnie niby w niemem rozmyślaniu. Gdy przychodziń nikał w drzwiach kościelnych, pozór ów przybrany wielkiego nabożeństwa natychmiast z siebie zrzućcano, i następowały w tej chwili prawie głośne rozprawy, a najczęściej przerwane kłótnie, wymówki i odgróżki.

Tymczasem dziecina trzymana przez żebraczkę na rękach, zaczęła coraz częściej i głośniej się odzywać. Biedactwo pragnęło posiłku, wyciągało rączki szukając piersi matczynej i z płaczem dopominało się tego co się jej od natury należało.

Napróżno żebraczka bujała, przytulała, osłaniała, dziecina płakała ciągle, wreszcie kobieta zniecierpliwiona okrywając je z gwałtownością brudną i grubą płachtą, rzekła niecierpliwie:

— Przeklęty bębnie! i czegoż wrzeszczysz? Kiegoż ci djabła w pysk wrażeń? Cicho! bo jak się zniecierpliwę to cię bębnie rzucę jak psiaka. A spać! a spać! i dały się słyszeć dwa klapsy jeden po drugim dosyć silnie wymierzone. Dziecię wrzasnęło całym gardłem, zgraja bab i dziadów spojrziała a mała dziewczynka stojąca przy drugiej kobiecie spojrziała na swą opiekunkę miłosiernie, oczy zaszły jej łzami, poruszyła się niespokojnie i jakby z przestachu skryła się w fałdy spodnicy baby przy której stała.

— Czego się kręcisz? — z gwałtownością zawołała kobieta — nie możesz stać spokojnie? Ej! bo jak cię kropnę to zobaczysz.

Dziewczynka aż zbladła i przerażona groźbą mimowoli wybuchnęła płaczem.

— Już płaczesz? — wrzasnęła jeszcze z większym gniewem rozgniewana kobieta — masz za to, żebyś miała za co płakać.

I w tej chwili rozległy się dwa silne uderzenia w twarz biednego dziecka, które ogłuszone, stumanione, zachwiało się i uchwyciło za ubranie rozzłoszczonej baby. Zapewne powiecie, czy podobna aby matki mogły być tak podobnie nieczułe? Zapewne! matce prędzejby serce pękło, niżby dopuściła takiej krzywdy dziecku swemu; to też nie były to matki ale najemnice biednych dziatek, aby udaniem macierzyństwa pobudzać prędzej do litości. Obie te baby znałem już wówczas od lat kilku i zawsze z małemi dziećmi, i dziś je jeszcze spotkać można na ulicach Warszawy, tak więc według mego obrachunku, żebrzą już od lat dwudziestu dwóch. Dziś nie mają jeszcze lat pięćdziesięciu.

W chwili kiedy dziewczynka tak niemiłosiernie została spoliczkowana, na korytarzu od ulicy pokazały się dwie osoby podążające na nabożeństwo. Między zgrają żebraczą zaraz powstał szmer modlitwy, głowy się ponachylały, ręce powyciągały, dały się słyszeć prośby, westchnienia, nawet stękania jak obłożnie chorych, a gdy przechodnie doszli do bab z dziećmi, zatrzymali się i dali im po trojaku. Oczy opuszczonym żebrakom o mało

z głowy nie powyskakiwały, przelknęli, przestąpili z nogi na nogę, i każdy coś szepnął, ale pewno nie nabożnie.

— Widzisz — szepnęła baba z dziewczynką do swojej sąsiadki z małą dzieciną — nie ma jak iść z dzieckiem na proszenie. Mężczyźni nie tyle litościwi, ale kobiety jeżeli nic nie dadzą, to choć spojrzą miłosiernie i za drugą razą nie opuszczą bez ofiary. Jakem była w Rokitnie na odpuszcie z małym dzieckiem, to wiejskie kobiety za każdym razem co bęben skwierknął, tak mi wtykały grosze po groszu, żem ledwie brać zdążyła.

— Może to być — odrzekła Kasia, baba gruba, usadzista jak pieńek po sośnie ściętej na podwalinę do wiatraka — ale z małym dzieckiem to wielka robota, bo jeżeli płacze ciągle jak to nieprzymierzając.....

— A jakżeś ty myślała? — przerwała druga — co chwila głodniejsze, to i płaczliwsze. Ale to lepiej, bo jak dziecko spi spokojnie to na niego nawet nie uważają, jak zaś płacze, to każdy zwróci oczy, litość go zdejmie i obdarzy jakim groszem.

— Zawsze to wielka mordęga z tym piskiem bębna.

— Ej! coby mi pisk dziecka wadził. W gębę włożyłabym bułkę w wodzie rozmoczoną toby się tem zapychało. Przed tym malcem co stoi przy mnie to nosiłam małego chłopca. To dopiero był krzykacz, że aż w obu pachwinach porobiły mu się gule jak ogromne pięście. Potem już nie mógł płakać, ale w początku kiedy wrzeszczał jak opętaniec, to groszy i trojaków nie mogłam nastarczyć zbierać. Później kiedy już nie mógł tak głośno wrzeszczyć, tylko pisał jak mysz w pazurach kocich, tak już tego zarobku nie miałam. Tak myślę sobie: źle! z takim spokojnem dzieckiem wielkich rzeczy nie zrobię, więc go czasem poruszyłam, kolnęłam albo jeść nie dałam. Ale to nie niewiele pomogło, chłopiec się skrzywił, zaskrzeczał i znowu się uspokoił. Dopiero raz przypadkiem dotknęłam się guzów co je miał w pachwinie, a mój berbec jak nie wrzaśnie to jak najzdrowszy jakby go kto ze skóry obdzierał. Od tego czasu badzo mi się poprawiło, bo jak dzieciak był spokojny a ja zobaczyłam że idą jacy państwo, tak go tylko za ten guz ścisnęłam to już wrzeszczał żeby obudził umarłego.

— A i czegoż z nim teraz nie chodzisz?

— Już rok minął jak umarł, widać że go te guzy zameęczyły. Teraz wynajmuję tego malca, ale to tylko kłopot, ni to prosić nie umie, ni płakać, a bez płaczu dziecko nic nie znaczy.

(C. d. n.)

Gdzie moja ojczyzna?

Kędy Wisła falą szumi,
Czleka łatwo człek zrozumie;
Jako przecie każdy przyzna —
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Gdzie pszeniczka rośnie nasza,
Bób, ziemniaki, owies, kasza;
Głęba z łaski Bożej żyzna —
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Gdziem obaczył światło Boże,
Pługiem moim ziemię orzę;
Gdzie ma leży ojcowizna —
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Gdzie spoczywa ród nasz stary,
Który trzeba cześć bez miary,
Bo był dzielny, sprawiedliwy —
Tam ojczyzna, kraj pocziwy!

Gdzie gościnność i życzliwość,
Silna wiara, w sercu tkliwość,
A pierszeństwo ma starszyzna,
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Gdzie obłudy niema, bracie,
Ale prawda w każdej chacie;
Gdzie figury po nad drogą —
Tam ojczyzna, gdzie tak błogo!

Gdzie skowronek nuci trele,
Miły bociek gniazdo ściele,
Kędy pasy i sukmany —
Tam ojczyzna, kraj kochany!

Kędy, bracia, grobów tyle,
I mogiła przy mogile,
I niejedna błyszczy blizna —
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Kędy sercu wszystko drogiem,
Gdzie człek legnie kiedyś z Bogiem,
A krzyż stawi mu rodzina,
Tam ojczyzna ma jedyna!

Józef » Bochni.

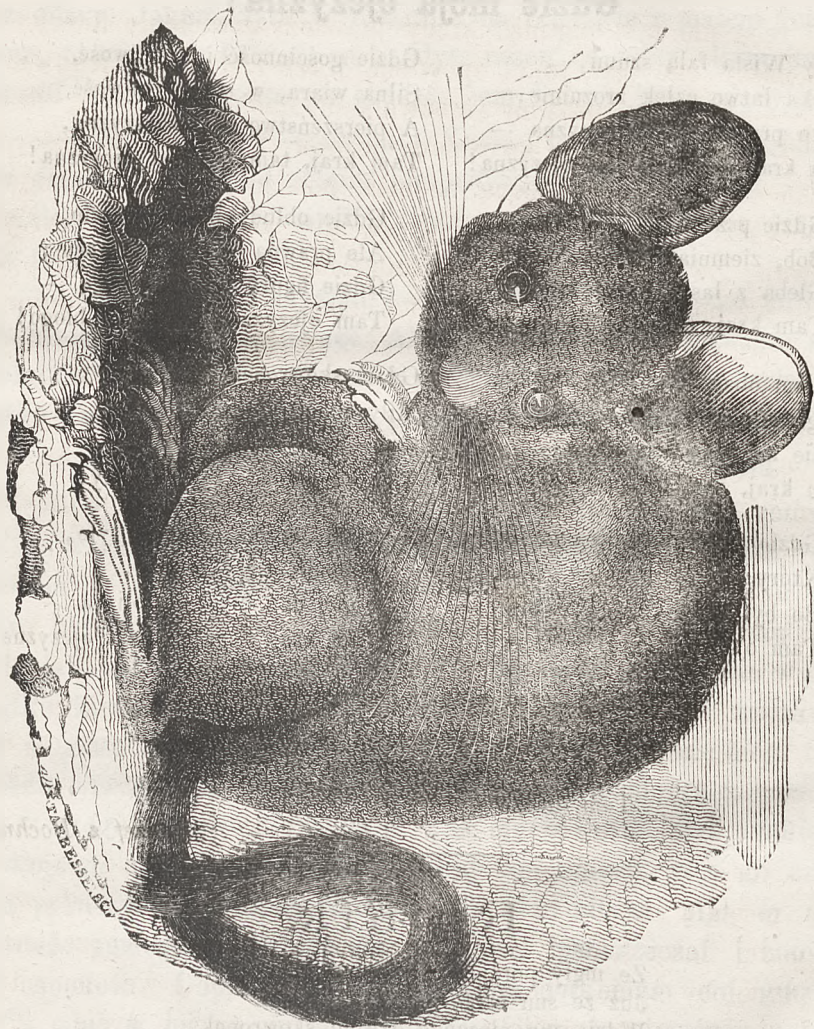
R o l n i k.

Ze mgły porannej zabłysnął dzionek
Już ze snu cała wioska się budzi.
Wdzięczną piosenkę dzwoni skowronek,
Wierny towarzysz wieśniaczych ludzi.
Poobciążane pługiem i broną
Poważne wołki ciągną na pole.
A pilny rolnik ręką strudzoną
Złociste ziarna rzuca na rolę!
O cześć ci siewco! bo z twego trudu
Na chleb powszedni starczy dla ludu!

Władysław Bełza.

Szynszyla.

Już zbliżał się wieczór, kiedy do dworu nad Wisłą przybiegła pani Maciejowa zadyszana i zapłakana z prośbą o pomoc, gdyż jej mąż mocno zaniemógł. Zebrała się prędko pani dziedziczka, a wraz z nią i córeczka dwunastoletnia



Jadwisia i obie wyruszyły czempredzej do chaty Maciejowej. Jadwisia przywitawszy domowników i starego Macieja, prosiła o pozwolenie odwiedzenia przyjaciółki swojej Marysi Nalepownej — na co mama chętnie zezwoliła i Jadwisia pobiegła do pobliskiej chaty. Przywitały się serdecznie, Jadwisia usiadła na ławeczce koło stołu i nuż gwarzyć, nuż rozmawiać to

o tem to o owem. Janek Nalepiak brat Marysi stał obok stołu i przysłuchiwał się rozmowie, a wreszcie począł się bawić zarekawkami położonym na stole.

— A z czegoż to tak ładne futerko i do czego to potrzebne? — zapytał nareszcie.

— Widzisz przecie że zima — odpowiedziała Jadwisia — to i ręce nie tak marzną, kiedy je włożysz w ciepłe futerko — a z czego ono jest, to ci opowiem, jeżeli i Marysia ciekawa.

— Prosimy, prosimy — ozwali się oboje.

— Są zarekawki z rozmaitych futer, t. j. skór zwierzęcych, a ten co go tu przed sobą widzisz, pochodzi aż z południowej Ameryki. Widzisz jaki ma połysk niby srebro, a miękki jak jedwab. Zwierzątko, które ma tak ładne futerko, mieszka, jak ci to już powiedziałam, w dalekich krajach Ameryki południowej i nazywa się Szynszyla (obacz obrazek). Pokrewne jest z naszym królikiem — ale się o siebie nie troszczą wcale — a nawet się i nie znają jak to i między ludźmi bardzo często się zdarza. Uszka Szynszyli są krótsze jak u królika i zaokrąglone, zato ogonek o wiele dłuższy. Futerko ma miękkie i najdelikatniejsze ze wszystkich jakie znamy.

Szynszyla mieszka gromadnie na wysokich górach, w krainach, które się zowią Peru i Chile, w miejscach pustych, gdzie ani drzewo ani krzak nie rośnie, tylko małe ziola i trawy. Lubi skały strome, pełne rozpadlin i kryjówek.

Podczas dnia szynszyle siedzą w norach albo spią ukryte w cieniu. Dopiero kiedy się zmierzcha, poczyna się życie szynszylów: to skaczą, to biegają, to się myją, wywracają koziolki, to spinają się po skale tak gładziutkiej, iż zdaje się że mucha by musiała upaść, to wreszcie zajadają obiad, składający się z małej ilości traw i kilku korzonków z ziemi wygrzebanych. I płynęłoby życie tych zwierzątek nader mile i wesoło, gdyby nie srodzy nieprzyjaciele, którzy czatują na ich życie. Tymi nieprzyjaciółmi są dzikie zwierzęta a przedewszystkiem człowiek, indyjski myśliwy. Mięso szynszyli podobne w smaku do królika i zająca, a futerka bardzo drogo płacą kupcy.

Ale polowanie na szynszyle uciążliwe i wiele wymaga przebiegłości. Myśliwym niewiele pomaga strzelba Bo choć ukryty czatuje nad norami zwierzątek, choć te wkrótce wysu-

wają główki i ciekawie spoglądają w koło, choć wreszcie gromadnie wysuną się z kryjówek i skaczą w okóło, to przecież kiedy padnie strzał znikają w tej chwili, a nawet trafione zwierzę ma jeszcze na tyle siły aby się schować, a wszelkie poszukiwanie daremne, bo skała niedostępna.

Myśliwi indyjscy zakładają więc sieci z włosia nad norami, a kiedy zwierzątka wychodzą, wikłają się i duszą. Tym sposobem tysiące futer przychodzi do nas z dalekich krajów. Zwierzątko schwyte żywe, oswaja się nader prędko jak królik, jednak zatrzymuje sławną ochotę do skakania i wspinania się. Ztąd ani się spostrzeżesz kiedy ci siedzie na ramieniu.

Jadwisia skończyła, pożegnała się z Nalepami i poszła do chaty Maciejowej, gdzie matka na nią oczekiwała

Żelazne okowy.

(Legenda.)

W starożytnym Krakowie, gdzie kościołów jakby w drugim Rzymie, jest wiele ulic, a między nimi jedna nazywa się ulicą świętego Jana, bo stoi przy niej kościół pod wezwaniem tego świętego patrona; jest przy tym kościele szkoła dla dziewcząt, gdzie się uczą bogobojności i wszelakich nauk, ażeby były dobremi matkami, żonami i gospodyniami. A uczą tam po większej części same zakonnice.

Pewnego dnia przybyło do tego kościoła dwóch gazdów, klękli sobie pod chórem, modlili się gorąco, a potem rozglądali się w okóło, bo nikogo oprócz dziadka przy drzwiach wehodo-
wych nie było w kościele.

Przystąpili pod wielki ołtarz i przypatrują się obrazowi świętego Jana. A widząc to dziadek, przybył do nich i pyta:

— A zkadżecie wy, moi ludzie? Czy z daleka?

A gazdowie na to:

— Oj z daleka, nasz dziaduniu stareńki! Tam het aż od Nowegotargu, co to jak wiecie leży niedaleko wysokich gór naszych.

— A cóż tu robicie w naszych stronach? — pyta dziadek.

A gazdowie mówią śmiało:

— Przyszliśmy tu do Krakowa na odpust, a teraz chodzimy po kościołach i oglądamy co gdzie jest pięknego, abysmy

przybywszy do domu naszego, mogli opowiadać swoim sąsiadom i znajomym. W każdym kościele dowiedzieliśmy się o cudach Bożych, owoż ciekawi jesteśmy czy i tutaj nie wydarzyło się co cudownego?

— Aj cóż wy zaś gadacie — przemówi dziadek — żeby też i w tym kościele nie było dowodu, iżby pan Bóg z wysokiego nieba i Najświętsza Panienska nie opiekowali się polskimi ludźmi? Wszak cały Kraków to istna pamiątka naszej przeszłości; każdy w nim kamyk opowiedziałby ci dziwa różne, gdyby gadać umiał, a każdy tu kościół mieści w sobie pamiątki po doznanych cudach. Patrzcie no na ołtarz obok tu stojący! Widzicie w nim obraz cudowny Najświętszej Panny Maryi, a tu patrzcie! są zawieszzone ciężkie okowy żelazne.

— A cóż one mają znaczyć? — pyta jeden gazda.

— O, to pewnie o nich rzecz ciekawa? — rzeknie gazda drugi.

— A nieinaczej! — powie dziadek — Jest o nich bardzo piękne podanie. Słyszeliście zapewne, gazdowie moi, o dzikich Tatarach co to napadali dawniejszemi czasy na polską ziemię?...

— Oj słyszeliśmy, dziaduniu stary — rzekł jeden gazda — bo w naszych górach jest pewna dolina, a zwie się ona Kościeliska. Tędy przechodziła owa dzika tłuszcza tych okrutników a górale z przyległych gór rzucali na nich kamieniami i kłodami drzewa, toć wytłukli ich na kwaśne jabłko, aż się potem z nich do słońca bielily kości. Z tej też racyi nazwano dolinę ową Kościeliskiem na pamiątkę wieczną.

Na to powie dziadek:

— Były to więc ciężkie czasy, gdy Tatarzy wpadli do polskiej ziemi. Za okropne spustoszenia musieli się na nich mścić Polacy i występować przeciw nim z orężem w rękę. Szlachta porzucała dwory, i szła na krwawą wojaczkę, a włościanie tymczasem uprawiali rolę i pilnowali dobytku pańskiego. A gdy dziedzic wrócił, gromada oddała mu, co się mu należało, i była zgoda i miłość między ludźmi. Onego więc czasu dawno bardzo dawno już temu, gdy Tatarzy pustoszyli ziemię polską, poszedł na nich z drugimi także szlachcic pewien, który do tego tu cudownego obrazu Najświętszej Panny szczególne miał nabożeństwo. Zawsze tu bywał i prosił Najświętszą Pannę o jej łaskę świętą.

Nieszczęście chciało, że go Tatarzy schwycili i na ciężką zagnali niewolę.

— O Boże miłosierny! — westchnęli gazdowie, a dziadek tak mówił dalej:

— I jęczał długo ów pan w niewoli ciężkiej i gorzkimi łzami opłakiwał swoją dolę, iż już może nigdy nie wróci do stron ojczystych i nie obaczy więcej polskiego ludu i nie usłyszy słodkiej mowy polskiej. Strapienie jego nie miało końca. Aż też razu pewnego gdy był w polu zaczął modlić się gorąco. Wnet przypomniał sobie Kraków, jego liczne kościoły, obrazy różne, a nakoniec i ten cudowny obraz Najświętszej Panny z naszego kościoła.

Przyklęknął na kolana i mówił głośno:

— O królowa nasza! wstaw się do Syna Twojego, żeby mnie wybawił z niewoli tatarskiej! Pozwól mi jeszcze oglądać ukochaną ziemię polską, w której pragnę mieć złożone kości moje. Pozwól, bym się jeszcze mógł modlić przed Twoim cudownym obrazem w kościele świętego Jana, pani nieba i ziemi! Jeżeli dostąpię tej szczególnej łaski, iż się uwolnię od srogich więzów, udam się pieszo do Krakowa i w kościele świętego Jana złożę tobie cześć i podziękowanie!...

I widać Najświętsza Panna wysłuchała modlitwy jego, bo w krótkim czasie doznał niezrównanej łaski. Objawiła się mu Najświętsza Panna i cudownie wywiodła go z więzienia, chociaż liczna straż była koło niego. Przywiodła go bezpiecznie na granice Polski i powiedziała:

— Idź teraz a uczyn, jakoś mi ślubował!

I szedł ucieszony szlachcie do Krakowa i przybył zaraz do kościoła świętego Jana, by dopełnić ślubu uczynionego. Jakoż zeznał uroczyście o swoim cudownem ocaleniu i na wieczną pamiątkę owego cudu i wdzięczności bez granic, kazał zawiesić przy cudownym obrazie ciężkie okowy swoje, aby wszyscy ludzie wiedzieli, jak Najświętsza Panna ratuje pobożnych ludzi, gdy się do niej udają z czystym sercem.

I na tem przestał dziadek swoje opowiadanie. Gazdowie przyglądali się tym okowom z daleka i dumali nad tem szczególnem zdarzeniem.

A potem odezwał się jeden gazda :

— Bóg wam zapłać, dziaduniu dobry, za to opowiadanie, które powtórzymy w naszej wiosce. A teraz pójdziemy dalej.

A dziadek odpowiedział na to :

— Idźcie moi ludzie i pamiętajcie, żebyście się w utrapieniach waszych zawsze uciekali do Najświętszej Panny a pewnie doznacie ulgi i pocieszenia. Polecajcie jej siebie i całą waszą ziemię a ona was nie wypuści z opieki swojej!

Gazdowie odeszli, a ja wam to opisuję, jak słyszałem.

Józef z Bochni.

Szanowny Panie pisarzu Dzwonka!

Radbym wam z duszy serca pomódz w waszej pracy około oświaty tym waszym piśmkiem w prostym narodzie, ale się lękam, abym się przed oświeconymi ludźmi na wstyd nie wystawił. Mógł by mi kto powiedzieć że się do tego biorę czego nie rozumiem chociaż mam poczucie narodowe i dobre chęci jako prawdziwy polak, ale się na piśmie nie umiem wyrazić, bo nie jestem uczony w szkole. Wszakże i za tę odrobinę oświaty panu Bogu dziękuję, również jak i za to że we mnie wlał miłość ojezyny.

Bartosz i Jan.

„Czemuż“ — rzekł Bartosz do Jana

„Rola twoja nie zasiana

Kiedy wszyscy już zorali

Uprawili i zasiali?“

A na to Jan mu odrzeczę :

„Co się zwlecze nie uciecez,

Radzę szczerze mój Bartoszu,

Nie wtykaj się, gdzie nie proszą.“

Janek zaklnie, tupnie, splunie

I do karczmy prosto sunie.

Nie chciał Janek słuhać rady

Po dwóch latach poszedł w dziady.

Będę więcej podawał, skoro będę miał czas wolniejszy od pracy podczas długich wieczorów.

Maciej Szarek

włościanin z Brzegów pod Wielką.

Płody przyrody.

(Dokończenie.)

Widzimy więc z poprzedniego, jaki wpływ wielkie gorąco i zimno na płody przyrody wywiera. W krajach równikowych, tam słońce nie grzeje łagodnie, lecz pali; tam zimy nie ma, ale ulewy tylko straszne, to też po takich ulewach, pod promieniami gorącymi słońca wszystko niesłychanie rośnie, rozwija się. Tam przyroda wybijała — drzewa smukłe, olbrzymie, lasy tak gęste i zarosłe, że miejscami, jak np. w Ameryce, dopiero z siekierą w ręku drogę sobie utorować i przez nie przejść można. A tam na wysokiej północy wszystko całkiem przeciwnie — wszystko małe, karłowate, liche i nędzne.

My mieszkamy w krajach pod względem gorąca umiarkowanych. Ani zbyt upały ani straszne mrozy tu nie goszczą. Mamy lato, mamy zimę, prócz tego mamy jesień i wiosnę. Z zimy z wolna przez wiosnę robi się lato — a lato przez jesień w zimę przechodzi. Wszystko umiarkowane. Nie ma tu olbrzymich roślin i zwierząt — ale nie brak na innych bardziej może do codziennego życia potrzebnych. Tu w pasmie umiarkowanym, przez zimowy mróz wszystko staje się krzepkiem i zdrowem, by na wiosnę i w lecie nowem życiem odżyć. Ziarno rzucone w ziemię bujnym strzela kłosem, aż oko się raduje na widok pysznych zboża łanów. Lasów nie brak; drzewa w nich nie tak może wyniosłe i wysokie jak w pasmie gorącym — ale mimo to i budulec z nich dobry, i na opał i inne potrzeby wystarczą. Są tu w tem pasmie dęby, sosny, świerki, buki, brzozy, lipy, topole itp. niezliczone i rozliczne drzew gatunki. Między płodami królestwa roślin nie ma owoców i korzeni pasma gorącego, ale są inne: pożywne i w wielkiej obfitości. Zwierzęta tu nie takie wspaniałe i wielkie, ale też i nie dzikie, nie nieprzyjazne. Prócz niewielu zwierząt dzikich, wilki, niedźwiedzie, dziki itp. reszta albo zwierzęta swojskie, albo też nie są człowiekowi niebezpieczne i zagrażające, jak jelenie, sarny, zające itp. I odzież z nich mamy — bo wełnę z owiec, co lepsza od bawełny z krajów gorących, i futra, nie takie kosztowne jak owe z krajów północy, ale zawsze dobre i ciepłe i pożywienie z mięsa tych zwierząt. A że w pasmie umiarko-

wanem mało złota i srebra, i mało drogich kamieni, to nie wiele szkodzi, jest za to obficie żelaza w łonie ziemi, jest miedź, cynk, węgiel kamienny, jest i soli nieprzebrana ilość.

Porównajmy więc w myśli korzyści tych płodów, jakie w różnych krajach mamy. Oto widzimy że kraje umiarkowanego pasma najszczęśliwiej od Boga są uposażone. Tu człowiek ma wszystko pod ręką, co mu do życia i wygody potrzebne. Wprawdzie ziemia mu nie darmo nie daje; musi człowiek w pocie czoła pracować, musi łono tej matki ziemi rozorać, i użyźnić by mu plon przyniosła, ale też ta sama praca stokroć mu miłszem to życie czyni. Każdy kawałek chleba gorzko zapracowany, daleko lepiej smakuje nam, niż jakiemu mieszkańcowi krajów gorących jego pyszne owoce, po które tylko rękę sięgnął i z drzewa je zerwał. Wśród trudów i mozoły zdobywamy tu wszystko — mocno musimy przemyśliwać nad wszystkim, jakby tę pracę sobie ułatwić i przyjemniejszą zrobić. Ztąd u nas wynalazki, ztąd maszyny, ztąd przemysł, postęp — potem lepsze i łatwiejsze życie, wśród którego i nauki i umiejętności rozwinać się mogły. I rzeczywiście pod ostatnimi względami kraje te umiarkowanego pasma najwyżej stoją, a nasz kraj niepoślednie między nimi zajmuje miejsce.

O stokroć szczęśliwszym nasz rolnik wśród łąnów zboża, co za bożą pomocą a jego pracą się wzniosły od mieszkańców krajów gorących, od biednych, nieoświeconych murzynów, od tysięcy biednych nagich indyanów i wielu innych, którzy Boga nawet nie znają, którzy tysiącami w niewolników sprzedawani, wśród upałów strasznych pracować muszą napędzani plectnią właściciela, co ich za marny grosz na własność kupił.

Szczęśliwsi my od tych nieszczęśliwych Lapończyków, Grenlandczyków i innych ludów na wysokiej północy. Oni tam w chatach gdzieś pod ziemią wykopanych, lub z ziemi ulepionych a czasem w łodzi wykutych mieszkają. Pokarmem ich mięso renów, mięso morskich koni i psów, najczęściej surowe, i tran to jest olej z morskich zwierząt. Gdy noc ich wielka to jest zima nadejdzie, to parę miesięcy słońca nie widzą, wciąż noc i noc, tylko gwiazdy czasem świecą i zorża północna. To też i umysł ich dziecinny a nierozwinięty — ich mowa z kilkadziesiąt tylko słów się składa. Słowa: miłość, przyjaźń, uczu-

cie, oni nie znają; niektórzy nawet rachować wyżej nie umią jak do trzy lub cztery.

Dziękujmy Bogu, że nam w naszym dał się rodzić kraju wśród tych cudnych gór i lasów — gdzie nam nie brak niczego, gdzie trochę tylko pracy, a żyć jest z czego. Szanujmy i kochajmy tę błogosławioną ziemię naszą, bo ona naszą matką prawdziwą.

Stach ze Lwowa.

Rozmaitości.

— Wielce chwalebny zwyczaj zachowywał król Stefan Batory, gdy zasłużonych i krew za ojczyznę przelewających w dobrej miał pamięci. Trafiło się, że gdy Pękosławskiemu, zostającemu daleko odedworu królewskiego na posłudze w sprawach Polski przywilej na starostwo sandomirskie pisać kazał, rzekł mu kanclerz: „Miłościwy królu! wszakże Pękosławski o to nie prosi.“ Na co król odpowie. „Aż nadto prosi, kto dobrze służy.“

— Bieganowski Mikołaj, Kasztelan Kamieniecki był dwa razy w poselstwie do Turcyi za królów polskich Władysława IV. i Jana Kazimierza. Gdy i trzeci raz tej się od niego domagano posługi, choć już był osłabiony na zdrowiu, odpowiedział: Miło mi to będzie, choć tę przysługę dla kochanej ojczyzny życiem mojem przypieczętuje. Trzeba wiedzieć że dawniej droga do Turcyi była bardzo niebezpieczna, bo nie było ani kolei ani gościńców jak teraz.

Złote ziarna.

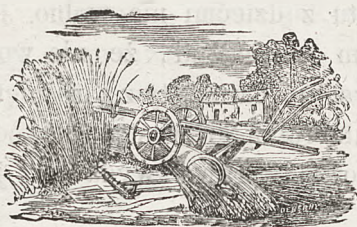
Kiedy się cieszysz, śmiejesz, czas wesolo trawisz
Pomyśl, — czy się z uciechy szkody nie nabawisz.

Nad szumne zbiory, nad bogate mienie,
Lepsze jest zdrowie czerstwe, i czyste sumienie.

Do dobrego od młodu bierz się z całą siłą,
Przykro ci będzie zacząć — lecz dokończyć miło.

Kiedy chce człowiek tego, co Bóg każe,
Z pomocą Bożą czego chce dokaże.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Żebracy.

Ciąg dalszy.

Kiedy przechodzący, co obdarzyli ofiarą kobiety z dziećmi, weszli do kościoła, a żebracy sami pozostali, ów rudy, co na bosaka i raz poraz przestępował z nogi na nogę, bo mu je ziębiła kamienna posadzka, teraz odwrócił się ku kobietom, i odezwał się głosem grubym i ochryplym:

— Już że te baby zamęczą swoje dzieci, o tem ani gadać. Nieszczęście ich tu przyniosło.

— A potrzebnie je tu wpuściłeś? odezwała się baba jak grenadjer z czerwonemi jak u królika oczami — mówiłam ci, że to oszukanice, że sobie dzieci ponajmowały, ale ty taki gapa, że bez krzywasa nic sobie nie umiesz poradzić.

— A i jakże było radzić? — zapytał rudy.

— Jak? a wypchnąć na ulicę.

— Tak, tak, wypchnąć — odezwało się kilka głosów — one już po dwa razy dostały, a my ani razu.

— I tak zawsze będzie, wszystko nam zabierać będą z przed nosa — wrzasnęła baba grenadjer — bo ludzie na dzieci strasznie są litościwi.

Rudy posunął się ku udanym matkom i ściskając pięście, mówił przytłumionym głosem niby pies milczkiem kąsający: — poszły ztąd won! na ulicę, bo jak wezmę kija...

— Won! won! na ulicę! — zaszumiało znowu kilka głosów razem — tu z dziećmi nie wolno.

— A kto wam powiedział, że nie wolno? zapytał ragle jeden z dziadów, wysoki, barczysty z zarośniętą twarzą, z zasłoną na oczach zwaną umbrelką, i występując cokolwiek od ściany mówił dalej — kto ma prawo wydawać jakie rozkazy albo pozwolenstwa?

— Tak, tak, kto ma do tego prawo — potwierdziło kilka głosów widać należących do partji odzywającego się dziada, która z partją dziada zwanego krzywaseм toczyła ciągle kłótnię o pierwszeństwo, i jedna drugą pragnęła wygryść albo wziąć pod swoje panowanie.

— A czegoż wrzeszczycie, czegoż tak krzyczycie? — zapytała baba grenadjer — krzywaseм niedługo przyjdzie, to wam wytłumaczy.

— Co tam nam z krzywaseм wyjeżdżasz! — wrzasnęło kilka dziadów i potrzęsając pięściami z największą nienawiścią, mówili dalej: — krzywaseм niech się sam pilnuje, żebyśmy go przez kij nie przesadzili.

— Doprawdy? — zapytała z szyderstwem baba grenadjer — zobaczymy, zobaczymy.

Rudy tylko się uśmiechnął wzgardliwie, potrząsł głową i przestąpił z nogi na nogę, pokazując przeciwnikom żylaste i groźnie wyciągnięte pięście.

— Tylko ty rudy także się pilnuj — odezwał się dziad z umbrelką, bo i ty tu niepotrzebny, a choć z krzywaseм trzymasz, to równie ani się spostrzeżesz jak ztąd wylecisz.

— Doprawdy? — z równem jak wprzód szyderstwem zapytała baba grenadjer, a rudy znowu się uśmiechnął i wyciągnął pięście. Na takie poniewieranie jednej partji przez drugą, powstało zamieszanie. Odezwały się pogróżki, przekleństwa, wymyślenia, dzieci zaczęły płakać, kobiety krzyczeć i piszczeć, a gdy pokazały się laski i ręce do bitwy przygotowane, jedna schorzała staruszka pod każdym względem na miłosierdzie zasługująca, przez czas kłótni najpokorniej w kąciku odmawiająca pacierze, zwróciła się do dwóch niewidomych kalek, między którymi stała i chwytając jednego za rękę, odezwała się przestraszonym i drżącym głosem:

— Moi kochani weźcie mnie między siebie, bo widzę że się na bitkę zanosi. Ostatnim razem jak się bić zaczęli, jak mnie jeden popchnął, to przewróciłam się i tak mnie stratowali nogami, że potem przez dwa tygodnie leżałam w domu. Żeby nie litościwi ludzie byłabym pewno z głodu umarła.

— A czy już bić się zaczynają? — zapytał jeden z niewidomych.

— Już laski podnoszą — odrzekła staruszka wsuwając się między obrońców.

— To będzie bitka — odezwał się niewidomy i zwracając się do swego równie ślepego towarzysza mówił dalej: — Walenty! przysuń się bliżej mnie, i weźmy tę staruszkę za siebie. Jeżeli w bitce się przysuną, to trzeba pamiętać o sobie.

Obaj niewidomi zasłaniając zupełnie schorzałą kobiecinę, kije do odporu przygotowali. Tymczasem kłótnia nie ustawała, wrzawy i odgroźek było dosyć, kije i pięście ciągle wyskakiwały, ale do bitki jakoś nie przychodziło.

— Może się nie pobiją — odezwała się staruszka drząc cała z przestachu — dałby Bóg żeby się upamiętali, bo też tu choć pod kościołem taka się nieraz dzieje obraza Boska, że aż włosy na głowie powstają.

— Moja pani — odrzekł Walenty — my tu już drugi rok stawamy i dziękujemy Bogu, że w niedoli naszej mamy tylko uszy a oczy na wieki zasłonięte. Że też to tałałajstwo nie pozaganiają do pracy, do roboty.

— A kto im każe pracować? odezwał się drugi niewidomy — tu uzbiera sobie parę złotych, potem pójdzie na miasto, a wszędzie się wciśnie, wszędzie uprosi, to ma więcej jak na wyrobku.

— Moi panowie — odezwała się staruszka — ja stara ledwo chodzić mogę a Bóg moim świadkiem że każdy kawałek chleba co go ztąd pożywam, gorzkimi obleję łzami i gdybym robić mogła, tobym temu ręce i nogi ucałowała coby mi dał jaką pracę żebym bez proszenia mogła zarobić na kawałek chleba. Ale Bóg tak chciał, widać ukarał mnie za dawne grzechy, niechże będzie święte Jego Imię pochwalone, bo choćbym chciała pracować, to i cóż zrobić kiedy i oczami

*

niewiele dowidzę, i ręce tak mi się trzęsą, że mi prawie wszystko z nich wylatuje.

— Hola! hola! — nagle odezwał się drugi niewidomy miarkując słuchem, że jakaś zgraja swarząca się podsuwa się ku nim — tylko od nas zdaleka, bijcie się jak chcecie, tylko rudasa nam dajcie pokój.

— Panie Walenty! zagadał dziad z umbrelką — powiedz sam czy nie mam słuszości? — krzywas obciera się między nami jakby był jakim starszym a do pomocy przyjął sobie i rej wodzi ani pyta.

— Nieprawda! wrzasnęła baba grenadjer — krzywas dobrze wszystko prowadzi, bo ich trzyma w porządku, tylko...

— Nieprawda! nieprawda! — wrzasnęła jedna eżeść zgrai, gdy druga starała się ją przekrzyczeć wołając! prawda! prawda!

— Ale uspokójcie się — odezwał się niewidomy kaleka, ze wszystkich stron szarpany i ciągniony na sędziego — upamiętajcie się, przecież to święte miejsce.

Zgraja nie zważała na przestrożę i prowadząc sprzeczkę zaczęła się pomалу rozchodzić na miejsca przez siebie zajmowane. Wówczas staruszka wysunęła głowę z pomiędzy swych obrońców, przerzuciła oczami i w prawo i w lewo i gdy zobaczyła że obawa bitwy minęła, odetchnęła swobodniej i rzekła nie opuszczając jednak swego ochronnego stanowiska:

— Tacy niedobrzy ludzie, to tylko szkodzą nam biedakom, bo jak kto usłyszy taką kłótnię a broń Boże zobaczy bitkę jak wtedy co mnie ledwo nie zabili, to pomyśli sobie, że wszyscy jesteśmy jednacy i nikomu nic nie da. Do tego tacy niedobrzy ludzie, do wszystkiego śmiali, tu się kłóca, biją na zabicie, wymyślają, ale niech się zdarzy jaki miłosierny człowiek, to tak umieją się nadstawić z ręką, tak prosić i lamentować, że zwykle dla siebie wszystko zagarniają. Ja nie mam takiego szczęścia bo stoję sobie w kąciku, serce zalewam łzami, że na starość muszę żebrać, i choć i z przechodzących możeby mi kto jaki grosz ofiarował, to mnie zastąpią, zasłonią, odepchną i często przez całe pół dnia nie uproszę nawet na chleb grosika. Dla tego radabym opuścić

miejsce przy kościele, ale nogi tak mi mdleją, że przez ulicę trudno mi przejść.

Kiedy tak prawdziwa nędza żali się na swe położenie, tałałajstwo żebracze wrzawą i kłótnią to cichszą to głośniejszą napełniało przedsionek kościelny. Wprawdzie kije i pięście pochowane zostały i bójka odbywała się na języki, ale niemniej zacięcie się toczyła, choć tylko półgębkiem i półsłowami. Najczynniejsi byli baba grenadjer i dziad z umbrelką, rudy nie nie mówił, tylko czasami potrzasał rudemi kudłami, uśmiechając się i wyszczerzając jak pies zęby i pokazując silne, żylaste pięście. Poruszenia tak wyraziste ogromnie przeciwników gniewały, zjadłość też ich głównie skierowała się na rudego, w którego obronie jedynie odzywała się baba grenadjer.

— Śmieję się, śmieję rudy psie — mówił dziad z umbrelką — nie takich jak ty djabli wzięli, to i z tobą to samo się stanie.

— Jutro ale nie dziś — mruknęła baba grenadjer — póty tu będzie, póki my będziemy chcieli.

— A cóż to wy za państwo takie? cóż to wy za królestwo? — wrzasnął dziad z umbrelką groźnie podsuwając się ku babie.

— No — no — tylko zdaleka — odrzekła baba — bo jak lunę kijem przez łeb.

— Co ty mnie kijem odgrażasz? — zapytał dziad z umbrelką tracąc zupełnie cierpliwość — a ty padalcze, gadzino, ty źmijo, nিকেzemny plazie...

Mówiąc to z pięściami ściśniętymi w kulak, z ustami zapienionymi, dziad wolno podsuwał się prosto ku babie. Zabierało się więc na bójkę, staruszka drżąca znowu zasunęła się za niewidomych, kalecy przygotowali kije i kiedy obie strony warczą na siebie jak dwa brytany już miały się rzucić w bój zażarty, od końca szeregu żebraków dotykającego ulicy, dał się słyszeć głos:

— Krzywas idzie, krzywas!

Wszystko naraz jeden ucichło, każdy się w miejscu poruszył jakby w chęci przybrania najprzyzwoitszej postawy, jak jakie trusiątka i niewiniątka, a niektórzy nawet zaczęli szeptać pacierze przesuwając w rękę koronkę. Krzywas widocznie rej wodził między wszystkimi, i zgraję całą

postrachem utrzymywał w porządku i posłuszeństwie. Jeden tylko dziad z zasłoną na oczach zwany zwykle Umbrelką został na środku korytarza, ale i ten wprędce skulił ramiona, zasłonę nasunął na oczy i wolnym krokiem zaczął się posuwać ku swemu miejscu. Krzywas chłop barczysty, ze skrzywioną twarzą w ukos i jedną nogą krótszą od drugiej, zdrów jak ryba, a silny jak wół, poruszając ustami jakby pacierz szeptał, siedł wolno bystre spojrzenia rzucając po obu stronach żebraczej czeredy, jak dzielny wódz, gdy robi przegląd kolumny śmiałych wojaków. Czoło miał pochmurzone i oczy błyszczące gniewem, bo jeszcze z ulicy dosłyszawszy niezwyčajną wrzawę, domyslił się zwady. Na zakręcie korytarza spotkał się z umbrelką, przystanął, zmierzył go oczyma jakby dziwiąc się, że go tu znajduje, a nie w szeregu. Umbrelka także przystanął, ale nie śmiejąc spojrzeć na Krzywasa w milczeniu wodził oczami po ziemi. W korytarzu zapanowała cisza: krzywas spojrział na babę grenadjera, potem na rudego i ścisnął pięście, że zdało się, iż zgniecie kij w rękę jak ciasto.

— Plugawcze! wrzasnął do Umbrelki — tu dla dziada miejsce? — Ruszaj mi zaraz do swego stanowiska.

— Mój kochany — odrzekł hardo Umbrelka — za nadto sobie pozwalasz. Już czas...

Krzywas nie dał mu dalej mówić, zarumieniony jak burak szybko zamierzył się i takim go w twarz poczęstował uderzeniem że Umbrelka zachwiał się, jedną ręką sięgnął do głowy, a drugą wyciągnął jakby chciał Krzywasa chwycić za czuprynę. Wówczas rudy jak jastrząb czyhający na zdobycz, wyskoczył ze swej kryjówki, w jednym susie dotarł do zuchwałego dziada i po całym korytarzu rozległo się powtórne uderzenie w twarz jeszcze silniej i zręczniejsze wykonane. Umbrelka zachwiał się potoczył i gdyby nie ściana, o którą się oparł, z pewnością byłby się przewrócił. Rudy skulony, chował ręce pod spencerek i wracając do swego miejsca uśmiechnął się z tryumfem i złośliwością. Porządek zupełnie przywrócony został, a między żebractwem słychać tylko było szmer modlitwy, którą każdy szeptał nie śmiejąc się prawie w miejscu poruszyć. Czas już na to był wielki. Pobożni zaczęli nadchodzić gromadząc się na nabożeństwo, ze wszystkich stron ozwały się prośby,

blągania, a jaki taki patrząc na pokorne żebraków postacie, nie domyślając się sceny jaka przed chwilą miała miejsce, sięgnął do woreczka polecając dusze zmarłych modlitwie kłamaney niedoli.

D. n.

ŁOKIETEK.

Trzykroć wygnaniec z tronu pradziada,
Pomiędzy wierne kmiotki się chowa;
Trzykroć powraca i dzielnie włada
Nasz król Łokietek w murach Krakowa
W trudach i znoju dożył wiek chwały,
Jak orzeł mężny, jak sokół szparki!
Och, szablę jego dobrze poznały
Pod wsią Płowcami krzyżackie karki!
A choć na łokieć ledwo wysoki
Łokietek duchem wzrósł pod obłoki.

Władysław Bełza.

DZIADEK.

Na dworze mroźno — szumi ulewa
Jakiś staruszek dąży do wioski,
Srebrzyste włosy wiatr mu rozwiewa
W ustach brzmi piosnka do Matki Boskiej.
Może on głodny, spragniony może?
Wynieś mu chleba, daj kubek wody!
Błogosławieństwo za to Ci Boże
Starzec uprosi druhu mój młody!
Bo najszczytniejszą cnotą na ziemi
Jest zlitowanie się nad biednemi.

Władysław Bełza.

Piotr Ostrowski,

braciszek w zakonie OO. Bernardynów w Warszawie.

Cudze chwalicie, swego nie znacie;
Sami nie wiecie, co posiadacie!

W cyrkule niegdyś bocheńskim, niedaleko od Wieliczki, leży niewielka wioska Raciborsko. Na początku teraźniejszego

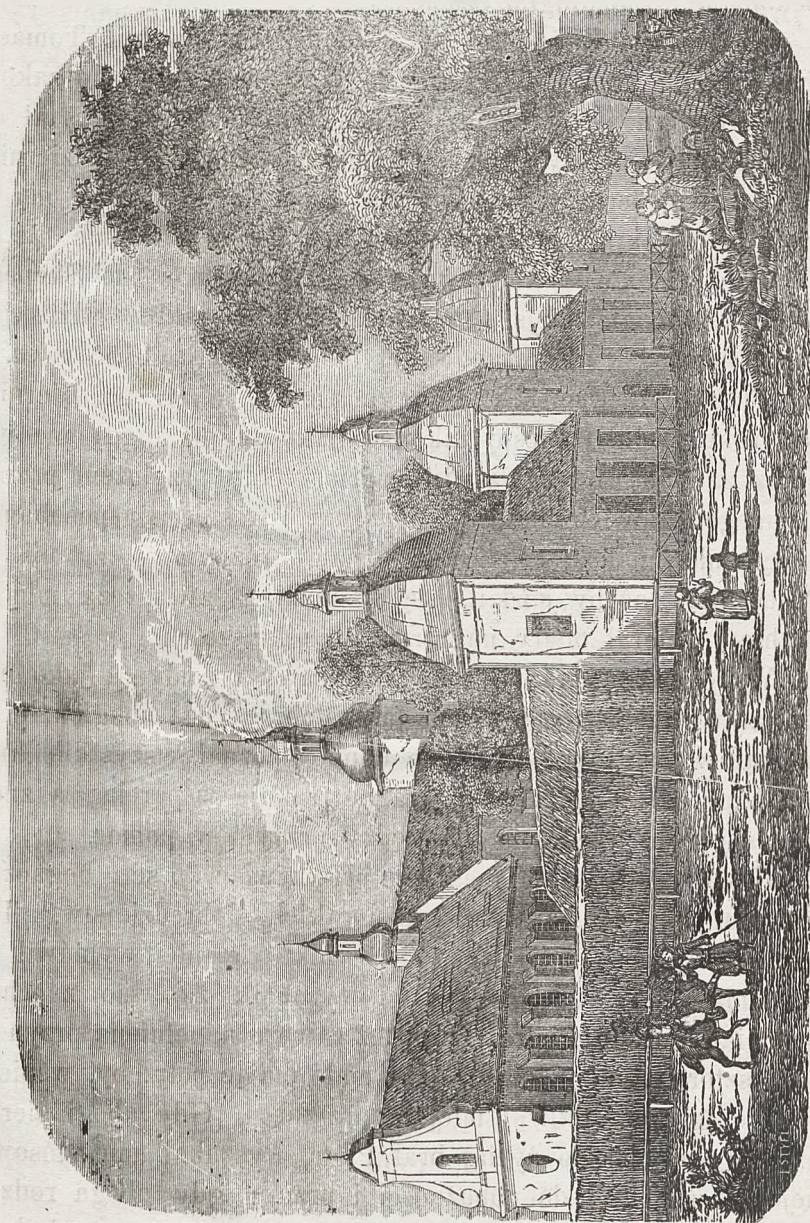
wieku żyło w niej dwoje pobożnych ludzi : Szczepan Ostrowski z żoną swoją Agnieszką. Byli to ludziska poczciwi, szanowani w gminie, bo z nikim, jakto mówią, kotów nie darli, ale swego patrzyli. Mąż doglądał gospodarstwa za domem, żona w domu, aby wszystko było pięknie i składnie. Dnia 19. grudnia 1811 roku pobłogosławił Bóg poczciwą tę parę synem, któremu na imię dali Tomasz. Wychowali oni go też prawdziwie po chrześcijańsku, ćwiczyli w pokorze i innych cnotach, a że rodzice, jak powiedzieliśmy, byli poczciwi, to i syn ich pełen był łagodności i dobroci, i zawsze i wszędzie dobre okazywał obyczaje. Ojciec pokazywał mu przeróżne rzeczy, aby chłopca zaprawiać w myśleniu i pojmowaniu tego i owego. Mówią ludzie, że co ma wisieć, to nie utonie; kto jest dobrym, to zostanie dobrym i zawsze mu dobrze będzie na świecie. Tak samo stało się i z Tomusiem. Rodzice ani przeczuwali, że on kiedyś będzie ich wielkim zaszczytem i że go znać będzie cała Warszawa, takie ludne i rozległe miasto.

Tomuś pomagał ojcu w gospodarstwie; każdą rzecz wykonał ochotnie i zręcznie, że się ojcu serce radowało. Nigdy nie był upartym i złośliwym, a komu tylko mógł, to dopomagał, a już nad biednymi ludźmi, to miał wielkie zlitowanie. Szkody nie robił nigdy, bo nie pragnął tego, co drugi posiada. Kiedy już miał lat dwadzieścia i dwa, przywołał go ojciec do siebie i tak powiada :

— Napracowałeś się już dosyć u mnie, czasby był, żebyś teraz pomyślał o sobie. Gospodarstwa odstąpić ci nie mogę, idź więc do rzemiosła, tam wnet wyuczysz się pracy, zaczniesz sam na siebie i będzie ci dobrze. Zresztą może za żoną weźmiesz gospodarstwo, to i nam lżej będzie na stare lata, a co my zaś uciulamy, to przy was zostanie. Tomuś usłuchał zaraz ojca i poszedł do rzemiosła. Pracował pilnie i uczciwie, ale po dwu latach przyszedł do przekonania, że nie dla niego rzemiosło i żona, ale usługa dla bliźnich i gorąca modlitwa dla Boga.

Ale bo też Tomasz nie robił tak nigdy, jak robią inni chłopcy w rzemiosle. On pracował przez cały tydzień, a w niedzielę szedł do kościoła, słuchał kazania, a w domu czytywał różne książki, aby oświecać swój umysł. Gdy zaś dostał grajcar za odniesienie roboty, to go składał i jak się dowiedział o jakiej

nieszczęśliwej osobie, to zaraz tam zanosił wszystkie pieniądze i ukrywał się z tem bardzo aby ludzie o tem nie wiedzieli. Wiedział bowiem dobrze, że co robi prawica, niechaj o tem nie wie lewica,



Klasztor w Skepem.

Aż jednego dnia przychodzi on do swojego majstra i mówi:
— Dziękuję wam, panie majstrze, pięknie za naukę, którą u was pobierałem przez dwa lata. Odchodzę od was już na

zawsze, bo porzucam rzemiosło i udaję się na tę drogę, którą mi Bóg kochany wskazuje głosem wewnętrznym. Nie gniewajcie się na mnie, bo ja działam sprawiedliwie i oszukiwać was nie chcę. Że się na marną nie puszczam drogę, to się o tem przekonacie w niedługim czasie.

Zmartwił się majster tą wiadomością, uwolnił Tomasza z rzemiosła, a on poszedł zaraz do Warszawy. Idzie do zakonu OO. Bernardynów i prosi o przyjęcie. Przełożony wypytał się go o potrzebne rzeczy i przyjął na próbę. Dnia 19 października 1834 roku obleczonego Tomasza w habit i Piotr dano mu na imię. Młody braciszek sprawował się tak przykładowo, że go po roku posłano do klasztoru OO. Bernardynów do Skępego, naszego słynnego miejsca w powiecie lipnowskim, gdzie jest statua Bogarodzicy, ukoronowanej dnia 18 maja 1755 roku.

Tu odbył braciszek Piotr nowicyat, a 4. października 1836 roku zrobił profesję zakonną, jako że już nigdy nie wystąpi z zakonu. Był tu lat dwanaście. Gdy przełożeni poznali że z niego człowiek cnotliwy, uprzejmy i wesołego usposobienia, że się umie znaleźć pomiędzy panami różnymi, — zrobili go kwestarzem, ażeby jeździł między ludźmi, a zwłaszcza między szlachtą i zbierał ofiary na utrzymanie klasztoru.

W roku 1848 przybył do Warszawy i zasłynął jako niezrównany kwestarz, a przytem jako dobroczyńca ubogich ludzi. Chodząc z puszką od domu do domu, poznał wszystkie kąty i wiedział gdzie nędza pocziwa potrzebuje wsparcia, a znów gdzie się udać trzeba, by tej nędzy przyjść w pomoc.

Umiał on dziwnym sposobem przemawiać do serc bogaczy i skłaniał ich do czynienia różnorodnych dobrodziejstw. Tak umiał ująć i zachęcić każdego, że nikt się nie wymówił od udzielenia datku. Bogacz jak i wyrobnik zarówno z ochotą wypełniali puszkę Piotra, którą też zawsze napełnioną przynosił do klasztoru. Sam nadzwyczajnie małe mając potrzeby, wspierał ubóstwo lub wyszukiwał miejsca przytułku. Gdy ubogi sierota nie miał sposobu do życia, brał Piotr, wyszukał mu stósowne miejsce i zachęcał do pobożności i pracy; gdy uboga rodzina nie miała czem opędzić swoich potrzeb, on wnet wyszukał dla niej łaskawych dobrodziejów i zapewnił jej przyszłość; gdy uboga wdowa konając na śmiertelnem łożu, zostawiała opuszczone

sieroty, brał Piotr, wyszukał dla nich opiekę a matce wyprawił pogrzeb, boć to był prawdziwy opiekun wdów, sierót i w nędzy zostających ludzi. Nie wstydził się on nosić dla nich rzeczy do żywności, starych sukien a nawet i drzewa, bo to dla niego największa była przyjemność. A najbardziej lubiał on wyszukiwać takie rodziny, które rzeczywiście cierpiały nędzę a wstydziły się wyciągnąć rękę po jałmużnę. Takim ludziom najspieszniejsza należy się pomoc.

Bogacze z pełnem zaufaniem powierzali pieniądze bratu Piotrowi, albowiem mocno byli przekonani, iż z nich jak najlepszy zrobi użytek.

W pewnym domu na strychu mieszkała nędzna rodzina w bardzo opłakanym stanie. Ojciec był dawniej wojskowym i pobierał bardzo szczupłą pensyjkę, która zaledwie na lichą strawę i ubogą izdebkę wystarczała. Ale nie było za co się ubrać; dla tego skołatany ojciec od bardzo długiego czasu nigdzie nie wychodził. Matka od roku już nie opuszczała łoża, bo ją na nie ciężka powaliła choroba. Rodzicom usługiwała córka, która się ubierała w resztki ubioru matki. Nie wiedzieć jakiby był koniec nieszczęśliwej tej rodziny, gdyby brat Piotr jako anioł opiekuńczy nie był zaglądnął w dotkliwie jej położenie.

I myślicie może, że on szukał w tem chluby? Oj nie! Chował on wszystko w największej tajemnicy i dopiero po śmierci dowiedziano się o niektórych jego uczynkach miłosiernych, opartych na prawdziwej miłości chrześcijańskiej.

Ale może myślą niektórzy, iż on tylko starał się o wsparcie dla ubogich ludzi, a tem samem pobudzał ich do leniwstwa? O i tak nie czyniła szlachetna ta dusza. Gdzie nie można było wymagać pracy, tam nosił wsparcie, w innych razach otwierał sposobność do pracy i zarobku bo lenistwa wielkim był nieprzyjacielem. A że tak myślał, dowodzi ta okoliczność iż chciał dożyć w życiu swoim tej pociechy, by się mógł przyczynić do utworzenia zakładu w którymby ubogie dzieci oprócz wychowania pobierały taką naukę iżby się gruntownie znały na roli a potem wychodzić mogły na urzędników wiejskich.

Znając dokładnie potrzeby biednych ludzi, sam napisał projekt do utworzenia takiego zakładu, lecz śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu wypełnić zamiaru swojego.

Rolnictwo cenił on bardzo wymyślił na et narzędzie do zdzierania mchu na łąkach.

Widzicie więc z tego jakie to czynne i piękne było życie człowieka z pod słomianej strzechy! I jako kwestarz umiał on czynić dobrze i mieć szacunek u najmożniejszych panów a położył przedewszystkiem największą zasługę u Boga. Pokazuje się tedy, że człowiek w każdym stanie może pięknie postępować i służyć należycie Bogu i bliźnim swoim. Brat Piotr każdemu może być wzorowym przykładem.

Służył on poczciwie klasztorowi swojemu, wiernie wypełniał włożone nań obowiązki a nadto na usługi nędzy poświęcił swoje zdrowie. Z tego powodu braciszek ten kochanym był od wszystkich i więcej niż niejeden dostojnik miał przyjaciół.

Gdy się dowiedziano o jego chorobie, głęboki smutek pokrył serca mieszkańców Warszawy. Jeden z znaczniejszych dobroczyńców wziął chorego do siebie, by go pielęgnować i najlepszą dać mu wygodę. Ale i lekarstwa i doktorzy nie pomogli; na dniu 25 stycznia 1859 roku zakończył chwalebny swój żywot. W czasie chowania zwłoków jego w grobach kościelnych u OO. Bernardynów płacz i lament był nie do opisania. Wdowy i sieroty straciły jałmużnika i opiekuna, biedni ludzie swego doradcę i pocieszyciela.

Dzisiaj odpoczywa on w Bogu, ale pamięć jego żyje; żyją jego śliczne uczynki, żyją zasługi, dla tego śmiało o nim powiedzieć możemy:

Kto dobrze działa, z cnót swe życie przedzie,
Ten chociaż umrze, to jeszcze żyć będzie.

Józef z Bochni.

Klasztor OO. Bernardynów w Skępem.

W opisie życia Piotra Ostrowskiego była wzmianka o Skępem, gdzie miłosierny ten kwestarz przebywał lat kilka. Abyście o tem miejscu lepsze mieli pojęcie, opowiemy wam tu o niem w krótkości.

Jak długie i szerokie jest Mazowsze, jak długa i szeroka jest cała Polska — wszędzie słynie Skępe, bo tam jest cudowny obraz Matki Boskiej, do którego przybywają od dawien dawna pobożni pielgrzymi i przedkładają tu prośby swoje. Ale bo też nie raz i nie dwa doznano tu cudu, nie raz nie dwa doznano ulgi w cierpieniu, to też i małe dziecko w Mazowszu wie o Skępem. A leży ono w dawniejszej ziemi dobrzyńskiej, a dzisiaj w gubernii płockiej, w powiecie lipnowskim, pomiędzy pięcioma jeziorami na ziemi piaszczystej w około lasami otoczonej, niby na kępie jakiej, i ztąd zapewne pochodzi jego nazwisko. Dawniejszemi czasy byli tu sami pobożni chrześcijanie, dziś i żydów tu nie mało. A starożytne to już miasteczko, bo 1445 roku założone na mocy przywileju króla Władysława Warneńczyka. Dzisiaj jest własnością państwa Zielińskich, i posiada 139 domów. Koło miasteczka znajduje się wzgórze, zwane górką biskupią a to z tej racyi, że tu 1700 r. schronił się Konstanty Zieliński, arcybiskup lwowski, który trzymał stronę króla polskiego Leszczyńskiego nie cierpiąc Augusta, Sasa, i tu schwytyany został od przeciwników.

O dwa tysiące kroków od miasteczka leży wioska Wymyślinie, gdzie stoi klasztor OO. Bernardynów. W bardzo dawnych czasach prowadziła tędy droga do miasteczka, a przy niej leżał wielki kamień. Przechodzący tędy ludzie robili krzyżyki na tym kamieniu, a kto przeszedł westchnął sobie i mówił pacierz. Po jakimś czasie widywano tu wielką jasność a potem nad tym kamieniem pokazywał się obraz Matki Boskiej. I schodzili się tu ludzie, modlili się gorąco, a gdy ten i ów doznawał szczególnej łaski, inny cudownie został uzdrowionym, zgodzili się ludzie na to, by na tem miejscu postawić krzyż z ukrzyżowanym Zbawicielem. Jakoż tak się stało, a ludzi coraz to więcej przybywało w ono miejsce gdzie Bóg widocznie obdarzył ich swojemi łaskami. Aż 1495 roku przychodzi aże z Poznania ubogi mieszczanin do Skępego, idzie do miejscowego kasztelana ks. Mikołaja Kościeleckiego, proboszcza kapituły kujawskiej a później biskupa Chełmińskiego, i-tak powiada:

— Niedawno miałem sen dziwny. Pokazała się mi postać Matki Boskiej, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem, i kazała mi

iść do Skępego, bym się wstawił i upomniał wyraźnie, że Najświętsza Panna pragnie być w tem miejscu, bo je sobie szczególnie upodobała.

Pobożny proboszcz wysłuchawszy z uwagą zeznania mieszczanina, zwołał ludzi, opowiedział im rzecz całą i wkrótce po zniesieniu krzyża wybudował drewnianą kaplicę, którą uroczyście poświęcono pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. Wtenczas właścicielami Skępego byli państwo Kościeleccy. Mieli oni córkę Zofiję, która w ciężką zapadła chorobę. Polecono ją opiece Najświętszej Panny. Wkrótce zupełnie odzyskała zdrowie. Wdzięczna kasztelanka, chcąc za to kaplicę pięknym ozdobić obrazem, jedzie do Poznania, co to leży w Wielkopolsce, by wybrać jaki najpiękniejszy u tamtych malarzy. Chodzi od jednego do drugiego, ale nigdzie nic pięknego napotkać nie może. Idzie tedy do ostatniego i pyta o piękny obraz Najświętszej Panny.

— Takiego obrazu nie mam wcale! — odpowiedział malarz roztwierając szafkę z obrazami.

Wtem kasztelanka obaczyła w szafce dziwnie pięknej roboty snycerskiej statwę Najświętszej Panny z założonemi na piersi rękami — i pokazuje ją malarzowi.

— Na Boga! — zawołał zdziwiony malarz — to jakieś cudowne zjawienie! Statuy tej nigdy w życiu nie widziałem, ani jej nie robiłem...

Słucha tej mowy również zadziwiona kasztelanka, a malarz mówi dalej w pokorze:

— Kiedy już takie zrządzenie Boże, proszę, weź pani ten obraz i umieść go w jakim cudownem miejscu, niech ludzie korząc się przed nim błagają Najświętszej Matki o wszystko dobre!...

Ucieszona kasztelanka dziękuje gorąco malarzowi i wiezie statwę do Skępego i umieszcza ją w nowej kaplicy. A było to 1496 roku. Odtąd tłumy ludzi przychodziły do tego cudami słynącego miejsca, tak że kaplica nigdy ich pomieścić nie mogła. Ani służby Bożej nie można było odprawiać należycie, ani umieścić darów, jakimi chciano przyozdobić święte to miejsce. Ksiądz Mikołaj Kościelecki buduje tedy 1498 obszerny kościół i z miasta Koła sprowadza zakonników św. Franciszka,

których od kościoła ich w Krakowie Bernardynami nazwano. A kiedy gorliwy ten kapłan 1511 roku już był biskupem Chełmińskim, przyjechał do Skępego i poświęcił klasztor murowany. Później z pobożnych darów przybyło kilka kaplic, a królowie potwierdzili przywileje klasztoru. W 1754 roku zjechała tu duchowna komisya, aby się przekonać wiarogodnie o doznanych cudach. Ponieważ mieszkańcy Skępego zeznali pod przysięgą zupełną prawdziwość rozlicznych cudów i komisya przekonała się o rzeczywistej czci, jaką oddawano Najświętszej Pannie, napisała na mocy świadectw prozbę do papieża Benedykta XIV o zezwolenie na koronację cudownej statuy. Papież zezwolił zupełny odpust. Jakoż 17. maja 1755. roku w samą wiliję Zielonych Świętych z kościoła parafialnego z Skępem wyruszył orszak ludzi z największą uroczystością. Ksiądz infułat Strzelnoski, otoczony duchowieństwem i niezliczonymi tłumami ludzi ze światłem, postępował powoli za tryumfalnym wozem, najgustowniej przystrojonym, a huk dział, muzyka i pobożne pieśni bez przestanku wstrząsały powietrze. Przybywszy do lasku, złożono koronę w kaplicy.

Na drugi dzień pod przewodnictwem ks. biskupa Płaskowskiego przez liczne bramy przeniesiono dopiero koronę do kościoła i złożono ją na wielkim ołtarzu.

Po uroczystem nabożeństwie wśród huku dział, dzwonów i pieśni uwieńczył ksiądz biskup koroną skronie Najświętszej Panny, a na pamiątkę tego wydarzenia jest w Skępem corocznie odpust przez całą oktawę Zielonych Świątek. Od tego czasu sława cudownej statuy rozbiegła się na krańce ziemi polskiej i mało jest ludzi, którzyby o niej nie słyszeli.

Klasztor podnosił się coraz więcej, aż 1767 roku z pobożnych składek zgromadzenie zakonników odnowiło i ozdobiło go całkowicie, jak go dzisiaj widzieć można. Obrazek przedstawia dokładnie, jak zewnątrz wygląda.

Wnętrze kościoła jest pięknie malowane przez braciszka tego zakonu Kazimierza Żebrowskiego. W wielkim ołtarzu pomiędzy ośmioma statuetkami świętych jest owa drzewiana statua Najświętszej Panny, w dzieciennym wieku, z koroną na głowie, otoczona u góry dwunastoma gwiazdami. Stoi, mając ręce złożone, na księżycu, który po bokach trzyma dwóch

aniołów. Wszystko ze srebra, tylko sukienka i korona pozłacane. Najświętsza Panna ma wyraz anielskiej niewinności.

W okolicy jest wiele snycerzy, którzy wyrabiają statuy z drzewa bardzo dobrze naśladowane. Koło kościoła jest korytarz, w którym odprawia się nabożeństwo krzyżowej drogi.

Cały klasztor w okolicy tamtejszej wygląda bardzo malowniczo, a podczas odpustu, to już trzeba malarza, żeby to wszystko odrobił, co się tu przedstawia oku.

Tyle o tym klasztorze. Udawajmy się tam myślą i zasyłajmy prośby do Najświętszej Panny o lepsze czasy, kiedy sami tam być nie możemy, a Ona wyprosi u Syna szego, o co Ją błagamy.

Józef z Bochni.

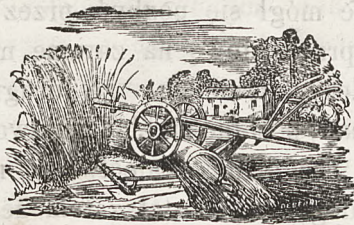
Rozmaitości.

— Pisma dla ludu w Poznaniu. W tej części ziemi naszej wychodzą także pisma i wydawnictwa ludowi poświęcone. Najpierwsze miejsce między pismami dla ludu tamże trzyma „*Przyjaciel ludu*”; pismo to wychodzi w Chelmie, i jest pismem politycznym; podaje wiadomości z tego co się w świecie teraz dzieje, o wojnie, o bitwach i t. d. Pismo to jest bardzo dobrze pisane, i nader zacne. Dalej wychodzi w samym Poznaniu „*Przyjaciel dzieci*.” Aleć nietylko dzieci on jest przyjacielem; podaje on wiele ciekawych i pouczających rzeczy, że i stary człowiek chętnie przeczyta, i zabawi, i pouczy się. Podaje przyjaciel dzieci różne wiadomości i nauki, podaje Żywoty Świętych, mianowicie patronów polskich, opisy miast, kościołów, krajów różnych, narodów, a przytem wszystkiemi nieraz ciekawą rozpowie powiastkę, i wierszykiem ładnym zabawi, co go to i nauczyć się warto. Ma też i obrazki ładne, że jest na co popatrzyć. A niewierzylibyście jakto tanie, kosztuje od kwietnia aż do końca

roku 17 groszy, (na nasze pieniądze wyniesie to 1 złr). Z tamtego roku Przyjaciel dzieci na nasze pieniądze wyniesie 50 centów tylko! Wydaje tego Przyjaciela dzieci p. Chociszewski w Poznaniu. Waszym dziatkom, kochani czytelnicy, jako niemnie; i wam samym polecamy to pisemko.

— Piękny przykład. Pan Konstanty Rucki, właściciel Machowa (w powiecie Tarnobrzeskim) kazał znieść karcznię stojącą naprzeciw jego dworu; plac zaś, na którym karczma stała wraz z podwórzem i pozostałym murem darował gminie pod warunkiem postawienia na nim szkoły. To samo uczynił i dla włościan drugiej wsi swojej, Ocice. W Machowie stoi budynek gotowy dla szkoły. Pan Rucki zamierza nie stawiać żadnej innej karczmy w swych majątnościach. Oby ten przykład nie został bez naśladowania, — oby wiele gmin swoje karczmy na szkółki poprzemieniać mogło, których taki jeszcze brak w naszym kraju, że bardzo wiele gmin wcale ich nawet nie posiada.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Żebracy.

(Dokończenie.)

Krzywas po tak dzielnej rozprawie z Umbrelką, usłyszawszy głos dzwonu na wieży kościelnej i zobaczywszy nadchodzących pobożnych do domu Bożego, ukląkł na kamiennej posadzce, kije położył przy sobie i składając ręce z przymkniętymi na pół oczyma, z odkrytą głową, zaczął odmawiać pacierz z taką gorliwością religijną, że zdawało się niepodobnem, aby pobożność ta była kłamana. Taką jednak była, bo u Krzywasa wszystko było kłamstwem, począwszy od okrywających go łachmanów, aż do pobożnego uderzenia w piersi. Szczególniej zręcznie przewracał oczy, bo jak spojrział niby w niebo i ręce rozkrzyżował, to bielily się tylko białka, a źrenice gdzieś bez śladu gineły. Był to widok niemiły, ale na odpustach wiejskich wielkie miał powodzenie, i lud biorąc to za szczególne uniesienie ducha, cisnął się do niego z wielką chęcią, nadśłuchiwał pobożnej pieśni i wiele razy ujrzał bielejące białka w oczach, wzdychał miłosiernie i sypał grosz szczodry w skorupę żółwiową oszusta. Krzywas na wsi urodził się i wychował, lubił zjeść nieźle, wypić smacznie, ubrać się okazale, mieć zawsze grosz w kieszeni, ale nie lubił na to pracować. Wziął się więc do kradzieży, od małej poszło do większej, oporzędzono mu skórę u wójta, potem w sądzie powtórzono raz i drugi,

wreszcie poszkodowany taką mu raz sprawił frycówkę, że Krzywas sińców nie mógł się pozbyć przez miesiąc a szrama z uderzenia kijem przez głowę na zawsze mu pozostała.

Przekonany doświadczeniem, że drugiej podobnej łaźni nie mógłby wytrzymać, postanowił złodziejstwo porzucić a chwycić się żebractwa, do czego mu kalectwo w nodze i skrzywiona twarz wielce były dogodne. Został zatem żebrakiem z profesji, zapuścił kudły na głowie, brodę, wąsy; brud poorał mu twarz jakby zmarszczkami, pochylił się, przygarbił i ruszył w świat do miejsc słynnych cudownemi obrazami, a w końcu weisnął się do Warszawy. Zachciało mu się skosztować warszawskich przysmaczków, słodkiej wódki, pytłowego chleba i wędlin rzeźniczych, za którymi przepadał, bo wiejskie już mu się uprzykrzyły. Tu wrodzonym sprytem wprędce poznał, że Warszawa dla dziada, to wybrane miasto z pomiędzy wszystkich, byle tylko umiano z tego korzystać. Wypróbował więc wszystkie kościoły, i za najkorzystniejsze stanowisko uznał kurytarze przy świątyni księży Reformatów; żeby zaś zbytniem przybywaniem żebraków nie uszczuplać dla wszystkich zarobku, wszelkich nowych przybyszów wypędzał bez miłosierdzia, czem zyskał sobie uznanie i stał się wprędce wszystkich przewodzą. Zapewniało mu to przytem i pewne korzyści, bo każdy nowo przybywający na miejsce ubywającego musiał się opłacić, ale i wywołało niezadowolenie wielu, dla których utrzymania w porządku przybrał do pomocy Rudego, z którym na wspólną mógłby wołu powalić, nietylko człowieka. Bano się też ich jak ognia; kłótnie i bitwy słaby, bo Krzywas czuwał nad tem, godził sprzeczki, jednal waśniących się, rozstrzygał spory, a który nie chciał się poddać wyrokowi, wygnany zostawał bezpowrotnie zwykle z obfitym przydatkiem szturchańców i uderzeń niemiłosiernych kija.

Kiedy nabożeństwo ukończone zostało i żebracy po wyjściu ludu pozostali sami, Krzywas powstał z kolan i przerzuciwszy oczami po wszystkich, kiwnął ręką, aby się do niego zbliżono, i rzekł:

— Głupi narodzie! żyjecie z proszenia a zapominacie, że ludzie mają oczy i uszy. Pacierz i pokora, to wasza sprawa, a nie kłótnie i zabijatyki. Dziadom coraz trudniej na świecie,

ludzie coraz skąpsi, Bóg wie co na nas wydziwiają, a wy jak psy życie między sobą. Pamiętajcie, żeby tego nie bywało więcej, znacie mnie dobrze, więc słuchajcie co mówię, bo kto nie usłucha, to mu dam taką pamiątkę, co o niej nie zapomni przez całe życie.

-- Sprawiedliwie mówi, sprawiedliwie — odezwano się dokoła, a baba grenadjer szepnęła mu coś do ucha wskazując na kobiety z dziećmi. Krzywas zaraz zwrócił na nie oczy i marszcząc brwi zapytał groźnie:

— A wy co tu z dziećmi robicie? — Czy nie wiecie, że tu z dziećmi stać niewolno. Zaraz mi się wynosić, tu wszystko musi być w równości...

Dalej na ulicę! bo jak wezmę kija...

Kobiety chciały się tłumaczyć, ale za pierwszym wymówionem przez siebie słowem, Krzywas zgrzytnął zębami, przewrócił białka w oczach i wrzasnął strasznym głosem:

— Won ztąd najemnice dzieci! — Jesteście złodziejki, bo nas okradacie z miłosierdzia ludzkiego. — Won! won!

Rudy jak wilk spojrzął na żebraczki, przysunął się do nich, dzieci przestraszone głośno zapłakały, i kobiety oglądając się po za siebie zaczęły biedz kurytarzem w pośród szyderstwa i ogólnej wszystkich radości. Jeden tylko Umbrelka stojąc oparty o ścianę patrzył ponuro z przysłonietymi oczami i coś niewyraźnie mamrotał pod nosem. Wypędzone kobiety z dziećmi wydostawszy się na ulicę, zwolniły nieco kroku podążając ku domowi, aby wynajęty drobiazg pożywić i znów ruszyć na żebraninę. Razem z dziećmi wyszły dwie inne żebraczki osłonięte starannie, aby jeszcze niestare swoje lata lepiej ukryć przed okiem przechodniów. Kiedy weszły na mniej ludną ulicę, jedna z nich przybliżywszy się do udanych matek rzekła:

— Pozazdrościli wam zarobku, ale bo też mieliście dziś szczęście, musieliście choć po pięć złotych zebrać.

— Ej! jeszcze nie rachowała, ale z dziećmi to wielka mordęga. Jak nie płaczą, to nic nie zarobisz, a jak znów bardzo płaczliwe, to ze skrzekiem tyle ucisku, że aż się w głowie przewraca. Zawsze jednak zapłacić trzeba za najem, nic nie pomoże.

— Ej! mała tam pewno zapłata, a zarobek dobry i pracy nie wiele. Dziecko skrzeknie, ot i dosyć, a my bez dzieci to musimy się tyle nagadać, naszeptać, że aż język puchnie.

— Ale co zbierzecie to dla siebie, a my musimy od małego dziecka zapłacić matce czterdzieści groszy, a od większego co chodzi samo, złotówkę i to z góry, i jeszcze kupić bułkę albo co innego jak bardzo głodne.

Kiedy doszły na plac przed Sewerynowem, rozeszły się, a baby dwie bez dzieci pozostały same i jedna wskazując na wasąg stojący przed jedną z sieni tego wielkiego gmachu, rzekła:

— Patrz Maryśko, jakie ta kobieta trzyma śliczne czteroletnie dziecko? — Żeby to można przyjść do takiego, toby się dopiero zarobek poprawił.

I obie zadumały się w milczeniu, pozerając oczami śliczną dziewczynkę, którą matka wiejska kobieta wzięwszy z wasagu, postawiła na ziemi i ugładziwszy włoski i pomiętą sukienkę, poprowadziła po schodach na górę. Na pierwszym piętrze zapukała do drzwi, a gdy te się roztworzyły, druga podobna dziewczynka zawołała klaszcząc w rączki:

— Mamo! mamó! nasza kochana Marta przyjechała.

Zaczęły się więc powitania, całowania, ściskania. Marta niegdyś matka małej Zosi przybyła w odwiedzinie z pobliskiej wioski pod Warszawą i przyniosła z sobą małą Kasię trzymającą w rączkach krowi serek na podarunek dla swojej mlecznej siostry. Dziewczynki kochały się bardzo, bo Marta wiele razy przyjechała do Warszawy, dziewczynkę zawsze zostawiała u dawnych swoich państwa, więc się dobrze znały, wspólnie bawiły i zawsze przy pożegnaniu płakały. Serdecznie przyjęta Marta nie mogła się dosyć napięścić ślicznej Zosienki, a potem dosyć naopowiadać o figielkach swojej Kasi, która ciągle się naprzykrzała o wyjazd do panienki. Obie matki promieniały radością, a gdy dziewczynki pobiegły za zabawą, zaczęły się wypytywania o dom, o znajomych, o gospodarstwo i tak się zagadały, że prawie zesła godzina, kiedy Marta przypomniała sobie, że musi podążać za mężem czekającym na nią na targu. Przy wyjściu chciała jeszcze ucałować małą Kasię, ale ani jej, ani Zosi nie było w domu. Posłano na podwórze, przeszukano

wszystkie schody, wszystkie mieszkania, przejrano drwalnie piwnice i góry, wypytywano się każdego, czy dzieci gdzie nie widział, wszystko było daremnie — dzieci przepadły bez śladu. Zrozpaczone obie matki prawie odchodziły od przytomności, a gdy ktoś rzucił domysł, że pewno dziewczynki zostały ukradzione, bo to się nieraz w Warszawie przytrafia, obie krzyknęły wielkim głosem i padły jak martwe na ziemię. Rwetes naturalnie powiększył się, jedni wołali o wodę, drudzy o doktora, pozbiegało się wiele ludzi z kamienicy, ten radził dać znać na policję, drugi krzyczał, aby ratowano matki, a inny zawezwał kilku do pomocy i oświadczył, że trzeba poszukać między szychdami drzewa i zaułkami niedalekiego Powiśla, bo jeżeli dzieci zostały ukradzione, to być bardzo może, że je tam gdzie w ukryciu do zmierzchu zatrzymają. Rada była dobrą i zaraz ze sześć osób pobiegło ku Wiśle na ochotnika.

Szychty drzewa prawie na wskrós zostały przejrane, od jednej posuwano się do drugiej, niemal każdy klocek obejrzano, każdą szparę, nigdzie jednak nie odkryto najmniejszego śladu. Przy ostatniej dopiero usłyszano szept, jakby ludzkie rozmowy. Podążono więc w stronę słyszanego głosu, ale szept w tej chwili ucichł i kiedy zachodzono w głowę gdzieby się mogły znajdować rozmawiające skrycie osoby, dał się słyszeć płacz dziecka i w tej chwili przycichł, jakby usta płaczące ręką zatkano. Poszukujący krzyknęli dla postrachu: mam cię złodzieju, w tej chwili dwie znane nam już żebraczki, po drugiej stronie szychty wyskoczyły ze skrytki utworzonej ze zsunięcia się kloców na siebie i zaczęły szybko uciekać ku Wiśle. Puszczono się za nimi w pogoń, ale że trzeba było bardzo okrażać, nim więc podążono za nimi, ślad wszelki zginął za złodziejkami. Obie dziewczynki wydobyte ze skrytki, już były obdarte ze swego ubrania, okrywały je łachmany żebracze, włoski przedtem ładnie uładzone miały do połowy obcięte, a buzie, ręce, szyje i piersi tak omurusane błotem i różnem paskudztwem, że je prawie poznać nie można było. Gdy je ujrzały matki o mało znowu nie zemdlały z radości, i potem padły obie na kolana i tuląc do siebie dziecięciny, składały Bogu dziękczynną modlitwę. Wypadek ten nie jest zmyślony, a państwo, u których się zdarzył, znam jak najlepiej i nawet był opisany w gazetach.

Wreszcie o zaginionych dzieciach w naszej stolicy są robione ogłoszenia dosyć często, więc kradzieże dzieci zdarzają się i wcale nie są wielką nadzwyczajnością.

Opisem tym jak powiedziałem, nie chcę was odstręczać od ofiar dla ubogich, ale pragnę zrobić ostrożniejszymi, aby grosz wasz ciężko zapracowany w poczciwe dostał się ręce, zwłaszcza gdy idzie o tak wielką rzecz jak modlitwa. Jest jeszcze inny powód, a i ten nie mniej ważny, oto zapobieżenie, aby się żebractwo nie mnożyło. Narzekamy, że nam źle, ale nie myślimy o tem, żeby było lepiej. Oglądamy się zawsze na cudze ręce, a o swoich zapominamy. Żebractwo wynika z próżniactwa, a próżniactwo z ciemnoty. Miłosierdzie z poczciwego idzie serca, ale gdy sercem nie kieruje rozumna głowa, to często błądzi i źli je wyzyskują. U nas poczciwych serc nie brakuje przy łasce Bożej, ale i ciemnica wszędzie jest wielką, nietylko po wsiach ale i po miastach. Trzeba więc na gwałt światła i nauki, bo jeżeli w jednej zawsze będziemy chodzić ciemnicy, w końcu w kraju naszym więcej będzie próżniaków jak pracujących, więcej proszących jak dających i kraj cały w ubóstwie wiecznym pozostanie.

Zapobiedz temu w naszej jest mocy, ale do tego trzeba dobrej chęci i przekonania, że z upadku nikt nas nie podniesie, ani Francuz, ani Anglik, tylko my sami, jeżeli weźmiemy się za ręce jak bracia i w zgodzie, poczciwości rzucimy się wspólnie i do pracy i do nauki. Rozprószmy ciemności co ziemię naszą Polską jak mgła otaczają, a rozpromieni się nam w duszach, do domów naszych zawita dostatek i wygoda, będą nas wszyscy szanować, bo nad głowami naszymi wznosić się będzie błogosławieństwo Boże, i Najświętsza Panna jako królowa Korony Polskiej rozraduje się w niebiesiech, widząc że jej poddani pełnią słowa nauki Syna Jej Jednorodzonego.

Jan Kanty Gregorowicz.

Mądrak.

„Hej, hej! co ta książki wasze,
Co marne głowy suszenie!
Durny ci człek nie zmańdrzeje
Przez to szkolarskie uczenie!“

„Nie masz to jako nicktóry,
Co się już mądry urodzi“. —
Tak mawia ludziom ów Maciek,
Co za mądraka uchodzi.

Ano się zdarza parobkom
Ujrzeć ptaszysko nie lada;
Zachodzą w głowę: „Kiej lichy?“
Aż mądry Maciek zagada:

„Oj durne wy, durne ludzie!
I wy się tak dziwujecie?“
— „Jużci“ — odrzeką mu tamci: —
„Bo cóż to może być przecie?“

„I cóż być może? — głupiaki!“
Mądrak im mowę obróci:
„Coś, zkądś, gdzieś, po coś przyszło,
I gdzieś tam, dokądś wróci!“

Taką dostawszy naukę
Spojrzą ludziska po sobie,
I jeno ten albo owy
W głowę się na to poskrobie —

A mądrak nasunął czapkę
I żywo drogą pomyka;
Taki to mądry ten Maciek
Co wszelkiej książki unika!

B. Komorowski.

Naczelnik pokolenia Osagów.



Obrazek, który tu widzicie, przedstawia wam naczelnika czyli króla dzikiego narodu Osagów. Popatrzcie tylko na jego

ubiór a zobaczycie, że żaden rozumny człowiek nie mógł by się tak ubierać, boby go wszyscy wyśmiali, a przecież strój taki uchodzi u tego narodu za najpiękniejszy, boć się sam król tak ubiera. Osagowie mieszkają daleko za morzem aż w Ameryce północnej w okolicy, co się nazywa krajem Indyan, nad rzeką Plata. Żyją z polowania na dzikie zwierzęta i nie mają stałych siedzib. Dawniej zajmowali oni daleko więcej kraju, ale kiedy ludzie z Europy, t. j. z tej części świata, w której i my mieszkamy, zaczęli się tam osiedlać, musieli ustąpić i co roku coraz dalej ustępują — a tu zwierzyny brak, nie ma z czego żyć, i pokolenie to dzikie pomatu wymiera. Probowali wprawdzie ludzie poczciwi, a osobliwie duchowni nawrócić ich na wiarę chrześcijańską i nauczyć, rolę uprawiać, aleć oni wolą ginąć z głodu, niż pracować i uczyć się. To też coraz ich mniej — coraz bardziej ścieśnia się kraj, w którym mieszkają, a wkrótce wszyscy wyginą. Tak to dzieje się z każdym narodem, który nie chce się uczyć i pracować — więc weźcie sobie to i wy do serca, aby was Niemcy i Moskale nie wygubili.

List Piotra Zębatego do redaktora „Dzwonka“

Karłowary w sierpniu. Już dawno mój szanowny Panie Kazimierzu zbieram się pisać do Was, ale idzie mi niesporo, bo to i ręka moja do pióra niewprawna i w głowie za mało nauki, aby drudzy mieli jaki pożytek z tego, co ja napiszę, a jestem prawie pewny, że Wy chcielibyście ten mój list wydrukować w Dzwonku. Ale co się obiecało, to trzeba dotrzymać, piszę więc jak umiem. Cały kraj czeski przejechaliśmy zdrowo i szczęśliwie tak moi państwo jak i ja, ale nigdzieśmy się dłużej nie zatrzymali, bo państwo spieszyli się bardzo do Karłowarów i dopiero z powrotem staniemy na kilka dni w głównem mieście czeskiem Pradze, dla obejrzenia rozmaitych osobliwości, jakich tam jest wiele. Ja najbardziej jestem ciekawy zobaczyć rzekę Mołdawę, w której zły król czeski Wacław kazał utopić św. Jana Nepomucena, dla tego ponieważ nie chcia-

powiedzieć, jakie grzechy królowa wyznała mu na spowiedzi. Chociaż niczemu lepiej przypatrzeć się nie mogłem, bo to kolej leci jak szalona, przecież wszędzie bardzo mi się w Czechach podobało. Bo to mówię Wam panie Kazimierzu miasteczka schludne i ludne; biedy nigdzie nie widać, wioski piękne i bogate, pola dobrze uprawne, bydło rośnie i widać, że dbają o niego, lud pracowity i jak się zdaje bardzo zamożny. Ziemia nie bardzo urodzajna, tu i ówdzie góry wielkie, a grunt kamienisty, ale przy usilnej i wytrwałej pracy, zapobiegliwości i przemyśle, gospodarstwa kwitną. Oj! dobrze by to było, żeby nasi polscy kmiecie mogli się przypatrzeć, jak to te Czechy gospodarują, nie jeden nauczyłby się, o czym jako żyw nie słyszał.

Karłowary, czyli jak Niemcy mówią Karlsbad, jest to nie wielkie miasto, ale ma skarb wielki w ziemi, który je czyni sławnymi i głośniami w całym świecie. Tym skarbem są źródła uzdrawiające jak i u nas w Szczawnicy, Krynicy, Truskawcu i innych miejscach, tylko że tu gorąca woda bije z źródła. Co lato zjeżdża się tu mnóstwo chorych z całego świata, nawet królowie i cesarze; jedni piją tę wodę, drudzy się w niej kąpią, jak tam komu potrzeba do zdrowia. Moi państwo kąpią się i piją, ja zaś ani tego ani owego nie robię, bo dzięki Bogu zdrow jestem. O tem źródle opowiadają, że cesarz Karol pierwszy je odkrył. Miał on tu polować na jelenie, wtem jeden jeleni skoczył z góry, przebił sobą ziemię i zaraz w tem miejscu wytrysła woda gorąca.

Czesi są dobrzy ludzie i daleko lepsi jak wielu z tych co do niedawna byli u nas przy rozmaitych urzędach, jedno mi się tylko w nich nie podoba, że bardzo ciągną do Moskale, ale się temu nie dziwię, bo nie wiedzą, co to Moskał. Jak ich kiedy weźmie w swoje uściski niedźwiedzie, inaczej oni zaśpiewają. Czesi mówią językiem bardzo podobnym do naszego, tak iż się zdaje, żeśmy bracia rodzeni, dzieci jednej matki, jeno gdzieindziej wychowane. Kiedyindziej może więcej o nich napiszę, a teraz żegnaj Was już Szanowny Panie Kazimierzu i pozdrawiam serdecznie.

Piotr Zębaty.

Przepisy dotyczące się zdrowia.

Kto nie wie co to leki, co boleści łoże,
Ten o wartości zdrowia nie mówić nie może.

Pewien uczony podaje dziesięć przepisów dla tych, którzy pragną rzeczywiście pielęgnować zdrowie swoje, i nie narażać go nierozważnie na jaką bądź szkodę, a mogą być pewni, że długo żyć będą. Podajemy je tutaj dla użytku czytelników i uzupełniamy stósownemi wierszykami.

Pierwsze. Staraj się zawsze o świeże i czyste powietrze, bo tylko takie podtrzymuje zdrowie nasze. Unikaj miejsc i kątów, gdzie się znajduje zepsute powietrze. Usuwaj wszystko, coby ci utrudniało oddychanie. Czyste powietrze jest prawdziwym balsamem dla zdrowia.

Miej powietrze zawsze świeże;
Tylko takie zdrowia strzeże.
Wietrz twe izby, miły bracie,
Byś miał świeżo w twojej chacie.

Drugie. Jedz tylko wtedy, gdy prawdziwy masz apetyt i rzeczywiście jesteś głodnym. Nadto nie jedz nigdy. Przestań, skoro głód zaspokoileś. Niemierność jest bardzo szkodliwą dla zdrowia. Nie jedz czego nie znasz!

Miarą, miarą, miły bracie,
Bo źle łatwo czyha na cię!
Nie chcesz w życiu doznać biedy,
Jadaj bracie tylko wtedy
Gdyś jest głodny; mniej w pamięci,
Nie jeść nigdy nic bez chęci!
Gdy żołądek przeladujesz,
Pewnie srogo odchorujesz.

Trzecie. Powinieneś pić wtedy, gdy czujesz pragnienie. A nie pij nigdy tego, co nie służy zdrowiu twemu. Nie pij nigdy za nadto. Najzdrowszą jest woda. Trunki krew rozpalają i niszczą zdrowie.

A z napojów mocy doda
Zdrowiu twemu świeża woda.
A gorące trunki, bracie,
Przyczyniają się utracie
Sił i zdrowia.

Czwarte. Od samej młodości powinieneś się starać o wykształcenie duszy i ciała. Nie zaniedbywać pierwszego i drugiego, aby utrwalić zdrowie swoje. Gnuśność jednego i drugiego podkopuje zdrowie. Ciało zdrowe przyczynia się do wykonania łatwiejszego roboty; oświeceńsza dusza sprawia przyjemność, która dzielnie wpływa na zdrowie. Ludzie bez humoru rzadko kiedy dobre mają zdrowie.

Co za rozkosz, bracie miły!
Mieć wytrwałe ciało, siły.
Silny łatwo pracę zmoże —
Światły pozna cuda Boże!

Piąte. Spij wedle potrzeby, abyś we dnie osłabione siły znowu wzmocnił i miał dobre zdrowie!

Chcesz udzielić ciału mocy,
To śpij bracie zawsze w nocy.
Gdyś pracował trunków nie pił —
Pewnieś ciało tve pokrzepił.
Gdyś obraził tve sumienie,
Na nic sen, choć jest znużenie!

Szóste. Potrzeby twojego ciała zaspokajaj w czasie i regularnie, bo inaczej wielką poniesiesz szkodę.

Siódme. Utrzymuj ciało swoje zawsze w czystości a duszy twojej nie plam grzechami, żebyś miał sumienie czyste. Utrzymuj ciało zdrowo i rozważnie wypełniaj obowiązki twojego stanu.

Czysto, schludnie i chędogo,
Będzie ciału twemu błogo.
A nieczystość, miły bracie,
I na ciebie, w sukoiach, chacie —
Wielką szkodę ci przynosi;
Mądry, kto się czysto nosi!

Ósme. Powinieneś się przyzwyczaić do każdej zmiany powietrza, ażebyś kiedy nie naraził twojego zdrowia. Ale ostrożnie, nie za nadto gorąco, bo śmiałków psy gryzą.

Czy na świecie zawierucha,
Czy płatkami śnieg znów plucha;
Czy tam upał, czy deszcz pada,
To najlepsza moja rada:
Bądź na wszystko zuch, wytrwały,
Nie jak piecuch, co dzień cały
Na nalepie wciąż się grzeje —
I nie wyjdzie, gdy wiatr wieje.

Dziewiąte. Od dzieciństwa aż do wieku zgrzybiałego
wykształcaj swoje ciało gorliwie i stopniowo, byś się nie
nabawił ułomności i nie był chyrlakiem.

Człowiek zręczny, zwinny, zgrabny,
Co ma w chodzie wdzięk powabny,
Znamionuje siłę, zdrowie,
Że jest rura — nikt nie powie
W pracy się tak nie utrudzi;
Dobre oko ma u ludzi.

Dziesiąte. A gdyby w ciele twojem pokazały się znaki
uszkodzenia, gdybyś zapadł w niebezpieczną chorobę, miał
jakie bóleści, to możliwemi sposobami staraj się o wyleczenie
i przywrócenie zdrowia, a w ważniejszych wypadkach zasię-
gnij rady lekarza roztropnego. W chorobach się nie zaniedbuj
i na razie usuwaj niebezpieczeństwo.

Kiedy, bracie jesteś chory,
To korzystaj zaraz z pory,
I radź, lecz się już zawczasu
Żebyś nie miał ambarasu
Nie zaniedbuj się w chorobie
Bo to łatwo legnąć w grobie.
A kiedy ci złe zagraża,
To się udaj do lekarza,
Ale nie bądź niedowiarek,
Byś nie chodził do lekarek,
Do bab różnych, co to szkodzą
I na tamten świat wywodzą.

Józef z Bochni.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

Przepis na wygubienie wołków w szpichrach.
Wiadomo gospodarzom, którzy tego doznawali, co to są wołki,
gdy się w szpichrze lub jakim bądź składzie, gdzie jest zboże,
zagnieżdżą. — Czyszczenie, bielenie, wykadzanie i wiele innych
używanych środków, nie niszczą ich zupełnie, bo ukryte w naj-
mniejszych szczelinach, rozmnażają się bardzo.

Wygubić wołki trudno jest, ale na wyprowadzenie ich
używają w Rosyji następującego sposobu:

Gdy pszenica czy to jara czy ozima jest już na dojrzaniu, lecz ziarno nie zupełnie jeszcze twarde, zżynają jej pewną ilość w polu, a wymłóciwszy, tak aby nie porozgniatać ziarna, odmiatają czysto w szpichrze jakąś przestrzeń i na to wysypują kilka garncy takiej świeżej pszenicy.

Skoro wołki czy to w kupach zboża, lub w sąsiekach znajdujące się, pójdą do téj kupki świeżej pszenicy, wówczas potrzeba je wraz z pszenicą wynieść i zniszczyć, i znowu tak świeżej pszenicy nasypać kupkę, dopóki tylko wołki znajdować się będą.

Kilka razy wypada to powtórzyć, a można tym sposobem wszystkie co do jednego z szpichrza usunąć. Lubo z pozostawionych zarodków mogą się znowu świeże wylęgnąć, to na rok następny młodą pszenicą, za przynętę użytą w sposób wskazany, można się pozbyć téj klęski zupełnie.

Jeżeli wołki znajdują się w szpichrzach, gdzie sąsieki są szczelnie deskami przegrodzone, dla pomieszczenia osobnych gatunków zboża, to zamiast wysypywać w jednym miejscu, lepiej jest w każdym sąsieku odgarnąć zboże na bok, a oczyściwszy jeden kącik, owęj pszenicy na przynętę po parę garncy wysypać.

Pszenica na taką przynętę, jak powiadam, powinna być niezupełnie dojrzałą, jeszcze miękką; wprawdzie taką trudno wymłacać cepami, ale można nawet wykruszyć z kłosa rękami gdyż nie idzie o wielką ilość, bo tylko o garncy kilka.

Rozmaitości.

— Kiedy Stefan Batory, król polski ujrzał przed sobą niezliczone wojska nieprzyjaciół, rozważył u siebie, że jako król powinien się przyczynić do ocalenia swoich poddanych, że chwalebniejszą byłoby jednego ze swoich przy życiu zachować, niż dziesięciu zgubić nieprzyjaciół. Posłał tedy do wielkiego księcia moskiewskiego z oznajmieniem, ażeby oszczędzając krwi poddanych moskiewski

książę sam na sam z nim się próbował. Ale moskiewski książę stchórzył i wymyślił wykręt: że Stefan Batory nie pochodzi z krwi królewskiej. Nasz dzielny król odpowiedział mu na to: „Przecież ja zaniejszy jestem, bo mnie cnota a nie żywot matki królem uczyniła.“

— O Chmieleckim mówią, że gdy mu Kantymir, dowódzca Turków, Dniestr za granicę proponował, wpadł

na koniu w tę rzekę i na obie jej strony uderzywszy palaszem, rzekł: i to moje i tamto.

— Doniesiono raz Chodkiewiczowi, hetmanowi wojsk polskich, że nieprzeliczone mnóstwo nieprzyjaciół nadchodziło. A lubo bohater ten garstkę tylko wojska z sobą prowadził, wziął się jednak zaraz po odebranej tej wiadomości za szablę i rzekł: „Tą ja szablą ich policzę.“

— Chodkiewiczowa księżna Ostrogska, gdy na fundamenta kościoła w Ostrogu składano pieniądze, westchnęła, i rzucając garść złota rzekła: „Obym mogła wystawić Bogu z złota kościół tak wielki, by cały świat zajmował.“ Przytomny kapłan rzekł jej na to: „Serce maluchne człowieka jest najmilszym Bogu kościołem.“

— W roku 1675 Turcy oblegli Trembowłę, miasto teraz w Galicyi austryackiej położone. Szlachta z okolic szukała schronienia w tej twierdzy, a przyniosłszy z sobą wieść o mnóstwie nieprzyjaciół, przeraziła trwogą załogę i naprowadziła na myśl poddania się. Małżonka dowódcy twierdzy, dowiedziawszy się o tajemnym zamiarze, uwiadomiła męża swego. Chrzanowski, (tak się zwał dowódca) pobiegł na miejsce, gdzie naradzali się oficerowie o poddaniu się, i rzekł do nich: „Należy wątpić, aby nieprzyjaciół mógł zdobyć twierdzę; to zaś pewna, że was tu wszystkich spalę, jeżeli nie odstąpicie swego zamiaru; żołnierze z zapalonymi lontami czekają na mój rozkaz.“ Te słowa sprawiły pożądany skutek; twierdza bronić się zaczęła z nową dzielnością; odparto Turków w czterech szturmach, a gdy ci sposobili się do

piątego, zachwiał się sam Chrzanowski w swej stałości. Małżonka przypisując tę niespokojność męża brakowi wielkomyślności, wpada do niego uzbrojona dwoma pistoletami i tak mówi: „Jeżeli się poddasz nieprzyjacielowi, jednym ciebie a drugim siebie zastrzelę.“

Nim Turcy przygotowali się do nowego szturmu, nadciągnęła niespodzianie odsiecz, i twierdza została od oblężenia uwolnioną.

— Wiadomo wam czytelnicy, jak nieszczęśliwym jest lud nasz polski pod panowaniem rosyjskiem, jak tam święta religja i kościoły nawet nie są poszanowane. Czytaliście w Dzwonku nieraz o prześladowaniach religijnych, czytaliście o księdzu Piotrowiczu, męczenniku za wiarę na Litwie. Otóż w dodatku do oświadczania o klasztorze Bernardynów w Skępem, co to i obrazek jego był w ostatnim numerze Dzwonka, musimy wam powiedzieć jeszcze, że ten klasztor OO. Bernardynów w Skępem znieśli Moskale w r. 1864.

— Ks. Bielecki w jednym z swoich kazań tak mówił o kłamcy: Kłamliwy język podobny jest do lemiesza: zawsze brózdzi, skiby przewraca, jednej stronie weźmie, drugiej poloży.

On to również w jednym kazaniu mówił: „Świat ten u mocarzów jest jak piłka u grających: lata od ręki do ręki, biją, tłuką, ręce tam boją, a toż i królestwa latają jak piłka, a biednych ręce najczęściej cierpią.“

— Piękny przykład miłości ku rodzincom dał nam Bolesław Krzywousty, król polski, gdy przez pięć lat po śmierci ojca swojego Władysława w żałobie chodził.

Bolesław Krzywousty. Tenże król „Niech mnie Bóg zachowa, ażebym cò nosił wizerunek ojca swojego Władysława zawsze na piersiach, a ile razy na niego spojrział zwykł był mawiać: „honorowi ojca mego nieprzystojnego popełnić.“

Złote ziarna.

Szatan wie, że Bóg wieczny i w sile niezmierny,
Ale o tem zapomniał, że Bóg miłosierny.

Największego grzesznika Bóg sił nie pozbawia,
Tylko na karę własnym siłom go zostawia.

Mówisz: niech sobie ludzie nie kochają Boga,
Byle im była cnota, i Ojczyzna droga;
Głupiec mówi: niech sobie źródło wyschnie w górach
Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach.

Że do nieba daleko, niejeden narzeka,
Ziemia dalej, niżeli niebo od człowieka.

Wołasz Boga, on często wchodzi pokryjomu
I puka do drzwi twoich, aleś rzadko w domu.

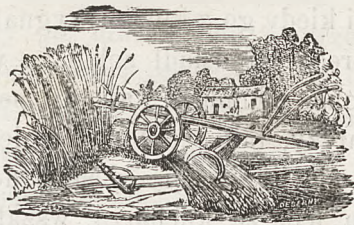
Szatan choć sobie mądrość i siłę przyznaje
Wie, że kłamie, i wiary sam sobie nie daje,
Dlatego rad wśród ludzi zdanie swoje szerzyć,
By je słysząc z ust cudzych, mógł im sam uwierzyć.

Od Redakcyi.

Panu Maksymowi z Pokucia. Wierszyki pańskie otrzymaliśmy, i odkładamy je na później, gdyż w tej chwili ich umieścić nie możemy.

Tych szanownych czytelników naszych, którzy prenumeraty za drugie półrocze dotąd nie nadesłali, upraszamy o łaskawe nadesłanie tejsze; najtaniej i najlepiej przesyłać można pięciocentowemi przekazami pocztowemi, pod adresem: „Redakcyja Dzwonka we Lwowie.“

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZWIŃKI

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Marcin Wrona.

Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą.

W jednej wiosce nad Sanem żył ubogi flisak Maciej Wrona, a miał tylko jednego syna Marcinka, wielkiego niezdareę i próżniaka. Maciej odumarł Marcinka w młodym wieku i nie mu nie pozostawił, bo był bardzo ubogi. Chcieli gospodarze przez litość nad sierotą wziąć Marcinka za swego, lecz ten nigdzie miejsca nie zagrzał, bo mu praca ciężyła, zwykle jeszcze okradał swoich dobrodziejów i wędrował od wsi do wsi i szukał miejsca, gdzieby za darmo jeść dawali. Lecz że to darmojad na wsi się nie uchowa, to też Marcinek wędrował ciągle i do kradzieży się zaprawiał, aż w końcu zapatrzył się na dworskich próżniaków i wcisnął się do jednego dworu za kuchtę, bo już to tam i praca nie tak ciężka, i zawsze coś, jak mu się zdawało, ukraść się uda. Lecz i tutaj nie zagrzał miejsca, bo go w krótkim czasie kucharz kilkakroć na oszukaństwie złapał, a że był człowiekiem rzetelnym i nabożnym, wielce od wszystkich szanowanym, któremu nawet sam pan wszystko powierzał i zaufał, to też nie cierpiał Marcinka długo, lecz wkrótce go napędził. Przypatrzył się tu Marcinek sprawkom dworaków, jak swego pana oszukiwali, dobrze jedli i pili, a mało co robili, lecz że to byli znani hultaje, a pan znał się na ich sprawkach, rzadko im się co udało, a często gęsto wypisywał ekonom

harapem napomnienia pańskie na ich grzbietach. Nie podobało się to Marcinkowi, i kiedy go z kuchni wygnali, nie czekał długo, lecz uciekł czem prędzej i usiadł sobie za wsią pod drzewem, przeliczył nakradzione pieniądze, a gdy poznał, że mu tych nie na długo wystarczy, tak rzekł do siebie :

— Trzeba mi się koniecznie dostać do drugiego dworu ale nie za kuchcika, lecz za kucharza, wszak już umiem nieźle gotować, tam będę mógł więcej co uskubnąć.

Chodził tedy od dworu do dworu i pytał, czy nie potrzebują gdzie kucharza. Trafił nareszcie, że gdzieś potrzebowali kucharza i przyjęli Marcinka. Tu potrafił on w krótkim czasie wkreślić się w łaskę pańską. Był to bowiem pan dobry, lecz bardzo łatwowierny. Poznał to od razu Marcinek i nuż nadskakiwać, oskarżać drugich, że pana oszukują, wszędzie się weisnął i podsłuchiwał, a gdy którego z dworaków na jakim oszustwie złapał, to go wziął na stronę a powiedział mu w cztery oczy, że jeżeli się z nim podzieli albo sownie okupi, to go nie oskarży. Tym sposobem zbijał pieniądze z krzywdą swego pana, który go miał za najwierniejszego i wszystko mu powierzył i nad wszystkiemi nadzór oddał. Bo też Marcinek umiał udawać poczciwego, i co dzień do kościoła chodził, i w domu często się modlił, by go wszyscy widzieli i na rzetelność swoją duszę i ciało zaklinał, co tydzień się spowiadał, a kiedy się dobrze objadł mięsa pokryjomu, wychwalał się, że na różne intencje po całych dniach suszy. Nie źle też na tem wychodził.

Była tam we dworze dziewczka stajenna, Zośka, wielka ładaco, lecz bardzo przebiegła. Otoż to ona jednego dnia, gdy wszyscy wyszli do roboty, wylazła na przypiecek i wygodnie się tam wylęgała, a kucharz nie wiedział o tem i wyjął z pod kuchni cegłę, dobył ztamtąd skarb swój nakradziony, tamże w dziurze przechowany i nuż go przeliczać. Zośka kiedy usłyszała brzęk pieniędzy ciekawa temu z po za pieca się przypatruje. Przeliczył Marcinek pieniądze a miał ich już sporo, i zawołał z radości: „O nie będziesz długo głupim Marcinkiem, widać żeś stworzon na pana, boć masz pańską głowę, rób tak dalej a niezadługo wypędzisz pana swego, a sam na tem miejscu osiedziesz. Byle tylko jeszcze tak z lat kilka się udawało, to się ożenisz z pierwszą dziedziczką a zostaniesz dziedzicem nielada!“

— Podobała się Zośce taka mowa Marcinka. Zaczaiła się tem bardziej by jej Marcin nie dostrzegł, a ten spakował pieniądze do worka, włożył go znowu do dziury pod kuchnią, cegłą otwór zakrył, zalepił i obielił, że i śladu nie było.

— „Mądryś ty lecz ja mądrzejsza! zawołała Zośka, i ledwie Marcin wyszedł z kuchni na gumno by znowu co wyszpiegować lub ukraść, zlazła czempredzej z pieca, odwalila cegłę, wyjęła worek, założyła cegłę napowrót, zalepiła, zabeliła, a worek do ogrodu wyniesła i tam go w grzędzie między fasolą zakopała. Niedługo powrócił Marcin i spojrzał z ukosa na swój skarb ukryty i widział miejsce czyste zabelone i niczego się nie domyślił.

Odtąd Zośka niecnota poczęła się mizdrzyć do Marcina, bo już miała pieniądze, lecz nie wiedziała jak sobie z niemi począć by jej nie odebrali i jeszcze za kradzież nie ukarali. Czekała więc cierpliwie i nikomu nie o tem nie rzekła. Aż tu po niejakiem czasie chce Marcin nowy transport skradzionych i nachowanych pieniędzy dodać do dawnych i kiedy wszyscy wyszli z domu do roboty w pole a pan gdzieś w sąsiedztwo wyjechał, wyjął znowu też cegłę, a kiedy ujrzał miejsce próżne a w niem ni worka ni pieniędzy, zaryczał jak niedźwiedź z boleści i padł jak długi na ziemię.

Gdy ludzie pod wieczór z pola powrócili i weszli do kuchni na wieczerzę, ujrzeli tam Marcina omdlałego na ziemi. Poczęli go cucić i wodą zlewać, aż Marcin otworzył oczy, ale kiedy ujrzał tylko próżną dziurę, zaryczał znowu jak zwierz dziki, porwał się jak wściekły i wybiegł za obejście dworskie i gonił a gonił, a taki był straszny, a tak był okropnie, że ludzie we wsi zdaleka odeń uciekali wołając: latawiec! latawiec!

Pod wieczór kiedy mu wiatr chłodny mózgownicę ostudził, powrócił do domu, zbladł i zsiniał ze złości i żalu, oczy mu wgląd zapadły, a nawet nie śmiał nikomu prawdy wyjawić, że mu nakradziony skarb złodzieje wykradli i zmyślać musiał różne dziwy. Lito ali się jednak nad nim; choć go wszyscy nienawidzili, a stare baby powtarzały, że to za jakieś dawniejsze grzechy zseła Bóg teraz kary.

Tylko Zośka ze wszystkich się śmiała i swoje knuła. — Minał już czas dość długi, a Marcinowi nie zapomnieć o swoim skarbie, nie mógł ni jeść, ni pracować, włóczył się jak cień po wrózkach i wróżbitach, i co jeszcze miał to i to na nich wytracił, a nikt mu o skarbie nic nie powiedział.

I znowu tak się stało razu jednego, że nie było nikogo w domu. Siedział Marcin podparty w kuchni i przemyślał jakby to najprędzej dojść do drugiego takiego skarbu, wtem Zośka co to dawnym zwyczajem przeciągała się leniwo na przypiecku, poczęła umyślnie silnie chrapać, jakby ją mara jaka dusiła. Obudził się Marcin ze swojej zadumki, począł wymyślać Zośkę i już się brał do kija, by ją tego zokładać, kiedy w tej chwili Zośka rzuca się przed nim na kolana i nuż ręce przed nim składać, a błagać, by jej pożyczył pieniędzy na stawkę, gdyż właśnie w tej chwili miała sen dobry, że się jej nieboszczka matka ukazała i zlitowała się nad jej niedolą i powiedziała trzy numera, które z pewnością tego ciągnienia wyjdą na loterji. Zaiskrzyły się Marciniowi oczy z radości i nuż w targ z Zośką o numera, lecz ta mu rzekła, że jej matka zabroniła, by nikomu nie wyjawiała przed ciągnieniem, bo nie wyjdą, a kiedy jeszcze obiecała że mu nietylko stawkę powróci, ale i połowę się z nim podzieli, dał jej Marcin pieniądze na stawkę a Zośka jak oparzona pobiegła do miasta. W dzień przed ciągnieniem wydobyła worek zakopany z grzędy, schowała go dobrze przy sobie i znowu poszła do miasta. Tam u żydów faktorów wymieniła je na inne pieniądze, a to dla tego, by Marcin przypadkiem swoich nie poznał. Biegnie teraz do dworu ze sporą jeszcze sumą i woła na wszystkich, że już panią bogatą, że wygrała wiele pieniędzy i złożyła takowe u pana swego, by jej kto nie ukradł. Od tego czasu chłopcy się koło Zośki gracko zwijali gdy poczuli, że ma pieniądze i każdy ją chciał wiaść za żonę, lecz Marcin także nie zasypiał gruszek w popiele, boć poznał, że Zośka niegłupia, ma dobre sny i sporo pieniędzy. Otóż jak jej zaczął przedstawiać, że za chłopem źle jej będzie, że ciężko pracować musi i pieniądze straci, wymógł na niej, czego ona już od dawna sama chciała, że przyrzekła być jego żoną. Poszli tedy oboje do pana, wołę mu swoją wyjawili, pan pozwolił i pobłogosławił

i do trzech tygodni była Zośka żoną Marcina. Teraz to we dwoje poczeli okpiwać i oszukiwać pana swego dobrego, jak długo co jeszcze było, a kiedy widzieli, że pan ich już schodzi na dziada, wynieśli się oboje do miasta, bo tam łatwiej z pieniędzy szachrować i nie tak ciężko pracować potrzeba.

Tu przebrał Marcin Zośkę swoją w suknie jedwabne i drogie pierścienie jej kupił, sam się przebrał w surduty pańskim krojem robione i futra drogie a nad niczem nie przysmyślał, tylko aby to znowu wygrać na loterji i żeby to się znowu wkręcić do jakiego bogatego hrabiego za kucharza, którego by też można dobrze podoić jak sam do siebie mówił. Obiecał żydom faktorom hojnie zapłacić, by mu takiego pana nastreczyli, i niedługo dostał się do starego hrabiego, bardzo majątnego wdowca, a że umiał wyłudzić od dawnego pana swego bardzo dobre świadectwo, i udawał nabożniasia, zamydlił oczy staremu hrabiemu, że mu ten wkrótce powierzył rachunki i całe swoje gospodarstwo. Marcin wypłacał drugim sługom strawne i zasługi, przyjmował i oddalał ze służby, i na kuchnię sam wszystko kupował, kiedy pan gdzie wyjechał, wtedy Marcin gospodarował całym domem a tak się tego w rachunkach pilnował, że choć kradł i obdzierał pana i sługi na wszystkie strony, nikt go podejść nie mógł.

Nie dosyć mu na tem, ale i w loterję grał zapamiętale. Zośka lekkoduch, aby nie pracować, ciągle się wylęgała na pierzynach i poduszkach w łóżku politerowanym i mówiła, iż to robi jeno z namysłu aby miała czas i sposobność wysnąć znowu numera na loterję.

Marcin jej też tego spania nie wzbraniał i owszem do łóżka ją napędzał, i tam jej jeść przynosił, i czuwał by jej kto snu nie przerwał, a kiedy się rano oboje przebudzili, miasto Boga pochwalić i podziękować za szczęśliwie noc przespaną, Marcin tylko pytał Zośkę jakie się jej numera przyśniły. Opowiadała mu Zośka sny, niestworzone rzeczy, bo przy naładowanym żołądku nawet i sny głowy się nie czepiają a Marcin zaraz do senników, których sobie pełno był nakupił, i z nich tylko co rana się modlił, numera ze snów układał, i czem prędzej spieszył do kościoła i tłukł przed obrazem cudownym o ziemię czołem, że aż kamienie pękały a mełł gębą pacierze,

że się aż czupryna trzęsła a tylko o to pana Boga prosił, by terno wygrał. A że to taka modlitwa Bogu nieprzyjemna, to też i Marcin nie wyflukł czołem z kamienia żadnego terna, ba nawet nigdy a mba nie wygrał, bo Bóg się zachłannym brzydzi, a sny ci nie nie pomogą jeżeli ci Bóg nie poszczęści, bo stara to przypowieść ale prawdziwa:

„*Sen mara, Bóg wiara.*“

Jak długo Marcin spokojnie siedział i oszukiwał pana swego, jakoś mu to uchodziło, ale kiedy się zaczął pieniać, na loteryję ogromną moc pieniędzy wydawać, dotego więcej swoich procesów niż służby pilnować, poznał się pan na ptaszku i dowiedział, zkąd on nato bierze pieniędzy, a że nie chciał mieć w domu oszusta, proceśnika i loternika, ze służby go napędził. Pobiegł Marcin do pismaków i nuż procesować pana za różne niesłuszne pretensye. Proces trwał długo, bo nieuczciwy pisarz ludził ciągle Marcina i zabierał od niego dużo pieniędzy, Marcin bez służby przeszło dwa lata chodził tylko za procesem i za loteryją, i tak w krótcie źle nabyty majątek utracił, że niebyło już co na loteryję postawić. Rozpacz go opanowała. Zośka go już dawno porzuciła i powlokła się za jakimś dworakiem na wstyd i ohydę, byle tylko niepracować. Wtém utrapieniu biegnie Marcin dawnym zwyczajem do kościoła, klęka przed cudownym obrazem, który już tyle razy sprośnością swą obraził, gdyż więcej do sztuczek czartowskich się udawał niż do Boga. Otoż mu teraz diabeł podszeptał, by zdjął srebrne wota z obrazu Matki Boskiej, co je ludzie za różne łaski i dobrodziejstwa ofiarowali, przemienił to ze złodziejami na pieniądze postawił na loteryję i pisarzowi pokątnemu gardło zatkał, by procesował pana. Zrobił to nieuczciwy Marcin. Połowę wziął pisarz pokątny a drugą połowę przegrał na loterji. Odtąd już się cienia swego lękał, a gdy się wkrótcie dowiedział że nań mają podejrzenie, jakoby nie kto inny, tylko on obraz okradł i już za nim szukają, uciekł nocą z miasta i gonił jak utrapieniec sam nie wiedząc dokąd. Wszędzie go mara zbrodni trapiła i nigdzie nieczuł się bezpiecznym, aż wygłodniały zakradł się nocą do cudzej komory, lecz nie wiele tam znalazł bo gospodarz, ubogi na przednowku nie w niej miał prócz podartej opończy. Ta najbardziej przydała się Marciniowi, boć koniecznie mu było

przebrać się, gdyż już za nim wszędzie szukali i listy rozpisali. Przebrał się Marcin w tę opończę, zapuścił brodę i nuż dalej po żebrach, ale iż był zdrów i nie stary, rzadko wyzebrał litości u ludzi. Tak przebył Marcin w największej nędzy rok cały a mara zbrodni i strach przed karą nigdy go nieopuszczały, a że to mu nigdy niebrakło głowy do wykretów otóż i teraz począł udawać głuchego i niemego, by u ludzi więcej wyludzić jałmużny.

Tak stoi pewnego razu przed kościołem, w obcym jakimś mieście, i nuż bełkotać, niemego udawać, aż tu nadechodzi jakiś człowiek, który nie tak łatwo dał się lada komu okpić i zaraz mu wpadł Marcin w podejrzenie. Wziął się tedy do niego na sztukę, dał mu sporą jałmużnę z bardzo litościwą miną i ubolewał na biednym kalcką. Nabral nasz Marcin do niego więcej otuchy, w myśli że od głupiego da się jeszcze więcej wyńcieć i począł okropnie bełkotać i na uszy pokazywać, że głuchy, a ów człowiek dolożył mu jeszcze jałmużny i z litościwą miną spytał:

— Czy wy dziadku niebogo od urodzenia głuchy i niemy czy może od jakiego przypadku?

Zapomniał nieborak Marcin że głusi nie słyszą a niemi nie mówią i prędko odrzekł:

— „Oj! Panie dobry! już będzie rok temu jak jestem niemym i głuchym.“

Natychmiast ujął go ów człowiek i odstawił do magistratu, gdzie Marcin znowu eniemiał i ogłuchł, aż mu musieli kijem rozwiązać na nowo i słuch i język i pod kijem już słyszał wszystkie zapytania sędziego, i wyspiewał gracko, z kądem, co za jeden i jak się zowie. Natychmiast poznali w nim ptaszka, za którym już mieli pisanie i od roku za nim szukali, lecz niemogli poznać by taki frant ukrywał się pod suknią ubogiego żebraka kaleki. Odstawili go natychmiast do sądu, gdzie Marcina za świętokradztwo na długie skazali więzienie, w którym dotychczas siedzi, i w kajdanach o chlebie i wodzie ciężką za swą zbrodnię odbywa pokutę.

A nieszczęścia tego przyczyną była zachłanność pieniędzy, gra w loteryję niepohamowana i procesa niesłuszne.

Bezdzietni

I.

Był sobie dziad i baba
Od dawien-dawna w gaju ponad stawem
Ustronnie w futorku mieszkali,
 Jak dziątek dwoje
 Wszędzie oboje.

W dzieciństwie razem jagnięta pasali,
A potem pobrali się,
Dobytku doczekali się:
Kupili futor, staw i młyn
Ogródek w gaju założyli
Pasiekę sporą zgromadzili —
Wszystkiego mieli w bród,
Lecz Bóg nie obdarzył dziatkami,
A tutaj śmierć śmierć za plecami.

Któż na starość ich przygarnie,
Pocieszy, usłuży?
Kto zapłacze, kto pochowa?
Kto wspomni o duszy?
Kto poczciwie odziedziczy dobro przysporzone?
Kto ich wspomni słowem wdzięcznem
Jak dziecko rodzone? —
Ciężko dzieci pielęgnować w ubożuchnych chatach,
Ale stokroć gorzej starzeć w bogatych komnatach —
Starzeć, starzeć i umierać
I porzucać mienie
Ludziom obcym, obcym dzieciom
Na śmiech i strwonienie.

T ar. Szew. H. L. S.

Starożytne monety.

Często się zdarza, że rolnicy przy oraniu ziemi znachodzą dawne monety (pieniążki) lub inne podobne starożytności. Pochodzą one zwykle z dawnych czasów, gdzie to nasza kraina najeżdżaną przez nieprzyjaciół kraju: Tatarów, Turków, Wołochów, Szwedów i Moskalów. Wtedy to nie jeden zamożny człowiek obawiając się wroga, chował przed nim w ziemię, co tylko miał kosztownego. Gdy został przy życiu, to

wydobył swój skarb zakopany; jeżeli zginął, to skarb pozostał w ziemi na zawsze. Najazdy wrogów na Ruś i Polskę, były bardzo częste i niszczące: palili oni i niszczyli wsie i miasta, a ludzi mordowali albo pędzili w jassyr (w niewolę); to też znajdują się w ziemi dotychczas skarby, o jakich nikt jeszcze niezamarzył. I cóż się dzieje, gdy kto takowe znajdzie? Oto idzie do żyda i sprzedaje ukradkiem, myśląc że mu ktoś odbierze. — Wydane w tej mierze rozporządzenie rządowe wyrażnie orzeka, że znalazca dawnych monet lub innych starożytnych rzeczy jest ich właścicielem; obowiązany jednak donieść o tem władzy, która rozpatrzy, czy nie ma jakiej szczególnej osobliwości, wartej przechowania w muzeach (zbiorach) narodowych. Gdy opatrzy takowe, to bierze sztukę albo dwie i to często za wynagrodzeniem, a resztę oddaje znalazcy jako właścicielowi.

Pamiętajcież kochani czytelnicy, nie marnować takich starożytnych rzeczy, gdy się wam takowe wyorać albo wykopać zdarzy, nieraz znalezione zardzewiały szeląg ma znakomitą wartość, a wy zbywacie go żydowi za krajcar albo za darmo.



Figura 1.

Przedstawiam wam tu narysowane dwie monety, jakie przed kilku laty znaleziono nad Dniestrem. Pierwsza pod Fig. 1 jest moneta turecka oddana rysunkiem z obu stron, a druga Fig. 2. moneta litewska. Obie są miedziane, mocno zardzewiałe i ktośby myślał, że bez wszelkiej wartości; a przecie znalazca dostał za nie od pownego pana jako znawcy 1 złr. Ostatnia jakkolwiek nieforemna, jest wielkiej cenneści, bo rzadka a raczej nieznaną.



Figura 2.

Niemniej byłoby chwalebne, gdybyście kochani ziomkowie nabyli zamiłowania, takie starożytne monety szanując je od zagłady, zachowywać po sztuce jako osobliwość. Nasi pobratymcy Serbowie mają każdy po kilka i kilkanaście sztuk monet jako pamiątkę czasów minionych, których nie pozbyliby za żadną cenę. — A jak u nas? Krocie tysięcy znaleziono już rozmaitych monet; a czy jest jedna przechowana we wsi? Wszystko przetopili poczciwi żydkowie.

Znalazłszy większą ilość pieniędzy, wybierz sobie bracie kilka sztuk na pamiątkę, a resztę sprzedaj świadomie, aby cię nikt nie oszukał, przyczem westchnij do Boga za spokój duszy tego, do kogo one kiedyś należały.

Y...

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

Gospodarstwo w trzy pola a w sześć pól.

Nie łatwo gdzie znajdzie ziemię tak urodzajną jak nasza polska ziemia, nasze role nad Wisłą, Dniestrem, nasz czarnoziem na Podolu i Pokuciu sławne daleko i szeroko po całym świecie. A przecież Niemcy na swoich piaskach mają pszenicę plenną i gęstą jak las, a żyto rosłe, że się weń człowiek schowa, mleczne krowy, silne konie, a obejścia tak schludne i porządne, że u nas to nieraz i dziedzie takich niema. — Może się zapytacie dlaczego u nas gorzej jak u Niemców, odpowiedź nie-trudna. Za granicą chłop od rana do nocy zapobiega, pracuje, stara się, dopytuje, jakby tu poprawić swoje gospodarstwo i czyta książki, co to piszą o tem jak rolę sprawić, to też ma ładny urodzaj i piękne bydło, a nieraz w skrzyni po kilkaset albo kilka tysięcy talarów. — A u nas pozał się Bogu! Niech tylko Pan Bóg da urodzaj na ziemniaki, a już trudno dostać robotnika, każdy woli wysypiać się na przypiecku, albo jeździć po targach i jarmarkach, jak wyjść za zarobkiem. O tem, żeby poprawić i udoskonalić gospodarstwo, to już chyba nikt nie myśli. — „Mój dziad i mój ojciec tak gospodarowali, a dobrze im było i głodu nie zaznali to i ja nie chcę nowości zaprowadzać,“ tak odpowiadają nasi gospodarze, kiedy im kto radzi, żeby zaczęli inaczej ziemię uprawiać. Zapominają o tem, że przed stu albo pięćdziesięciu laty ledwie w połowie tyle ludzi było jak dziś, że dlatego koło tej ziemi dziś dwa razy tak pilnie chodzić trzeba jak dawniej, aby wszystkich wyżywiła i okryła, aby nikt nie cierpiał głodu i chłodu.

Niemcy więcej pracują i lepiej rolę uprawiają, to też lepsze mają urodzaje, choć gorszą ziemię. — Byłem ci ja między Niemcami i przypatrzyłem się ich gospodarstwu, a teraz was panowie gospodarze proszę, byście mnie posłuchali,

może się wam spodoba co napiszę i co poradzę Daj Boże aby pisanie moje wyszło wam na pożytek i pomnożyło wasz majątek.

Dotychczas wszyscy prawie gospodarze dzielili grunt swój na trzy części. Na jednej siali oziminę, na drugiej jarzynę, a na trzeciej w połowie groch w połowie zostawiali ją ugor. Gospodarstwo takie nazywano trzypolowem, albo poprostu trzypółwką. Dajmy nato, że gospodarz miał sześć morgów roli, w takim razie dwa morgi zasiewał żytem albo pszenicą (oziminą), dwa morgi jęczmieniem albo owsem (jarzyną), jeden morg szedł pod groch, a jeden leżał ugor. Na drugi rok tam gdzie był groch i ugor przychodziła ozimina, gdzie ozimina siała jarzynę, wreszcie te dwa morgi gdzie była jarzyna dzielił na dwie części, na jednym morgu siał groch, drugi leżał ugor. Po trzech latach ozimina, jarzyna i ugor, a w połowie groch wracały na te same pola.

Odmiana płodów w gospodarstwie trzypolowem czyli plodozmian w trzy polowe jest więc następujący.

	1e pole 2 morgi		2e pole 2 morgi		3e pole 2 morgi	
1y rok	ozimina		jarzyna		1 morg ugor	1 morg groch
2i rok	jarzyna		1 morg ugor	1 morg groch	ozimina	
3ci rok	1 morg ugor	1 morg groch	ozimina		jarzyna	

w czwartym roku, jak już mówiłem, ozimina wraca na pierwsze pole, jarzyna na drugie, groch i ugor na trzecie.

Pan Bóg tak to w naturze urządził, że każda roślina inne z ziemi wyciąga soki, które potrzebne są do jej wzrostu i do wydania ziarna.

Jak koń nie będzie jadł mięsa, a pies owsa choćby im przyszło z głodu zdechnąć, tak samo też zboże szuka w ziemi innych soków, jak ziemniaki, albo rzepak, albo koniczyna. Każdy gospodarz wie o tem bardzo dobrze, że gdyby chciał na kawałku roli ciągle jedno i to samo zboże n. p. pszenicę

zasiewać, to mu się po kilku latach przestanie rodzić. Pochodzi to stąd, że zasiewy w pierwszych latach wyciągnęły z ziemi wszystkie soki potrzebne do wzrostu pszenicy — W ostatnim roku ziarno pszeniczne nie znajduje w roli nic lub bardzo mało potrzebnych dla niego soków, pszenica nie ma pożywienia i musi ginąć. — Gospodarz pewien w Anglii przekonał się o tem naocznie. Siał on na próbę przez 16 lat na tym samym kawałku roli rok w rok żyto. Plon był coraz mniejszy, aż wreszcie w ostatnim roku nasienie prawie nie zeszło, a to dla tego bo rola nie miała już soków, któreby mogły dać pokarm żytu. W gospodarstwie trzypolowem następuje po ozimocie jarzyna. Oba rodzaje zboża biorą z roli prawie te same soki. Wprawdzie w trzecim roku, kiedy pole w połowie ugorem leży, a w połowie pod grochem, zbierają się w roli soki potrzebne do wyżywienia następującej oziminy, a później jarzyny, ale każdy to pojmie, że w jednym roku nie może się tyle zbierać, by wystarczyło na następujące dwa lata. — Kto rok zbiera, a dwa lata wydaje, prędzej czy później musi zubożeć. Tak samo dzieje się z rolą. — Gdzie przy trzypolnym gospodarstwie jest wiele łąk i pastwisk, tam jeszcze prędzej dobrego urodzaju spodziewać się można. Bydło ma się czem żywić, daje dużo gnoju, a tym gnojem nawożą się znowu pola, i tym sposobem oddaje się roli, choć w części to, co z niej zabrały poprzednie żniwa. Dziś jednak nie tak łatwo o te łąki i pastwiska. Ludność o wiele się pomnożyła, to też nie jedną łąkę i nie jedno pastwisko zorano i zasiano, aby ludzie mieli z czego żyć i nie zaznali głodu. Zaledwie że zostało siana tyle, by w zimie koniom potrząść. Bydło żre samą słomę. Z tej lichej paszy koło wiosny bydło ledwie, że się na nogach trzyma, a gnoju także nie wiele się urobi. Gdzie gnoju mało tam urodzaj ladajaki, o tem wie każdy gospodarz. — W gospodarstwie trzypolowem mamy więc dwie główne wady. Najpierw często powtarzająca się uprawa roślin kłosowych wyczerpuje siły roli tak, że takowa w końcu musi zubożeć. — Dalej gospodarstwo trzypolowe potrzebuje koniecznie łąk. Jeśli nie ma łąk to nie można przy tem gospodarstwie bydła wyżywić, nie można należyście roli wygnoić. Ze gospodarstwo z lichem bydłem i bez gnoju nic nie warte, to każdy zrozumie. Uprawa konieczny i

zaprowadzenie zamiast dotychczasowego gospodarstwa w trzy pola, gospodarstwa wielopolowego usunęło te niedostatki. Rola nie tak łatwo ubożeje, bo raz uprawiana roślina wraca na to samo pole dopiero po kilku latach. Koniczyna dostarcza pod dostatkiem paszy dla bydła, a tem samym gnoju. Wróćmy do danego raz już przykładu. Gospodarz ma 6 morgów. Te 6 morgów podzielił on w trzy pola i uprawiał na pierwszym polu (2 morgi) oziminę, na drugim (2 morgi) jarzynę, na trzecim (2 morgi) w połowie groch i w połowie ugór, teraz zaprowadza on wielopolowe gospodarstwo, dzieli każde z tych trzech pól na dwa pola, dostaje więc 6 pól każde po morgu,

dawniej było	1e pole 2 morgi		2e pole 2 morgi		3e pole 2 morgi	
	ozimina		jarzyna		groch	ugor
po podziale będzie.	1 pole 1 morg	2 pole 1 morg	3 pole 1 morg	4 pole 1 morg	5 pole 1 morg	6 pole 1 morg
rok 1y	jarzyna i kartofle	groch	ugor	koni- czyna	ozimina	ozimina z koni- czyną
rok 2i	groch	ozimina z koni- czyną	ozimina	koni- czynny ugor	jarzyna i kartofle	koni- czyna
rok 3i	ozimina z koni- czyną	koni- czyna	jarzyna i kartofle	ozimina	groch	koni- czynny ugor
rok 4y	koni- czyna	koni- czynny ugor	groch	jarzyna i kartofle	ozimina z koni- czyną	ozimina
rok 5y	koni- czynny ugor	ozimina	ozimina z koni- czyną	groch	koni- czyna	jarzyna i kartofle
rok 6y	ozimina	jarzyna i kartofle	koni- czyna	ozimina z koni- czyną	koni- czynny ugor	groch
w roku 7 jak w 1szym	jarzyna i kartofle	groch	koni- czynny ugor	koni- czyna	ozimina	ozimina z koni- czyną

tylko że w roku siódmym będzie już po zeszłorocznej koniczynie na 3ciem polu koniczynny ugór, a nie czysty ugór jak

w roku 1 — w roku 8 jest znowu tak samo, jak w roku 2gim, w 9 jak w 3 i tak dalej. —

Gnój wywozić należy w październiku w pole, gdzie ma być groch, a w ugor koniczynny zaraz po ukończeniu zasiewów wiosennych — przytem zważać należy, by gnój nie leżał w kupkach na polu, ale żeby go zaraz rozrzuciono. —

Że takie gospodarstwo w sześć pól daleko lepsze jak dawne, na to zdaje mi się każdy się zgodzi. — Co roku jest trzy pól obsianych koniczyną. Na przykład w roku 3cim (patrz tabelkę) jest na polu 1 koniczyna podsiana pod oziminę. Po sprzętnieniu teje z końcem lipca rośnie ona prędko i daje jeden pokos doskonałego siana, — na polu 2 (rok 3ci) mamy koniczynę w zeszłym roku sianą pod oziminę, ta daje dwa pokosy siana; na polu 6 wreszcie koniczynę trzyletnią, która do połowy czerwca daje doskonale pastwisko dla bydła. Raz więc zasiana koniczyna trwa trzy lata, w pierwszych dwóch latach daje nam trzy pokosy, w trzecim pastwisko. Ta wielka ilość paszy daje znowu wielu gnoju. „Kto smaruje ten jedzie“ mówi dawne przysłowie. Czem smarowidło dla wozu, tem jest gnój dla roli. Kto dobrze rolę nawiezie, będzie miał dobry urodzaj. — Oprócz tego gospodarstwo sześciopolowe tę ma jeszcze zaletę, że w nim na sześć lat trzy razy na tę samą rolę przypada zboże ozime lub jare, kiedy w trzypolowem na trzy lata dwa razy sieje się ozimina i jarzyny na tem samem polu — to też pierwszy sposób gospodarstwa (w sześć pól) mniej rolę niszczy i zuboża jak drugi. W drugim numerze napiszę o sposobach jak uprawiają koniczynę. A. R.

Rozmaitości.

— Kto rano wstaje, temu P. Bóg daje. Słyszał to Macióś sierota, którego rodzice ra cholerę odumarli, a jako był chłopiec pobozny lecz nie bardzo domysłny, więc począł rano wstawać i chodzić za wieś pod Bożą mękę.

Tam stawał i patrzył w Jezusa ukrzyżowanego czekając, żeby mu co dał ten obraz Boga Syna.

A było mu wiele potrzeba, gdyż nie raz Macióś głodny spać chodził, więc też jeszcze głodniejszy rano wstawał. na nogach już od spozimku nie miał obuwia, a odzież kawatami z niego spadywała. Najgorzej zaś było z bielizną, czyli z koszulą bo tej dawno już mu nikt nie prał. Sierotą zwykle mało kto się zajmuje, a Macióś był u całej wsi na utrzy-

maniu, chodził po kolei jeść co dzień do kogo innego we wsi.

Dzień po dniu, a było to w maju wstawał Macioś rano, chodził pod Bożą mękę i czekał, żeby mu tam Bóg co dał. Daremnie! Macioś stał i patrzył na ukrzyżowanego, a wizerunek ani się ruszył, ani spojrział na niego.

Chłopiec przecież nie ustawał w swoim.

Z czasem jednakże począł z górki na której Boża męka stała, rozpatrywać się w koło i widział rozmaite ptastwo leśne kąpiące się w jezioru pod borem. Wzięła go chętka zrobić to samo, więc poszedł i wykapał, wymył się często, a dostrzegłszy, że koszula brudna, wziął ją we wodę i wyprał jak mógł, co od tąd już co dzień powtarza.

I stało się po niedługim czasie tak, że Macioś wstawając zawsze bardzo rano, przychodził pod Bożą mękę, tam klękał, zmówiwszy pacierz poczekał i popatrywał trochę, czy nie dostrzeże czego, potem chodził wprost do jeziora, gdzie się mył, kąpał i opierał co dzień.

We wsi nikt na sierotę nie zważał, ale natomiast w lesie. Mieszkał tam stary żołnierz, który jeszcze za pana Tadeusza Kościuszki wojował, a teraz był leśniczym i mieszkał w bliskości owego jeziora za drzewami. Nazywali go starym Maciejem.

Stary Maciej wstawał także bardzo rano i mawiał również: kto rano wstaje, temu P. Bóg daje, ale tego datku Bożego nie wyczekał pod Bożą mękę, tylko chodził około bydła, gospodarstwa, pszczelnika, ogródka, a potem albo po lesie chodził i ptastwu się przysłuchiwał, albo siadywał

przed domem i patrzył na jezioro i modlił się i myślał o dawnych czasach, o wojenkach i o swojej młodości.

I tak się stało, że stary Maciej spostrzegł Maciosia sierotę.

Zaciekawiony staruszek poszedł raz bliżej, a kiedy chłopiec właśnie był koszulę sobie przesuszył i wziął na siebie, przystąpił do niego i rzekł:

— Zkąd ty jesteś, chłopcze?

— Ze wsi tam! odpowiedział.

— Jak ci imię?

— Macioś Sierota!

— Czemu ty tak rano wstajesz?

— Bo ja chodzę rano do P. Boga tam pod Bożą mękę, żeby mi co dał za to ranne wstawanie, ale jeszcze nigdy nic nie dostał.

— A kto cię nauczył kąpać się tu i prać koszulę?

— To ja sam, bom widział, że się tu ptaki z lasu kąpać przychodzą.

— Pójdź ze mną, Maciosiu! Ja też wstaję rano, a P. Bóg mi za to daje istotnie, dziś dał mi ciebie, i kazał mi, żebym ci dał to i owo.

Poszedł Macioś zadziwiony, zjadł posilne śniadanie razem ze starym Maciejem, dostał czystą koszulę i całą odzież i już do wsi nie wrócił. Stary Maciej wziął go za swoje dziecko i wychowywał starannie. Sam go uczył czytać i pisać, sam katechizmu przesłuchiwał, a później oddał go do miasta do szkoły. Wyrósł z Maciosia sieroty człowiek światły, pracowity i poczciwy, który dziś po śmierci Macieja jest w tem samym miejscu leśniczym i codzień rano wstaje i pod tę samą chodzi Bożą mękę, a często da mu Pan Bóg sposobność do zrobienia komu czego dobrego, jak to dał jego nieboszczkowi przybranemu ojcu.

— Niespodziany procent
 Jakiś prostoduszny chłopek z pod Zół-
 kwi złożył w lwowskiej kasie oszczęd-
 ności sto zł. reńskich. Z końcem
 roku zjawił się znowu z pięciu gul-
 denami, które w procencie za swoje
 sto chciał zapłacić kasie oszczędności.
 Gdy ich nie tylko nie przyjęto, ale
 przeciwnie jemu wypłacono z kasy
 pięć guldenów, o których mu się ani
 śniło, wyszedłszy z sali rzekł do
 czekającego nań w przedsiönku są-
 siada: „Co to za człowiek ten pan
 przy kasie; przez cały rok pilnował
 moich pieniędzy, i zapłacił mi jeszcze
 za to pięć reńskich. To jakiś poczciwy
 urzędnik!“

— Obchodzenie się z końmi.
 Przed niedawnym czasem na składzie
 drzewa przy dworcu kolei żelaznej,
 byliśmy świadkami ciekawego zda-
 rzenia, dowodzącego wysokiej zmysło-
 wości zwierząt, wywołanej łagodnem
 i rozsądnem obchodzeniem się z niemi.
 Ogromny wóz zaprzężony w parę do-
 brych koni, ładowano polanami drzewa
 opałowego. Po ułożeniu takowych
 furman wydał zwykły swój okrzyk
wio! zachęcający konie do pracy.
 Jednakże pomimo widocznych wysiłen,
 ruszyć z miejsca nie mogły. Wóz
 był przeladowany. Woznica zawsze

bez pomocy bata, którego nasi fur-
 mani tak często bezpotrzebnie uży-
 wają, głosem tylko ponowił swoje
 wezwanie; konie jeszcze raz sprobo-
 wały ruszyć, ale i to wysilenie ich
 było bezkuteczne; wóz stał na miejscu
 jak przykutny. Dalsze wołania woźnicy
 na nie się już nie przydały, bo ko-
 nie stały jak najspokojniej, oglądając
 się tylko każdy ze swej strony na
 wóz, ale nie próbując go nawet po-
 ciągnąć. Po krótkiej naradzie z ro-
 botnikami, woźnica z ich pomocą
 ujął z woza część ładunku. Oba ko-
 nie ciągle z widocznem zajęciem o-
 glądały się po za siebie, a widząc
 że im ładunku ulżono, na pierwsze
 wezwanie swego przewodnika, ruszyły
 z miejsca i pociągnęły ciężar w głąb
 miasta.

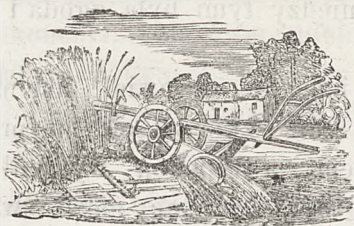
Z tego faktu można się przekonać,
 do czego to prowadzi dobre obcho-
 dzenie się z pracującym zwierzęciem,
 które rozumnie prowadzone, umie
 niemal powiedzieć swemu przewodni-
 kowi, kiedy praca, jaką nań nałożono,
 przechodzi jego siły. Potępienia go-
 dne są w takim razie wszelkie sma-
 gania biczem, albo co gorsza drągiem,
 co nie tylko znarowi zwierzęta na
 zawsze, ale nabawi je jakiego defektu.

Złote ziarna.

Kto w Bogu ufa, i Boga miłuje,
 Na dobrym gruncie, szczęście swe gruntuje.

Kto dla ubogich ma serce wylane
 I wspiera biednych, temu Bóg udzielił,
 Temu prawdziwe szczęście zachowane,
 I ten na wieki będzie się weselił.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Lepsza słomiana zgoda niż złoty proces.

We wsi Zbudowie żyli od lat wielu dwaj sąsiedzi, Szymon i Antoni w zgodzie i przyjaźni. Najmniejsza kłótnia nie zamąciła ich spokoju. Daleko i szeroko i ze świecą nie znalazłbyś ponoś podobnej sąsiedniej zgody i miłości jak między nimi. Boć to u bliskich sąsiadów, choć już nie z złego serca, lecz z samej ułomności ludzkiej zachodzą kiedy niekiedy poswary i gniewy o lada jakie głupstwo. Ale między Szymonem a Antonim, choć to chaty ich i stodoły przypierały do siebie a ogrody ich i grunta dzieliła tylko wążuteńka miedza, nigdy nie było kłótni i gniewu żadnego. Nastala wiosna i robota w polu, wychodzili razem Szymon i Antoni, każdy na swoją rolę, a nigdy nie przeorał jeden drugiemu miedzy. A jeżeli Szymon dokończył orki, a Antoni mozolił się jeszcze nad swoją, prznosił Szymon pług na rolę Antoniego i pomagał mu, by też nazajutrz razem wyjść mogli z ziarnem i razem zasiać, a kiedy przyjdzie żniwo razem zbierać i razem tlokę sprawiać. Gdy się udało Antoniemu lepsze ziarno lub kartofle, to udzielał ich Szymonowi do zasiewu i sadzenia. Zachorowała Szymonowa, to już na krok nie odstępowała jej Antoniowa i rządziła podtenczas w domu Szymonowej jak we własnym. A nadeszły święta, to jedna bez porady drugiej ani nie upiekła ani nie zgotowała, a najczęściej razem

wypiekały paski i baby wielkanocne. Mieli zaś ci sąsiedzi po jednemu synu, a i między tymi była zgoda i miłość jak między ich ojcami

Szymon razu jednego sprawiał imieniny i zaprosił na nie wielu gości. Kumoszki wesołe wyprawiały rozmowy to o tem to o owem, a Szymon wyszedł z Antonim ręką w rękę z chałupy, by odetchnąć nieco świeżem powietrzem. Wyszli na podwórze i oglądali snopki w stodole i siano w brogu i krówki w oborze i koniki w stajni, a dalej owoce w sadzie. Szymon strąca kijem to gruszkę to jabłko, a dzieciaki, co to krok w krok łażą za ojcami, poskoczą i podadzą Antoniemu i o sobie nie zapominają. Antoni choć je nieraz już jadł, tę przecie z życzliwości dla lubego sąsiada kosztował a chwalił, by ucieszyć Szymona. Pomału z sadu wyszli na pole i nuż się naradzać może już po raz setny, jak to przyjdzie na przyszłą wiosnę zasiew zmienić, gdzie stała pszeniczka zasiać żyto, a na żytnisku jęczmień i t. d. Rozmawiając, usiedli sobie na miedzy boć się już chodzeniem po gradach nieco zmęczyli.

Słońce się już dobrze schyliło ku zachodowi i łagodnymi promieniami przyświecało tej miłości niebieskiej na ziemi.

— Oby nam Bóg dozwolił jeszcze długie lata cieszyć się razem w miłości i zgodzie i dożyć pociechy z dzieciak naszych, by naśladowały ojców swoich Bóg ich jak nas błogosławić będzie — zawołał Szymon; — a gdy domawiał słów tych, zdjął czapkę, co też i Antoni uczynił, a chłopaczki porzucili swe zabawki i nuż tulić się do swych ojców i przysłuchiwać się ich rozmowie

— Dałby Bóg i Matka cudowna — rzecze Antoni — aby ta nasza miłość i zgoda przeszła na dzieci nasze, a wtedy nie-żalby człeku umierać, boć kto żył z ludźmi dobrze na ziemi i miłował bliźnich a Boga się bał, tego czeka wieczna nagroda. Słuchaj synu! jak ci dzisiejszy dzień, dzień imienin Szymona, wiele sprawił radości i uciechy, tak ty uradujesz serce ojca twego, jeśli będziesz kochał bliźnich, żył w zgodzie z sąsiadami jak ojciec twój z Szymonem, a Bóg się w niebie radować będzie i zesze błogosławieństwo na ciebie.

— Kochajcie się dzieci, — zawołał rozrzewniony do łez Szymon, — kochajcie się, choć nas już nie stanie, jak bracia;

a Bóg odpuści ojcóm waszym winy i przyjmie ich do chwały swojej, boć dobry przykład zostawili synom swoim

Gdy te słowa kończył, rozległ się cudnie miły głos dzwonka wieczornego. Szymon i Antoni ukłękli na miedzy, a między nimi ich dziatki, złożyli ręce i odmawiali Anioł Pański.

II.

Franek idzie w rekruty.

Od tego czasu minęło w zgodzie i przyjaźni lat kilka jak biczem trzasł. Synowie Wawrzek i Franek podorastali i wyręczali ojców starych w pracy. Jednego poranku przyniósł woźny od mandatarjusza Niemca do Antoniego i Szymona rozkaz, aby swoich synów dostawili do mandatarjusza, a ten ich w rekruty powiezie do cyrkułu, bo nadszedł czas branki.

Szymon i Antoni posłuszni władzy sędziowskiej odstawili swoich synów, a choć przypominali, że jest jakieś prawo, które nie każe brać jedynaków w rekruty, zakrzyczał ich mandatarjusz.

-- A to wi neficie, sze teraz wojna, a wojna prawo ne ma, to ja, jak rozkaszę tak bedże, a wiszeie miszleli, sze ja sze wam na nie nie przidam. Pójdą w rekrut bo ja tak kaszę.

Gdy to mówił, śledził oczyma dobrze ruchy Szymona i Antoniego, którzy do siebie się zbliżyli i szepnął jeden drugiemu coś w ucho, a Niemczysko myślał, że się już naradzają, za wiele mają sobie kupić jego łaskę i miłosierdzie. Oni tymczasem zgodzili się na to między sobą, aby nie upierać się Niemcowi, lecz jechać z synami do cyrkułu i tam szukać prawa swego i dla swoich jedynaków.

Gdy się Niemczysko przekonał, że łapowego nie dostanie, postanowił zemścić się koniecznie.

Szymon i Antoni pojechali z synami do cyrkułu. Mandatarjusz zeskoczył z bryczki, pobiegł najpierw do izby, gdzie się odbywał asenterunek i szepnął coś doktorom i pochwalil się, że przywiózł tęgich chlopców i tych najpierw postawi. Wywołał tedy Wawrzka i Franka. Lecz nie udało mu się zemsta tylko w połowie, bo Wawrzek uciał sobie przypadkiem będąc jeszcze małym trzy palce u nogi siekierą, a doktorowie takiego w rekruty przyjąć nie mogli. Nie tak się stało z Fran-

kiem. — Ten był o wiele mniejszy i słabszy od Wawrzka, ale że miał wszystkie palce i zęby, więc poszedł w rekruty. Mało serce nie pękło Antoniemu, kiedy ujrzał jak Franka z pod miary posadzili na stolku i nuż mu strzydz włosy blisko głowy, wojskowym sposobem.

Szymon nie tyle się ucieszył uwolnieniem swego syna, jak bolał nad smutkiem Antoniego. Wyciągnął go prawie z kamienia z izby i pospieszyli czempredzej do starosty prosić o łaskę i prawo, lecz z wielkiem przerażeniem dowiedzieli się, że sarosta wyjechał gdzieś i dopiero za tydzień wróci, a tu dziś przysięga i transport rekrutów odchodzi. Prośli to tego to owego komisarza, by wglądął w ich prawo i dał im sprawiedliwość, lecz każdy Niemiec ich odprawił z niczem mówiąc.

— Do rekrutacyi jest komisya, a my nie poradzimy.

Wrócili i chcieli prosić komisyę, ale jak tu do niej przystąpić, kiedy to między tymi panami siedzi Niemczysko, a rozmawia, a uśmiecha się, a za ręce się ściska. Biednego chłopca tam nie przypuszczają, bo nie mają czasu dochodzić tam dzisiaj, kto ma prawo jakie, a kto go nie ma. Nim Szymon i Antoni wrócili, już Franek przysięgł na wierność cesarzowi.

— W Bożej mocy jest los i życie człowieka — zawolał stroskany Antoni. Jego opiece powierzam syna mego, jeżeli Jego wola, to mu i włos z głowy nie spadnie i Franek mój zdrowo do domu powróci. — Pożegnał się Antoni z Frankiem, wściubił mu mieszek z pieniędzmi co miał przy sobie, pobłogosławił na drogę i długo patrzył w tę stronę, kędy syna jego powieźli. Mało ócz łzawych nie wypatrzył i wrócił na pół żywy do zagrody swojej. We wrotach czekały Szymonowa z Antoniową powrotu synów, a gdy ujrzała Antoniowa, że jej kochany Franek nie wrócił, omdlała z boleści i ledwo się jej dotrzeźwili, znów mdlała i tak żałośliwie wołała Franka, że się aż serce krajało. Pocięszali ją Szymon i Szymonowa, lecz gdzie tam ją pocieszyć, kiedy w sercu rana, a na to nie mają ludzie lekarstwa. Bóg jeden tam tylko dopomódz może.

III.

Franek w obczyźnie.

Wojna wre długo, het gdzieś tam daleko. Dochodzą wieści, iż wiele ludzi ginie, bo wojna bardzo krwawa, a o Franku

najmniejszej wieści. Skończyło się wreszcie wszystko, i wracają i zdrowi i kaleki do swoich zagród. Dochodzą wieści i o tych co zginęli, a o Franku głucho i żadnej pociechy dla zbolełego serca. Rozchorowała się Antoniowa i pożegnała się z tym światem. Szymonowa gospodarzyła w zagrodzie Antoniego, bo żal i smutek po tylu stratach tak przygniótł Antoniego, że nie dbał już o nic na świecie. Niedługo poszedł i Antoni, aby spocząć po tylu smutkach i uzalić się przed Bogiem na ludzi niesprawiedliwych, a umierając na rękę Szymona prosił go, by dopilnował jego majątku i oddał go w całości Frankowi, jeżeli powróci.

Franek tymczasem pomалу przywykł do swoich nowych kamratów i przestał tęsknić za domem. Sprytny i niegłupi, dośłużył się podczas wojny kapralstwa i pochwał. To mu się bardzo podobało, a kiedy to po skończonej wojnie zakwaterowali Franka na załogę w jednym wielkim, bogatym mieście, co się zwie Hamburgiem, dobrze mu się tam działo. Tamtejsze Niemki dogadzały bardzo naszym Galicjanom, boć to podobały im się tegie chłopcy, dorodne a wesole. Franek też nie był ostatni, bo był chłopak ładny, a kiedy się pytali, który z nich chce powrócić do domu, mało kto chciał, a między tymi Franek nawet nie wspominał o biednym ojcu i matce. Tam to pogubił i pozapominał Franek wszystkie dobre przykłady jakie wyniósł z chaty ojca swego, hulał z Niemkami, pijaczył i grał w karty. Otóż to i nasz Franek zgrał się pewnego razu tak, że został bez grosza i jeszcze coś przegrał z tych pieniędzy, które on jako starszy miał dla drugich wojaków u siebie, a za to w wojsku wielka kara. W tym frasunku przypomniał sobie na ojca i posłał pisanie, by mu ojciec przysłał dużo pieniędzy, boć tu w wojsku wielka bieda i w cudzym kraju wiele ich potrzeba. Odebrał to pisanie Szymon i zaniósł je do proboszcza dla przeczytania i porady. Odpisał tedy ks. proboszcz do Franka, że ojciec i matka już w grobie, a dobytek czeka na niego, by więc co rychlej prosił o pozwolenie i przyjechał do domu i objął swoje gospodarstwo. Włożyli też do listu tyle pieniędzy, ile ich trzeba na podróż i odesłali.

Skoro się tylko Franek dowiedział, że już sam będzie panem w domu i nikt jego nawyczkom przeszkadzać nie będzie,

zaniósł to pisanie do komendy i natychmiast uwolnili go od wojska i pozwolili wrócić.

IV.

Powrót Franka.

Wybrał się Franek w drogę ale nie sam, tylko wojackim zwyczajem zabrał ze sobą jakąś dziewczkę włóczęgę, co to się żołnierza czepia i ciągnie się za nim jak smoła za butem bodaj i na wojnę, byle tylko nie pracować, dobrze jeść, pić i hulać, a takiej to już z żołnierzem najlepiej. Gdy oboje dojeżdżali do Zbudowiec, zostawił ją Franek w ka czmie i kazał jej czekać, dopóki po nią nie przyjedzie i nie zabierze do swojej zagrody.

Właśnie siedzieli Szymonowie przy wieczerzy, kiedy przyszedł Franek, a ci go od razu poznać nie mogli. Boć to już nie był ten sam Franek, dobry, poczciwy, skromny, ale jakiś butny junak ni do ludzi ni do Boga, co to ni ludzi ni miejsca nie uszanuje, a mówił takim jakimś pokręconym językiem, że go trudno było wyrozumi-ć. Wszedł do chaty w czapce, nie pozdrowił ludzi i nie pochwalił Boga, jak to dawniej bywało. Prośli go do wieczerzy, lecz on jadłem prostem pogardził, tylko kazał się prowadzić do zagrody własnej. Wstał Szymon i poprowadził go do chaty. Tam mu opowiedział, co to się stało za jego niebytności.

— Oto tu na tem łożu skonała matka wasza w smutku i żalobie po was, a nie ulżyliście jej żalu, nie daliście żadnej wiadomości o sobie. Smutek odtąd zasiadł w chacie ojca. Płatał się on po tej drugiej stracie jak cień, i jadło mu nie smakowało i robota się go nie brała, a ciągle wzdychał i wołał, i Boga prosił, byście jak najprędzej wrócili i staremu oczy przykneśli. Zabrał ci się w rok po śmierci matki z tego świata i nie doczekał się żadnej wiadomości od was. Tam dziś spoczywają obok siebie w chłodnej ziemi, co ich żal ugasiła i czekają, rychło też Franek ukłęknie nad ich mogilką, zapłacze i pomodli się do Boga za dusze dobrych rodziców.

— Dosycé mi już te szyćkie wasze gadania — ofuknął Franek — juźcik mi o tem pisali a lepiej no pokażcie mi szyćko i oddajcie, co ociec u was dla mnie zostawił i coście tu

za ten czas przygospodarowali. Niedużo tam prawie o śmierci, bo kto już umarł, ten nie nie potrzebuje.

Dwie duże jak groch łzy spłynęły po twarzy Szymona, tak go w serce ubodła ta nieczułość Franka, boć nie tak nie boli jak niewdzięczność syna ku dobrym rodzicom i przyjaciołom.

— Ha stało się! Boże świeć nad ich duszą — rzekł Szymon — i począł oprowadzać Franka po całym obejściu i wszystko mu oddawać, jak się należało. A wszystkiego było pełno i porządnie, jak gdyby tu nigdy gospodarza nie brakło. Franek nie nie mówił, tylko szwargotał pod nosem z niemiecka, coś jakby przekleństwa, a cmokał językiem, jakby ze wszystkiego był niekontent, a kiedy już wszystko obeszl, rzekł:

— Inaczej tu było przedtem, ani połowy nie ma tego co było. Widać dobrzeście się moim dobytkiem dzielili. Gdybym to tak później wrócił, tobym ponoś i gołych ścian nie zastał. No, no! już my się potem obrachujemy, co komu należy. Za waszą fatygę zapłacę, a swoje odbiorę. A teraz idźcie sobie, zkądeście przyszli i nieprzyprawadzajcie mię do gniewu waszą ucziwością bo was rozumu nauczę. — Zakrwawiło się serce Szymona na takie obelgi, żywiej przebiegła krew po starych żyłach, opuściła Szymona zwykła starym powolność i z oburzeniem zawołał:

— Toć ja na to przeżyłem lat tyle na świecie ucziwie i rzetelnie, by mi lżył na moje stare lata taki chłystek i ...

Nie dokończył słów swoich Szymon boć Franek jak nie wrzaśnie Kraic donnerwetter maszir! — porwał za barki starowinę i wytrącił za wrota.

Gdy się Franek pozbył najlepszego przyjaciela, drugiego ojca swego począł się sam rządzić w swojej zagrodzie. Najpierw sprowadził sobie gospodynią ową kochankę, co się z nim przywlewała, a którą to był w karczmie zostawił, i nuż hulać dobytkiem ojca, jak był nawykł przy wojsku.

Zagroda Franka stała się istną karczmą: kto chciał, tam przesiadywał, jadł, pił i grał w karty. Rozniosła się w krótkie ta gościnność Franka w okolicy, i nuż poczęli się ściągąć wszyscy urlopnicy i lekkoduchy Nańka jego kochanka, mizdrzyła się do urlopników i jeszcze pomagała trwonić dobytek Antoniego. Widział ci to wszystko Szymon, co się dzieje w zagro-

dzie Franka, upominał go, lecz ten mu jeszcze procesem groził. Szymon przecież lubił Franka i chciał go koniecznie sprowadzić na dobrą drogę. Poszedł więc do proboszcza i opowiedział mu wszystko. Ksiądz proboszcz posłał po wójta a ten przystawił Franka do proboszcza. Kiedy przedstawienia i namowy nie pomagały, zagroził mu proboszcz, że jeżeli się nie ożeni choćby już i z Nańką, by nie było w wsi zgorzenia, tu mu ją odeśle tam, z kąd przysła. Trudna była rada, żadnaby się dziewczyna niebyła przydała do Franka tak jak Nańka, boć to i ona dobrze piła i w karty grać pomagała. Poślubił więc Franek Nańkę, ale o poprawie nie pomyślał.

Bezdzietni

II.

I dziad i baba raz w niedzielę
 W koszulach bielutkich aż miło
 Na przyzbie oboje siedzieli.
 Słoneczko na niebie świeciło
 I ani jednej chmurki — cicho
 I lubo jak w raj.
 Schowało się gdzieś licho
 Jak zwierz w ciemnym gaju.
 W raj takim czemuż starym
 Serce posmutniało?
 Czy się dawne jakie licho
 W chacie odezwało?
 Nie wiem ja, o czem dumają
 Starzy, chyląc sędziwe skronie.
 Może się już wybierają
 Do Pana Boga
 I myślą: daleka droga?
 Kto to im dobrze zaprzęże konie?
 „Kto nam Naściu zamknie oczy,
 Kto nas pochowa?”
 „I ja nie wiem... Dawno to już
 Waży moja głowa,
 Aż mi smutno: sami jedni
 Codzień starzejemy,

A nie wiemy jeszcze komu
 Dobro przekażemy.“
 „Posłuchajno?... czekaj!. słyszysz?
 Coś tam za wrotami
 Jak dzieciątko płacze!.. słyszysz?
 Biegnijmy!!!
 — „Bóg z nami!“
 „Wszak mówiłem, że coś bę 'zie“.
 Razem się zerwali,
 Biegną do wrót — i w milezeniu
 Nagle postawali.
 Patrzą: tuż koło przełazu
 Leciutko spowite
 Dziecko leży, nowinteńką
 Świteczką okryte.
 Ach to matka spowijała
 Na dzień letni świtką lnianą!..
 Patrząc się modliła
 Para siwa. A serdeczne
 Jak gdyby błagało,
 Z upowicia ku obojgu
 Rączki wyciągało
 Drobnienteńkie... i zamilkło,

I już tylko kwili
A nie płacze.
„A co Naściu,
Cośmy to mówili?
Ot i szczęście, ot i dola!
Widzisz, Bóg łaskawy!..
Bierz go prędzej, bierz spowijaj!
Widzisz jaki żwawy!
Nieś do chaty, ja zaś na koń
Zwinę się z kumami.
W Horodyszczach.“

Dziwnie jakoś
Dzieje się tu z nami!
Jeden syna rodzonego
Wypędza, przeklina,
Inny świeczkę za grosz krwawy
Kupuje chudzina
I stawia ją przed obrazem
Z modlitwą i łzami —
Nie ma dziątek!.. Dziwnie jakoś
Dzieje się tu z nami! —

Taras Szewczenko tłum Sowiński.

Dobry uczynek.

Późno w nocy jednym konikiem w zimie powracał Maciej Warga z jarmarku. Silny mróz przejmował do kości i tamował oddech. Księżyc świecił jasno, żeś widział jak we dnie, a gwiazdy iskrzyły się ogniście. To też Maciej skrył się mocno w kozuch, otulił się do tego derką tak, że mu zaledwie nos widać było.



Zacinał konika i szybko pędził saneczkami do domu. Biedaczysko martwił się i bał niemało, bo tu las gęsty niedaleko — może wilczysko się kręci — a do chaty jeszcze opętana mila. Kiedy się zbliżał do lasu, przeżegnał się kilkakrotnie, polecił się Bogu — popatrzył znów przed siebie, — nie nie było

widać, jak tylko białą, iskrzącą się drożynę, wijącą się jak wstęga wśród lasu. Pospieszał Maciej przez las, ile konikowi sił starczyło, zawinał się jeszcze lepiej, ale oczy i uszy wyteża, czy też przypadkiem nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Wtem zda mu się słyszeć jakieś głosy — ogląda się na wszystkie boki — przeląkł się nieco, przeżegnał się krzyżem świętym i pospieszył czempredzej. Ale głos, im dalej jedzie, tem więcej się zbliża. Maciejowi dusza na ramieniu siedzi, aleć cóż robić, wracać nie wypada, więc w imię Boże jedzie — Aż tu nagle głos staje się coraz wyraźniejszy, podobny do kwilącego dziecka. Maciejowi lżej się zrobiło na sercu, zlął z saneczek, wyteżył wzrok na wszystkie strony i zdała zobaczył jakąś postać ludzką, siedzącą na śniegu i tulącą coś do siebie. Przyspieszył kroku za saneczkami, aby się trochę ogrzać i wkrótce stanął przed ową postacią.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

-- Na wieki wieków — odpowiedziała mu kobieta - tuląca i ogrzewająca małe dziecko u piersi. Zlitujcie się gospodarzu nademną, biedną kobietą! — wracałam z jarmarku, gdy nagle obskoczyli mnie niedobrzy ludzie ze wszystkich stron, zabrali wóz i konie, obili niemiłosiernie furmana, że bez życia i prawie nago leży. Oj biednaż ja biedna! — cóż ja teraz pocznę!?

Maciejowi lzy się zakręciły w oczach, a choć go i strach przejmował silny, nie jednak nie mówił, pobiegł czempredzej po furmana leżącego opodał w śniegu, obmył jego rany, położył wzdłuż na saneczkach i okrył derką. Następnie zdjął kożuch ze siebie, otulił kobietę z dzieckiem, posadził ją na saneczkach, zaciął konika, i sam z tyłu biegł za saneczkami, już to, aby konika nie męczyć, już też, aby się ogrzać, bo został tylko w sieraku, a zimno było dokuczliwe.

Szczęśliwie stanął nareszcie w domu, zniósł do chaty nieszczęśliwych, usłał im słomy i siana na izbie, okrył czem mógł. Maciejowa nie mogła się na jego opowiadanie utulić z żalu i strachu, czempredzej zgotowała rosółu, aby ich posilić — i wkrótce położyli się do snu.

Na drugi dzień wypytał się Maciej kobiety, z kąd pochodzi, i co dalej zamyśla zrobić. Opowiedziała mu całe zdarzenie i prosiła, aby ją zawiózł do pobliskiego miasteczka. Maciej

znów zaprzągnął swego konika i wyruszył w drogę. Stanął przed sądem w miasteczku i opowiedział, co się stało. Rozesłano pogoń na wszystkie strony, ale złoczyńców nie można było nigdzie wysledzić. Furmana oddano do szpitalu, a krewni nie-szczęśliwej przyjęli ją do domu. Chcieli Macieja wynagrodzić, ale on nie dał sobie nawet mówić o tem, i czempredzej powrócił do domu.

Minęło lat kilkanaście. Maciej mimo pracy i zabiegów nie mógł jakoś przyjść do dostatku. Spaliła mu się chata ze wszystkim dobytkiem i nędza zawitała, a tu z nikąd ratunku, bo choć wszyscy kochali Macieja jako człowieka uczciwego, przecież nikt mu nie mógł dopomóc, bo to był przednowek, i każdy musiał myśleć przedewszystkiem o sobie.

Wtem razu pewnego zajechał powóz do wsi, i młody jakiś panicz wysiadł przed plebanją. Wkrótce potem służący z plebanji dopytywał się we wsi o Macieja Wargę. Mieszkał on komornem u dawnego swego przyjaciela, w chacie niskiej, biednej, obszarpanej. Kiedy służący wchodził do izby, uciszyła Maciejowa płaczące dzieci i rozdzieliła między nie ostatni kawałek chleba. Maciej zebrał się czempredzej i podążył wolnym krokiem do plebanji, ciekawy, po co go ks. proboszcz do siebie prosi.

— To to wy Macieju — zawołał ów panicz, — coście mnie ze śniegu z matką wyratowali?

Maciej zamyślał się chwilę, wreszcie odrzekł:

— Chyba żartujecie paniczu, przecież was pierwszy raz widzę.

— Ot nie zapierajcie się dobrego uczynku, bo choć to już dawno bardzo, choć i ja was wcale nie znam, przecież nieboszczka matka opowiadała mi nieraz, jak cudownym prawie sposobem wyratowaliście ją od śmierci.

Maciej przypominał sobie zdarzenie, ale nagrody jaką mu panicz ofiarował, wziąć nie chciał żadną miarą. Nareszcie za namową księdza i panicza dał się skłonić, że przyjął służbę polowego w poblizkiej wiosce, którą panicz niedawno zakupił i już na drugi dzień pożegnał się z znajomymi i przeniósł się na nową

siedzibę, gdzie dotąd żyje szczęśliwie i spokojnie, a Panu swemu wywdzięcza się pracą i pilnością, bo nie chce, aby mu płacono za dobry uczynek, tylko za pracę.

Najnowsza książeczka Wydawnictwa Alfreda Młockiego: „O świętobliwym Kazimierzu Korsaku, który z pana został wieśniakiem.“

Nakładem Alfreda Młockiego wyszła znów książeczka pod tytułem: „Historya o świętobliwym Kazimierzu Korsaku“ — a kosztuje tylko 5 centów. Już to podobno raz opowiadał wam w Dzwonku Józef z Bochni o życiu błogosławionego Kazimierza Korsaka, więc wam tego powtarzać nie będziemy. Ale autor książeczki opowiada także ładne historye o rodzinie Korsaków, o jej czynach wojennych, o Iwanie groźnym i t. d. Kilka ciekawych ustępów pozwalamy sobie zatem podać naszym szanownym czytelnikom:

Na wschód od ziemi zamieszkaney przez Mazurów, leży kraj litewski. Dzielny to lud ci Litwini, pracowity, pobożny i gościnnie, a ziemię ojców swych, to już tak kocha, że wolałby raczej śmierć ponieść, niżli odprzedać swą ojcowiznę.

Moskale szyszmatyki srodze teraz prześladują Litwinów.

Dawno już, bardzo dawno temu, bo dochodzi pięćset lat, kiedy Litwini nawrócili się na wiarę katolicką. Rządził wówczas krajem litewskim Władysław Jagiełło, ten sam, którego także naród polski na króla swego wybrał.

Panował on długo i szczęśliwie, a kiedy Pan Bóg zabrał go z tego świata, dziadowie nasi zeszli się i radzili, kogoby tu znowu zrobić królem. Jedni chcieli tego, a drudzy innego, ale wszyscy zgadzali się na to, żeby naród polski i litewski jedno stanowił państwo, żeby nad temi dwoma narodami ten sam król panował. *„Bądźmy zgodni i trzymajmy się razem“* mówili Polacy i Litwini, *„bo razem łatwiej się obronimy przeciw naszym wrogom Tatarom, Moskalom i nienasyconym Niemcom.“* Jak mówili, tak też i zrobili, i obrali zgodnie królem jednego ze synów Władysława Jagiełły.

Świetne nastąpiły dla ojczyzny naszej czasy, lud był szczęśliwy, miał się dobrze, podatki były małe, a wrogowie bali się nas zaczepiać. W tych to szczęśliwych czasach, za panowania

króla Zygmunta Augusta, jednego z prawnuków Władysława Jagielly, żyła na Litwie niedaleko granicy moskiewskiej bogata rodzina Korsaków.

Była to rodzina bardzo liczna i od wszystkich wielce poważana i lubiona, nie dlatego, że była bogata, boć bogactwo nie jest jeszcze ani przed Bogiem ani przed ludźmi i ojczyzną żadną zasługą, ale dlatego, że Korsakowie dzielnie stawali w obronie wiary i ojczyzny swej, kiedy była potrzeba. Potrzeba taka nieraz się zdarzała, bo Korsakowie mieszkali nad granicą moskiewską, a Moskale naród okrutny i na cudze łakomy, kiedy mogli to wpadali do kraju naszego; pustoszyli wsie i miasta, mordowali ludzi, a tych, którzy pozostali przy życiu, brali do niewoli dla swego cara.

Car ten zwał się Iwan groźny, i był okrutnik jakiego świat jeszcze nie widział. Trudno tu opisać, co za straszliwe okrucieństwa ten car Iwan wyrabiał, i jak się nad ludźmi znęcał. Budowniczem, który mu pałac wystawił, kazał oczy wylupić, aby podobnego pałacu nikomu innemu nie mógł wymurować. Za najmniejsze przewinienie kazał wieszać i ćwiartować. Miał ten niegodziwiec także laskę drewnianą, na dole okutą ostrem i szpiczastem żelazem. Kiedy przyszedł do niego ktoś, kogo nie lubił, stawiał mu ową laskę na nogę, a rękami opierał się o nią tak silnie, że żelazny koniec przebijał nieszczęśliwemu stopę na wskroś. Iwan tymczasem udawał, że nic nie widzi i rozmawiał z biedakiem tak długo, póki tenże osłabiony bólem i utratą krwi nie upadł na ziemię. W wolnem mieście Nowogrodzie, które nie chciało uleść jego przemocy, kazał znowu kilkadziesiąt tysięcy mieszczan wymordować i wiele jeszcze innych okrucieństw popełnił, — ale wszystkie trudno zapamiętać. Z wojskami tego moskiewskiego okrutnika Iwana musieli Korsakowie nieraz walczyć — broniąc siebie i ludu wiejskiego.

Razu pewnego, gdy Moskale znowu naszli ziemię litewską i po zwyczajowi zaczęli rozbijać i palić, zebrali się wszyscy mężczyźni z rodziny Korsaków, uzbroili się czem kto mógł, i wpadli na Moskale. Dzielnie się bili nasi Korsakowie, gdzie się który zamierzył, padał Moskalisko na ziemię i pewnie już więcej nie powstał. Czas jakiś trwała bitwa, aż też Moskale widząc, że nie ma rady, zaczęli zmykać na wszystkie strony.

Nasi gonili za nimi co koń wyskoczy, a gdzie jakiego Moskala dopadli, bili bez litości, że całe pole zasłane było moskiewskimi trupami. Na pamiątkę tego zdarzenia nazwali okoliczni włościanie miejsce, gdzie Korsakowie tak dzielnie pobili Moskali: *Korsakowe pole*, i tak się też po dziś dzień nazywa.

Innym znowu razem, wysłał car Iwan do Litwy dwa wielkie wojska: jedno liczyło pięćdziesiąt tysięcy ludzi, drugie miało dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy. Oba te wojska miały się połączyć i ruszyć na Wilno, stolicę Litwy. Mniejszy moskiewski oddział postąpił pod wieś Czaśnik, i czekał tam na posiłki. Dowiedział się o tem dowódzca wojska polskiego i litewskiego, książę Radziwiłł, wziął ze sobą jazdę i ruszył na Moskali. Przez szpiegów dowiedzieli się Moskale, że Radziwiłł się zbliża, i ustawili się w szyku bojowym. Na przodzie ustawił ich dowódzca, książę Szujski, tak zwany po moskiewsku „Kowany raz“, to jest zastęp żelazny. Była to jego najlepsza piechota. Polska i litewska jazda, wychodząc z pobliskich krzaków, zaczęła się ustawiać w szyk bojowy. Moskale stali spokojnie i z dumą mówili: „Niech no się wszyscy pokażą, a nauczymy ich rozumu.“ Pierwsi uderzyli Litwini, a na ich czele znowu jeden z odważnych Korsaków, i tak dzielnie przyparli Moskali, że ci ani razu nie mogli wystrzelić ze swych armat, tylko wszystko porzucili i czempędzej zmykać zaczęli. Cała bitwa bodaj dwie godzin trwała. Z Moskali i śladu nie zostało, choć mieli 25,000 wojska, a naszych było tylko cztery tysiące.

Zachód słońca nie przeszkadzał pogoni, bo księżyc świecił a śnieg tak blasku dodawał, że było jasno jakby w dzień. Legło w tej bitwie dziesięć tysięcy Moskali. Księcia Szujskiego dopadł w ucieczce chłop litewski i mszcząc się za rozboje Moskali, uderzył go kilka razy siekierą w głowę, że zginął na miejscu.

Cały obóz z wszystkimi zapasami i kosztownościami, wiele naczyń srebrnych i złotych, koni i wozów aż pięć tysięcy, zabrało wojsko polskie i włościanie okoliczni, którzy nadbiegli swoim pomagać. Zginął też w tej bitwie Moskal nazwiskiem Byków; miał on półpięta łokcia wysokości. Świetne to było

zwycięstwo, a wiele przyczynił się doń jeden z Korsaków, co pierwszy dopadł Moskali.

W tej to poczciwej rodzinie urodził się około (1570) tysięcznego pięćsetnego siedmdziesiątego roku nasz Kazimierz, o którym czytaliście już historyę w Dzwonku z roku 1868.

Rozmaitości.

— Wojtek, Icek i spółka. W pewnej wiosce mieszkał żyd Icek spekulant. Wszedł on w spółkę z gospodarzem Wojciechem o rzeź. Spółka utrzymywała się dość długo, na czem oczywiście Icek lepiej wychodził.

Skład główny mięsiwa był w komorze Wojciecha. Jednego dnia spracowany Wojciech przyszedł wieczór do domu i zasiadł do misy ziemiaków.

— Maryś! ziemiaki nie okraszone?

— A juścić nie!

— Jakoś nie leżą przez gardziel.

— Czemże man okrasić, psiem sadlem?

— Słuchajno! — Jest tam w komorze pięć funtów żydowskiego loju; weź to, okraś a żydowi powiedz, że kot zjadł. Wystarczy to na kilka dni.

— Ha! niech i tak będzie.

Maryna poszła, lój wzięła, została okruszyny na ziemi dla znaku że tu kot był, okraśla ziemiaki obficie tak że się Wojtek oblizywał.

Na drugi dzień przyszedł Icek po lój, który mu się ze spółki należało.

— Wojciechu! dajcie mi ten lój.

— Ale! lój! kiej go ta preklęta marcha zjadła!

— Kto zjadł? — co to jest? jak zjadł?

— A juści zębami. Kot wlaź do komory i pożarł.

— Pokażcie no mi tego kota, mój Wojciechu!

— A siedzi szkodnik na ławie

— Dajcie no wagę.

— A to jest przy piecu!

Icek wziął wagę, ustawił, kotowi związał nogi, położył na szalce i zaczął przeważać.

Kot akurat miał pięć funtów

— Wojciechu! — to jest lój. rychtyk pięć funtów, a gdzie kot? he?

— Ślepyś ty czy co? — na wadze!

— Ny on zjadł pięć funtów loju, a sam ma pięć! więc to jest lój — a gdzie jest kot?

— Ha! to go sob'e weź, kiedy to lój!

Sprzeczka się skończyła wypchnięciem Icka za drzwi — ale przed spowiedzią Wojciech oddał z procentem pięć funtów loju, przeprosił Icka uczył się i spółka dotąd się utrzymuje.

— Nowa książka. Nakładem Wydawnictwa Mrówki wyszła książeczka pod tytułem: „Najemnica“. Jest to książeczka napisana wierszem przez ukraińskiego poetę Tarasa Szewczenkę, a przetłumaczona na polski język przez Leonarda Sowińskiego. Taras Sewczenko pisał swoje wiersze w języku ukraińskim, ludowym — kochał lud wiejski niezmiernie i dla niego całe życie pracował. Nie lubił Moskali okrutnie — bo oni ten lud strasznie uciskali. To też car Mikołaj moskiewski, co to chciał wszystkich

Ukraińców na Moskali przerobić, kazał go oddać w sądaty — gdzie od niewygód i choroby ciężkiej nieszczęśliwy Szewczeńko życie zakończył. Podaliśmy krótki wierszyk z książki jego „Najemnica“ pod tytułem: Bezdzielni.

— Księgosusz. Teraz, kiedy zapanowała znowu choroba księgosuzu w różnych miejscowościach naszego kraju, poczytujemy sobie za obowiązek udzielić naszym czytelnikom przepis środka ubezpieczającego przeciw tej strasznej zaradzie, które lekarstwo nie tylko że nie jest kosztownem i łatwo da się przyrzadzić, lecz nadto w żadnym razie szkodliwem być nie może — Oto ten przepis:

Bierze się koperwasu pół funta, saletry lutów 8, siarki szarej lutów

8, kredy miałkiej lutów 4, kamfory lutów 2; po utłuczeniu tego wszystkiego, nalać na to 4 kwart wody miękkiej (ażeby kamforu dała się sproszkować, trzeba ją pierw skropić spirytusem lub winem). — Jeżeli zaraza jest w okolicy, macza się codziennie dla każdego bydłęcia kawałek chleba w tem lekarstwie i daje mu zjeść na czczo. Jeżeli zaraza jest już we wsi, to daje się tego lekarstwa każdej sztuce mały kieliszek trój na czczo przez trzy dni. Jeżeli zjawila się już w oborze gospodarstwa to daje się każdej sztuce na czczo po pół kwaterec także przez trzy dni.

Ponieważ lekarstwo to składa się z części ciężkich, przeto trzeba, zadając takowe, często mieszać kopystką w garnku polewanym.

Złote ziarna.

Precz z światłem! wołał głupiec, kąsan przez much roje,
Szukajże mnie teraz — w nocy się nie boję.

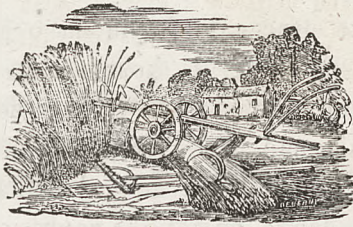
Są ludzie, którzy nigdy się mylą,
Bo w nic mądrego głowy nie wysilą.

Boże wielki! Kto w Tobie swą ufność położył
Milej zapewne skonał, niż nieufny żył.

Szczęśliwy kto na własnej osiadłszy zagrodzie
Nie chodzi w świat o swojej i o cudzej szkodzie,
Bo kto może obcego posilić w swym domu
Stu zobowiązał — sam nic nie winien nikomu.

Palną Chrystus obdarzył narody zbawione
Nam Polakom cierniową przekazał koronę
Pańska to jest korona i nośmy ją radzi
Krew pod nią zлана, nowe zbawienie sprowadzi.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Lepsza słomiana zgoda niż złoty proces.

V.

Franek procesuje Szymona.

Nastala wiosna. Franek najal sobie ludzi do orki, boć sam ani umiał ani mu się chciało pracować, i rozkazał im przeorać miedzę między swoją a Szymona rolę i przyorał dla siebie cały zagon Szymona, a to dlatego, że przypomiał sobie, że tam kawał gruntu, który dawniej był jego ojca, dziś Szymon posiada. A to się tak stało, że Szymon odstąpił na prośbę Antoniego swój kawał gruntu daleko lepszy, który przypierał do gruntów Antoniego w zamian za kawałek gruntu Antoniego, co do jego gruntu przypierał. Ugodzili się tak między sobą przy świadkach bez pisania, boć im na myśli nie było podnosić kiedyś o to sprzeczkę. — Upominał Szymon łagodnie Franka, przedstawiał mu jego niesłuszność, lecz Franek mu zagroził procesem. Ustąpił Szymon dla lubej zgody, boć myślał, że dobrocią poprawi Franka. Wkrótce potem pojechał Franek do miasta i swoim zwyczajem wszedł do szynku, a płacił każdemu, kto się nawinał. Nawinał się jakiś pisarz pokątny, i kiedy Franek narzekał na Szymona i odgrażał się, że go wsadzi do kryminału, namówił go łatwo do procesu. Franek dał na stemple,

na wpis, za pisanie i co przepił na dobrą sprawę, toby zato tego konia był kupił. Powrócił Franek do Zbudowic i ogłosił w karczmie, że procesuje Szymona o grunt, a jak wygra, to mu całą chałupę zabierze za koszta i za kradzież. Ludzie kiwali tylko głowami i nie wierzyli jego przechwałkom; gotowi byli wszyscy przysięgnąć, że Franek nie ma do Szymona żadnego żalu i pretensji, boć to Szymon, jeżeli swego nie dołożył, toć pewnie nigdy cudzego nawet nie zapragnął. Ubolewali nad Szymonem, że za jego dobre serce Franek mu odplaca niewdzięcznością, boć nie bardziej nie boli jak niewdzięczność. Szymon nie frasował się tem wiele i nie zląkł się procesu. Kiedy mu woźny przywiózł pisanie ze sądu, by się stawił na termin do obrony, pojechał do porządnego adwokata, temu całą rzecz opowiedział, i świadków powołał. Adwokat poznał, że jego słuszna, przyjął na siebie proces, a nie pieniędzy od Szymona nie wziął, dopóki procesu nie ukończy i nie wygra, bo wtedy przeciwnik wszystko będzie musiał zapłacić. — Przyszło do słuchania świadków. Franek buntował i obiecywał nagrody, byleby na jego stronę świadczyli, lecz nikt się na to nie zląkomił, boć sumienie rzecz pierwsza. W samą porę był Frankowi proces, boć mu się robić nie chciało, a kiedy mu się w chałupie trochę znudziło, zaprzęgał konie, naładował na wóz prezenta dla pismaka, i nuż dalej do miasta, by jak to mówił, pochodzić trochę koło procesu. Szła jedna krówka po drugiej na proces, a końca ani widać — to dopiero początek, bo pisarz pokątny wiedział jak kręcić, aby ostatnią kroplę wydusić z Franka. Nie było już co pozbyć z domu, a tu koniecznie pieniędzy na proces, boć nie wypada porzucić w połowie, kiedy się nań już tyle straciło. — Franek zabrał ostatki z domu i pojechał do miasta, by pochodzić koło procesu.

Zapadł wyrok, i Franek przegrał co się zowie i do tego kazał sąd zapłacić mu kosztów procesu kilkadziesiąt reńskich w bardzo krótkim terminie. Zmartwił się Franek nie mało, a pisarz pokątny go pociesza i nuż mu perswadować: „Nie turbujcie się gospodarzu, my ich tu jeszcze wszystkich zprocesujemy, zrobimy rekurs do apelacyi, a nasza wygrana, a świadków i Szymona wsadzimy do kryminału za krzywoprzysięstwo. Za

rok nietylko grunt wasz, ale i cała zagroda Szymona. Na to jednak jeszcze wiele pieniędzy potrzeba, boć to w wyższym sądzie, to i większe stemple i inne różne wydatki: temu wściub i temu gardło zatkaj, a jak to mówią, kto smaruje, ten jedzie. Tak robił i Szymon i wygrał, a wyście tych głupich pieniędzy żalowali, i dlatego przegrali.“

Kiedy Franek zmartwiony zalewał się wódką dla ochoty i pocieszenia, a konięta zostawił na opatrność boską, ktoś się zlitował nad nimi i zabrał z wozem jak swoje. — Przyszedł nieborak piechotą do domu, a tu pusto jak w grobie. Nańka zwąchawszy, że nie ma się już czego trzymać, pościagała jeszcze co mogła, zabrała się z swym kochankiem i powędrowała swoim zwyczajem, że i słych po niej zaginął. — Rozpacz ogarnęła Franka, wszędzie pustki, wszędzie próżno, i żona go porzuciła, i sługi pouciekały, i koniki ostatnie ukradli.

Poszedł Franek do arendarza i nuż go prosić, nuż mu przedstawiać, że proces pójdzie dobrze, ale jeszcze trzeba pieniędzmi nadrobić, a tu nie ma zkad wziąć, czyby mu na grunt jego i chałupę nie pożyczył sto reńskich.

— Ny co mi do waszego procesu, wygracie to dla siebie, ale na wasz grunt, to wam mogę pożyczyć sto reńskich, ale mi podpisiecie, ot tak na koniuszku, żeby to choć ślad został, że wyście mi winni.

Podał mu arendarz koniuszek papieru, na którym za sto pożyczonych napisał półtora sta dłużnych, a Franek ochoczo postawił krzyżyk na koniuszku i już miał pieniądze na rekurs. Dorwawszy się pieniędzy, zostawił chałupę na opatrność Boga, a pobiegł co tchu do miasta do pismaka. Zrobili rekurs i podali, a na stemple i na łapowe zostawił Franek większą połowę pieniędzy. — Wrócił do domu i czeka końca. — Ale nie wysiedzieć mu w domu samemu, bo i sumienie trapi w samotności i bieda wyziera z każdego kąta, że aż strach zbiera. Przesiadwał więc w karczmie, i morzył robaka wódką, i nim się doczekał wyroku ze sądu wyższego, przepił resztę pieniędzy. Gdy tych brakło, rozbierał stodołę i po kawałku sprzedawał arendarzowi, a czekał, a nie nie zrobił, boć na co tu pracować,

kiedy to przyjdzie mu wyrok i stanie się znowu bogatym bez pracy. Nadszedł nareszcie i ten wyrok nieszczęśny, a Franek nietylko że zupełnie przegrał, ale za karę niesłusznego procesu skazany został na zapłacenie stu reńskich, prócz kosztów sądowych.

Gdy termin zapłaty minął, zjechała komisja, sprzedali grunt i chałupę, którą arendarz kupił, bo miał na niej dług, a Frankowi nie został się ani szeląg.

VI.

Jakie życie, taka śmierć.

Ważał się jeszcze czas jakiś Franek po wsi. Ludzie stronili od niego i bali się go, bo jak wieści były, że Franek z drugim jakimś urlopnikiem włóczęgą oddali się kradzieży, bo zawsze jakoś miał pieniądze na wódkę i po całych dniach w karczmie przesiadywał. Gdzieby zaś nocował, o tem nikt nie wiedział. Kradzieże zaś były częste, a konie z pastwiska przepadały bez śladu. — Otóż to jednego ranku powstał wielki hałas we wsi. Złodzieje wylamali w nocy drzwi do cerkwi, zabrali skarbonkę i złupili obraz Najśw. Panny z ofiar srebrnych, które pobożni ludzie za doznane łaski i dobrodziejstwa ofiarowali. — Udało się nareszcie schwytać złodzieja, kamrata Franka. Franek znikł bez śladu. Przy indagacji przyznał się ów urlopnik, że go Franek do tej zbrodni namówił i sam drzwi do cerkwi rozbił. Sledzili Franka, ale go wynaleść nie mogli, aż tu jednej nocy powstał we wsi ogromny gwałt wartowników nocnych i we dzwony uderzono. Obudzonych przeraziła wielka łuna pożaru. Gorzały stodoły Franka, które arendarz kupił. Wszyscy pospieszyli na ratunek, bo się to działo w późnej jesieni, gdy stodoły i brogi były pełne. Niebezpieczeństwo było wielkie dla całej wsi. Rzucili się na zagrodę Szymona, boć ta najbliższa i w największym niebezpieczeństwie. Zdzierali poszycie ze stodół i chaty, a sprzęty i dobytek znosili do sadu, pod ową lipę, co to urosła na miedzy. O kilka kroków od niej stała uschnięta grusza. Kiedy płomień objął dach chałupy Franka, a łuna się wzmogła, ujrzeni ludzie z przerażeniem wiszącego na gruszy Franka, z twarzą bladą, okropnie skrzywioną, obróconą ku łunie. Z trwogi puciekali wszyscy,

aż kiedy nad ranem pożar ustał i Szymona zagrodę Bóg ochronił od niebezpieczeństwa, zabrał sędziego wójta i woźnych i poszli zdjąć wisielca. Pod nogami jego leżała skradziona skarbonka cerkiewna, a w niej były wszystkie ofiary i pieniądze nietknięte. Po skarbonce wspinał się Franek do gałęzi, na której się powiesił, a nogi dostawały ziemi. Mógł się uratować, kiedy mu straszna śmierć w oczy zajrzała, ale widać takie było zrządzenie Boga na postrach złych ludzi. Ciało jego zawieźli po za cmentarz i pochowali bez księdza, w niepoświęconej ziemi, pod parkanem cmentarnym.

Dziś nikt tamtędy nie przejdzie wieczorem, a ojcowie ze zgrozą opowiadają synom swoim, do jakiej to zbrodni i hańby prowadzi niezgoda.

Szczesny z Żółkwi.

SIEROTA.

Świeci słońce, świeci,
Pada deszczyk złoty,
Tyleć tutaj szczęścia
Dla biednej sieroty.

Zaszło słońce w chmury,
Powiał wiatr ponury —
Rusza w świat nieboga,
Gdzie powiedzie droga.

„Czy w lewo czy w prawo
Ścieżka mnie powiedzie,
Przecież kiedyś Pan Bóg
Zrobi koniec biedzie;

„Przecież kiedyś Boże
Biedną główkę złożę,
Ptacy wezmą ciało,
Anioł duszę białą.“

Zimny wiaterek wieje,
A krzemienista droga —
Obdarta i bosa
Idzie w świat nieboga.

A gdzie spotka ludzi,
To milcząco idzie;
A gdzie boża męka
Do paciorka klęka.

Idzie, idzie, i tak
Myśli sobie biedna:
„Gdyby się schyliła
Do mnie ręka jedna!

„Gdyby na mnie biedną
Padło oko jedno
I spojrzało mile
O! tylko na chwilę!“

Wtem z kościółka z wieży
Gdzieś na Anioł dzwonią
I jak posły Boże
Słodkie dźwięki gonia.

Dziewczę rączki składa,
Na kolana pada,
Biedę zapomniało,
Bogu zaspiewało.

A wciąż gdzieś z daleka,
Jasny dzwonek dzwoni,
Jakby wołał biedną,
Chciał coś mówić do niej.

Wstała i o biedzie
Zapomniawszy, idzie
I śpiewa wesoło
Aż głośno w okolo.

Rycerze świętego Jana.

Wiadomo każdemu, jakie to straszne narody byli Tatarzy i Turcy. Przez pięćset lat uderzali na kraj nasz, pustoszyli go ogniem i mieczem. Palili wioski, rabowali miasta, tysiące ludu w niewolę pędzili. Chcieli opanować cały świat, i temu tylko pozwalali żyć spokojnie, kto się upokorzył przed nimi i poddał się pod ich władzę. Ale ojcowie nasi stali wytrwale przy wierze świętej i bronili nieustannie ziemi rodzinnej, aż się Pan Bóg zmiłował i dał nam pobić ich kilka razy tak potężnie, że już zaprzestali swoich napaści.

Nie wszystkie narody potrafiły się tak dzielnie obronić, jak Polacy. Szerokie kraje zawojowali Tatarzy i Turcy, podbili wiele królestw, a na miejsce świętego krzyża Chrystusowego zatknęli na wieżach kościelnych półksiężycy swoje, co u nich jest znakiem wiary. Przemienili kościoły chrześcijańskie na swoje świątynie, a mnóstwo ludu na swoją wiarę nawrócili, to namową, to gwałtem — ot właśnie jak sobie teraz poczynają Moskale na Litwie i Rusi.

Zawojowali także Turcy i Tatarzy *Ziemie Świętą*, to jest ten kraj, w którym Chrystus Pan przyszedł na świat i gdzie poniósł śmierć męczeńską dla zbawienia naszego. Opanowali Betlejem, Nazaret, Jerozolimę. Do tych miejsc świętych bardzo wiele pielgrzymów chrześcijańskich podróżowało, a musieli opłacać się Turkom i znosić i urągowiska. Często rozbójnicy tureccy napadli gromadę pielgrzymów, pozabijali ich, albo zabrali i sprzedawali jako niewolników.

Ci, którzy powracali z Ziemi Świętej, opowiadali o upokorzeniu chrześcijaństwa, mówili jak strażę tureckie stoją przy Grobie Chrystusa Pana, jak klucze od kościoła Grobu są u tureckiego starosty, który od pielgrzymów ostatni grosz wydziera za pozwolenie nabożeństwa. Opowiadali, jak te wszystkie

ziemie, gdzie była kolebka wiary Chrystusowej, są teraz spustoszone przez pogan, tak że ledwie ślady pozostały, że tam dawniej było chrześcijaństwo. Te opowieści o srogim ucisku tureckim, tak poruszyły chrześcian we wszystkich krajach, że Papież ogłosił wielką wyprawę wojenną, aby Ziemię Świętą odebrać. Ruszyły mnogie hufce wojowników z przeróżnych narodów: Niemcy, Francuzi, Włosi, Anglicy, szli razem zgodnie pod choragwią krzyża. Tysiące i setki tysięcy ochotników ciągnęło na Wschód, na wojnę o oswobodzenie Grobu Zbawiciela. Udało się szczęśliwie zdobyć Jerozolimę i całą Ziemię Świętą. Ale Turcy nie chcieli tak łatwo wypuścić z rąk tego kraju, i ciągle wojnę prowadzili, i napadali Jerozolimskie królestwo, tak że trzeba było bez przerwy być gotowym do boju.

Ci ochotnicy chrześcijańscy, co to wojowali z poganami, po zdobyciu Jerozolimy nie wszyscy pozostali w Ziemi Świętej, ale wielu powróciło do swoich rodzin, do swojego kraju. Ci co w Jerozolimie pozostali, nie mogli się dobrze obronić napadom tureckim. Jeszcze w mieście byli bezpieczni, ale za murami miasta groziły im bandy tureckie, rabujące po kraju. Biedni pielgrzymi, co z dalekich stron, lądem i morzem podróżowali, aby oglądać żłób w stajence Betlejemskiej, domek w Nazaret, Kalwaryę i inne miejsca święte — znowu byli narażeni na napaści tureckich rozbójników.

W tym czasie więc powstało w Jerozolimie bractwo pobożne, dla obrony pielgrzymów, i kilku rycerzy poświęciło się na to, że będą strzedz wędrujących gromad chrześcijańskich i zasłonią ich od Turków. Ślubowali oni zakonne, surowe życie, przyjęli ubiór zakonny: biały płaszcz z czerwonym krzyżem na piersiach. Zawsze z bronią w rękę, okuci w zelazo, byli gotowi do boju przeciw niewiernym. Nazwano ich „*Rycerze świętego Jana*“, bo mieli swój klasztor koło kościoła świętego Jana w Jerozolimie, a obok mieli szpital dla pielgrzymów, których pielęgowali tak troskliwie, jak odważnie bronili ich na polu bitwy.

Trwało tak przez sto lat, ale nareszcie Turcy wzięli górę i zaraz zabrali Jerozolimę. Rycerze świętego Jana nie chcieli porzucić swojego świętego powołania, a kiedy raz już oddali

swoje życie na wojnę z poganami, to już chcieli przy tem pozostać. Osiedlili się na wyspie, nazwanej Rodus, a potem, kiedy tam utrzymać się nie mogli, przenieśli się na wyspę Maltę, w pobliżu ziemi włoskiej, kilka dni drogi morskiej od Rzymu.

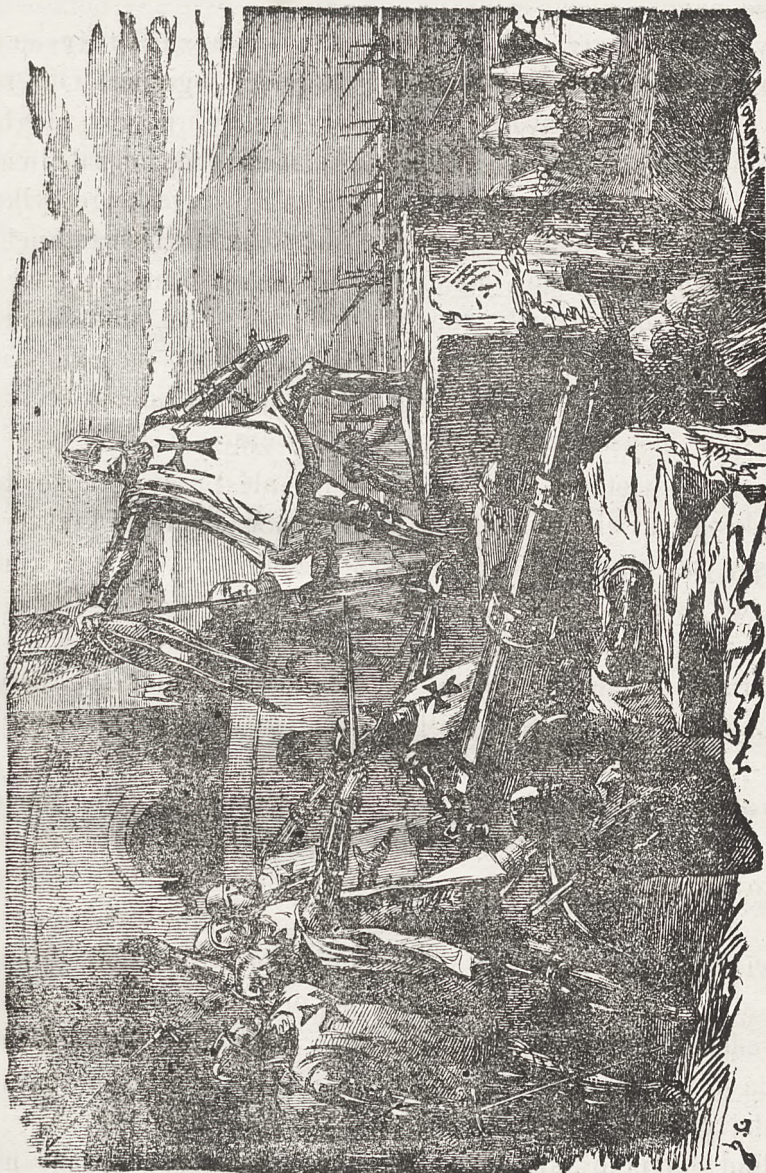
W owych czasach potęga turecka była ogromna. I na lądzie i na morzu — wszędzie prześladowali oni chrześcian. Wielkie mnóstwo tureckich zbójców morskich żeglowało po morzu. Napadali okręty kupieckie, napadali nadbrzeżne wioski i miasta. Prowadzili wielki handel niewolnikami chrześcijańskimi, których pochwyтали i za drogie pieniądze w pogańskie kraje sprzedawali.

Okręt zbójcki miał zwykle kilka lub kilkanaście armat, ukrytych tak, że można było uważać go za spokojny statek handlowy. Mogli zatem zbójcy morscy zbliżyć się do okrętu kupieckiego, który niczego złego nie obawiał się i nie myślał uciekać. A jeżeli nawet dostrzegli kupcy niebezpieczeństwo, jeżeli zobaczyli czarną chorągiew rozbójników, którą ci na szerokim morzu wywieszali otwarcie, to nie mogli uciec, bo okręt ich był i obładowany towarami i zbudowany nie do prędkiej żeglugi, ale do przyjęcia wielkiego ładunku, — więc nie mógł poruszać się szybko, podczas gdy okręt zbójcki pędził jak strzała, doganiał przeciwnika i wnet palił do niego z armat. Gdy się przybliżyli rozbójnicy, zarzucali pomost i wpadali na okręt kupiecki, a jeżeli załoga nie poddała się, to wszystkich wymordowali; chyba młodszych zostawiali przy życiu, aby ich sprzedać jako niewolników.

Otóż rycerze świętego Jana osiedlili się na wyspie Malcie, i postanowili walczyć przeciw rozbójnikom morskim. Mała wysepka Malta, w środku morza położona, bardzo była do tego dobrem stanowiskiem. Okręta włoskie, francuzkie, hiszpańskie, które płyną do Azji, do Konstantynopola, do Egiptu, odpoczywają w Malcie, aby nabrać świeżej wody na podróż dalszą. Mieli więc teraz chrześcianie bezpieczną przystań.

Rycerze świętego Jana uzbrowili wiele okrętów, którymi żeglowali po morzu, a skoro spotkali zbójcki okręt turecki,

zaraz wydawali mu bitwę, lub zmuszali go do uciezki. Tym sposobem bardzo zasłaniali handel morski krajów chrześcijańskich.



Obrona wyspy Malty.

Cesarz turecki w Konstantynopolu, którego wszyscy Turcy i Tatarzy uznają jako swego władcę, odbierał zwykle od różnójków morskich bogate podarunki, a za to swoją opiekę

im zapewnił. Skoro doszło do jego wiadomości, że rycerze świętego Jana tak dzielnie bronią chrześcijańskich okrętów, więc postanowił zdobyć Malte i wyspę tę pod swoje panowanie zagarnąć.

Wyprawił cesarz ogromne wojsko, kilkadziesiąt tysięcy ludzi, tak że zaledwie pomieścili się na małej wysepce. Okręta tureckie zagroziły przystęp wszelkiej pomocy, jakaby mogła nadejść do Malty z krajów chrześcijańskich. Było zaledwie sześćset rycerzy świętego Jana, a wojska wszystkiego tylko kilka tysięcy ludzi mieli. Wprawdzie miasto, gdzie się zamknęli, było dobrze obwarowane, ale olbrzymie armaty tureckie, wymierzone ku murom, groziły śmiercią i zniszczeniem. Jak daleko spojrzeć okiem z wież miasta, wszędzie bieleły tureckie namioty i żagle okrętów tureckich. Z nikąd pomocy — tylko w Bogu i w nieustraszonej odwadze nadzieja.

Rycerze świętego Jana nie zwątpili, ale przysięgli, że do ostatniej kropli krwi bronić będą miasta, a sztandaru z krzyżem Chrystusowym nigdy nie uchyłą przed półksiężycem tureckim. (Zobacz obrazek)

Wodzowie tureccy, ufni w swoją potęgę, w tłumy wojsk i setki armat zionących ogniem, zadziwili się niezmiernie, kiedy rycerze świętego Jana odpowiedzieli im, że się nie poddadzą. Rozpoczęło się oblężenie, które trwało przez cały rok. Turcy zasypywali miasto gradem kul, podkopywali się, aby mury wysadzić w powietrze, przypuszczali wściekle szturmy — ale wszystko daremnie. Rycerze świętego Jana odpierali wszelkie napady, a na wyszczerbionych murach stawili z własnych piersi wiezwyciężoną zaporę. W końcu Turcy znużeni długą walką, straciwszy mnóstwo swoich od oręża chrześcijańskiego, musieli odstąpić. Ogromna armia cesarza tureckiego ze wstydem powróciła do Konstantynopola, pokonana przez nieugiętą wytrwałość małej garstki chrześcijan.

Odtąd rycerze świętego Jana nie byli napastowani na wyspie swojej. Malta została gościnną przystanią dla chrześcijańskich żeglarzy. Okręty zbójckie, wypływające na łup, uciekały spieszenie ku brzegom swoim, ilekroć zdala na morzu

ujrzeli rozbójnicy białą chorągiew z czerwonym krzyżem, a modlitwy i błogosławieństwo całego chrześcijańskiego świata towarzyszyły nieustraszonym rycerzom w podróżach i bitwach morskich, na które narażali się nieustannie dla bezpieczeństwa bezbronnych żeglarzy.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

Uprawa koniczyny.

Uprawa koniczyny daje każdemu gospodarzowi możliwość otrzymania dużo paszy, a tem samym możliwość urobienia wiele gnoju. Ponieważ pasza i gnoj najwazniejsze są w gospodarstwie rolnem, więc też podlug tego, czy kto sieje koniczynę, czy nie, można poznać, jakim jest gospodarzem. Gdzie nie znajdują koniczyny, tam nędzne bydło, tam mało gnoju, a przeto całe gospodarstwo nie wiele warte.

Koniczyna rośnie na wszystkich gruntach, tylko nie na kwaśnych torfowiskach, na lekkim piasku i na ciężkiej garmcarskiej glinie, zwanej także ilem. Koniczyna nie zasiewa się nigdy sama, podsiewamy ją najczęściej pod oziminę albo pod jarzynę. Podsiewanie pod oziminę zasianą w jesieni, dzieje się dopiero na wiosnę. Drobniotka i nierozwinięta dobrze koniczyna wymarzlaby przez zimę, gdybyśmy ją razem z oziminą zasiali. Z samego początku wiosny, w pierwszych dniach marca, skoro tylko ziemia odtaje, i śnieg zniknie, zanim jeszcze ruszy się ozimina i zacznie zielenić, należy zaraz zabrać się do siewu koniczyny. Jeśli ziemia ma dosyć wilgoci, to oprócz siewu na polu ozimem żadnej innej roboty nie będzie.

Koniczyna z samej wilgoci sklepana deszczem, o co na wiosnę nie trudno, choć nie przykryta ziemią, przyjmie się i wyda bujny plon.

W jarzynę skutecznia się podsiewanie koniczyny zaraz. Po przykryciu ziemią zasianej jarzyny, należy pole gładko bronami wyrównać i zaraz siać koniczynę. Ponieważ siejba ta przypada w maju, kiedy ziemia daleko już suchsza, to też

rozumie się, że na sianie koniczyny należy rolę dwa razy zbronować, aby ją ziemia na pół cala przykryła. Na morg pola należy wysiać trzy garnce koniczyny, 4 garnce także nie będzie za wiele; wtedy bowiem koniczyna gęściej schodzi i niepozwała rozrastać się chwastom.

Z tego, co dotychczas powiedziałem, widzicie najlepiej panowie gospodarze, że koło uprawy koniczyny niewiele zachodu, a korzyści mimo to wielkie. Zasiać i zbronować, oto cała praca, a jeśli siejecie koniczynę w oziminę zaraz z początku wiosny, kiedy jeszcze ziemia dosyć wilgotna, to i bronować nie trzeba — wystarczy sam siew.

Zboże (tak ozimina jak jarzyna) rośnie szybko, wzbija się w górę i osłania swym cieniem koniczynę, która nadzwyczaj lubi wilgoć. Z początku, dopóki zboże jeszcze nie zżęte, koniczyna trzyma się nisko przy ziemi i swemi drobnemi listkami bynajmniej nie przeszkadza rozwijaniu się zboża. Zato po żniwach rozrasta się bujnie, zaczyna kwitnąć, i wtedy to najlepszy czas do kośby. Mamy więc z jednego pola dwa żniwa: najpierw oziminę czy jarzynę, a dalej doskonałe siano, które bydlę z wielkim smakiem pożywa.

W drugim roku, już z początkiem wiosny, koniczyna silnie się rozrasta, a z końcem maja, najdalej z początkiem czerwca, można ją już kosić. Drugie cięcie następuje w sierpniu. Przy średnim urodzaju, daje morg koniczyny, dwa razy koszone, 40 cet siana — może dać jednak daleko więcej. Wreszcie w trzecim roku nie opłaciłoby się wprawdzie kosić koniczynę, ale na pastwisko dla bydła jest jeszcze bardzo dobra — i do połowy czerwca bydlę na niej dobrze wyżywić może. Jeśli zachodzi obawa, by bydlę na tem pastwisku koniczynnym nie dostało wzdęcia, to w takim razie należy rano przed wypędzeniem potrząść mu w żłoby trochę słomy. Gdy bydlę trochę słomy przegryzie, nie będzie tak chciwie koniczyny chwytać, a tym sposobem uniknie się wszelkiego niebezpieczeństwa. Ponieważ nasienie koniczyny bardzo jest drogie, to też każdy gospodarz powinien część koniczynnego pola przeznaczyć na zbiór nasienia. Najstosowniejsze ku temu jest drugie cięcie

koniczyny (w drugim roku), wtedy bowiem koniczyna mało daje liścia, a zato wiele kwiatu. Część koniczyny przeznaczonej na ziarno nie kosi się, przeciwnie zostawia się ją tak długo, dopóki zupełnie nie dojrzeje. Ciemno-brunatny kolor kwiatu koniczyny jest znakiem, że już dojrzała; wtedy można ją zbierać. Po ścięciu zostawia się ją w polu, aż zupełnie wyschnie. Przez ten czas należy ją jak najmniej przewracać, gdyż przy każdym przewracaniu dużo ziarna wylatuje. Kiedy kwiat koniczyny z łatwością w palcach na proch rozetrzeć można, jest to znak, że koniczyna zupełnie wyschła, i że ją już zwozić można. Zwozić ją należy na wozach wyścielonych płachtami, żeby po drodze dużo ziarna się nie marnowało. Jeszcze lepiej jest na polu odrazu ją wymłócić. Gnoju bydlęcego koniczyna wprawdzie nie potrzebuje, ale zato szczególnie lubi, żeby ją posypać popiołem, w drugim roku, kiedy się zacznie zielenić. Koniczyna nawieziona popiołem daleko lepszy wydaje plon. O popiół nie tak trudno; mogą go gospodynie wyrzucać na śmiecie, to lepiej rozsiać na koniczynę, — nic to nie kosztuje. Tak samo jak popiołem, dobrze jest także posypywać koniczynę mąką z gipsu, ale o to już trudniej. Rodzaje koniczyny są różnorakie. Najbardziej używana jest koniczyna czerwona i koniczyna biała. Pierwsza rośnie silniej, wyżej, i daje więcej siana, ale zato potrzebuje też lepszej roli, druga biała, udaje się także i na słabych gruntach.

A. R.

Rozmaitości.

* Zorza północna. Oj kumotrze źle będzie, źle! Chmury krwawe, czerwone, obciągnęły sklepienie niebios. Boże zlituj się nad nami! — odwróć plagi, jakie na nas zesłać zamysłasz!

Tak mówił gospodarz Wacław Grądziel, jeden z najstarszych i najpoważniejszych w całej wiosce,

— Boże zlituj się! — Od powietrza głodu ognia i wojny, zacho-

waj nas Panie! — powtarzali w około zgromadzeni gospodarze. I patrzyli na niebo czerwone, pokryte jakby krwią ludzką, którą tam gdzieś aż we Francji tak obficie przelewają Prusacy Niemcy. I wszystek lud w strachu kupił się razem, i coraz smutniej pozwieszali głowy, i coraz więcej strach ich przejmował, jak gdyby i u nas już wkrótce krew lać się miała.

A działa się to, jak sobie do-
brze wszyscy przypominacie, w paź-
dzierniku tego roku, dwa tygodnie
temu wieczorem, już długo po za-
chodzie słońca.

Tymczasem owa luna czerwona,
jest to tak nazwana *zorza północna*,
i nie złęgo nie zapowiada. Gdyby
ktoś z was — a było już wielu
takich ludzi co tam byli — poszedł
het daleko, bardzo daleko na północ,
zobaczyłby rozmaite cuda, jakich my
nie widzimy — a równieżby się
zdziwił, że tam blisko przez trzy
miesiące słońce prawie zupełnie nie
świeci, a na niebie za to ciągle stoi
czerwona, krwawa, ognista luna —
o wiele jaśniejsza i świetniejsza od
tej, jaką i wy tu niedawno widzie-
liście. Jest to zorza północna, tak
tam zwyczajna, jak u nas wschód
i zachód słońca, dzień i noc, wiosna
i lato, którym przecież nikt się u nas
nie dziwi.

Otóż i u nas czasem, kiedy
na północy śniegi spadną, a niebo
czyste, jasne, pokazuje się zorza —
ale nie jest żadną zapowiedzią ani
głodu, ani ognia, ani wojny, ani innego
żadnego niebezpieczeństwa. Ona uka-
zać się musi, podobnie jak twarz
człowieka w lustrze, kiedy przed nim
stanie. Boć i ona świeci na północy
jak u nas słońce. A kiedy śniegi
spadną, odbija się w śniegu — a ztąd
i na niebie, jeżeli jest pogoda wszę-
dzie. A ponieważ rzadko się zdarza,
aby niebo było aż tak daleko i sze-
roko pogodne, więc i zorza północna
rzadko się u nas ukazuje.

Nie można zatem znaków ta-
kich uważać za przepowiednię, nie-

szczęść żadnych, bo one ukazać się
muszą, jeśli zajdą stosowne warunki.

Tak samo i komety biegają
po niezmiernych przestrzeniach nie-
bios, a kiedy przychodzi na nie czas,
wtenczas się ukazać muszą, bo taki
ich bieg. Słońce wschodzi i zachodzi,
gwiazda świecą, jeżeli w nocy pogoda,
księżyc (miesiąc) ubywa i przybywa
a przecież nikt się temu nie dziwi,
bo się to zawsze działa i dzieje. Tak
samo i zorza i komety — a dla tego
tylko dziwne się wydają — że je
rzadko widzimy.

I wojny, i głodu nie będzie,
jeśli się weźmiemy do pracy, do na-
uki, do oświaty — jeśli zamiast u żyda
wkarczmie, lub na jarmarku, będzie-
my chodzić około gospodarstwa, czy-
tać książki pożyteczne i oświecać się
wzajemnie.

* Już po północy wracał pe-
wien pan, co to w okolicy za naj-
mędrszego uchodził, kobyłką w male
saneczki zaprzęzoną do domu. Wtem
ni z tąd ni z owąd kobyłką się
wyprzęgła. A to sęk! — i nie umiał
sobie poradzić. Płakać? — na co
się zdało? Śmiać się? — jakoś nie
miał ochoty. A nuż wilk usłyszy, to
już i po kobyłce i po mnie. Więc
panisko się biedzi, a myśli, a stęka,
a wzdycha.

Wtem nadciągnął chłopek z so-
sienką na wózku.

— Niech będzie pochwalony,
zacznie pierwszy panisko, i nuż
w prośby do chłopka, by mu zaprzął
kobyłkę.

— A zkadże to łaskawy panie,
pyta chłopek.

— Z Kraśnika.

— O! to chyba nieprawda!

— A to czemu?

— Boć to wszyscy ludzie wiedzą, że pan z Kraśnika, to najnędrszy człowiek na całe mil sto w około, a pan i kobyłki zaprządź nie umie.

Zawstydził się bardzo dobry panisko, a chłopek zaprzął już tymczasem kobyłkę.

* Korzeniowska, Łowczyzna wołyńska, gdy usłyszała, że się panienka chwali ze swojej piękności, powiedziała:

— Mościa panno! — twarz się z czasem zmieni — a cnota zawsze piękną pozostanie.

* Pocijową kasztelanową Trocką (kasztelan był komendantem zamku obronnego — a takich było bardzo wiele w Polsce dla obrony przeciw Niemcom, Turkom, Tatarom i Moskalom) namawiali do gry w karty na wielką stawkę. Ona zaś nie chciała ich usłuchać, — a ztąd jej powiedzieli, że jest bojaźliwą. Na to odpowiedziała:

— Jestem bojaźliwą, gdy przychodzi na los puszczać to, co mi opatrność z krwawego potu chłopków udzieliła.

* Piotr Opaliński, wojewoda poznański, wystawił własnym kosztem chorągiew usarską na wojnę moskiewską. (Co to byli usarze czytaliście już w Dzwonku, chorągiew usarska był to znaczny oddział wojska, kilkaset ludzi, okutych w zbroję żelazną, świetnie ubranych, na dzielnych, tęgiech koniach, tak że na wystawienie i uzbrojenie takiej chorągwi nie stać by było teraz prawie żadnego wielkiego pana.) To też Chodkiewicz hetman koronny (najwyższy dowódzca

wojska polskiego) zdziwił się niezmiernie takiej hojności i zapytał:

— I cóż cię to Mości wojewodo skłoniło do tak wielkiej ofiary?

Na to odpowiedział wojewoda:

— Mam żonę, dzieci i majątek, jednej mi jeszcze rzeczy nie dostaje, oto sławy i chwały z dzieł moich i zasług dla milej ojczyzny, i dla niej tu tutaj do obozu przybyłem.

* Koniecpolski Stanisław, hetman wielki koronny, zwycięzca Turków i Tatarów, miał przytrudną wymowę i jękał się nieco. Ztąd żołnierze, ponieważ był dzielnym i odważnym w boju, mawiali o nim: Pan Stanisław wprzód uderzy, niż wymówi.

* Ostroróg wojewoda poznańmawiał: Nie grzesz a nie żaluj, nie łaj a nie przepraszaj, nie daj a nie wydzieraj.

* Radziejowski, kardynał, zafrasowanemu królowi polskiemu Jan. Kazimierzowi powiedział: Miłościwy Panie! na świecie jak w łaźni, im kto wyżej siedzi, tem bardziej się poci.

* Gdy Jan III. król polski, pod Wiedn odjeżdżał, aby pomódz cesarzowi i obronić chrześcijaństwo przed Turkami — spostrzegł, iż żona jego trzymała synka małego na ręku i płakała. Spytał jej więc, dlaczego płacze? Na to ona odpowiedziała:

— Bolesno mi jest, że to dziecię jeszcze nie może iść razem z tobą i walczyć przeciwko Turkom niewiernym, w obronie wiary i całego chrześcijaństwa.

* Zaluski Jędrzej, biskup polski w Warmii, tak mawiał, aby zachęcić ludzi do nauki:

— Nauki uczą młodych umiarkowania, starym pociechę przynoszą, dla ubogich są majątkiem, a bogatych zdobią;

* Stańczyka blazna na dworze króla Zygmunta Augusta prosił ktoś o pożyczanie opończy (sukni wierzchniej). Stańczyk zapytał:

— Mości panie, czy pada deszcz, czy nie?

— Nie, odpowiedział proszący.

Na to Stańczyk:

— Bracie! ponieważ deszcz nie pada, nic ci po opończy, a gdy będzie deszcz padać, mnie jej samemu będzie potrzeba.

* Tenże sam Stańczyk zobaczył raz w Warszawie, że za każdą z bogatych pań poduszkę do kościoła niesiono. Zbliżył się zatem do nich i zapytał, jakby o niczem nie wiedział:

— Czy panie w kościele spać będziecie?

Złote ziarna.

Gospodarz długo śpiący zrobi zbioru mało,
Spał dosyć, gdy siedm godzin spanie mu zabrało.

Przysłowie niesie jaki pan i słudzy tacy,
Gospodarz ma dać przykład do cnoty i pracy.

W zagrodzie i blisko niej, niech się nie pali,
Ogień wielu pogubił, co mu dowierzali.

Miej dozór, twój robotnik, żeby nie próżnował
Miej litość, i nad siłę żeby nie pracował.

Nie polegaj ze wszystkim na innych posłudze
Ile można sam dojrzyj — ślepe oczy cudze.

Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożna,
Nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można.

Dziś napraw, co potrzeba koniecznie naprawić,
Jutro może też praca dwukrotnie zabawić.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZWIŃKI

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na bandosie.

Jankel Frycman siedział na arendzie od lat dwudziestu sześciu w karczmie Zadwórzańskiej, a był to żyd podobny zupełnie z pejsów i brody do tysiąca swych braci, ale z usposobienia i z poczciwości wielu mu nie dorównywało. On to i w dobrych stosunkach był z panem i z chłopem potrafił utrzymywać zgodę, niejednemu poradził, bo głowę miał jak adwokat, nie jednemu dopomógł za mały procent w potrzebie — dość na tem, że w całej okolicy Jankiel słynął za najuczciwszego żyda. Toż wszyscy ludzie ze wsi mieli wielkie zaufanie do niego, i po księdzu proboszczu Jankiel był najpierwszym powiernikiem każdego. W tej samej wsi siedział na zagrodzie kmieć, nazwiskiem Bartłomiej, którego dla chrypliwego głosu pospolicie nazywano „Bartkiem Chrypą“. Owóż ten Chrypa był najteższym pijanicą z całej gromady, wódkę spijał całemi blaszankami, a wszystek grosz przepuszczał przez gardło do tego stopnia, że kiedy już zabrakło grosiwa w kalecie, to pognął na targ bydlę, lub ostatnią ćwierć ziarna wyniósł, aby tylko dogodzić brzydkiemu nałogowi.

Często mu Jankiel wymawiał pijaństwo i wzbraniał się nawet bez względu na zarobek napełniać kwaterki, bo wiedział,

że tam w chacie żona haruje przy pracy i każdy grosz krwawym zleje potem, że jest jeszcze córka, dla którejby potrzeba na niejeden wydatek, i że troje niedorosłych dzieci chodzi w podartych koszulinkach.

— Ej, żydzie psiawiaro! kiedy płacę, to dawaj i kwita — co tobie do mojej żony i do moich dzieci, żona moja, i dzieci także moje, to mogę z niemi robić, co mi się podoba, — odpowiadał na wszystkie przedstawienia Bartek, i pił dalej bez miary.

— Ny, ny! co z tego będzie? — zobaczymy.

I w istocie nic dobrego nie było. Raz z początkiem lata Bartek zanadto nahulał się przez całą wiosnę, i prawie zupełnie wypróżnił szpichlerz i oborę; nie miał więc już co robić w chałupie, gdzie mu ciągle wyrzuty nad głową robiła żona i gdzie się patrzeć musiał na biedne, głodne dzieci i na smutną córkę Rózię. Związał więc mały węzełek i pewnego poranku, wziąwszy sobie ze starostwa paszport, ruszył nie opowiadając się nikomu na bandos, czyli na służbę za granicę do Rosyi. Na taki bandos wychodzą ludzie z całych powiatów gromadami po stu i więcej obojej płci, aby szukać zarobku przy żniwach u zagranicznych obywateli. W czasie drogi prowadzi ich obrany przez wszystkich przewodnik, a w najbliższem miasteczku za granicą szuka dla nich służby i godzi się wedle umowy na czas kilkutygodniowy do żniw i do innej pracy w polu.

Z taką bandą wyruszył i Chrypa, zakosztował obcego chleba, a szczególnie obcej wódki, którą Moskale dosyć gościnnie częstują bandosów z Galicyi. — W chacie została Bartkowa z dziećmi, opuszczona, zmartwiona tak nagłym zniknięciem męża, który jej pomimo wszystkich wyrządzonych przykrości nie był obojętnym. Jak zwykle w każdym frasunku pospieszyła do Jankla.

— Nie bójcie się, licho nie zginie; jak się podział, tak się i znajdzie — ny, co tu za gwałt? Mówił mi niedawno kulawy Jendruk, że widział waszego człowieka, jak brał paszport w becyrku — pewnie poszedł do Moskali, bo mu tutaj nie smakowała wódka. Nie bójcie się, na żniwa powróci on znowu.

Bartkowa otarła oczy, nieco spokojniejsza, i powróciła do domu pocieszyć strapioną Rózię. — Wzięły się potem obie do pracy z podwójnymi siłami, i po sześciu tygodniach powrócił choć w części dawny porządek do chaty i spokój niezamącony pijaństwem Bartłomieja. — Mówią, że mąż to głowa w domu, ale przecież żona, to ręce domowe. Bartłomiejowa z córką pomimo tego, że były tylko słabe kobiety, bez pomocy, więcej umiały radzić sobie, niż inni mężczyźni; prawda że często zaglądał do chaty młody parobczak Walek, syn bliskiego sąsiada, o którym ludzie mówili, że się trochę zaleca do Rózi, — i pomógł to w tem, to w owem — ale cóż? poczciwy chłopak miał dosyć roboty u ojców, którzy niebardzo chętnie patrzali na uczucia syna dla córki pijanicy, i nie zezwalali dobrym chęciom Walka.

Minęło dwa miesiące od czasu jak Chrypa wyszedł na „bandos.“ Wielu jego towarzyszy popowracało, ale o nim ani słyhu nie było. Aż wreszcie raz późną nocą zastukał ktoś do karczemnego okienka w Zadwórze. Jankiel zbudzony niechętnie wylazł z pod pierzyny i wyglądając małą szybką na zewnątrz, ujrzał człowieka w porządnej płótniance, domagającego się wejścia.

— Może jaki podróżny, pomyślał Jankiel i zapaliwszy świeczkę, wyszedł odsunąć skobel przy drzwiach.

Wieśniak w płótniance, z kosturem na ramieniu, na którym wisiała para podartych butów, wszedł do karczmy i miasto pozdrowienia zażądał wódki. Jankiel przypatrywał mu się pilnie płucząc blaszankę i zdawał się pod szerokim kapeluszem poznawać rysy Bartka, który stał w półcieniu i nakładał sobie małą glinianą fajeczkę.

Z psiprosieniem — zaczął wreszcie ciekawy karczmarz, — czy wy nie tutejszy, Bartłomiej?

— Albo co? — odpowiedział rubasznie ochryłym głosem Bartek — bowiem on to był, który za powrotem do domu, miasto ojczystej zagrody i swoich, najspierw odwiedził karcznię.

— Ot nic, tak z ciekawości zapytałem się. Będzież to się cieszyć wasza kobieta i dzieciów — dodał żyd, — a cóż tam na drngiej stronie słyhać, urodzaje jakie?

— Ba! w zbożu chłopa nie zobaczysz — odparł Chrypa — przytykając kwaterkę do ust, a wypróżniwszy ją jednym łykiem, skrzywił się i splunął, mówiąc: tfu! cóż to za słabizna!

Jankiel spojrzał nań z zdziwieniem i po chwili odezwał się znowu:

— A gdziczeście tak długo przebywali, czy przy robocie ciągle?

— Ej cobym tam miał robić bez ustanku jak wół w jarzmie! Inni to sobie tego pogięli grzbiety, ale ja... zresztą co cię to obchodzi? — odburknął grubiańsko, a wydobywszy ze szmatki pieniądze, zapłacił i odszedł. Jankiel zagasił świeczkę, zamknął wrota i mruzczał coś pod nosem niezadowolony; bardzo czegoś podejrzewał ten długi pobyt Chrypy na bandosie.

Nie opowiem Wam, jak się przywitał Bartłomiej za powrotem ze swoimi, tyle tylko dodam, że przesiadywał odtąd częściej niż pierwej w chacie, i wiele, wiele rozprawiał z żoną w sekrecie, dłużej niż zazwyczaj przypatrywał się rumianej twarzyczce Rózi, i uśmiechał się znacząco i z ukontentowaniem. Wódkę pił jak i pierwej, a może i więcej, tylko że rzadziej upijał się, a od czasu do czasu jakieś tajemne konszachty miewał z parobkami, i dziewczętom kładł w ucho raz w raz jakieś ciche uwagi, i zadawał pytania, na które zakłopotane odpowiadać nie umiały, lub odważyć się nie mogły.

Janklowi często przedkładał sprzedaż gruntu swego i gospodarstwa, wspominając ni to ni owo o zamiarze przesiedlenia się do innej wioski.

Jankiel dziwił się nie mało zmianie w usposobieniu Bartka, co do kupna nie mógł się jeszcze zdecydować, zresztą nie wierzył zupełnie luźnym słowom Chrypy i wyczekiwał końca.

Widocznie coś gotowało się w Bartkowej chacie, a jemu samemu jakieś dziwne myśli powłaziły do głowy; gospodarka z jego powrotem poczęła znowu podupadać, chociaż więcej szanował na pozór dobytek; chudoba chorzała, umarło nawet na zimę dziecko najmłodsze. Kobicisko zaczęło także kwękać, i Rózi pobladły rumieńce. Pomimo tego Chrypa w miarę nieszczęść nie tracił ducha — zdawało się, jakby się wszystko spełniało

nawet podług jego życzeń. — Przyszła wreszcie wiosna, inni gospodarze dawno już powrzucałi zasiew i rozpoczęli roboty w polu; jeden tylko Chrypa siedział bezczynnie, bo prócz ochoty brakło nawet i środków do pracy. W stodole pustki, wszystko gdzieś szczezło i przepadło. Dziwili się sąsiedzi, pytali, ale Chrypa zaciął się i nie odpowiadał. Wreszcie raz z początkiem lata Bartek po długiej i ostatecznej rozprawie z żoną, z widocznem zadowoleniem wyszedł z chaty i podążył wprost do karczmy, a wzięwszy Jankła do bocznego alkierza, powiedział:

— Wicie co? Frycman! Przychodzę w ważnym interesie. Aby wam dużo czasu nie zabierać, powiem bez ogródek; widzicie jak nam się nie wiedzie, nie można już dłużej wytrzymać na własnym chlebie, musimy pójść szukać służby u obcych. Kupcie więc moją chatę i pole, aby było choć z czem wyjść ze wsi.

Jankiel roztworzył gębę, kręcił pejsy, a przymrużając jedno oko, zapytał: a dawno wam już taka myśl przyszła?

— No, kiedy przyszła, wtedy przyszła, odpowiedział unikając wzroku żyda Bartek, to do was nie należy, chcecie kupić, czy nie chcecie? — toż mówcie.

— Więc wy znowu niby na bandos? zapytał niezrażony Jankiel.

— Nie.... to jest, wychodzimy wszyscy, ja żona i córka, ale co wam do tego, chałupy nie dostaniecie taniej.

Frycman myślał, chodził po alkierzu, długo rozbierał całą rzecz, w końcu odezwał się do Chrypy z przedstawieniami, czyby nie lepiej było zostać na gruncie, poszukać we wsi służby na ten rok, zapożyczyć się nawet, może Bóg poszczęści, aniżeli szukać u wrogów przytułku i puszczać się na ślepy traf. Mówił wiele zapalając się poczciwy żydzisko, że grzechem jest rzucać ojczyznę dla jakichś tam widoków, a zwłaszcza u nieprzyjaciela. — Gdy jednak upór Bartka nie dał się przełamać, Jankiel ofiarował się nie kupić na własność cały dobytek, ale pożyczyć nań pewną sumę: bo, mówił, kto wie jak się wam powiedzie, zawsze lepiej, gdy będziecie mieli prawo powrócić pod własny dach.

Ugoda stanęła szybko.

Podczas tego pod kościółkiem drewnianym stała smutna para, Walek i zażawiona Rózia.

— Więc pójdiesz? — pytał chłopak drżącym głosem.

— Ha, cóż robić, tatuś kazali; boję się tylko, by nam to na złe nie wyszło. Moskaliska zakręcili ojcu głowę, bo od czasu, jak od nich powrócił, o niczem z matusią nie gadali, tylko o nich i o bandosie, i chwalili gościnność i bogactwa tamtejsze.

— Widocznie obalamucili starego — mówił Walek — bo i drugich we wsi namania, opowiadając niestworzone rzeczy o dziewczkach dorodnych, którym na wiano dają po dwie chałupy i gruntów straszną moc. Toż kilku naszych wyszło już, a inni się gotują do drogi, tak im się podobała żeniaczka, jakby tu u nas nie znalazł uczciwej żony?

— Oj, prawdę mówisz Waleku, — odrzekła Rózia, — a nawet tatuś naszym dziewczętom doradza bandos, bo powiada, że takich chłopców nie ma na całym świecie, a za robotę to złotem płacą.

Chwilę jeszcze porozmawiali, — i rozeszli się smutni.

Za dwa dni, ułagodźwszy się ze wszystkim, Bartek Chrypa z żoną i córką, zostawiwszy małego synka u sąsiada, bo z krewnych nie miał nikogo więcej we wsi, wyruszył na bandos, za granicę, rzucił chatę i ojcowiznę i szedł wysługiwać się.

We wrotach karczmy stał Jankiel, patrzył za wychodźcami, i jak zwykle kiwał głową milczący, a koło drogi na moście ocierał oczy rękawem Walek, któremu żal ściszał serce za biedną Rózią.

-- Co temu staremu tak zasmakowało po tej drugiej stronie? Gromada dowiedziawszy się o postępkach Chrypy, sarkana bardzo na niego, zwłaszcza, że zapewne skutkiem namowy tegoż bardzo wielu parobków i dziewcząt zląkomionych wyszło z wioski niby za służbą, ale najprawdopodobniej spróbować szczęścia w obczyźnie.

Dobra i pożyteczna jest praca, ale uważać trzeba, z kim i dla kogo się pracuje. Nie z każdej pracy będą kołaczce.

Tak też powiedziec mogli sobie bandosy, powróciwszy do domów zbiedowani, z opuchłemi od ciągłej drogi nogami, a za pasem niosąc kilka groszy mizernego zarobku. Nie tak to dobrze było, jak im Bartek obiecywał. Od najwcześniejszego świtu aż do ciemnej nocy kazano im robić bez ustanku za trochę strawy. O żonie ani pomyśleć, a chaty stały wprawdzie, ale do ich posiadania nie tak łatwo było dojść. Za to w niedziele i święta życie wesole, bo żołnierze, którzy wynajmywani od obywateli tamecznych pracowali razem z bandosami, umieli się zabawić i opowiadać wiele rzeczy — nawet o polityce, tłumacząc, co to jest Moskwa, a car, a Bóg, i każdą rozmowę hojnie oblewali gorzałką.

Dziewczęta jednak więcej się jeszcze zawiodły, wiele powróciło do ojczystej chaty wnosząc ze sobą srom i hańbę jako spuściznę i pamiątkę po bandosie, inne ze złemi zasadami upadły jeszcze niżej, nawet poddały się nałogowi pijaństwa i wytykano je palcami we wsi. Mężczyźni przyswoili sobie wiele zepsucia, nauczyli się przekleństw i bezecnego obejścia, a co najgorsza, przez obcowanie z wielu złymi ludźmi i nieprzyjaciołmi Polski, poczęli zapominać o tem, że są jej synami... ot, i gorsze jeszcze były skutki, o których wolę zamilczeć — dość na tem, że bandos nie najlepsze pozostawił po sobie wspomnienie. Wróćmy jednak do Chrypy.

Minęła jesień i zima, Bartka nie widziano we wsi, ani nie słyszano o nim. Chatę zamieszkiwał Jankieła szwagier, a Walek coraz to pytał się i wywiadywał o Rózię u przybyłych — ale bezskutecznie.

Zima była mroźna, śniegi zawiwały, wszystko tuliło się w ciepłych chatach, na dworze świszczy wicher, sypiąc białe tumany, a po gościńcu do Zadwórczan wlecze się okryta podartą płachtą, drżąca od przeziębienia postać dziewczyny.

Nogi pod nią trętwieją, w piersi zatyka mróz oddech, w koło głucho, ni żywej duszy, tylko krzyż, a na nim wrona przycupnęła.

Ściemnia się już ku wieczorowi, w dali błyszczą światelka, już do wsi nie daleko, ale dziewczynie braknie sił, ciało jej

jak bryła lodu; jeszcze chwila.. a odzyska pół życia przy ciepłym ognisku, jednak niestety!.. nie może iść dalej. Patrzy na krzyż Zbawiciela, z oczu jej potoczyły się łzy i na wychudłym zamarzły licu. Z nikąd ratunku, u stóp więc tego krzyża chce znaleźć pomoc, siada prawie zemdlona, a litościwy wiatr zgartuje na nią okrycie śnieżne. Już życie o mało nie ucieknie do reszty z ciała, a mróz ją jakby szpilkami ścina.

— Boże mój! — wydzwoniły sine usta — muszę... zginąć!

Zdała jakby w odpowiedź doleciały głosy huczne z Zadzórzańskiej karczmy, — ale równocześnie Bóg litościwy zsyła ratunek. Z przeciwnej strony słychać dzwonek.. ktoś jedzie... widać sanie, pędzące konie robią bokami, już, już... koło krzyża mają przebiec.. obaczyły skuloną postać, rzuciły się w bok przestraszone... przystanąły.

Z sani zlął wiekowy mężczyzna, przystępuje bliżej, poznaje dziewczynę i pyta:

— Ktoś ty? — zkąd ty idziesz?

— Ach, jestem... Bartkowa Różia, z tej wioski... i.. idę z ban... dosu — ratujcie!..

Niedługo potem na ciepłej pościeli spoczywała dziewczyna, nabierając nowych sił i życia, a obok stoi Walek z całą rodziną. Boskiem zrządzeniem ojciec Walka powracał ze dworu i znalazłszy biedną Rózię przywiózł ją do własnej chaty.

Tam ją poznali. Nie do opisania było przerażenie i podziw obecnych — wszyscy byli ciekawi dowiedzieć się czegoś, ale daremnie. Różia była zanadto osłabiona, by mogła ich zaspokoić.

Na drugi dzień jednak, przy pomocy dobrych ludzi odzyskała więcej sił i zdrowia, więc gdy się wszyscy dawni znajomi a między nimi i Jankiel, pochodzili, zaczęła opowiadać, jakto ojciec wyprowadziwszy ją za granicę z matką, zmienił swoje postępowanie, jak przyszedłszy do jakiegoś miasta, wysłał ich na robotę, a sam znalazł sobie przyjaciół swoich, chłopów i żołnierzy, pił z nimi dzień i noc, odbierając żonie i córce krwawy grosz, aby go roztrwonić; jak potem jacyś panowie z urzędu przywoływali go do siebie i wypytywali o rozmaite rzeczy, o

ludzi tutejszych, obiecując pieniędzy; mówiła, jak matka robiła wyrzuty mężowi, że nie chce powracać do domu, tylko w jakieś nieczyste sprawy się miesza; jak została ugodzona fiaszką w głowę i odtąd chorowała coraz więcej; aż (tu łzy zalały ją) umarła przed pół miesiącem. Ojciec wałęsał się bez zatrudnienia, namawiał ją, aby poszła za mąż za jednego barczystego Moskala, groził nawet, że ją przymusi. Stało się jednak inaczej, bo po śmierci matki nie ją więcej nie wiązało, uciekła więc z ostatkiem grosza i sił do ojczyzny. Resztę wiecie z poprzedzającego. Wszyscy ubolewali nad nią, nawet rodzice Walka uczuli wielką litość i współczucie dla biednej Rózi

Cóż się dalej stało? Po kilku tygodniach pobytu u nich, odświeżyła się nieco twarzyczka Rózi, przekonali się o jej uczciwości, pozwolili na żeniączkę Walka z Rózią. Odebrali zastawiony dobytek od Jankła, osiedli na gruncie i żyli wzorowo i przyzwoicie. O Bartku zaginęła wieść. Córka tylko, a później i wnuki modliły się za nim do Boga, aby mu przebaczył i opamiętał go.

K. Bor.

K o t o r.

Miasto Kotor położone na ostatniej krańczynie państwa austriackiego, w kraju Dalmacji, nad morzem adriatykiem czyli sinem. Opiera się o skałę 900 stóp wysoką, na której szczycie stoi zamek warowny. Ramiona muru, opasującego zamek, spadają wzdłuż skały i otaczają miasto. Mur ten do 10 stóp wysoki, stanowi obronną tarczę dla miasta, i nieraz to o niego rozbiły się napady nieprzyjaciół.

Przystań (t. j. miejsce gdzie okręty wypoczywają) Kotoru jest najlepszą i największą nad morzem adriatykiem. I dlatego to ciągle były kłótnie i wojny między sąsiednimi państwami o to, kto ją ma posiadać. Należała to do Wenecji, to do Turcji to wreszcie obecnie należy do Austrii.

Dawniej było to ludne i wspaniałe miasto — dziś małe, ubogie, opuszczone, zaledwie kilka tysięcy liczy mieszkańców. Ustawiczne wojny państw sąsiednich i napady Czarnogorców,

którzy rabowali i zabijali mieszkańców, doprowadziły je do zupełnego upadku.

Dziś wojny ustały, a Czarnogórcy przychodzą spokojnie po proch, strzelby, kule i inne rzeczy, a za to przynoszą jarzyny, surowe mięso i drzewo,



K o t o r .

Ziemia w okolicy nieurodzajna — do tego mgły i burze ustawiczne nie sprzyjają uprawie roli. To też Dalmatyńcy siadają na łodzie, puszczają się na morze, aby rybołostwem na życie zarobić.

Mieszkańcy Kotoru i okolicy mówią językiem podobnym do naszego. Mieli oni takie prawo, że ich nie wolno było do wojska brać, a za to służyli na okrętach.

Chciała im rada państwa odebrać to prawo, boć każdy powinien bronić kraju swego, ale Kotorczycy się oparli, prowadzili nawet wojnę w roku zeszłym — i w końcu dla miłej zgody zostawiono im to prawo, boć to ich jest nie bardzo mało i wieleby tam przybyło żołnierzy choćby i wszystkich zabrać.

Złoty kubek.

W szarem polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liśćcami.

Aniłowice przylecieli
W porankową cichę porę
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie wiedział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.

Pan Bóg łaskaw na sierotę —
Przyleciała z nad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika:

— Złotniczeńku! zrób mi kubek,
Tylko proszę zrób mi ładnie,
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie.

— A po brzegach na około
Liść przeróżny niech się świeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci.

— Ja ci zrobię złoty kubek
I uleję wszystko ładnie
Zamiast uszka ptasi dzióbek
Twoją matkę zrobię na dnie.

— A po brzegach na około
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach małe sioło
A pod spodem małe dzieci;

Ale czyż ręce, czyje
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije
Komu damy kubek złoty?

Kto się w dłonie wziąć ośmieli,
W złotem denku przejrzeć lice?

— Sam Pan Jezus i anieli
I Maryja i dziewice!

Złotniczeńku patrz weselej
Czemu twoje w łzach źrenice?...
Sam Pan Jezus i Anieli
I Maryja i dziewice.

Teofil Lenartowicz.

Kościół św. Floryana na Kleparzu w Krakowie.

Dwaj gazdowie, co to byli w kościele świętego Jana i dowiedzieli się o żelaznych okowach, szli sobie przecznicą do ulicy floryjańskiej. Wtem spotkali w drodze dziadka.

— Niech będą pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! A z kąd was Bóg prowadzi, mili ludzie?

— Oj z daleka, mój dziaduniu, aż od Nowegotargu..

— A co tu u nas porabiacie?

— Oto widzicie — mówili gazdowie — przybyliśmy tu za różnemi sprawami, a właściwie na odpust, a teraz chodzimy sobie po różnych miejscach, aby zwiedzać ciekawe rzeczy, bo jak przyjdziemy do domu, to nas będą pytać ludzie, cośmy też pięknego wiedzieli w Krakowie, o którym cuda sobie opowiadają..

— A widzieliście bramę floryjańską?

— Nie widzieliśmy, dziaduniu dobry! A czy tam jest co ciekawego do widzenia?

— Jakżeby można być w Rzymie a nie widzieć papieża, być w Krakowie a nie widzieć bramy floryjańskiej?.. A toć ja siaduję pod bramą floryjańską, bo tam we framudze jest cudowny obraz Matki Boskiej pogornej.

Rozciekawieni gazdowie idą za nim i stanęli na ulicy floryjańskiej:

— Patrzcie przed siebie! Oto widać bramę floryjańską, w której już 342 lata słygnie Najświętsza Panna! Chodźcie zemną, ja was tam zaprowadzę i opowiem, co mam o niej w pamięci mojej.

Spojrzeni gazdowie i obaczyli wysokie baszty, niby wieże. I patrząc w nie ciągle, postępowali zwolna za dziatkiem. A gdy byli blisko bramy, ujrzeni nad nią na murze baszty wyrzeźbioną postać świętego Floryjana w pancerzu, chelmie i z chorągwią, gaszącego ogień.

Wtem wprowadza dziadek gazdów pod bramę i pokazuje po lewej stronie obraz Najświętszej Panny we framudze, ślicznie ozdobiony, a wyglądający jakby ołtarz jaki.

Gazdowie uczuli jakieś dziwne wzruszenie. Mimowoli złożyli ręce i w gorącej zatopili się modlitwie.

Po chwili odzywa się dziadek:

— Obraz ten wslawił się cudami, a dawniejszemi czasami, gdy powstał pożar, a ugasić go nie było można, wynoszono go na owe miejsca, gdzie się paliło. Co rok odprawia się na tę pamiątkę nabożeństwo w kościele świętego Floryjana na Kleparzu w 1. niedzielę przewodnią po Wielkiej Nocy.

— A gdzie to ten kościół? — zapytali gazdowie.

— Ztąd niedaleko — Ja was tam zaprowadzę, ale pierwej warto przecie posłuchać o bramie floryjańskiej. Dawniej był Kraków troistemi murami otoczony; miał wały i głębokie parowy, w czasie wojny napełniane wodą, a wiele bram prowadziło do miasta. A co już brama floryjańska, ta była najpiękniejszą ze wszystkich. Piszą w kronikach, że żaden zdobywca Krakowa nie mógł zdobyć tej bramy, chociaż podczas wojen nie raz doznała uszkodzenia. A dnia 22 czerwca 1768 r. jak sobie dobrze pamiętam, zdobywało ją wojsko moskiewskie, i w tym to czasie padł generał moskiewski Panin, którego Oraciewicz zastrzelił guzikiem, nie mając kuli. Nastaly czasy, że zniszczono wszystkie mury, a zacny i poczciwy pan Straszewski na ich miejsce w około Krakowa urządził drzewami obsadzone przechadzki, które zowią plantacyami. Została się tylko samiutka brama floryjańska jako niemy świadek dawnej przeszłości naszej. Ale bo też gdy Kraków liczył 72 kościołów, prowadził znakomity handel, a miłościwi królowie polscy mieszkali na wawelskim zamku — wtedy brama ta znacznieszą odgrywała rolę. Przez nią to bowiem wjeżdżali do starożytnego grodu królowie, książęta, hetmani, wodzowie nasi i zagraniczni, biskupi, lubo i dzisiaj przejeżdżają przez nią cesarze i inni dostojni mężowie, ale dla bramy tej zmieniły się już czasy... Dzisiaj przewożą tędy umarłych na cmentarz, — jest ona jakby bramą do wieczności!..

I zadumał się stary dziadowina, co sam świetniejsze zapamiętał czasy; westchnął głęboko i oczy zrosił łzami.

Wtem odzywają się gazdowie, aby dziadkowi wybić smutne myśli z głowy:

— A dlaczego się ta brama nazywa floryjańską?

Na to powie dziadek:

— Tego, moi kochani, nikt z nas nie wie, ale jak sobie ja tłumaczę, pewnie od kościoła świętego Floryana na Kleparzu.

Chodźmy więc do niego, bo to niedaleko!

I idą gazdowie za dziaduniem, aż niebawem przeszedłszy rynek Kleparski, stanęli przed kościołem. Szczęściem był otwarty. Weszli do środka, pomodlili się pięknie, a potem oglądali dawne pamiątki.

— Widzicie te piękne rzeźby — mówił dziadek wskazując im pierwsze filary od drzwi głównych. — Są one roboty Wita Stwosza, owego słynnego rzeźbiarza, który zrobił wielki ołtarz w kościele Panny Maryi, a przedstawiają sceny z żywota św. Jana Chrzciciela i św. Jana ewangelisty. A teraz patrzcie pod sklepienie. Wisi chorągiew; pochodzi ona z Rzymu. Zrobiono ją na obchód kanonizacji świętego Jana Kantego.

I chodzą po kościele ciekawi gazdowie i oglądają nagrobki.

— A kogo to przedstawiają te osoby tu namalowane? pytają dziadka.

— O moi kochani! — mówił dziadek — są to sami księża, którzy byli przy tym tu kościele. A byli sami prałaci, kanonicy i profesorowie, bo taki był przywilej Władysława Jagielly. Posag tego kościoła był wielki, a prawo nadawania księży miała akademija

Gazdowie podumali chwilę, potem wyszli przed kościół, aby się mu zewnątrz przypatrzeć!

— Kościół, jak widzicie, stary i piękny, kilka razy był pożarami zniszczony. W 1528 roku zgorzał Kleparz, a wtedy nad kościołem widziano św. Floryana jak się unosił, a gdy zniknął, natychmiast ustał ogień. A możecie ciekawi wiedzieć, jakim sposobem powstał ten kościół?

— O pewnie, żeśmy ciekawi, dziaduniu dobry! — powiedzieli gazdowie, — toć opowiedzcie nam wszystko, co tylko wiecie.

— Było to onego czasu, gdy w Polsce panował bardzo dobry i poczciwy król Kazimierz, zwany dlatego Sprawiedliwym, a biskupem krakowskim był natencz Gedeon. Uradzili noi między sobą, aby pisać do papieża i prosić go o udzielenie

relikwii jakiego świętego dla Polski. Jak pomyśleli, tak i zrobili. Piszą prośbę do Aleksandra III., papieża, ale ponieważ ten umarł właśnie w tym czasie, piszą drugi raz do Lucyusza III. papieża. Przyjął chętnie ich prośbę, idzie więc do takiej kaplicy, w której spoczywają zwłoki świętych mężów. Przychodzi najprzód do świętego Wawrzyńca i pyta:

— Święty Wawrzyńce, czy chcesz pójść za patrona do Polski?

Ale Wawrzyniec święty odwrócił się na te słowa. Idzie tedy do świętego Szczepana i znowu go pyta. Ale i on uczynił tak samo. Przychodzi nareszcie do świętego Floryjana i odzywa się do niego:

— A ty chcesz iść do Polski?

Święty Floryan zezwolił i skinął ręką. Dano więc znać do Polski, że zwłoki świętego Floryana wysłano już z Rzymu. Wieziono je z wielką czcią i okazałością. Dowiedziawszy się dobry król z Gedeonem biskupem, że są już niedaleko od Krakowa, wyruszyli z największą uroczystością na siedm mil od miasta naprzeciw, a z nimi szło duchowieństwo i niezliczone tłumy pobożnych ludzi.

Przybyli wreszcie na Kleparz. Jak daleko i szeroko dojrzałeś okiem, wszędzie pełno było ludzi z różnych stanów, a księży, tobyś za dzień nie policzył. Z wszystkich kościołów dochodziły głosy dzwonów, a pieśni pobożne wstrząsały powietrze. Aż tu na tem miejscu, gdzie teraz stoi kościół, przystanął wóz, na którym spoczywały święte zwłoki, a to tak silnie, że żadna moc ludzka nie była zdolna poruszyć go z miejsca.

Wtedy rzekł król do zdziwionego duchowieństwa:

— Widać, że święty nasz patron szczególniej upadobał sobie to miejsce i tu zapewne żąda, aby go złożono. Uczynmy więc zadosyć woli Jego!

Jakoż uczyniono tak jak mówił król. A stało się to roku pańskiego 1184.

Wnetci zwołał król dobry z biskupem Gedeonem majstrów z różnych stron kraju, aby co prędzej stawiali kościół. I stanął niebawem na tem miejscu ten wspaniały dom Boży, jaki widzimy obecnie, choć w ciągu wieków uległ niektórym zmianom.

— Tak widzicie, moi ludzie! — święty Floryan został patronem polskim, a szczególnie Kleparza Kościół dzisiaj ogłasza chwałę przeszłości naszej, a zwłoki świętego męczennika w nim zachowane, dowodzą najwyraźniej, jak Bóg najdobrotliwszy opiekował się ziemią polską.

Polecajcie dobrzy ludzie domostwa wasze opiece tego świętego patrona, a ponieważ strzeżonego pan Bóg strzeże, ubezpieczajcie chaty wasze w towarzystwie ubezpieczeń od ognia, które właśnie jest tu na Kleparzu i ma godło swoje z wyrażeniem świętego Floryana.

— Dziękujemy wam pięknie, dziaduniu dobry, za pocziwe słowa i przyjmijcie od nas skromny datek, na jaki nas stać podróżników.

Józef z Bochni.

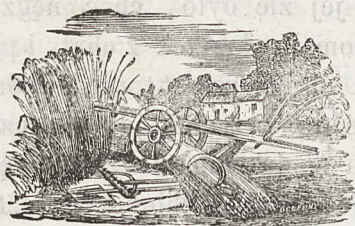
Rozmaitości.

Wiktor hr. Komorowski.

Mieliśmy już wielu dobrych i zacnych panów i dziedziców w naszej Polsce, co to dla biednego ostatni grosz ofiarowali, co nie opuścili nikogo i żyli jakby sami dla siebie nic nie potrzebowali i nie chcieli, ale aby tylko biednemu dopomóż. Jeszcze przed rozbiorem Polski byli tacy, co chłopków uwolnili od pańszczyzny, inni darowali im ogromne swe dobra, inni znów pomagali w szkołach ich dzieciom. Ot i teraz niedawno, w listopadzie b. r. zmarł w Królestwie polskiem w powiecie Kieleckim Wiktor hr. Komorowski, dziedzic dóbr Nieszkowa Słaboszewa, Wymysłowa i Kropidla. W testamencie zapisał 66000 (sześćdziesiąt sześć tysięcy) złotych polskich na zapomogę dla biednych chłopków swoich wiosek. Z tych pie-

niędzy ma być wybudowany ogromny szpichlerz i zakupione zboże, a w czasie — czego Boże niedopusć! przednowku lub moru, każdy może ztamtąd czy to wypożyczać, czy to jeżeli nie może oddać, wziąć zapomogę. Oprócz tego z procentów oł tych pieniędzy ma być utrzymywany lekarz i zakupowane lekarstwa dla chorych w tych wioskach. Rozporządził dalej nieboszczyk, aby dawać nagrody dla tych chłopków, co wzorowo i mądrze gospodarują, pięknie i podług nauki hodują bydło i pszczoły. pielęgnują drzewa owocowe, słowem co się w gospodarstwie nauką i pracowitością odznaczają. Na ostatku trzej pracowici, uczeni i wysłużeni gospodarze, co to już dalej pracować nie mogą, mają otrzymywać wsparcie na starość. — Cześć jego pamięci!

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZWIONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sieroty.

W odludnej okolicy, wśród gęsto zarosłego lasu, stała chatka gajowego Marcina. Okrutny to był człowiek: pijak, hałaburda, wszystko wynosił do żyda na wódkę — a tu w domu żona biedna, wynędzniała od pracy, schorowana, cierpiąca, wlokła życie nieszczęśliwe na tej strasznej pustyni, oddalonej od ludzi. Biedne kobiecisko marniało już tak od pięciu lat.

Za cały dobytek już tylko jedna została koza, trochę ziemniaków i warzywa w ogródku. A przecież, kiedy się pobrali, wszystko było w domu: para koników, dwa wozy, krowy, owce, cielęta i trzoda. Hust i przyodziewy miała Marcinowa wtenczas podostatkiem, ponieważ pani sama we dworze ją wychowywała i lubiła bardzo, bo potulne i pracowite było dziewczątko. To też i z podarunków i zapobiegliwością i oszczędnością, uzbierało sobie dziewczę szat pełną skrzynię i cwancygierów srebrnych kilkadziesiąt.

Nawinał się gajowy — zdawało się stateczny człowiek — ujął sobie Marysię, a choć pani nie pozwalała z początku, bo ją chciała na grunt wydać, musiała w końcu ustąpić, bo wychowanka się uparła, mówiła że kocha gajowego, że bez niego żyć nie może, że się woli utopić niż iść za innego. Cóż było

robić — wyposażyła pani wychowanek swoją Marysię, pobłogosławiła, i wkrótce odbyło się huczne weselisko.

Później, choć jej źle było, choć nędza dokuczwała, choć mąż bił, wynosił pomału dobytek z chaty i przepijał, nie narzekała nieboga przed nikim, nawet przed dobrą panią nie śmiała się poskarżyć; boć to przecież jej własna wola, boć mimo upomnień zgotowała sobie sama los nieszczęśliwy.

Dał Bóg dwoje dzieci; chłopczyzna czteroletni, dowcipny, rumniany, rósł zdrowo i ładnie, mimo nędzy i niedostatku.

Dziewczynka zaledwie kilka miesięcy mająca, tuliła się do zeschniętej matczynej piersi. A tu w domu ani grosza, i mąż gdzieś od kilku tygodni wyszedł.

— Matusiu — matusiu, jeść dajcie! — jeść mi się chce bardzo — matusiu ja głodny, i matusia także.

— Boże, mój Boże! cóż ja pocznę nieszczęśliwa?!

Boże zlituj się nademną! cóż ci winny niewinne dzieci, że je tak karzesz srogo?...

— Matusiu moja droga, idź do Pani we dworze — ona taka dobra, taka litościwa — ona wam da jeść — a może i chleba bocheneczek — może i koszulkę.

— Bóg Cię natchnął, kochany Jasiu — pomódl się, podziękuj za dobrą myśl twoją. — Ja wybiegnę tymczasem do ogródka — może jeszcze choć kilka ziemniaków gdzieś się nawinie — choć to już późna jesień, i pamiętasz, żeśmy wszystko skopali.

Wzięła motykę — wybiegła do ogródka — i pilnie, gorączkowo, poczęła przewracać ziemniaczysko. I w istocie — Bóg się ulitował — znalazło się kilkanascie dość sporych ziemniaków, wkrótce i objad był gotowy, i sól gdzieś na murku od pieca w papierku się znalazła.

Posilił się Jasio kochany — boć matka, choć jej głód ścisnął wnętrzości, zaledwie dwa ziemniaki spożyła, aby Jasio nie płakał.

Po południu puściła się nieboga w drogę. Wiatr silny, mroźny, przejmował do kości źle otuloną i odzianą Marcinową, a choć macierzyńska miłość dla ukochanych dzieci naprzód ją popychała, toć wkrótce uczuła wielki ból w nogach — osła-

bienie w całym ciele — i dalej nie mogła ruszyć ani kroku. A tu do dworu jeszcze daleko, a do chaty tak bliźutko. W oczach poczęło jej migotać, głowa się zawracała i po chwili z okrzykiem: Boże mój! dzieci moje! — upadła bez pamięci na ziemię.

Zimny, drobny śnieg, co niedawno upadł na ziemię, ocucił ją z zemdlenia — otworzyła oczy — chciała się podnieść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa i upadła znów na ziemię. Już nic nie mówi, nic nie czuje, tylko postać dzieci biednych stoi jej ciągle przed oczyma. Wypoczęła chwilę, dobyte ostatnich sił i z wielkim trudem zawłokła się do chaty, uścisnęła dziatki, wzniosła ręce do nieba — jakby błagać chciała o pomoc i litość nad nimi — i upadła na słomę. Niedługo, umęczona cierpieniem i głodem — westchnęła jeszcze raz, i dusza jej uleciała do nieba.

Jasio tulił się do niej, bo myślał, że spi, a niemowlę płakało z głodu w kołysce.

Kiedy po niedługim czasie i Jasiowi głód począł dokuczać, chciał zbudzić matusię, całował ją po rękach, ruszał, cucił, ale nic nie pomogło. Rozplakał się na dobre, i nie mógł się długo utulić. Wreszcie unużony położył się obok mateczki — poobtulał się płachtą i płocianką, i zasnął.

Nad ranem, świtem, obudził go płacz niemowlęcia w kołysce. Przetarł oczy, uczuł się nieco rzeświejszym i budził matulę — ale napróżno. U progu spoczywała koza z nabrzmałymi wymionami. Jasiu jakby cudem jakimś orzeźwiony — popatrzał chwileczkę, z radością wyjął z kolebki siostrzyczkę, przysadził do kozy, i sam nie wiele się namyślając, ustami począł wysysać mleko. Koza nie broniła się wcale — owszem zdawało mu się, że jej to sprawia przyjemność.

Siostrzyczkę obmył, wsadził do kołyski, otulił jak mógł i uspił, a sam począł się krzątać po izbie. Zapalił na kominku, zamiótł izbę i nad ranem wypuścił kozę do ogródka. Kiedy się już rozwidniło, wybiegł za chatę do lasu i szukał liści zielonych dla kozy. To znów powracał do domu, cucił matusię, tulił siostrzyczkę i rozgrzewał się u kominka.

Ku południowi niezwykle daleko odbiegł od chaty. Usłyszał gdzieś w lesie ujadanie psów, zrobiło mu się przykro

i żałośnie na sercu i rozplakał się bardzo. Psy się zbliżały, wreszcie tuż obok niego przemknął zajęc, a za nim legawce. Przeląkł się jeszcze więcej, chciał biedz do chaty, ale nożęta mu się trzęsły — więc usiadł pod drzewem i szlochał.

Nadeszli myśliwi a na ich czele pan lasu i pobliskiej wioski. Dziedzic zobaczył pacholę, jak skulone na ziemi trzęsło się od zimna i szlochało. Wypytywał je, co mu takiego, ale Jasio wystraszony nieznajomymi ludźmi, boć w lesie rzadko kogo widywał, wyszczebiotał kilka słów, mało zrozumiałych, z których ów myśliwy zaledwie tyle odgadł, że matusia spi, a on dobudzić się jej nie może.

Utulili chłopca myśliwi, i za jego przewodem ruszyli do chaty gajowego. Kiedy weszli, widok okropny przeraził ich oczy. Na barłogu leżał trup Marcinowej, straszny, zczerniały, w kołysce dziewczynka wynędzniała, zaledwie dosłyszonym głosem płakała, bo już jej i sił i tchu brakowało. Jasio rzucił się ku matce, i nuż ją całować, nuż wołać i cucić. Łzy stanęły przytomnym w oczach.

Dziedzic wioski dumał przez chwilę. Na twarzy jego malowało się dziwne jakieś wzruszenie i myśl pocziwa. Kazał zajechać furmance, co wiozła jadło dla myśliwych — chłopca nakarmił, dziewczynę okryto na wozie czem było można, i wszyscy zaraz wyruszyli z polowania z powrotem do dworu.

Jeszcze tego samego dnia zajechał wóz do chaty leśnika, wieśniak zabrał Marcinową do wioski — ułożono ją w kościele na katafalku, zrobiono na prędce trumnę i zaraz na drugi dzień odbył się wspaniały pogrzeb kosztem dziedzica.

Rozgłosiła się w wiosce pogłoska, że żona gajowego z głodu umarła — a dzieci jego zapewne wilki zjeść musiały, bo ich w chacie nie było. Dziedzic zaś zakazał wszystkim, co byli z nim w chacie leśnika, aby nie mówili nic, że dzieci zabrał z sobą. Słudzy ze dworu myśleli, jak im opowiadano, że sieroty, to dzieci jakiegoś dalekiego i ubogiego krewnego dziedzica, które pan na wychowanie przyjął. Chciał pan przez to ukarać pijanicę, który żonę swoją głodem zamorzył.

Coś w tydzień, w nocy, pijany gajowy zapukał do okienka swej chatki. Puka coraz głośniej, nikt nie odpowiada — klnie

coraz okropniej — dobywa się do drzwi, bluźni Bogu — odgraża się żonie — a wreszcie siekierą, którą zawsze nosił przy sobie, rozbija zamek i z wściekłością wpada do środka. Zaświecił siarnikiem — patrzy... nic nie widać — rozpalił szczepy (smolaki) na kominku — obchodzi wszystkie kąty, krzyczy — przeklina. Dreszcz zimny przeszedł go aż do szpiku kości — dokoła pusto i głucho — nigdzie ni żywej duszy, kilka ździebeł barłogu rozrzuconych po izbie. Umilknął — włosy dębem stanęły mu na głowie, czemprędzej zatrzasnął drzwiami i wybiegł jak strzala na drogę — i biegnie, i biegnie co tchu, i ucieka jakby śmierć za nim gonila. I zdaje mu się, że coś tam z chaty woła na niego. „To tyś zabił żonę własną, tyś dzieci twoje wydał wilkom na żer.“ To znów ręką bierze się za głowę, bo myśli, że go dziki zwierz szarpie, to wreszcie niemowlę zdaje się wyciąga do niego rączkę o ratunek, a tymczasem dziki zwierz porywa je i zajada. Marcin biegnie i biegnie, pot cieknie z niego kroplami — a on nie ustaje — a w uszach brzmi mu ciągle: tyś zbójca! tyś zbójca!

Wreszcie dobiegł do karczmy na początku wioski, wpadł do izby — i dopiero teraz spojrzął po za siebie, bo pierw nie miał odwagi. Usiadł w kącie zadumany, zmęczony, jakby go kto zbił najokropniej. Nic nie mówi, nic nie odpowiada, choć go pytają sąsiedzi — on nic nie słyszy. Kazał sobie podać pół kwarty wódki — wychylił ją prawie duszkiem, i wkrótce potoczył się pod ławę, i zasnął snem pijaka bydlęcia.

Kiedy nad rankiem przebudził się nieco trzeźwiejszy, wybiegł natychmiast z karczmy, aby przynajmniej dowiedzieć się od sąsiadów, czy nie wiedzą, co się stało. Opowiedzieli mu, że Marcinową pochowano niedawno, że umarła z głodu, ale o dzieciach nikt nie powiedzieć nie umiał. Mówili, że je zapewne wilki zjadły. Kazali mu iść do dworu. Ekomon wypłacił mu resztę pieniędzy do roku i rozkazał szukać gdzieindziej chleba, bo już na jego miejsce jest inny, a Pan nie chce mieć gajowym takiego bezbożnika. Marcin zgarnął pieniądze do kalety i ruszył do karczmy napowrót. Póki grosza starczyło, pił bez upamiętania, aby zalać robaka, co go gryzł ustawicznie — a w końcu wyrzucił go arendarz na śmiecie, bo już nie miał

czem płacić. Poszedł Marcin z wioski o żebranym chlebie, gdzieś w dalekie strony, i słuch o nim wkrótce zaginął.

Tymczasem we dworze Jaś i Marysia chowali się zdrowo, z dniem każdym co raz ładniejsze, rzeźwiejsze, weselsze. Jasio z początku nieśmiały, wołał często matusi, płakał nawet za nią, ale wśród nowych uciech wkrótce o niej zupełnie prawie zapomniał. Po dwu latach już i czytać się począł uczyć, a poj-
mował wszystko bystro i prędko. (C. d. n.)

Krakowiak Zosi.

Świeci miesiąc, świeci, a przy nim gwiazdeczka
Jestem sobie jedna u matki córeczka :
Jedyna córeczka i dobra dziewczeczka,
Niech powie miesiącek, niech powie gwiazdeczka.

Gdym sobie raz spała, aniołkam widziała,
Mówił mi aniołek, bym matkę kochała;
Skoro się Zosieńka ze snu przebudziła,
Pobiegła do matki, matusię pieściła.

O gdybym ja miała którą z tych gwiazdeczek !
Zrobiłabym mamie na główkę wianeczek:
Niechby ją zdobiły, niechby jej świeciły,
Gdyby te gwiazdeczki wszystkie moje były.

Adam Mieczynski.

— A ja wam powiadam, mój Macieju, — mówił Bartek Kowacz — że gospodarki uczyć się nie trzeba z książek. Toć przecie nasi ojcowie gospodarowali bez książki i nauki, i dobrze im się powodziło. I zboże się rodziło gęste jak las, i wysokie, żeś człeka w niem nie zobaczył, i kłosa grube jak. palce i plenne tak, żeś ziarna policzyć nie mógł.

— Oj co prawda, to prawda — Pan Bóg pierwaj błogosławił więcej ludzi, boć nie byli tak jak teraz chciwi i złośliwi.

Potwierdzali to gospodarze wszyscy, zebrani u Macieja w niedzielę na imieniny. Ale Maciej, mądry nie lada, co to

nie z jednego pieca chleb jadał za młodu, i nie jedno widział, i nie w jednym kraju przebywał, potrząsał tylko głową i uśmiechał się podczas tej gadaniny. A w końcu przemówił.

— Toć kiedy naszą Polską rozbierali niedobrzy sąsiedzi, nie było w Poznańskim księstwie ani jednego Niemca, a teraz to ani ich policzyć nie można, i mówią nam nawet, że to ich kraj i ziemia, a nasi bracia Mazurzy — mój mocny Boże! — jedni uciekli przed biedą aż do Ameryki, a drudzy, co to dawniej mieli własną rolę i chudobę, służą u Niemców za parobków. A wiecie jakim się to stało sposobem? Oto przez naukę i lepszą gospodarkę niemiecką. Niemczyska wiedzą o tem dawno bardzo dobrze, że nauka i książka i do gospodarki wiele pomoże. Toć, chociaż nasza ziemia urodzajniejsza, dzięki Bogu, choć lepsze wydawała plony — oni nauką i pracą poprawili swoje role, tak że lepiej im się zboże rodzi, nauczyli się wiele rzeczy, o których nam się ani nie śniło i z roli każdej więcej potrafią, wydobyć pieniędzy jak my, co to nie chcemy słuchać mądrzejszego. A w wielkiem księstwie Poznańskim płacili grubo za grunta, bo umieli z nich korzystać. Jaki taki ucheywił się na pieniądze, sprzedał chatę i rolę, bo myślał, że gdzieindziej więcej za to gruntu dostanie. I tak pomału, w kilkunastu latach, wykupili Niemcy całe wioski, co niegdyś do naszych należały chłopków, a ci poszli z torbami. Tak się stanie i z nami, jeżeli się nie weźmiemy do nauki. Nasze role, nasze pola, wykupią Niemcy i żydzi — a my będziemy im służyć jako parobcy, albo błąkać się po cudzych krajach. Boć to teraz na świecie tak się dzieje, że nie mocniejszy słabszego, ale mądrzejszy zwycięża i bije głupszego.

Toć przecie i u nas poznaliśmy, co to znaczy mądrość i nauka. Już teraz nie zobaczysz prawie nigdzie dawnego pługa, tylko żelazny niemiecki, bo jest i lepszy i nie tyle koni do niego zaprzęgać potrzeba, i wozu dawnego jeszcze tylko na Rusi używają — a u nas wszystkie na żelaznych osiach. A nikt nie mówi, że nasi ojcowie jeździli na drewnianych, więc i my tak jeździć musimy — bo widzi, że taki wóz i pług jest o wiele lepszy. A ileż to jeszcze jest rzeczy dobrych, a my o nich nawet nie słyszeliśmy.

— Macie słusznosc Macieju, odpowiedzieli gospodarze, aleć Bóg więcej nas błogosławił, jak teraz.

— Nie przeczę, że błogosławieństwo Boże potrzebne jest zawsze i wszędzie — aleć Bóg próżniaków ani pijaków nie wspiera, on dopomaga tylko temu, kto sobie sam chce dpo-



Adam Mieczyski.

módz. On to powiedział: „W pocie czoła pracować będziesz“ — a w innem miejscu mówił: Bądźcie doskonałymi jak ojciec wasz w niebiesiech jest doskonałym“. Znaczy to, że mamy poznawać jego dzieła, mamy się uczyć, aby się stać godnymi nazwy człowieka. Pracą i nauką bogacą się narody — powiedział mędrzec, a teraz wszyscy ludzie już to poznali. Ale powracam do opowiadania.

Kiedy nasi zobaczyli, że i w gospodarce nauka potrzebna, kiedy wielu utraciło majątek i sposób do życia, wtedy szlachetniejsi ludzie poczęli myśleć nad tem, aby i u nas zaprowadzić lepszą gospodarkę, aby i u nas wiedzieli ludzie, jak to można mieć większe zyski z roli i nie dać się przywłokom z końca świata bogacić. Jedni zakładali szkoły rolnicze, drudzy zawiązywali towarzystwa rolnicze, aby się tym sposobem wzajemnie nauczać gospodarki. Inni znów, co się wyuczyli za granicą, chwycili za pióro i nuż opowiadać za pomocą pisma ludziom, jak to można nie dać się przybyszom i lepiej niż dotąd uprawiać rolę.

I wielu już, bardzo wielu, pracowało nad tem — a my o nich prawie nic nie wiemy, choć mądrzejsi wiedzą dobrze. Ale nie będę wam o wszystkich opowiadał, boć tego i do jutra bym nie skończył, wspomnę tylko o Adamie Mieczynskim (obacz obrazek) co to mieszka w Warszawie i wydaje pismo: „Gazetę rolniczą“. Urodził on się w wiosce Cibory w Królestwie polskiem, kończył szkoły łacińskie w Płocku, a następnie przebywał w rozmaitych szkołach rolniczych, i u wzorowych gospodarzy na praktyce. Poznał się z Michałem Oczapowskim najslawniejszym pisarzem o rolnictwie i wzorowym gospodarzem, i od niego również wiele się nauczył. Miał już rozmaite posady, wielce zyskowne i dobrze płatne — przyczynił się wiele do podniesienia gospodarstwa, a teraz osiadł w Warszawie i wydaje, jak już wspomniałem, „Gazetę rolniczą.“ Prócz tego wydał on jeszcze dla gospodarzy następujące książki:

Pszczolnictwo polskie, w Warszawie r. 1857 i 1862 drukowane			
Rzeczy gospodarskie	„	1857	„
Rolnik początkujący	„	1859	„
Dobry pszczolarz	„	1859	„
Zasady leśnictwa	„	1860	„
O poznawaniu mleczości krów		1866	„
Kalendarz ludu polskiego, Kalendarz domowy, Kalendarz rodzinny, które w ogromnej liczbie rozchodziły się po całej Polsce, i wiele innych dzieł.			

Toć nietylko w kraju, ale i za granicą uznali ludzie jego pracę i rozmaite towarzystwa starały się, aby został ich honorowym członkiem.

Tak to, powtarzam wam jeszcze raz, i w gospodarstwie nie tylko praca, ale i nauka potrzebna, a tylko ten wyjdzie dobrze, kto i jedno i drugie posiada.

— Mądrze mówicie Macieju, odezwał się Wojciech Dyląg, aleć to dla nas już pono i za późno się uczyć.

— Lepiej późno, jak nigdy, odpowie Bartek Kowacz — a inni gospodarze potakują mu kiwając głowami. — Oj toć u nas jeszcze pół biedy — choć może być gorzej — aleć to w tem Księstwie naprawdę Niemcy naszych z torbami chcą puścić. Teraz to rozumiem śpiewkę, com ją jeszcze od niebożki matki słyszał:

Przyszli Niemcy do kraju

Według swego zwyczaju,

Z cielęcami torbami

A teraz są panami.

Daj Boże! — aby się i nam tak nie stało jak nieszczęśliwym naszym braciom — a nie stańcie się z pewnością, skoro pracować i uczyć się będziemy.

— Daj Boże, Daj Boże! — powtórzyli wszyscy zgromadzeni u Macieja gospodarze.

T e a t r.

W wielkich miastach są gmachy wspaniałe, co się nazywają teatrami. Tam to ludzie wyuczeni do tego, przedstawiają różne historie z życia ludzkiego, na pożytek, naukę i zabawę zgromadzonych. Jest to bardzo przyjemnie i pożytecznie przypatrywać się takim przedstawieniom, boć nie człowieka lepiej nie uczy, jak życie ludzkie. A tam widzi on właśnie, jak to ludzie między sobą żyją, jak się kochają, nienawidzą, mszczą, zazdroszczą sobie wzajemnie i chwalą się czasem niepotrzebnie.

Jeden z nauczycieli wiejskich, niejaki Michał Solakiewicz w Mędrze

chowie, napisał taką powiastkę z życia naszego ludu, a dzieci szkółki w Mędrzechowie wyuczyły się ją na pamięć i przedstawiały ją często w obec licznie zgromadzonych i chłopków i dziedziców z okolicy. A że to nie raz u nas podobne zdarzają się historie, że urlopnicy i wysłużeni żołnierze, kiedy powrócą do domu, nie chcą uszanować ani Pana Boga, ani starszych w gromadzie, że udają jakichś tam Niemców i nawet mowy ludzkiej nie rozumieją, że najczęściej stają się pijakami a nawet i gorzej — na to i wy często patrzyliście własnymi oczami. Otóż kome-

dyjka ta przedstawia, jak to śmie-
sznie i bezbożnie naśmiewać się ze
swoich, i jak takiego dziwoląga słu-
szna i zasłużona kara spotkała.

Urlopnik

obraz k z życia ludu wiejskiego nad Wisłą,
ze śpiewkami,
odegrany przez dzieci szkoły Mędrzechow-
skiej dnia 28. kwietnia b. r.

Osoby:

Wojciech Bruzda, włościanin za-
możny.

Zosia

Staś

Marysia

} jego dzieci.

Marcin, parobek.

Katarzyna Wróblowa, (wdowa).

Janek, jej syn, urlopnik, narze-
czony Zosi.

Mojsiek, arędarz miejscowy.

Rzecz dzieje się w domu Wojciecha,
na początku wiosny.

Teatr przedstawia wnętrze chaty
wieśniaczek.

Wystąpienie 1sze.

Wojciech, Zosia, Staś, Marysia i Marcin
(kłęczą i śpiewają).

(Śpiew) Boże w imię Twoje święte

Dzionek zaczynamy;

Błogosław prace zaczęte

Z pokorą błagamy.

Błogosław Ojczyznę Panie,

Użyj jej opieki:

Niech Twa chwała nie ustanie

Teraz i na wieki.

Wojciech (wstaje)

Moje dzieci, teraz każde do swej
pracy: ty Marcinie idź do koni,
(Marcin odchodzi) — ty Zosiu, do by-
delka. — A wy Stasiu i Myrysiu,
zbierajcie się do szkoły; tylko mi
tam uważać; bo i dzisiaj opowiecie mi,
czegoście się nauczyły!

Staś.

Toć my to tatusiu przecie wiemy,
boć i pan nauczyciel zawsze nam to
przypomina.

Wojciech (głaszcząc je)

Wiem, żeście pilne i do nauki
ochocze, bo mi o tem pan nauczyciel
mówił. Żalił się wprawdzie na wasze
psoty, ale to młodość — ot nie
przymierzając, i żróbek skacze i fika.

Staś.

Prawdę mówicie tatusiu; pan na-
uczyciel nie lubi ślamazarników, ani
też ponurych dzieci, ale wesołe to
lubi.

Wojciech (słyszysz dzwonienie)

Już dzwonią na mszę świętą. —
Do szkoły balamuty, do szkoły!

Staś i Marysia. (zabierają książki
i całują ojca w rękę)

Już idziemy; bądźcie zdrowi tatu-
siu! bądź zdrowa Zosiu! (odchodzą)

Wojciech. (sam)

Dopóki jeszcze zdrowie służy,
trzeba się powlec do świątyni pań-
skiej; jest za co Panu Bogu dzięki-
wać, jest i o co prosić.

Wystąpienie 2gie.

Zosia (sama)

Mój Boże! kiedy sama zostaje
w chacie, to mi czegoś tak przykro,
tak smutno! zdaje mi się, żem już
całkiem sierotą. A przecież mam tak
dobrego ojca: kocha mnie, radby mi
słonka przychylił. — Ale więcej ni-
kogo! — Janek Wróbel niby mię
lubił, zanim go wzięli na żołnierza—
kupował mi wstążki, pierścionki, ko-
ronki, i gadał, że mu się podo-
bam. — Ej! i inni chłopcy tak mó-
wili — wołali mnie do karczmy, ale
ja nie poszłam, oj nie!, bo karczma,

jak tatuś mówią, to piekło dla każdego — a cóż dopiero dla dziewczyny! — Oj! co się będę smuciła! Janek lada dzień powróci od wojska, bom list od niego czytała — A co to za uciecha! aż mi serce skacze.

(spiewa)

Jestem se dziewczyna u tatusia w domu,
Jeszcze mego serca nie dała nikomu!
Lecz gdy Jaś przybędzie, ślicznie się ustroje,
Że mu się spodoba — o to się nie boję.

Ptaszki z obcych krajów już do nas wróciły,
A jego nie widać — o nój Boże miły!
Przyjeżdżaj Jasieńku, Zosia na Cię czeka,
Bo to już ten powrót trzy lata się zwleka.

(mówi) Och! rety! ja sobie tu wyśpiewuję, a ojciec kazali zajrzeć do bydelka. — Przybędzie znowu cie-lątko, to będzie moje. Mam już kilka kokoszek, dwa kogutki, dwoje prosiąt, mam korale nielada, sukmanę z czerwoną podszewką — ale najbardziej tem się cieszę, że Janek powróci.
(odbiega) —

Wystąpienie 3cie.

Marcin (z rzezakiem i oselką).

(rozgląda się) Nie ma jej! musiała iść do bydelka, o! bo to też z niej gospocha! Oj! szczęśliwym też to, szczęśliwym będzie, komu się ta Zosia dostanie za żonę. — Teraz dopiero czuję moją chudobność. Od maleńkości patrzę się na nią, coraz to śwarniejsza, coraz to bardziej chwytam mię za serce. A kiedy zaczniesz czytać jaką historyjkę, to wtenczas już taka czegoś ładna, że się patrzę w nią, jakby w obrazek nieprzymierzając. — Darmo — już ona mi się nie dostanie! (Spostrzega książeczkę na stoliku) A! to ten Głowacki, co o nim wczoraj tak ładnie czytała. — Ej! żeby to była wojna z tym psiawiarą Moskalem, zaraz bym poszedł. — Do

austryackiego wojska nie wzięli mnie, żem mały — ale mam ręce krzepkie; jakbym ten rzezak naprawił na dobry drażek, tobym się dał weznaki tym gnębiicielom Moskałom albo i Prusakom! A możebym został nawet i takim, jak ten tu namalowany — bo przecież i on był wieśniakiem. Wtenczasby Zosia pewnie była moja. Kto wie, czy się tak nie stanie?

(Spiewa)

Oj! ostre, oj, ostre, oj ostre kosy nasze
Wystarczą na krótkie moskiewskie pałasze.

Kościuszeko, Głowacki oj! w sukmanach
chodzili,

A wrogów Ojczyzny potężnie grzmocili!
Pan Bóg da, przyjdzie czas — oj damy
się im w znaki!

Wypędzim z Ojczyzny: Moskali, Prusaki!
Oj ostre, itd.

(Przy końcu śpiewu wbiega Zosia)

Wystąpienie 4te.

Marcin i Zosia.

Zosia.

Cóż ty sobie tak wyśpiewujesz?

Marcin.

Tak sobie z ochoty! bo mi przysłała do głowy ta piękna historia o Głowackim, coś to wczoraj Zosię czytała; i pomyślałem sobie; żeby to z tym okrutnym Moskalem była wojna, który tak prześladuje naszą religiję, mowę i braci naszych tam za Wisłą, tobym od razu poszedł za kosyniera. — Czybyś ty Zosiu za mną płakała?

Zosia.

Oj! nie miałabym też za kim płakać!

Marcin.

A za Jankiem Wróblem, toś cały tydzień szlochała, gdy go do wojska wzięli; a teraz, kiedyś się dowiedziała, że ma powrócić, to mało, że nie oszalejesz z radości.

Zosia. (tak samo)

Janek co innego, a ty co innego!

Marcin.

A cóż to Janek, co tam gdzieś po Niemczech się włóczy! — a gdybym ja był polskim żołnierzem, bronilibym własnej Ojczyzny — toćbym mniej od niego miał znaczyć! Oj Zosiu, Zosiu!

Zosia (łagodnie)

Ej! nie tak ja myślałam; tylko widzisz Marcinku, my się to z Jankiem razem bawiali, a Katarzyna zawsze mi mówi, że skoro Janek powróci od wojska, to się pobierzemy. — Jabym i za tobą, Marcinie, płakała.

Marcin.

O! przyniewolony pacierz Panu Bogu nieprzyjemny. — Ja się prawda z tobą nie bawił, bo u was służyć — ale cię kołysałem, kiedy mnie Wojciech po śmierci moich rodziców za pasterza do gęsi przyjął. Zawsze cię Zosiu lubiłem — a teraz...

Zosia (bierze go za rękę)

To ja cię też, mój Marcinie, lubię jak brata! — (patrzy w okno) O! dla Boga! Wróblowa tu biegnie! odejdz Marcinie!... (odchodzi)

Wystąpienie 5te.

Zosia — potem Katarzyna.

Zosia.

(Patrząc za odchodzącym) Pocziwy chłopak! on mnie, on wszystkich nas tak bardzo lubi!

Katarzyna (wbiega zadyszana)

Niech będzie pochwalony!

Zosia.

Na wieki wieków Amen — Witajcie!

Katarzyna (zawszo prędko) Zosiu! a gdzie tatuś?

Zosia.

W kościele, — Ale cóż się stało dla Boga świętego!!

Katarzyna (z radością)

Mój Jaś kochany powrócił z wojaczki. Co też to za ładny chłopiec, jak lalka, jak pańskie dziecko, taki delikatny. Zobaczysz go dzisiaj, przyjedziemy tu oboje, tylko że odpocznie a jak on gada, wystafiruje się szykownie!

Zosia.

A o mnie się pytał? co? powiedzcie!

Katarzyna.

Jużci, że się pytał, czyś zdrowa, czyś się nie wydała. (patrząc w okno) Ależ i Wojciech idą! Co to za uciecha, co za uciecha! będzie i napitek! — ale jaka gorzałeczka, o! jeszcze takiej przenigdy nie piła!

Wystąpienie 6te.

Zosia, Katarzyna i Wojciech (wchodzi)

Katarzyna.

Witajcie mi! kumotrze, mój Janek powrócił — anim go poznała...

Wojciech (siadając)

Bardzo wierzę, bo pierwszej wstąpił przywitać Moška niż matkę.

Zosia (na stronie)

O! najświętrza Panieczko! czy to być może!

Katarzyna.

Nie wiercie też Wojciechu plotkom, nie wiercie! Ci ludzie zawsze więcej powiedzą niż wiedzą. Ale to wszystko ze zazdrości, mówię ze zazdrości, bo to śliczny chłopak.

Wojciech.

Wy kumoszko zawsze mówicie tylko o jakiejś zazdrości, o podrywce, i Bóg wie nie o czym jeszcze. Więc opowiem wam jak było: Po mszy św. odwiedziłem naszego księdza Dobro-

dzieja; rozgadaliśmy się to o tem, to o owem; aż tu przychodzi jeden sąsiad, i mówi, że Wróbel Janek przyszedł od wojska, bo go widzieli, jak wstąpił do karczmy.

Katarzyna.

Otóż nieprawda! wierutne kłamstwo! bo już dawno przyszedł, i nic mi nie wspomniał o karczmie. — Ale wy, to już jak w święte pismo wierzyć, co wam ksiądz powie!

Wojciech.

Ależ powiedziałem, że o tem jeden sąsiad doniósł.

Katarzyna.

Który to taki, powiedzcie mi, a zaraz pójdę, niech to odszczeka—zaraz pójdę!

Wojciech.

Dajcie pokój z tą obrzydłą zawziętością, bo to grzechem. Jeżeli nie prawda, to o cóż wam chodzi, a zresztą prawda się wyda; na co robić obrazę boską! (C. d. n.)

Rozmaitości.

* *Zbiór pamiątek polskich w Rapperswyll.* Daleko po za granicami naszej ojczyzny, w kraju co się nazywa Szwajcaryą, zakupił hrabia Władysław Plater starożytny zamek nad wielkiem jeziorem, odnowił go, odbudował i tam umyślił zgromadzić pamiątki polskie z dawnych, świetnych czasów. Boć to, jak już wiecie, wojowaliśmy my Polacy, to z Niemcem to z Turkiem i Tatarami, to z Moskałem. A teraz niestety upadliśmy, i musimy słuchać obcych cudzoziemców. Toć i niemilo się robi Moskalowi, gdy zobaczy chorągiew i zbroję, co ją nasi przodkowie na jego ojcach lub pradziadach zdobyli. Niemilo Niemcowi lub Moskalowi, kiedy zobaczy malowanie, jak to dawni Polacy bili w wojnie napastników i grabieżników, a jeszcze bardziej gniewa się, kiedy ujrzy książkę, co to opisuje te wszystkie świetne i chwalebne dzieła nasze, Toć Moskale zagrabil i skradli wszystkie prawie książki, o dawnej Polsce i wywiezli

je do Petersburga, aby ich nikt nie ujrzał więcej; toć to oni chcą, abyśmy zapomnieli o tem, żeśmy Polakami, abyśmy wyrzekli się naszej mowy i wiary.

Więc nic dziwnego, że hrabia Plater aż tak daleko w kraju szwajcarskim, co to od dawna jest wolny i nikogo nie słucha tylko praw własnych, które sobie sam układa, zakupił zamek i zbiera pamiątki o dawnej Polsce, boć się bał, aby chciwość moskiewska nie zagrabiła drogich sercu naszemu pamiątek. Tam to ręka żadnego grabieżcy nie sięgnie, a Polak przejeżdżający i wszystkie inne ludy będą mogły poznać, czem byliśmy, i czem być możemy.

Zbiór tych pamiątek nazywa się w języku uczonych muzeum.

Uroczyście, w obecności Szwajcarów, Polaków, Niemców, Anglików i innych ludzi otwarto muzeum w przeszłym miesiącu w dniu 23. października.

Zewsząd z Polski nadsyłają odtąd

pamiętki: malowidła, zbroje, książki, monety do muzeum.

Kiedy Polska będzie wolną, kiedy odzyska to co jej odebrali sąsiedzi, wtenczas nie będziemy się więcej bać grabienika Moskala, wtenczas i zbiory wrócą do naszej ojczyzny — co daj Boże jak najprędzej!

— *Żyd przy rekrutacji.* Wiadomo, że w Prusiech wszyscy muszą służyć w wojsku. Otóż teraz, kiedy to na tę straszną wojnę wszystkich powypędzano do Francji, choć mają domy i rodzinę — powołano do wojska resztę wojska, resztę obywateli, a między innymi na Szlązku pruskim w jakimś miasteczku i pewnego żydka. Żydzisko wyglądał jak dąb, prosty jak świeca, silny jak niedźwiedź, ale serce zajęcze. W domu powstał wielki lament, żydek i cała rodzina krzyczeli aj waj! w niebogłosy, wreszcie poczęli radzić, co tu robić? — czy uciekać za granicę, przed wojskiem, czy w inny jaki sposób zaradzić nieszczęściu.

Uradzili, aby przekupić urzędnika, co to przy rekrutacji zasiada i mówi, czy kto zdatny czy nie. Zebrali 50 talarów i oddali żydkowi. Ten stanął przed komisją, uklonił się pięćdziesiąt razy, i mówi:

— Najwielmożniejszy i Najjaśniejszy Pan! — ulituj się nademną biednym żyd — ja niewart ani dziesięć grosi, ja mam żonę, dzieciów, bachures — aj waj! ja w wojsku na nic się nie psidam, ja będę zawadzał, będę chodził z kątów w kąt — prosię jaśnie oświecony pan, niech jaśnie oświecony pan psijmi oto te czterdzieści talarów, a mnie puści.

— A to ty nie wiesz o tem, że przekupstwo karzą więzieniem?

— Ny — ja wolę siedzieć cali rok wkoźów, jak iść tam, gdzie ścilają — aj waj! tam kulów ołowianych latają jak groch.

— To ci nie nie pomoże — odsiedzisz swoją karę, a potem musisz iść do wojska.

— Aj waj! Jaśnie oświecony — jeszcze pięć talarów dolożę.

— Milcz! bo cię zaraz odeszłę do kozy.

— Aj waj! aj waj! ja już sam pójde... dobrowolnie. Ale prosię jeszcze o jedną łaskę. Czi to prawda że wojacy muszą zawsze stać prosto jak słup, lub świeca?

— Rozumie się.

— A jak psijdzie do bytwy z Francuzem, to także muszą stać prosto i głów do góry tsimać.

— A nie inaczej.

— Jeszcze 5 talarów jaśnie panie — aj waj!... ja nie pójde.

— Ordynans, zaprowadź tego durnia do kozy.

— Gewalt! aj waj! z przeproszeniem, a jak Francuzy będą stsilać na mnie wielkiemy i małemy kulami, to mi wolno będzie się trochę skurczyć i tak trochę pomalu schylić głów ku ziemi.

— Będiesz się mógł schylić, ile ci się będzie podobać.

— Ni — to git. Jaśnie panie! — ja pójde do wojska.

— *Zbrodnia się nie ukryje.* Bogaty handlarz szkła na Szląsku pruskim wracał wieczorem z jarmarku do domu. Targ wypadł bardzo

pomyślnie, z całego ładunku pozostało nie wiele na wozie — więc wesoło zaciął koniki i pędził do domu. Wtem na drodze zobaczył chłopczyka maleńkiego, okrytego w łachmany, trzęsącego się od zimna i wiatru. Dziecina był tak osłabiony, iż dalej ani kroku iść nie mógł. Ulitował się nad biedakiem handlarz, wysadził go na wóz, okrył kożuchem, obtulił słomą, i w imię Boże ruszył dalej.

Aż tu nagle z krzaków wypadają zbójcy, wstrzymują konie, uderzają pałkami handlarza tak, że nieżywy pod wóz się zatoczył. Zabrali pieniądze, jakie miał przy sobie, i aby tem lepiej ukryć zbrodnię, przejechali przez niego wozem, iżby się zdawało że przypadkiem życie utracił.

Chłopczyzna dawno się już obudził, ale tak straszny lęk go opanował, iż przez dłuższą chwilę ani się ruszyć nie mógł.

Tymczasem zbójcy uciekli w las, a koniska świadome drogi ruszyły dalej i same zajęchały przed karczmę, gdzie handlarz zwykł był nocować.

Gospodarz wybiegł czempredzej, aby się przywitać z gościem, którego znał od wielu lat i zawsze bardzo dobrze od niego zarabiał. Ale jakże się zdziwił, gdy pomimo długiego oczekiwania, wołania i szukania, handlarza nigdzie zobaczyć nie mógł.

Począł przetrząsać słomę i natpkał na chłopca, a ten wyleknięty trząsał się jeszcze z przestachu i ani słówka wymówić nie umiał. Zaprowadził go gospodarz do izby, dał mu jeść, ułożył go w łóżko — i dopiero po kilku godzinach kiedy się chłopczyzna przespał i przyszedł do przytomności, opowiedział gospodarzowi całe zdarzenie o zbójcach.

Ledwie skończył, aż tu do izby weszli ludzie nieznajomi, a chłopczyzna wyszepnął: „to oni“ i okrył się z przestachu pierzynką.

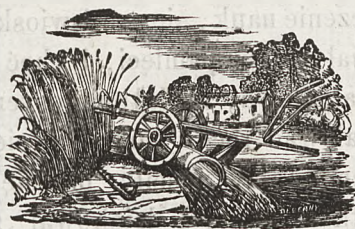
Gospodarz polecił żonie, aby gości częstowała — sam zaś cichaczem, niby to dla obejrzenia stajni i stodoły wybiegł na dwór i natychmiast poszedł do miasta po żandarmów. Niedługo potem przybyli żandarmi, i schwytali złoczyńców

Złote ziarna.

Starodawna przypowieść, a prawdziwa, pieje:
Z mądrymi człowiek mądry, z głupimi głupieje.

Kędy grzech bez karanja, bez nagrody cnota,
Tam do wszelkiej swywoli otworzone wrota.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZWOŃKI

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sieroty.

(Ciąg dalszy.)

Lat kilkanaście minęło od owego czasu, jak jedna chwila. Jasiu wyrósł, wyładniał jeszcze więcej, i to nie tylko na ciele, ale i na duszy. Oddany do wielkiego miasta do szkół pracował niezmordowanie, uczył się pilnie, i nigdy czasu nie tracił na próżno. Profesorzy go lubili towarzysze szkolni szanowali i kochali wielce, boć dla każdego był przyjacielskim, serdecznym i dobrym. Niejednemu dopomógł datkiem pieniężnym, innego wyuczył, niektórych nawet upominał i karciał, jeśli zamiast nad książką siedzieć, myśleli o zabawie.

Ukończył najwyższą szkołę, co ją to wszechnicą nazywają, i to nauki prawnicze, bo tak sobie życzył jego dobroczyńca. Ów Pan dawno już przyjął obie sieroty za własne i wychowywał je starannie i mająteczek umyślił im oddać po swojej śmierci. Toć i obie sieroty nazywały swoich opiekunów ojcem i matką, i wszyscy we dworze uważali je jak rodzone dzieci państwa.

Jasiu siedział właśnie przy stoliku i pisał list do domu, z doniesieniem, że nazajutrz przyjeżdża. Ukończył pisanie, zapieczętował i na chwilę zadumał się głęboko. W myśli widział

całe swoje życie dotychczasowe: uratowanie od śmierci głodowej w lesie, pogrzeb pierwszej matki, przyjęcie w domu dziedzica, wychowanie, ukończenie nauk, siostrę i wioskę rodzinną. Ojciec, gajowy, słabo odbijał się w pamięci, i choć to od niego nigdy dobrego nie usłyszał słowa, chciałby go teraz zobaczyć, przycisnąć do serca ucałować ręce i podzielić się z nim szczęściem swoim terazniejszym. I łzy puściły mu się z oczu — ukląkł przed obrazem Matki boskiej i dziękował za tyle łaski, za tyle cudownej prawie opieki. Wyszedł na ulicę, oddał list na pocztę i pobiegł pożegnać się z swoimi współuczniami i znajomymi.

Na drugi dzień odprowadzili znajomi Jasia aż za miasto serdecznie się żegnali i spoglądali jeszcze długi czas za bryczką aż zniknęła w odaleniu.

Kiedy przybył Jasiu do swojej rodzinnej wioski, rozkazał furmanowi jechać do dworu, a sam pobiegł na cmentarz co był tuż obok drogi, uklękawszy na grobie matki modlił się gorąco i długo.

Siostra i cała rodzina wyruszyli naprzeciw, aby go powitać.

Inne czasy nastąpiły w wiosce od czasu przyjazdu Jasia. Pamiętny na swoje pochodzenie i stan z jakiego wyszedł, nie zapomniał on o swoich braciach w siermiędze co nie mieli tyle szczęścia w życiu jak on, dopomagał im w czem tylko mógł. Niedługo stanęła szkołka w wiosce, urządzono szpiczlerz gromadzki, odnowiono kościółek — nie jeden gospodarz za jego staraniem wybudował sobie piękny dom, drugi sprawił sobie lepszy dobytek, inny znów zaprzestał chodzić do karczmy i więcej pilnować gospodarstwa, — a wszyscy poczęli dzieci swoje pilnie posyłać do szkoły. Toć gospodarze powiadali że z Jasiem sierotą przyszło i błogosławieństwo boskie do siola.

Raz Jasio przechodził wieczorem przez wioskę około stawu. Z przeciwnej strony idzie drogą schylony staruszek. Płócianka na nim bieluchna, broda siwiutka, twarz poorana zmarszczkami i smutna jakaś widać, że człowiek ten wiele musiał cierpieć.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! wyrzekł podróżny.

— Na wieki wieków amen, odpowiedział Jan. A zkąd to pan Bóg prowadzi?

— Oj zdaleka paniczu z daleka! Było się w szerokiem świecie i tu i owdzie — i jak to mówią i pod ławą i na ławie. Na starość zateśniłem do rodzinnej wioski i oto przywłókłem, aby spocząć na tutejszym cmentarzu, obok żony pochowanej przed dwudziestu laty.

— To wy gotpodarzu tutejszy, zapytał rozciekawiony Jasiu, i wyszliście już przed dwudziestu laty?

— A tak — odpowiedział staruszek — już dwadzieścia lat jak opuściłem tę wioskę i błąkam się po cudzych kątach. Oj biedneż było życie moje biedne! Ale co tam wspominać o tem. Słuszna była kara boska.

— A czy nikogo we wsi nie zostawiliście?

— O mój Boże trudno to o tem opowiadać — nikogo mój paniczu nikogo, żona umarła nieboga, a dzieci wilki zjadły.

Jaś stanął jak wryty, Z początku chciał się rzócić w objęcia ojca, Marcina gajowego, ale przyszła mu inna myśl do głowy. Zaprosił staruszka do dworu kazał wynieść wieczerzę na ganek i usiedli obaj do posiłku. Starzec ujęty słowami i dobrocią Jasia począł po wieczerzy opowiadać historję swojego życia: jak to nie szanował swojej żony, jak z głodu umarła a dzieci gdzieś zaginęły, jak przepił całą swoją roczną płacę wziętą ze dworu jak potem puścił się na żebrzy. Głód dokucał mu czasem i po trzy dni, bo go nikt wesprzeć nie chciał, nieraz pod płótem na śniegu umierał prawie z zimna i głodu — a nie było serca litściwego — nie raz pokaleczony od psów wiejskich leżał na barłogu błagając Boga o śmierć, Ale śmierć nie przychodziła — i całe dziesięć lat minęło na takich mękach. Zaprzestał pijatyki, na karcznię ani spojrział, ale choć nie chciał chwycić jakiejś pracy, to sumienie dręczyło tak strasznie, że wszystko z rąk mu wypadło. W końcu znalazł służbę we dworze, pracował szczerze i uczciwie, uzbierał przez kilka lat i pieniędzy trochę i przyodziewy ale męka nie ustawała. A teraz kiedy poczuł, że śmierć się już zbliża chciał przynajmniej na cmentarzu przebłagać ducha swej żony i ułożyć się obok niej na spoczynek wieczny.

Jasiowi stały łzy w oczach, a kiedy staruszek skończył powstał i wyrzekł:

— Wasze dzieci żyją — to ja wasz syn ojcie Marcinie. Staruszek z początku jakby nie wierzył — potem przestraszył się mocno, a kiedy Janek chciał się rzucić w jego objęcia, upadł bezprzytomny na ziemię.

Zbiegli się wszyscy na ratunek, Marcin odzyskał przytomność, a kiedy zobaczył i córkę swoją Marysię, złożył ręce ku niebu i serdecznie dziękował Bogu.

Ale od tak wielkiej uciechy rozniemógł się na dobre — prosił o księdza — wypowiedział się Bogu — jednak przy troskliwej opiece po kilku miesiącach przyszedł do siebie.

Teraz po 4. latach kołysze wnuki — bo Janek ożenił się niedługo potem, a Marysia również się wydała — chodzi co dziennie na cmentarz i łzami obmywa grób swojej żony. A już kiedy dziedzica zobaczy — to i uspokoić się od łez nie może z wdzięczności, a dobre panisko odpowiada: Bóg ci widać przebaczył toć i ludzie ci przebaczyli.

S. L.

Skowronek.

Skowroneczek furknął w glebie,
Zatrzepotał w drobne skrzydła:
I jak gdyby zwiśł u sidła
Spiewa ziemi pieśń na niebie.

O co prosisz skowroneczku,
Czy o pokój w twym gniazdeczku?
Czy o ziarno — drobną miarką?
Czy o wodę dla ochłody?

Ja o szczęście proszę wioski,
Bom ja śpiewak matki Boskiej!

A gdy ludziom dobrze, czule,
To i ja się gdzieś przytulę..

A więc lecę pod niebiosy,
I niebieskiej błagam rosy,
Błagam burzy urodzajnej,
Aby rosła niwa, łąka;
Płodnej ciszy, ciepła, słonka:
I to pacierz mój zwyczajny.

Wincenty Pol.

*Pisanie Karola Głowackiego z Woli Rusinowskiej
do redaktora „Dzwonka“*

Szanowny Panie pisarzu „Dzwonka!“

Oświadczyłem się raz, iżbym i ja rad się czem przysłużyć naszemu kochanemu ludkowi, jakim pisaniem do „Dzwonka“, na coście wy chętnie przystali, i odpisali, że przyjmiecie aby tylko było od serca — ale tego zaraz nie uczynilem. — Bo nie trzeba wam powiadać, że oprócz różnych interesów gminnych, musiałem i dla życia coś przysposobić: czy to zebrać, czy posiać, ziemniaki wykopać, jednym słowem jako tako na zimę się zaopatrzyć. — Lecz da Bóg zdrowia, choć się odwlekło, to nie uciekło. Człowiek żyjąc na tem bożym świecie, napotyka na złe i dobre. Przytem przypomina sobie, niejedną gadkę, z dawnych lat, co się słyszało od starszych ludzi, a wszystko to mogłoby przynieść jakiś pożytek dla ludu. Ale z tego wszystkiego, jeden przykład podaję, który mi się tego roku przytrafił, a spodziewam się, że dla przykładu innych, każecie wydrukować w wirszym Dzwoneczku.

Piękny przykład.

Dzieci w szkółce mojej w Woli Rusinowskiej postanowiły odprawiać majowe nabożeństwo i same się o to do mnie zgłosiły. Pochwaliłem piękny zamiar i przemówilem do nich, jakby to można to nabożeństwo pięknie urządzić, jak obraz ubrać i zarazem zaproponowałem składkę po dwa centy na światło.

Po mojej rozmowie, stał się szmer pomiędzy dziećmi: nadzwyczajna u niektórych powstała radość inni zaś biedacy, choć radzi, nie mieli z kąd dostać. Już kilku wystąpiło, i złożyli mi ową sumkę i usiedli na miejscu, a jeden z nich, czteroletni chłopczyzna, zapytał: Proszę Pana, czy i na drugi rok będziemy składać na światło? Mądrzejsi się rozśmiali, ale on wcale się tem nie zraził, tylko czekał odpowiedzi. Przeto rzekłem: A dla czego się pytasz? — A bo chciałbym sobie zawczasu uskładać. Inni oświadczyli, że jutro przyniosą. — Inni zaś nie śmieli powiedzieć głośno, bo przeczuwali, że trudno będzie dostać. Dwoje tylko dzieci, chłopiec dziesięcioletni i dzie-

wczyna nie spełna ośmiu latek, smutne czegoś powieszwały główki. A nawet łza w oku zabłysła obojgu. — Oj! bo one już nie miały własnych matek, ich miejsce zastępowały nie-łitościwe macochy, dlatego dobrze przeczuwały, że ich prośba będzie odrzucona. Po skończonej szkole wyruszyły dzieci do domu. Nazajutrz, gdy zaczęły się schodzić, każdy, któremu się udało uzyskać owe dwa centy, szukał mnie prędko, a oddawszy odchodził ucieszony, jakby cały kościół zapłacił. Kiedy wszedłem do izby szkolnej, dostrzegłem, że owe dwie sieroty były zapłakane, bo nie dostały w domu dwu centów. Ja rzekłem, że to tylko dobrowolna ofiara, a nikogo nie przyniewalam, a dobre serce i szczerą chęć wystarczają za uczynek. Na godzinę przed wieczorem, kiedy się odbywać miało nabożeństwo, wpada zadyszana Marysia sierotka i oddaje owe dwa centy. A taka wesoła i uszczęśliwiona, że nie mogłem się napatrzeć jej żwawym ruchom. Usiadła obok dziewcząt, co wianuszki plotły i dopomagała im, w czym mogła. Zdjęty ciekawością, jakim sposobem dostała dwa centy, zapytałem na stronie, z kąd je wzięła? A ona prawi: Cały tydzień prosiłam matusi, ale nadaremnie, nie chcieli i nie chcieli dać, tylko zawsze jeszcze swarzyli na mnie. Ale dziś, jak zaczęłam prosić, aby za jeden krajcar nie dali mi śniadania, a za drugi obiadu, to na to przystali, i ot teraz dostałam. — I toś ty dzisiaj jeszcze nie jadła? Ej! — nie, ale mi się jeść nic nie chce, tak się cieszę. Nie mogłem jej już więcej pytać, bo mimowoli lzy mi się puściły z oczu i choć w żaden sposób przyjąć nie chciała, zmusiłem ją prawie, grożąc, że zachoruje — iż zjadła nieco przed nabożeństwem. Czyż takie pocziwe serduszko sieroty nie zawstydzą wielu?!..

Skąpy dwa razy traci.

Do golarza przyszedł chłop, co to dla oszczędności tylko dwa razy na rok się golił.

— Siadajcie gospodarzu —

— Usiedę zaraz, ale chciałbym się z wami zgodzić, — cobyście też żądali za ogolenie?

— Dwa krajcary i nic więcej —

— To trochę dużo przecie moja broda miękka jak len, to i nie zabawicie długo. — A krajcar nie byłoby dosyć?

— Czyście oszaleli? wrzasnął żyd — na całym świecie niema takiego coby za krajcar golił. Jeszczem nie widział więcej skąpego, jak wy.

Ależ nie gniewajcie się Panie golarzu, toć tu nie ma za co dać dwa krajcary.

Żyd filut po chwili roześmiał się i rzekł:

No cóż mam robić z wami, siadajcie, niech będzie i za krajcar.

Chłop siadł z ochotą, niczego się złego nie domyślając a żyd przystąpił — pomydlil i pół brody ogolił. —

— Wstawajcie gospodarzu, jużście gotowi. — A przejrzyjcie się w lustrze, jaki zwas porządny człowiek; kiedy pójdziecie na miasto, to wszyscy ludzie będą na was patrzeć i gdzie się obrócić, będą was z paradą prowadzić.

— A dyć to dopiero pół brody, a gdzież drugie pół?

— Wszak chcielibście za krajcar?

— Nie róbcieź mi wstydu; macie już drugi, a ogólcie drugą połowę.

— Dajcie dziesięć gospodarzu.

— Toć tylko dwa chcieliście z początku.

— Ny, co z tego, ale teraz chcę dziesięć, bo z wam mam dużo do roboty.

Chłop rad nie rad musiał dziesięć zapłacić i dopiero żyd i drugą połowę ogolił.

Karol Głowacki.

Pisanie Józefa Kowalika z Czempina do redaktora „Dzwonka“.

Szanowny Pisarzu Dzwonka!

Już tak dawno temu, jakem się z naszym kochanym „Dzwonkiem“ nie widział. Wybaczcie mi przeto, panie pisarzu, że też kilka słów o sobie doniosę.

Oj, bo co teraz widziałem i przeżyłem, tego podobno już i w życiu nie ujrzę, i nie życzę nikomu, nawet nieprzyjaciołom przez takie tarapaty przechodzić, i na takie patrzyć okropień-

stwa. Już trzy miesiące mija, jak król pruski na wojenkę nas powołał na Francuza, i odtąd człowiek bieduje sam, często o chłodzie i głodzie, a przytem patrzeć musi codziennie na ludzkie nieszczęścia i niedolę. Oj! wojna to straszne nieszczęście! W wielu to bitwach byłem; wielu widziałem rannych, i z naszej strony, i tych biednych Francuzów; szczęśliwy który zaraz padł nieżywy, to go i nic nie boli, i już ani głodu ani poniewierania nie znosi takiego, jak to z francuzkim żołnierzem pruskie, niby takie mądre wojsko się dopuszczało. Bo z nas Polaków, to co który mógł, to tym nieszczęśliwym pomagał i chleba kawałek ostatni rozłamał, a dał, i grosza nie żałował, bo przecie Francuz, to niby nasz brat polski, a nie to choćby bliźni tylko, — on już nieszczęśliwy dość, kiedy już raz w niewoli, toć trza mieć litość nad nim. Ale Niemcy to inaczej rozumieją; oni niby to z rozkazu wyższego umyślnie ich głodem morzyli. A co przez wioskę jaką idziemy, to niechby tylko kto pisnął że tu „wolni strzelcy“ byli, to zaraz Niemcy wioskę palą, ale to aż do szczytu. A muszę też wam powiedzieć, co to „wolni strzelcy“. To wieśniacy tamtejsi francuzcy, widząc jak Niemcy kraj ich naszli i wszystko niszczą, nie mogą patrzeć na to, i dać swe ojcowizny palić i rabować; otóż wzięli co kto miał jaką broń, i dalej bronić się. Połączyli się całemi gromadami, i biją się jakby wojsko jakie. My tu w nocy nieraz spimy spokojnie, aż tu naraz taki oddział wpadnie i nam spokoju nieda; to znowu gdzieś kryjomo i kolej żelazną popsują, żeby nam żywności nie dowieziono, — to gdzieś zaczają się, i bydlę co dla nas na zabicie przeznaczone zabierają. Niemcy to nieraz wściekają się ze złości na nich, ale ja i nasi w mojej kompanji, to sobie rozumujemy tak: prawda, że nam źle przez nich, że nieraz człowiek nie dospi, i jeść nie ma co, bo oni zabrali, to co dla nas było — ale zawsze oni w swoim przecie kraju, to im wolno bronić swojej ziemi, — wszak mybyśmy także inaczej nie robili, jeno gdziebyśmy mogli, tobyśmy nieprzyjaciela turbowali. Tak to mnie się zdaje, i tym z naszej kompanji, co ich to od nas z Polski razem wzięli na wojaczkę. Wy to musicie lepiej rozumieć, panie pisarzu, ale przeto przyjmijcie moje proste zdanie.

Teraz, kiedy to pisanie wam posyłam, jesteśmy już pod samem tem wielkiem miastem, co go to Paryżem nazywają. Jest to, jak mi powiadają, największe miasto w całej Francyi, tak jak w Prusach Berlin, a u was Wiedeń nie przymierzając,



tylko że daleko większe. Stoimy pod miastem, ale ani w prawo ani w lewo okiem nie zasięgnie, jak wielkie to miasto. Wszędzie mury i fortece naokoło, a w tych murach wszędzie pełno armat, że aż strach. Stoimy w małej wiosce, co to nazwiska jej podać nie umiem, tak się dziwnie nazywa. Przed nami forteca; na prawo druga, dalej trzecia i tak bez końca, a na lewo też-

samo. Za temi fortecami pole równe, a dalej znowu jakieś nasypy ze ziemi, a potem znowu mury z armatami i znowu fortece. Tak mi się niepodobne zdaje, żeby my to wszystko mieli pokonać i wejść do tego wielkiego miasta, choć nam to starszyzna codzień prawi. A nam tymczasem wielka bieda. Wszystko naokoło spustoszone na siedem mil, dowóz bardzo trudny, że nieraz i jeść nie ma co, i zimno, i wilgotno od ciągłych deszczów. Aż strach pomyśleć, co to będzie, gdy zima z śniegami i mrozami przyjdzie.

Francuzi tymczasem ostro się bronią. Jaki to mądry i przemyślny naród, to aż człowieka dziw bierze. Parę dni temu spokojnie siedzimy w namiotach, to jest takich budach płótnianych, w tem naraz krzyk, hałas, strzelanie. Wylatujemy z namiotów a tu wszyscy ze starszyzny pokazują do góry, a żołnierze strzelają w powietrze — patrzymy, nad nami niby kula jakaś, coś przelatuje w górze; nasi ze starszyzny, co to świadomszi, mówią, że to balon. Pytam się tedy, co to jest ten balon. Tu mi mówią, że to taki wór wielki, okrągły, uszyty z mocnego płótna jedwabnego, i dla większej mocy siatką ze sznurów pokryty. Wór ten, czyli jak go nazywają balon, napęlnia się gazem, to jest takim powietrzem, co daleko lżejsze od tego, którem oddychamy. Gazu takiego podobnego używają w wielkich miastach do oświecania ulic, jak to sam widziałem. Nie ma oliwy, ani łożu, ani knota ani niczego, tylko takie sztuczne powietrze idzie rurami i pali się bardzo jasno. Otóż takim gazem, to jest powietrzem sztucznem, napęlniają te wory. A że to powietrze daleko lżejsze od zwykłego, to też wór taki, jak tam tego powietrza napuszczają pełno, zaraz się wydmie niby wielka bania, i leci w górę, choćby i na pół mili, a przytem i ciężar znaczny może ze sobą dźwignąć, i unieść do góry, zupełnie tak jak pęcherz nadęty nad wodą się unosi i utonąć nie chce, ani się zanurzyć nie da. Takiego to sposobu chwycili się Francuzi. Do tego balonu przyczepiają na dole niby czółno albo łódkę, tam siadają ludzie i lecą w powietrze, jakby ptaki jakie. Tak więc z tego Paryża, cośmy go naokoło otoczyli, wynoszą listy i wiadomości, a także i na nasze wojsko z góry pilnie patrzą, gdzie jest w jakiej sile

Niemcy każą strzelać do tego, ale to nie sposób, bo łącniej byś jaskółkę ustrzelił, co tak wysoko buja, niż do tego balona trafił, bo on tak wysoko, że i kula nie dojdzie.

Daj Boże, żeby to jak najprędzej ta nieszczęśliwa skończyła się wojna, żeby człowiek znowu mógł powrócić do swej wioski i spokojnej pracy się chwycić. Bo też i moja tam nieboga gdzieś płacze za mną, i dziatki proszą Boga, bym wrócił do nich zdrów i calusienki. Jeżeli dłużej zabawimy jeszcze, to wam panie pisarzu znowu co doniosę, a tymczasem polecam was panu Bogu.

Józef Kowalik z Czempina.

*) P. R. List niniejszy czytelnika naszego z księstwa Poznańskiego podajemy w całości, . Dla lepszego zrozumienia tego, co o balonach pisze, podaliśmy rysunek Jeżeli później dalszy list otrzymamy, nie omieszkamy go zamieścić sądzę że i Was zainteresuje.

Urlopnik.

(Ciąg dalszy nast.)

Wystąpienie 7me.

Zosia, Katarzyna, Wojciech, Marcin.

Marcin (wbiega szybko do chaty).

Zosiu! Zosiu, mam ci dobrą nowinę powiedzieć, choć to ja nie bardzo się z tego... (spogląda w około a kiedy zobaczył Katarzynę, staje i urywa mowę) Ot chciałem Zosi powiedzieć, że Janek przyjechał, a toście wy Katarzyno już dawno sami tę nowinę przynieśli.

Katarzyna.

Ja tam ciebie nie prosiła, ani nie proszę, żebyś mówił o moim Janku. Mój syn takich jak ty dziadów nie chce nawet widzieć.

Marcin.

Toć i jego tam widzieć nie pragnę — na żebry do was nie chodziłem i nie pojde — a póki mi rąk starczy i zdrowa, toć mam i majątek

w pracy, a da Bóg na dłużej go wystarczy jak waszej roli — (zwraca się do Wojciecha). Przebaczcie Wojciechu, żem odszedł od roboty, aby córce waszej sprawić uciechę -- choć sobie smutek. (prędko wybiega)

Wystąpienie 8me.

Zosia, Katarzyna, Wojciech

Wojciech.

Dobrze wam powiedział Marcin — a szkoda, żeście coś więcej nie usłyszeli, ale on klócić się nie umie i nie chce. I cóż wam zawinił, że chciałem nam donieść o powrocie Janka. Toć za to podziękować mu powinniście! A czy się to godzi tak pogardzać bliźnimi? toć i on tak człowiek jak i wy — i równy we wszystkim. Oj kumo moja! zapominacie i na wiarę i na Boga — a to źle. Nikogo nie

poszanujecie ani sługi, a nawet i księdza. Żle, mówię wam, źle!

Zosia.

A nasz ksiądz Dobrodziej taki dobry, taki litościwy — a jaki mądry!

Katarzyna.

Uwzięliście się na mnie wszyscy jakbyście byli nieprzyjaciółmi moimi. Nie przyszedłem do was po to, abyście mnie upominali. Jać wiem, że wszyscy ludzie u Boga równi — ale co sługa, to sługa, to nie ja, co mam grunt i chałupę i dobytek. Ksiądz Jegomość to dobry chyba tylko dla was. Bo kiedyś poszedłem do niego z uzaleniem, kiedy mi Janka wzięli na rekruta, to on zamiast mię pocieszyć, wymawiał mi, że na frasunek kieliszczynę gorzałeczki wychyliła; wywodził nade mną, że Janka nie posyłała do szkoły. A toć mój syn, choć tam w szkole nie był, i tak mądry, co się zowie — a gada jak generał — że chyba ksiądz albo profesor mógłby się z nim rozmówić.

Wojciech.

Moja kumo! Nie guiewajcie się i nie wygadujcie — nikt wam źle nie życzy, a co prawda to prawda. Słusznie was jegomość skarcił, bo kieliszek, to zguba — a nauka każdemu potrzebna. Gdyby Janek chodził do szkoły, zostałby był w wojsku kapralem i nie potrzebowałby tyle biedować i męczyć się, jak się jako prosty męczyć musiał.

Katarzyna.

A toć on i bez waszej szkoły kapralem, tyłkom wam zapomiała powiedzieć zaraz. A jaki mądry! Ale zobaczycie sami — idę po niego — zaraz przyjdzie. — Bywajcie mi zdrowi!

Wojciech i Zosia (razem)

Bywajcie zdrowi. Jdźcie z Bogiem.

Wojciech (na stronie do siebie).

Widać, że się w wojsku i kłamać nauczył — szkoda!

Katarzyna (we drzwiach do Zosi).

Jaki to szykowny i śwarny chłopiec. Mówię ci, pańskie dziecko! Wszystkie dziewczuchy będą się o niego dobiwały. Ale ja tam nie taka dumna — nie turbuj się, on będzie twoim. (odchodzi).

Wystąpienie 9te.

Wojciech i Zosia.

Zosia (przegląda się w zwierciadélku).

Oj! jaka też to szkoda, że kwiatków jeszcze nie ma; ustroiłabym się w piwonije albo w gieranije, (z uśmiechem) bo ludzie mówią, że mi z czerwonymi kwiatkami ładnie. — A to chociaż przyczesać się trzeba — nieprawda tatusiu?

Wojciech.

Prawda, bo dziewczyna zawsze schludną być powinna; ale się do chłopców stroić, to niekoniecznie Skromność, cnota i praca, to najlepsza ozdoba dziewczyny! Ot! weź się lepiej do jakiej roboty! (Zosia bierze szycie) — A prawda! kiedyś wychodził z kościoła, zagadnęła mię wielmożna pani ze dworu — pytała się o ciebie, czyś zdrowa, czyś nie zapomniała szycia — i kazała ci przyjść do siebie; pewnie znowu jaki podarunek.

Wystąpienie 10te.

Wojciech, Zosia i Marcin.

Marcin.

(otwiera drzwi, ale gdy zobaczył Wojciecha, cofa się)

Wojciech.

Czegóż to chciałeś Marcinie, toż pójdz do izby!

Marcin (skrobie się w głowę).

Ej! nie! tak zajrzałem, czy nie każecie jeszcze do południa co robić, bom sieczki już narzczał.

Wojciech.

No! no! — odpocznij sobie już do południa, bo wnet i dzieci przyjdą ze szkoły. — Ale wiesz co Marcinie, czasby już był, żebyś się ożenił. Chociaż cię lubię jak swego, i radbym cię zawsze mieć w domu, ale ci i dobrze życzę. Upatrz sobie jaką pocziwą i pracowitą dziewczynę; dam ci jaką taką pomoc na początek, to dalej jakoś to pójdzie. Jesteś trzeźwy i pracowity, a Pan Bóg takim błogosławi.

Marcin (obejmuje Wojciecha za kolana.)

Bóg zapłać wam mój gospodarzu za obietnicę! — ale mi się tu we wsi żadna dziewucha nie zdaje: wszystko to albo ugania za pohulankami, albo tępe do roboty. (spoziera bokiem na Zosię) Ot! wasza Zosia, to co innego. (wstydzi się)

Zosia (wstaje żywo ze stołka).

Widzisz go! będzie wygadywał na dziewczuchy. Mnie, to niby chwali, bo w oczy, a przed innemi to będzie obinawał!

Wojciech.

Daj spokój Zosiu! Nasz Marcin, to pocziwy chłopak. Wiem ja, dla czego sobie jakiej dziewczyny nie upatrzył — ot, bo się w niedziele nie włóczy po karczmach, jak inni, ale siedzi w domu i słucha, kiedy ty, albo Staś czytacie jakie historye. (Zuśmiechem) Ot, wpatrzył się w ciebie i nie chce za innemi spoglądać.

Marcin.

Oj! kochany mój gospodarzu, tak mówicie, jak byście moje myśli wiedzieli (smutno) ale przebaczenie! zapomniałem, że u was służę.

Wojciech.

Nie gniewam się na ciebie, mój Marcinie! i wiedz o tem, że służba nie hańbi człowieka. A żeś sobie Zosię upodobał, nie dziwię się temu, bo to dobre dziecko. — Żał mi, żeś dał słowo nieboszczykowi Wróblowi, że ją wydam za Janka. Gdyby nie to, Zosia byłaby twoją.

Marcin (smutno).

Ha! darmo! niech się dzieje wola boska! Tylko mię też nie wypędzajcie z domu, mój gospodarzu; póki wy żyjecie, będę za was szczerze pracował. A jak nowy gospodarz nastanie — to się usunę — pójdę w świat, może się na co przydam. Lecz kiedy to będzie? — Boże! daj jak najprędzej!

Zosia.

Bo wy tatusiu nie wiecie gdzie się to nasz Marcin wybiera! Zastałam go w izbie, jak ostrząc rzesak wyspiewywał sobie o panu Kościuszcze i o Głowackim; — a potem powiedział mi, że skoro będzie wojna z tym okrutnym Moskałem, to i on pójdzie za kosyniera.

Wojciech (ściska Marcina)

Teraz cię jeszcze bardziej lubię, mój Marcinie! bo kto kocha Ojczyznę, to wart, żeby go Bóg i ludzie kochali. (na stronie) Przykro mi! słowa dotrzymać trzeba, tak uczciwość każe. — Żeby tylko Janek godzien był mej pieśczołki!

Wystąpienie 11te.

Ciż sami. — Staś i Marysia

(wracają ze szkoły).

Staś i Marysia (razem).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Jak się macie tatusiu (całują go w rękę) Zosiu, Marcinie — jak się macie!

Wszyscy:

Na wieki wieków, amen. — witajcie!

Staś (staje na środku).

O! moiście wy kochani, cośmy się też ładnego dzisiaj w szkole uczyli, Prawda, że wszystko czego nas tam uczą jest piękne i pożyteczne; ale o tym naszym królu Kazimierzu Wielkim, to precudna historia którą wam jutro opowiem, bom dziś jeszcze dobrze nie spamiętał. Ale wiem tylko, że tamtego roku, to Pan Bóg prawie cud pokazał, bo znaleźli w Krakowie w kościele, na zamku Wawelu — kości tego króla, co się nazywał królem chłopków, a to dlatego, bo ich bardzo lubił.

Podczas tego opowiadania pana nauczyciela tak my cichutko siedzieli, jakby makiem zasiał.

Wojciech.

Bo tak trzeba! W szkole jak w kościele, gdy do tego uczą jeszcze religii albo historii polskiej! Jak bowiem każdy katolik chrześcianin religią umieć, tak każdy Polak swojego narodu historię znać powinien! — Ale! ale, kupiłem u księdza Dobrodzieja książeczkę o Władysławie Łokietku (wyjmuje), co to był ojcem tego Kazimierza Wielkiego. Cóż to znaczy 6 centów, a człowiek dowie się coś więcej, jak to bywało za da-

wnych czasów w naszej ojczyźnie A tu wielu żałuje tych kilku krajcarów na taką książeczkę pożyteczną; a co to puszczają na wódkę i inne niepotrzebne rzeczy!

Marysia.

A cośmy się też znowu naśmiali dzisiaj przy czytaniu! — Pan nauczyciel zapytał się jednego chłopca: co to jest tęcza; a on odpowiada, że to taki wilk czy smok, co ma pysk jak szkoła wielki i pije wodę z morza. A to przecie takich zwierząt nie ma, i zkądby się wzięło i to jeszcze na chmurze. To tylko słonko odbija tak ładnie swoje promienie na deszczowej chmurze — i to jest tęcza.

Marcin.

Doprawdy, że i ja tak głupio myślałem!

Staś.

Pamiętasz Marcinie, jak opowiadałeś mi o jakichś miernikach, coś widział światełka na polu pasąc konie w nocy. Otóż ci teraz wytłumaczę, bo i o tem dziś w szkole była nauka: Te światełka to nie duchy, bo przecież duszy widzieć nie można, ale to jest zgniłe powietrze, mające tę własność, że, skoro się wydobędzie z ziemi, jakby para, zapala się od naszego czystego powietrza — i nazywa się błędne światełko, bo błądzi po polu, dokąd je wiatr pędzi.

Marcin.

O rety! jakież to człowiek głupi, jeżeli nie chodzi do szkoły, albo nie obciera się o ludzi uczonych! A tu ludziska mówią, żeby ani panom, ani księżom nie wierzyć. Oj zaślepienie nasze!

(Dokończ. nast.)

Rozmaitości.

— *Chciwość Moskali.* W czasie wojny między Moskalami a Turkami w r. 1829 wybuchła w wojsku moskiewskiem cholera. Jeden z lekarzy wymyślił taką maszynkę, że umarłego nie potrzebował się nikt dotykać, tylko maszynka wsadzała go i na mary i do trumny. Ten wynalazek okazał się bardzo pożyteczny, bo śmiertelność między żołnierzami od tego czasu bardzo się zmniejszyła.

Zdarzyło się, że oficer umarł nad rzeką. Posłali zatem jego sługę z ową maszynką. Sługa jednak nie wraca. Posyłają więc innego żołnierza ale i ten nie przyszedł więcej. Więc trzeciego, czwartego, i tak aż do ośmiu. Zadziwili się wszyscy — co to się stało takiego. Zjechała na miejsce owego wypadku komisya lekarska i oto pokazało się, że oficer miał 200 rubli. Służący zamiast go wsadzić maszynką na nosze obkradł go pierwszej, zaraził się i umarł natychmiast. Służącego obdarł drugi żołnierz, tego trzeci i tak dalej. Wszyscy siedmiu umarli z zarazy a jeden drugiego po śmierci obdzierał.

— *Sen sprawiedliwego.* W pewnej wsi w Czechach panowała w nocy dnia 26go października 1870 ogromny wichur i burza. Ale jeden z mieszkańców wioski wcale się niebudził i spał w najlepsze. Wichur zerwał już połowę dachu, a on spał jak przedtem. Nareszcie żona nie mogła już dłużej wytrzymać i zawołała gniewnie:

— Wstawajże raz przecie, tam na dworze sądny dzień.

Na to odezwał się mąż całkiem spokojnie:

— A czy już archanioł Michał zatrąbił?

— *Kiszki grochowe.* Na jakie to różne myśli i wynalazki wpadają ludzie. Dotąd żołnierz podczas wojny żywił się jeżeli mięsa i świeżej żywności nie było, samym chlebem zasuszonym czyli jak to nazywają sucharami. Liche to było pożywienie, trza było nieraz choćby i karabinem rozbić suchar taki na kawałki, i potem w wodzie moczyć i spożywać. Otóż teraz wynalazli Prusacy w tej wojnie nową żywność dla swego wojska. Dowcipny i przemyślny to naród na nasze nieszczęście. Kucharz jakiś w Berlinie, nazwiskiem Grünberg, wynalazł sposób robienia kiszek z grochu, a oraz przechowywania i chronienia tychże od prędkiego zepsucia. Sekret swój sprzedał rządowi pruskiemu aż za 37.000 talarów. Do robienia tych kiszek miesza się mąkę grochową ze szperką, cebulą i solą, i wyrabia się masę, którą się kiszki nadziewają; potem się je suszą, aby stwardniały. Aby się nie psuły dodaje się różną sól sztuczną. W Berlinie jest teraz w ruchu cała fabryka takich kiszek, pod nadzorem ministerstwa wojennego. Pracuje tam 1200 ludzi, i codziennie 75.000 tych kiszek wyrabiają, aby Niemcy na wojence z głodu nie pomarli.

Złote ziarna.

Wszystkie rzeczy na świecie rozrządzenie Boże:
Przecie, co gwałtownego, długo trwać nie może

Kto kłokolu nie plewi i wczas go nie ruszy
Potem depcze pszenicę, albo ją zagłuszy.

Każdy swego na świecie szczęścia jest kuwalem
Hojny, głupi utratny, pewnie umrze w nędzy
Pracowity, oszczędny nabiera pieniędzy
Pijak, żarłok i zwadca dni sobie utraci
Trzeźwy, skromny, szanowny przeżyje dziesięci.

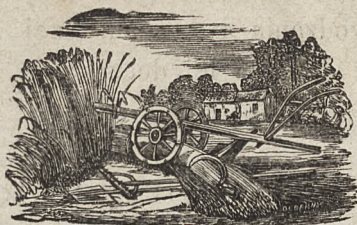
Niektórzy z naszych czytelników dotąd jeszcze zapłaty za drugie półrocze nie nadesłali, choć prosili aby im Dzwonka posyłać. Upraszamy ich przeto uprzejmie, aby zaległe pieniądze nadesłali, albo przynajmniej napisali nam, że chcą i nadal Dzwonka otrzymywać, a pieniądze później odeszłą. My chętnie poczekamy. Chcemy się tylko zowiedzieć czy i dalej chcą czytać nasze pismo.

Kończy się już rok stary, nowy nadchodzi — kto więc i w przyszłym roku życzy sobie Dzwonka odbierać, raczy nadesłać wcześniej prenumeratę to jest jak dotąd 2 złr. na rok a 1 złr. na pół roku. Jeśli zaś który z naszych łaskawych czytelników nie ma na ten czas pieniędzy gotowych, a chce i nadal Dzwonka odbierać, niech nas listem o tem uwiadomi — a zaczekamy chętnie.

Listów zwrotnych nie rozsyłamy, bo lepiej i taniej posyłać pieniądze za przekazem pocztowym.

Do przyszłego numeru tj. 18go i ostatniego w tym roku, dołączamy premje tj. obraz św. Wojciecha malowany i książeczkę.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kochani Czytelnicy!

Z tym oto numerem kończy się tom II. a oraz i rok cały Dzwonka. Miło nam, jeżeli pożytek jaki dla Was urósł z tego pisma, jeżeli Was Dzwonek zabawił i rozerwał po pracy, boć to całą naszą nagrodą. Znacie nas dobrze kochani czytelnicy, wszak to już jedynaście lat Dzwonek dzwoni Wam w dobrej i złej chwili. I nadal go wydawać będziemy, tak samo jak dotąd, nie zmieniając czasu wychodzenia, ani ceny.

Staramy się, aby można i z tego co się w świecie dzieje, co o wojnie słycać, dawać Wam wiadomości; ale na to trzeba jako porękę złożyć rządowi grube pieniądze, tak zwaną kaucję, a nasz Dzwonek za ubogi na to; podaliśmy więc prośbę i staramy się aby to bez tej kaucji Wam pisać. Jak skoro pozwolenie dostaniemy, natychmiast zaczniemy Wam o wypadkach w świecie donosić.

Do tego numeru dołączamy Wam przyobiecany obrazek malowany i książeczkę. Niech to Wam służy jako kolenda i pamiątka od Dzwonka. Życzymy Wam, jak zawsze, tak i teraz świąt wesółych, i szczęśliwego nowego roku. A gdy na gwiazdkę zasiądziecie i przy wesolej kolędzie i śpiewce wzajemnie sobie życzyć będziecie, pomnijcie też na przyjacieli

Waszych pisarzy Dzwonka, którzy w tejże chwili Wam, kochani czytelnicy, i całemu ludkowi naszej ukochanej Polskiej ziemi lepszego powodzenia i szczęśliwszej doli życzyć będą. Może Bóg litościwy da nam jej doczekać!

Piękny przykład.

Pisanie Józefa z Bochni o parafii w Biskupicach pod Wieliczką.

Mówię wam, panie pisarzu, że serce raduje się człowiekowi, gdy usłyszy lub zobaczy, jak to gdzieniegdzie pięknie żyją ludziska, i zaraz pragnie podzielić się tą radością z drugimi, aby i oni tak samo robili, bo jak myślę, nie tak człeka nie buduje jak piękny przykład. Tak rzecz pojmuję i ucieszyłem się bardzo, gdy byłem w Biskupicach. Leżą one na wyniosłej górze za Wieliczką, o ćwierć mili od gościńca wiodącego przez Gdów do Bochni. Ale też to rozkosz bierze, jaki z tamtąd cudny widok. Kto wejdzie na tę górę, musi się zachwycić! a pewien pan tak opisał widok z tej góry:

W szerokiem kole, jak sięgnie oko,
Zobaczysz Kraków, Bielany;
Wisłę, co toczy długo, szeroko
Srebrno modrawe balwany.
U stóp Wieliczka, ten skarbiec soli,
Niepołomice z lasami,
Niegdyś — wśród naszej szczęśliwszej doli —
Sławne Kazmierzów łowami.
Ujrzysz Staniątki i mnóstwo wiosek
Rozsianych w Wisły dolinie;
Gdyś w Biskupicach, łatwy ztąd wniosek,
Że pamięć o nich nie zginie.

Byłem tam właśnie w niedzielę. Widok z góry był jeszcze tem piękniejszy, bo ze wszystkich stron cisnęły się gromady ludzi. Można było ubawić oko. Mężczyzni i kobiety byli czysto i bielutko ubrani; każde niemal miało książkę pod pachą, a brudasa i obdartucha nie było ani na lekarstwo. Stałem i myślę sobie:

— Mój Boże! jakby to było pięknie, żeby tak było wszędzie!
A ludzi schodzi się coraz więcej, wszyscy jacyś weseli i spo-

kojni, witają się grzecznie ze sobą i wchodzą do kościoła, inni siadają obok kościoła, bo wnet brakło w nim miejsca, choć wielki i obszerny.

Wtem zagrały organy. Wchodzą ludzie do kościoła, a tu jakby nabił. Jedni ludzie czytają na książkach, inni śpiewają z pokorą i prawdziwym nabożeństwem, co jakim obaczył, to mi łzy stanęły w oczach. I mówię prawdziwie, że nawet grzesznik zapamiętały, gdyby wszedł między takich ludzi, mimowoli złożyłby ręce i modlił się najgoręcej.

W kościele jak w pudełku. Wszystko czyściutkie i schludne; obrazy dobrej roboty a wszystko na swoim miejscu. Organista gra przyjemnie, że się odsłuchać nie można, widać, że się zna na muzyce. Kiedy kazanie, wszystko słucha a nie drzemie, jak to często bywa, i dobrze zważa na słowa każącego kapłana. A i dzieci tam nie brakowało, a każde przyzwoite, nie ogląda się i nie śmieje, ale przykładnie czyta, klęczy lub stoi, dowód więc najlepszy, że są dobrze prowadzone.

Kiedym po nabożeństwie wyszedł z kościoła, pytałem się ludzi, czy w tej wiosce jest szkoła?

— Ot jest tu zaraz za kościołem — powiedział grzecznie jeden z gospodarzy.

— A jak ją chcecie widzieć — dodał drugi — to was zaprowadzę. I poszliśmy obaj, a ja się aż zadziwiłem, że na wsi taka porządna szkoła.

Weszliśmy do środka. Zastąłem pana nauczyciela, który przed chwilą grał w kościele na organach. Przywitał nas bardzo mile i okazał wielką radość.

— Może chcecie widzieć szkołę? — zapytał grzecznie.

Proszę bardzo, jeżeli Pan pozwoli odrzekłem ujęty grzecznością.

Zaprowadził nas na drugą stronę i pokazał jak wszystko w wielkim ładzie i porządku, a potem zaprowadził nas do biblioteczki szkolnej i pokazał wiele książek.

— A czytają też ludzie w tej tu wiosce? — zapytałem ciekawie.

— O czytają z wielką ochotę — odrzekł nauczyciel — i pożyczają sobie do domu.

— A to pięknie! — powiedziałem. — A dzieci pilnie chodzą do szkoły?

— Bardzo pilnie — odparł nauczyciel — uczą się pięknie, bo ich rodzice nie odwodzą od nauki i nawet z dala regularnie posyłają je do szkoły. Dla tego też dzieciom wyprawiamy co rok uciechy w maju. Mnie zawsze gmina rzetelnie płaci, nigdy nie potrzebuję się prosić... I tu dopiero jał mi opowiadać, jaki to w Biskupicach ludek chętny szkole, jak rad słucha dzieci, gdy wdomu opowiadają lub czytają z książek, jak gospodarze pracują ochoczo w polu, jak niektórzy chodują pszczoły, jak pięknie chowają konie, że nawet zato otrzymują nagrody, jak pięknie i starannie utrzymują sady, to też nie dziw, gdy jeden gospodarz rocznie zbierze za owoc 225 złr. jak tego dowody są z tego roku.

Na te słowa stanęła mi łza radości i znowu sobie pomyślałem:

— Mój Boże! Czemu to tak nie wszędzie? Gdyby ludzie tak się trzymali jak w Biskupicach, niezawodnie wkrótce inaczej byłoby między nami!

I w Biskupicach będzie jeszcze lepiej, gdy ludzie wytrwają i będą tak postępować dalej.

Potem rozpatrzyłem się jeszcze w tem i owem i z bardzo miłym wspomnieniem opuściłem tą wioskę.

Wam zaś donoszę o tem, panie pisarzu, abyście i wy wiedzieli, jacy to są gdzieniegdzie u nas ludzie, i dali o nich wiadomość drugim dla zachęty.

Józef z Bochni.

Przednowek skończony

Już się dym z chaty wzniesie czasem z rana,
Już się i śpiewka zdawna niesłyszana
Ozwie czasami po ścierni i rosie,
I wyszła wdowa biedna na pokłosie.

Miła ta ścieszka, co kręto prowadzi
I na podwórka i na wiejskie sady
I miło sercu że biednej czeladzi
Nowy chleb dodał tak od razu rady!

Niedawno jeszcze była cisza głucha
Jakby żywego nie było tu ducha,
Dziś ruch po chatach i nowa ochota
I w każdym kącie życie i robota!

O żniwo! żniwo! nadzieja nie marna!
Już i cep bije, i szumią już żarna,
I pierwsza rozkosz najpierwszego żniwa
Ten ranny zapach wiejskiego pieczywa.

Między półkopki pasie się już krówka,
Przybyło mleka — to i dziatwa drobna
Znowu na przyzbie wesoła jak mrówka
I macierz nędzna już nie tak żałobna...

Lecz żywy obraz Opatrzności Boskiej,
Wieczna ta wdowa, co tam zbiera kłoski
Co po tej ścierni powoli tam kroczy
I często zwraca ku Niebu swe oczy.

Wincenty Pol.

J a n R y ś .

Aż się mi serce raduje, że wam panie pisarzu mogę, donieść rzecz bardzo piękną. Jest koło Babiej Góry, wysokiej przeszło 5.000 stop, niedaleko Jordanowa, wieś Toporzysko. W tej wsi żył sobie uczciwie i przykładowie zagrodnik Jan Ryś, którego śmierć 14. listopada zebrała z tego świata. Był ci to człowiek sprawiedliwy aż miło, nie bitnik albo pijak; nabożny jak rzadko, a przytem szanował cudzą własność i lubił bardzo rozmawiać o nauce i szkole, chociaż sam ani czytać ani pisać nie umiał. Ciągłe marzył, żeby mógł co zrobić dla oświaty, i Bóg pozwolił mu dopełnić zamiaru swego przy końcu żywota.

W 1846 roku rabowali chłopci w okolicy Babiej Góry, lecz Jan Ryś z kilkoma innymi właścicielami nie przyłożył ręki do tego okrutnego dzieła. Sam jeden ze wsi z narażeniem swego życia bronił dworu od napaści i grabieży i on tylko ochronił wiele rzeczy od zniszczenia i rabunku. To też gdy nastał czas spokojny, uwolniono Rysia od wszelkich powinności przez wdzięczność za wielkie zasługi, jakie położył względem

dworu. Pracą i oszczędnością przychodził do grosza, lecz go nigdy marnie nie obrócił, lecz chował go na przyszłość. Z końcem października bieżącego roku zasłabł ciężko, przyjął więc SS. Sakramenta, poczem zaprosił do siebie pana Awita Wilkoszewskiego i podyktował mu testament tj. ostatnią wolę w obecności wielu gospodarzy. Zapisał swojej żonie w dożywocie rolę, dwa zaś kawałki z niej przeznaczył wychowaniczy żony, także w dożywocie i dodał jej oblig indemnizacyjny na 200 złr.

— Gdy zaś pomrą obie te kobiety — mówił Ryś — rola, którą posiadały, ma iść na szkołę, która na tej samej roli ma być wystawioną. Na ten cel przeznaczam również oblig indemnizacyjny w sumie 1.000 złr: aby szkoła koniecznie była w naszej wiosce.

Dalej ofiarował 300 złr. na wystawienie kapliczki na jego roli, a 100 złr. na potrzeby, gdyby wymagała naprawy. Myślałby niejeden, że Ryś tyle tylko miał pieniędzy. Nie, miał on ich więcej i pożyczał je ludziom w rozmaitych potrzebach, a nie brał najmniejszego od nich procentu, bo tego był zdania, że człowiek wtedy pożycza, gdy go przyciska konieczność, a z trudnością przychodzi mu zapłacenie długu — z kądże jeszcze weźmie procent? To już dla niego uszczerbek wielki.

Owoż wszystkie rozpożyczone pieniądze przeznaczył na najuboższy kościół w Krakowie z tym warunkiem, żeby się w nim odprawiało nabożeństwo za jego duszę. Oddawszy do rąk pana Awita Wilkoszewskiego różne papiery, dowody i obligi indemnizacyjne, prosił go, aby należycie wypełniono ostatnią jego wolę.

Pan Wilkoszewski przyjął chętnie ten obowiązek i ogłosił w gazetach o pięknym czynie Jana Rysia, aby sobie inni brali przykład i w końcu dodał:

— Człowiek ten nie umiał czytać i pisać, ale pojmował potrzebę nauki, a miłował ojczyznę, jako prawy jej syn..

Oby Bóg z łaskawości swojej więcej dał nam podobrych ludzi!

Józef z Bochni.

Król Władysław Łokietek.

Niejeden narzeka, że mu się źle powadzi, że go nieprzyjaciele prześladują, przytem tyle ma frasunku, że nie ma nawet nocy spokojnej. I tak z dnia na dzień rozwodzi swe żale przed sąsiadami, a nie wezwie Pana Boga na pomoc, nie pomyśli, jakimby sposobem podolać złemu, przewyciężyć je pracą wytrwałą, a w końcu powiedzieć sobie: tak być musi. Zamiast tego, patrzy ze zazdrością na ludzi bogatych i zamężnych, wzdycha do szczęścia a może nieraz pomyśli sobie: nie ma to jak cesarz albo królowie, opływają we wszystko, nie troszczą się o nic, słowem są najszczęśliwsi na świecie. Gruba pomyliłby się ten, ktoby tak myślał, gdyż trafiają i trafiały się przypadki, że królowie znosili prześladowania, biedę i wszelkie niedostatki, a nawet od ludu wieśniaczego doznawali wsparcia, pomocy i opieki. O takim królu opowiem wam dla przykładu.

Jest temu sześćset lat blisko, jak żył na świecie król wzrostu niskiego ale wielkiego ducha; niejeden z was czytał już o nim; był on naszym polskim królem, a nazywał się Władysław Łokietek. To nazwisko „Łokietek“ przydano mu jeszcze za młodu dla małego wzrostu, jak się to zwykle między ludźmi dzieje, że sobie coś na kim upatrzą, to wejdzie w zwyczaj i na zawsze zostanie. — Otóż ten Władysław Łokietek miał objąć rządy w Polsce po śmierci swego brata Leszka Czarnego, jednak mieszczanie krakowscy, po większej części Niemcy, nie sprzyjali Władysławowi, ale zaprosili potajemnie Henryka Probusa, zniemczalego krewnego nieboszyka króla Leszka; wpuszcili w nocy niemieckich żołdaków do Krakowa, i chociaż król Władysław z wojskiem polskim mężnie się stawiał przybyszom, musiał jednak uleść przemocy i zdradzie. Niemcom zaś chodziło tylko o to, aby naszego Władysława pojmać, żeby nie zawadzał Henrykowi; to też ścigany Władysław ukrył się w klasztorze Franciszkanów, z kądem przebrany za mnicha spuścił się z muru po sznurze i szczęśliwie dostał się do dóbr swoich.

Sześć lat rządził Henryk jak szara gęś w Krakowie, a po nim nastąpił Przemysław, którego Niemcy wkrótce zdradziecko

zamordowali. Teraz myślał Władysław, że będzie mógł po śmierci swego krewnego rządzić swoim ludem. Ale niestety! ci sami Niemcy, którzy dopomogli Henrykowi w zajęciu Krakowa, wpuścili znowu króla czeskiego Wacława z jego wojskiem do miasta. Jakim był ten król dla Polaków, to sobie wyobrazicie, gdy wam wspomnę, że to ten sam Wacław, co swego brata świętego Jana z Bolesławca kazał utopić w Moł-



Król Władysław Łokietek.

dawie, jak to stoi w pieśni o tym świętym Janie, przypomnijcie sobie tylko.

Nie lepszem było i żołdactwo tego Wacława; rabowali, niszczyli, co tylko mogli. Tego poczciwy nasz Władysław nie mógł znosić obojętnie. Zgromadził więc swoje wojska i chciał wypędzić z kraju nieproszonych gości. Jednak mu się nie poszczęściło, ale, co gorsza jeszcze! schwytano naszego Władysława i wsadzono do więzienia. Smutno było i boleśnie naszemu dobremu ludkowi, że jego ojciec, król i opiekun musi tyle

cierpieć. Ale rady nie było — bo czeskiego żołnierstwa nalażło jeszcze więcej. — Jednak miłość prawdziwa i przywiązanie do swego króla podała dobrą myśl włościanom z Wiślicy, która to wioska leży blisko Krakowa. Z tej to wioski wybrało się kilkanaście dziewcząt doradnych, przybyły pod więzienie, w którym siedział król Władysław, i nuż wdzięczyc się do żołnierzy czeskich, stojących na straży. Trudna była z początku sprawa z nimi, ale pochlebniemi słówkami, umizganiem a wreszcie mocnym trunkiem tak potrafiły obalamucić tych wartowników, że im broń swoją oddali. Wtenczas nie trudnem już było powziąć ich jak baranów — i swego kochanego króla wydobyć z więzienia. — Co to potrafi człowiek słaby, jeżeli tylko miłość prawdziwa kieruje jego czynami. — Uwolniony takim sposobem Władysław Łokietek tułał się w zimowej porze po lasach, doznając wsparcia od kochających go włościan.

Ale nie widząc już ratunku w pomocy ludzkiej — udał się o nią do Pana Boga. — Jako pielgrzym poszedł do Rzymu, gdzie przyjął błogosławieństwo od Ojca świętego, prosząc tamże Króla nad Królami o zmiłowanie nad nieszczęśliwym narodem swoim. I wysłuchał też Pan Bóg jego modlitwy, bo wkrótce król czeski umarł, a Władysław zebrawszy wiernych sobie, wypędził jego wojsko z całego kraju. Dał się też potem w znaki Niemcom, Krzyżakom, od których pochodzą terazniejsze Prusaki, jak to wam wiadomo.

Uprzątnąwszy śmiecie w domu, pomyślał ten dzielny król o zjednaniu dla Polski przyjaciół Litwinów, co uskutecznił przez ożenienie swego syna Kazimierza Wielkiego z Aldoną, córką Gedymina, księcia Litewskiego. Otóż widzicie moi kochani bracia, jakie to nieszczęścia i kłopoty ponosił ten nasz król Władysław Łokietek, a to wszystko z miłości dla ludu swojego i swojej Ojczyzny.

M. S.

Urlopnik.

(Dokończenie.)

Wojciech.

Słusznie mówisz Marcinie! dopóki nie będzie wiary i miłości między nami, dopóty zostaniemy ciemnymi i źle będzie w Ojczyźnie.

Wystąpienie 13te.

Wojciech, Zosia, Staś, Marysia,
Marcin, Janek i Katarzyna.

Janek (w kaszkiecie wojskowym),

Gut morgen! wigec? panie Adalbert — (do Zosi) jak się oni miewają frailain Zofi? (chce ją uszczypnąć w policzki).

Zosia (odpycha go)

Cóż to na powitanie nazywasz mnie jakby nieprzymierzając jaką żydowicę.

Janek.

O nain mój hercku, to po waszszemu po polsku znaczy holt tyle co panna.

Zosia.

A toć ty wołasz na mnie kiejby na żyda herszku!

Janek.

To się znaczy: moje serce, com je holt z dalekich landów z Holsztainu przyniosł pod kabatem dla Ciebie.

Zosia.

Mówże przecie do mnie po ludzku, nie tak jak włóczęga jakiś i przybłęda trochę po żydowsku, a trochę po czesku. Jać przecie Polka i twojej głupiej mowy nie rozumiem.

Janek (zwraca się do Stasia i Marysi).

A toć te śpicbuby powyrastały na kerłów — No cóż mi się tak przypatrujesz du klain? Podoba ci się mój

kabat? Oj dostaniesz i ty kiedyś taki klaidung, będziesz nosił śliwowany giwer, brucok i tajstrę będziesz chodził na mustring, mieszkał w kasarni z kamratami, będziesz spał na strużoku i lańtuchu, pod głowę dostaniesz kopustrok, a przykryjesz się deką. (Chce go pokręcić za ucho — ale Staś się cofa). Oj ale kapralem to saperment przeniędzy nie sostaniesz.

Staś.

Toć to nie wielka rzecz taki jak ty kapral nie umiesz ani po polsku, ani po niemiecku ani po żydowsku tylko mówisz jakimś łatanym językiem, jeszcze gorzej jak ci, co to z katarynką włóczą się po miastach. Ja tam niedługo pójdę do szkół łacińskich do Tarnowa — to i po niemiecku umiem — ale nie mówię bom między swoimi a nie pomiędzy Niemcami. Przecież to każdemu Polakowi polska mowa najmiłsza, bo go tej mowy matusia wyuczyli.

Janek.

Du ezel, z kądbyś ty umiał po niemiecki, ja to was anders, ja byłem sem w Daiczlandzie — o! tam je lustig leben, ale nie tu.

Staś (rozgniewaony).

Co mnie macie nazywać osłem! mnie tak pan profesor nie mówi, chociaż jest tysiąc razy mądrzejszy od was. A kiedy wam się niemieckie kraje podobają, to idźcie tam napowrót zkądście przyszli! (do Marysi) Pójdź Marysiu do ogródka od tego gacka. (odchodzi).

Wystąpienie 14te.

Ciż — oprócz Stasia i Marysi.

Wojciech (z uśmiechem).

Widzisz Janku, takie dziecko wyśmiało cię z twoją mową. On się uczy po niemiecku, bo myślę go posłać do Tarnowa — może mi Pan Bóg pozwoli doczekać się z niego pociechy. — Ale ty zostaniesz między swymi, to daj spokój z tą dziwną gadaniną.

Janek (do siebie)

Dume kerls nie znają, co sem znaczy daicz šprechen!

Marcin (chce uściskać Janka).

A ze mną to się nie przywitasz Janku?

Janek (odpycha go)

Prić, ja sem z cywilami nie powinien gadać — jaki mi kamrat w zgrzebnym kabacie!

Marcin.

Ej! Janku, przecieżeśmy razem konie pasali, razem družbowali, to i czemuż masz się mnie wsztudzić; a płóćiankę i ty wdziejiesz, bo ci się te piszczałeczki (pokazując na jego rękawy) wnet rozliza, i znów będziesz, bo byłeś naszym.

Janek.

Proszę mnie nie kuuirować, ja jestem holt pan kapral, cesarskie dziecko.

Katarzyna.

Cóż ty plecież Janku; przecież ty moje dziecko, a nie cesarskie: ja cię wypieściła i wychowała, a dopiero cię dużego wzięli do wojska. — A co ja się za tobą napłakała!

Wojciech.

Jakieś ty Janku mógł zostać kapralem, kiedy nie umiesz ani czytać ani pisać?

Janek.

Otóż to sem tak było. Kiedyśmy się pod Kenigrec fechtowali z tymi Praisami, wtenczas wszystko siarsia, to je aficery i unteraficery poginęli, bo ferfluchten Praizen bardzo pluli na nas z gewerów, co się igielniczkami nazywają. — Ale ja nie miał furchtu, a byłem na flonku tj. z kraju, a widząc, że cali batalion nie zna, co działać — złapałem szablu, i stanąłem na front, i jak krzyknę: „Gance batalion! marsch, marsz! faier! — tak wszystkie muże za mną. O tem dowiedział się pan Benedyk, ten anfirer, co komendirował całą trupą chciał mnie zaraz zrobić oficerem — ale ja sem nie chciał tylko mnie przezwał: Jochan S'perling Korporal.

Zosia (do siebie załamując ręce).

To on pewnie żydem został!

Katarzyna.

Jakiś ty Janku przecie głupi! byłbyś sobie panem, ożeniłbyś się z córką jakiego oficera, a teraz musisz harować jak dawniej!

Wystąpienie 15te.

Ciż — Staś i Marysia (wbiegają).

Staś i Marysia (razem mówią)

Zosiu! Zosiu! twoje kogutki tak się biją okrótnie!

Staś.

Ten płowy uciekł przed tym czerwonym (na stronie) A wiesz że ten płowy podobnusićki do tego głupiego J

Zosia.

Idźże, smarkaczu, — zład Ci przyszło do głowy, że podobny.

Staś.

Bo tak uciekał przed czerwonym, jak on przed prusakami.

Janek.

Co ty tam o Prajsach mówisz? Myślisz, że taka była bitka z Prajsami, jak między kogutami — to słuchaj tylko się nie fichtoj — bo to strasznie.

Kiedy przyjdzie do ataku

Tysiąc armat strasznie jęknie,

Lecze się wojak nie ulęknie,

I nie schowa się do krzaku.

Hura! hura! na Prusa!

Niech cudzego nie rusa!

Marsz! marsz! marsz!

Karabiny gradem sypną,

Wnet się z trupów robią gury,

Słońce zaćmią z dymu chmury

Wtenczas zuchy raźnie krzykną

Hura! hura! i td.

Krew się leje kieby woda,

Jeden kona, drugi jęczy,

Póki nas Prus nie zamęczy

Dalej razem, — czasu szkoda!

Hura! hura! i td.

Tak sem było pod Kenigrecem w Bemenlandzie tj. w Czechach — O! bylibyśmy tych sakramenckich Prajsów na kwaśne jabłko zgnetli; ale to nieszczęście, żeśmy chcieli liby uciekać przez jeden most, ażeby oni za nami pošli. Ale ten brik był sem wążki — nie mogliśmy się pomieścić — i poturbowali nas te huncfoty... — Po takich śtrapacach wartałoby się napić.

Wystąpienie 16te

Ciz i Mosiek z flaszką.

Janek.

Richtig Moisie! a co gut snaps — Moisie?

Mojsiek.

Extrafain z samego Widin, extra-fain rosolis.

Marcin.

Ciekawym, jaka to wódka z rosolem?

Wojciech.

Nie potrzeba żadnej wódki — idź sobie Mošku!

Katarzyna.

Mój kumotrze, to pozwólcie, że się po kapeczce napijemy, to przecie nie gorzalka, ale likier słodki jak miód. Już to mój Janek wie, czem kogo uraczyć.

Janek.

Gib Mojsie — (Mojsiek leje) halt! do nich panie Adalbert. (pije)

Wojciech.

Ja nie piję, bom ślubował.

Katarzyna (bierze kieliszek)

No to ja wypije za zdrowie Janka i Zosia — do ciebie Zosiu! (pije) ach, jakie to rarytasy!

Zosia.

Pijcie zdrowi — ja nie piję!

Janek.

Was ist das? No, Marcin napij się!

Marcin.

Pij sobie sam.

Janek.

Co ty knefikiu smiesz mnie, kaprała, konierować? (przyskakuje do niego) ja cię nauczę!

Marcin.

O ba! czy to tu karczma! żebyś burdy robił? szanuj dom pocziwy!

Katarzyną (staje w środku).

Daj spokój Janku, to głupi chłop i nic więcej! (do Mośka) Ot nie będą pili — idź Mośku!

Mosiek.

Ny, ja pójdzie, a gdzie pieniędzy? wyście mi już 5. ryńskich winni — zis di — jaka mądra?

Katarzyna.

Jakie 5 reńskich? czyś ty oszalał, żydzie? a zkadby się tyle nazbierało? tylko parę razy po kieliszeczku wypila tej śmierdzący (spluwa) a nie dałam ci psiawiaro, dwie kury, gęś i ćwiartkę ziemniaków — co?

Mojsiek.

Aj waj! jaka mi tantna, takie bagatele — cóż to? ani procentów jeszczeście mi nie dali; to wi miśzlicie, że za trochę ziemniaki można cały rok pić, ny! albo ja to kradnę, żebym darmo dawał wódki — hę?

Janek.

Geweg! Mosie, ich calen!

Mojsiek.

Nu! ja będę znowu czekać, a z czego mi zapłacicie? Dziś rano wypił pan wojak 3 śnapse, a nie zapłacił — a moja surę przyszyła te gwiazdki a to za darmo? hę? mię się należy 5 szustek — dajcież!

Wojciech.

Idź Mośku, oni ci zapłacą, ja ręczę za to.

Mojsiek.

Ny na wasze słowo, Panie Wojciechu, tobym cały rok borgował. Nie dacie nic biednemu żidkowi utargo-

wać, to prawda — ale ja Was i tak szanuję Panie Wojciechu, auf mane mues. — Ale chociaż na wesele waszej córki, to mi dacie co zarobić — ja sprowadzę piwów, winów bardzo przedni — co dobrze?

Wojciech.

Dobrze, dobrze — idźże już!

Mojsiek.

Adije Panie Wojciechu! — (do Zosi) klaniam pannie młodej — adije! A pan wojak niech odpruje te gwiazdki — to już nie zapłaci mej Surze. (odchodzi).

Wojciech.

Na co się to przyda okpiwać ludzi, kiedy prawda zawsze wyjdzie na wierzch jak oliwa. Oj Janku! nie tylko, żeś zapomniał, żeś jest Polakiem, aleś się jeszcze nauczył kłamać. O! ta przekłeta pycha i głupia duma!

Wystąpienie 17te.

Ciż i za sceną (parobcy i dziewczęta śpiewają).

Śpiew:

Oj! na dębie u Wojciecha
Bociek dzióbem kłapie,
Ten się chłopak nie oszuka
Kto Zosieńkę złapie.

Bo też to jest z niej dziewczeczka

Ładna jak pszeniczka
Gospodarna i pocziwa

Oj będzie szczęśliwa!

(Muzyka przegrywa).

Wojciech.

Co to znaczy ta muzyka i śpiewki?

(Za sceną śpiewają dalej)

Oj Wojciechu na twe lata

Już ci zięcia trzeba;

Z łaski Boga dość w komorze,

Wystarczy wam chleba.

Otwórzcie, prosimy, wrota

Jeżeli jest ochota —

A dziś dla waszej dziewczyny

Sprawcie zaręczyny.

Wojciech (otwiera drzwi)

Parobcy i dziewczęta (wchodzą)

Niech będzie pochwalony Jezus
Chrystus!

Wojciech,

Na wieki wieków — Amen — Po-
wiedźcie mi, moi kochani, co to
wszystko znaczy?

Parobek.

Dowiedzieliśmy się, że Janek Wró-
bel dziś przepija do Waszej Zosienki,
bo tak Wróblowa rozgadali po wsi. —
Otóż wracamy z wesela od kołodzieja
i wstąpiliśmy, aby starym zwyczajem
z muzyką rękowiny obchodzić.

Wojciech.

Jeszcze tam o tem nie było i mowy.
Cóż Zosiu! poszłabyś ty za Janka
Wróbla?

Staś.

Tatuniu! on się nazywa Johann
Sperling.

Wojciech.

Daj spokój, malcze z tymi figlami.

Zosia (smutno)

Jakbyście kazali... cóż robić.

Wojciech.

Broń Boże, ja cię nie przyniewalam.

Zosia.

Mój Tatusiu, ja potem wam po-
wiem.

Katarzyna.

Mów Zosiu teraz, nie wstyduj się,
ot są chłopcy, dziewczęta i muzyka
— zabawimy się jeszcze.

Janek.

Tobys ty mnie nie chciała Zosiu?

Zosia (na stronie).

O mój Boże! cóż zrobić teraz!
(obraca się do Janka) żebyś po naszymu
mówił, żebyś nie ganił swego gniazda,
nie pogardzał drugimi, tobym...

Janek.

Kogóż ja tu simfował? tylko Mar-
cina, o niego ci chodzi?

Zosia.

A jużci, bo go lubię jak brata.

Wojciech (weselo)

A cóż Zosiu, jakbym sobie życzył,
żebyś poszła za Marcina?

(Zosia spuszcza głowę i zawstydzona się).

Wojciech.

Pójdźno bliżej Marcinie! — (do
Zosi) którego byś wolała Zosiu?

Zosia.

Prawda — że Janka bardzo pier-
wej lubiłam — ale teraz..

Wojciech.

Widzę ja, że przewrotność i złe
nałogi Janka są tu przyczyną nie-
chęci ku niemn. Poczciwy Marcin
godzien ciebie.

A więc, moi chłopcy i dziewczęta,
proszę was na niedzielę, zabawimy
się ucziwie choć bez wódki na za-
ręczynach Zosi z Marcinkiem.

Marcin.

O mój złoty gospodarzu! (obejmuje
go za kolana) — O moja kochana Zo-
siu! ledwo nie oszaleję z radości.
(ściska potem wszystkich parobków).

Katarzyna.

To wy chyba żartujecie? — prze-
cieżeście przyrzekli nieboszczykowi,
że Zosię za Janka wydacie!

Wojciech.

Tak — przyrzekłem, kiedym wi-
dział, że chłopak dobry, a wy go-

spodarna. Teraz z Janka pędziwiatr, niepoń! a Wy? ajnie mówmy o tem, słyzałem zresztą co Mosiek mówił.

(do parobków i dziewcząt zdziwionych.)
Diwno wam, moi kochani, co się stało? Janek Wróbel przy wojsku zmienił i serce i mowę — Marcinek — znacie go, poczciwy chłopak, kocha Boga i Ojczyznę — i wszystko, co nasze — będzie i mnie szanował, i Zosię kochał — z takiego dobry gospodarz, i sąsiad dobry — takich nam więcej trzeba. — Chwalił tu Janek niemieckie kraje, więc mu przypomnijmy, że i nasza Polska nie gorsza.

(Spiewają wszyscy prócz Katarzyny i Janka)

Spiew :

Ziemia nasza święta ziemia
Ojczyzna kochana,
Krwią i potem ojców naszych
Obficie skrapiana.

Darzy solą, chlebem darzy
Nietylko swe syny,
Lecz posyła swoje płody
I w obce krainy.

Kto nie pragnie sercem całem
Wolności ojczyzny,
Nie wart chleba z Polskiej roli
Ni dożyć siwizny!

Rozmaitości.

— *Uczciwy znalazca.* Dzienniki wiedeńskie donoszą, że dnia 13 grudnia wieczór za przybyciem do Wiednia kolei ze Lwowa dostrzegł p. Ignacy Löscher kupiec ze Stryja, że mu zginął pugilares, w którym znajdowało się w gotówce i w papierach różnych 34000 złr. Wraca strwożony do wagonu, gdy w tem zatrzymuje go żyd polski faktor i oddaje mu zgubione pieniądze. Kupiec wziął ze sobą do doróżki uczciwego znalazcę i obdarzył go 3000 złr.

— *Omyłka.* Służący oficera przyniósł razu jednego swemu panu buty jeden z długą, drugi z krótką cholewą. „A do djabła, czemu to przynosisz dwojaki buty?“ krzyknął oficer na niego „Proszę pana,“ odpowiedział służący spokojnie „ja

też nie wiem, co się to zrobiło, ale co mnie najbardziej dziwi czego sobie wcale wytłumaczyć nie mogę, jest to, że w sieni jeszcze zupełnie taka sama para bótów stoi.“

— *Poczta gołębia.* Słysze-liście może kiedy o gołębiach używanych do przenoszenia listów z jednego miejsca na drugie odbyłe od siebie o kilka i kilkanaście mil. Takie poczty były dawniej używane dla rozrywki, a teraz we Francji gdzie to chciwy i okrótmy Prusak niszczy kraj ten śliczny i zamożny, stały się takie poczty koniecznością, osobliwie w Paryżu, który Prusacy otoczyli wojskiem i wszelki związek z resztą kraju przerwali. Otóż z tego miasta wysyłają Francuzi różne listy do swych współobywateli tylko za po-

mocą balonów i takich wyuczonych gołębi.

Dzieje to się tak: wyuczają ludzie takie gołębie chowane w jednym np. mieście a potem przenoszą je do drugiego, z kąd puszczone odlatują do miejsca znanego urodzenia. Jeżeli

się więc im przywiąże jaką kartkę to przynoszą takową o mil kilkanaście nawet. W ostatnich czasach przyleciał taki listonosz skrzydlaty do Paryża pokrwawiony — niezawodnie ujrzeni go Prusacy lecącego i strzelali do biednego ptaka.

Złote ziarna.

Sięgnąć trzeba do dziury, kto chce łowić raki,

Kto gorąco kąpany, prędko spłoszy ptaki.

Trzeba wprzody zgryść orzech, kto chce zażyć jądra

Dobra odwaga, ale żeby była mądra.

Choć orzeł orła rodzi, lew lwa — nie nowina,

Że często dzielny ojciec lichego ma syna.

Kto na swoim przestaje, ten cudzego nie pragnie i nikomu niczego zazdrościć nie będzie.

OD REDAKCYI

Upraszamy szanownych prenumeratorów, którym pojedyncze numera brakują, o spieszłą reklamację, nieopłaconymi i niepieczętowanymi listami. Na adresie trza napisać: „Reklamacya“. Numerów pojedynczych z pierwszego półrocza, z powodu zbyt małego nakładu poprzedniej redakcji, bardzo tylko mało mamy, niektóre numera brakują zupełnie. Dlatego wybaczą nam szan. prenumeratorowie jeżeli reklamy z I. półrocza uwzględniać nie możemy. Pozostałemi numerami chętnie służymy. Kompletu I. półrocza także wyczerpane.

Spis rzeczy, tytuł i okładkę do tego półrocza, roześlemy z Nr. 1. następującego półrocza.

Pieniądze prenumeracyjne upraszamy przesyłać wprost do Redakcji pod adresą: „Redakcja „Dzwonka“ w sklepie p. Justiana ulica Krakowska.“